

Książka pobrana ze strony
<http://www.ksiazki4u.prv.pl>
lub
www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl

FRANK HERBERT

MESJASZ DIUNY

Przełożyła Maria Grabska

ZAPISKI Z CELI ŚMIERCI

PRZESŁUCHANIE BRONSA Z IX

Pytanie: Co skłoniło cię do podjęcia tej szczególnej próby zanalizowania dziejów Muad'Diba?

Odpowiedź: Dlaczego miałbym odpowiadać na twoje pytania?

Pytanie: Ponieważ utrwale twoje słowa.

Odpowiedź: Aaach! To dobry argument dla historyka!

Pytanie: Będziesz więc współpracować?

Odpowiedź: Czemu nie? I tak nigdy nie zrozumiesz, co zainspirowało moją "Analizę historyczną". Wy, kapłani, macie zbyt wiele do stracenia, by...

Pytanie: Wypróbuj mnie.

Odpowiedź: Wypróbować ciebie? No dobrze... Czemu by nie? Zaintrygowała mnie powierzchowność obrazu tej planety w oczach mas, jaka zawdzięcza swej popularnej nazwie: Diuna. Proszę zauważyć: nie Arrakis, lecz Diuna. Historia cierpi na obsesję Diuny - pustyni, kolebki Fremenów. Koncentruje się na egzotycznych zwyczajach, wynikających z niedostatku wody, z półkoczowniczego życia Fremenów, którzy nie zrzucają z grzbietów filtrfraków, niemal całkowicie odzyskujących wilgoć wydalaną przez ciało.

Pytanie: Czy to wszystko nie jest prawdą?

Odpowiedź: To powierzchowne prawdy. Ignorowanie tego, co dzieje się pod tą warstewką jest równie absurdałne, jak próba zrozumienia mojej rodzimej planety, Ix, bez poznania rodowodu jej nazwy: że jest dziewiątą planetą naszego słońca. Nie, nie. Nie wystarczy postrzegać Diunę jako miejsce okrutnych samumów. Nie wystarczy mówić o grozie, jaką sieją gigantyczne czerwie pustyni.

Pytanie: Ależ to jest decydujące dla charakteru Arrakis!

Odpowiedź: Decydujące? Oczywiście, ale tworzy jednostronny obraz, podobnie jak przyczyna, dla której Diuna stała się monokulturą - bo jest jedynym i wyłącznym źródłem przyprawy, melanżu.

Pytanie: Tak. Pozwól nam usłyszeć twoje zdanie na temat świętej przyprawy.

Odpowiedź: Świętej! Jak wszystkie świętości, tak i przyprawa jedną ręką daje, a odbiera drugą. Przedłuża życie i pozwala postrzegać przyszłość, ale bezlitośnie uzależnia i piętnuje. Tak samo, jak naznaczyła ciebie: błękitne oczy bez śladu bieli. Twoje oczy, twój narząd wzroku stał się

jednością bez żadnych kontrastów, widzącą jednostronnie. Pytanie: Ta herezja zaprowadziła cię do tej celi!

Odpowiedź: Do tej celi przyprowadzili mnie twoi kapłani. Jak wszyscy kapłani szybko nauczyliście się nazywać prawdę herezją.

Pytanie: Jesteś tu, bo ośmieliłeś się twierdzić, że Paul Atryda utracił coś nieodzownego dla swego człowieczeństwa, zanim mógł stać się Muad'Dibem.

Odpowiedź: Nie tylko to. Stracił tu również ojca w wojnie z Harkonnenami. Tutaj też poniósł śmierć Duncan Idaho, który poświęcił siebie, żeby Paul i lady Jessika mogli umknąć.

Pytanie: Twój cynizm zostanie odpowiednio potraktowany.

Odpowiedź: Cynizm! To bez wątpienia jeszcze większy grzech niż herezja. Ale, widzisz, tak naprawdę nie jestem cynikiem. Jestem jedynie obserwatorem i komentatorem. Ujrzałem w Paulu prawdziwą godność, gdy uciekał w pustynię ze swoją brzemienną matką. Ma się rozumieć, ta kobieta była także czymś wartościowym, nie tylko ciężarem.

Pytanie: Cały problem z wami, historykami, to to, że tego, co dobre, nigdy nie zostawicie w spokoju. Widzisz prawdziwą godność w świętym Muad'Dibie, lecz musisz dodać swój cyniczny komentarz. Nic dziwnego, że Bene Gesserit również cię oskarżają.

Odpowiedź: Wy, kapłani, mądrze czynicie, porównując się z zakonem żeńskim Bene Gesserit. One też trwają dzięki temu, że działają w ukryciu. Ale nie mogą ukryć faktu, że lady Jessika była ich adeptką. Wiesz, że szkolila syna wedle ich metod. Moim przestępstwem było poruszenie tego fenomenu, ujawnienie ich sztuki manipulowania umysłem i ich programu genetycznego. Nie chcecie, by opinia publiczna zwróciła uwagę na fakt, że Muad'Dib miał być upragnionym, oswojonym mesjaszem zakonu żeńskiego, że był ich Kwisatz Haderach, zanim stał się waszym prorokiem.

Pytanie: Gdybym miał jeszcze wątpliwości, czy cię skazać, to teraz je rozwiąłeś.

Odpowiedź: Umiera się tylko raz.

Pytanie: Lecz różne są rodzaje śmierci.

Odpowiedź: Strzeżcie się, bo zrobicie ze mnie męczennika. Nie sądzę, by Muad'Dib... Powiedz, czy Muad'Dib wiedział, co robicie w tych lochach?

Pytanie: Nie zaprzatamy uwagi Świętej Rodziny błahostkami. Odpowiedź (ze śmiechem): I po to Paul Atryda walczył o miejsce wśród Fremenów! Po to nauczył się dosiadać i kierować czerwem! Błędem było odpowiadać na twoje pytania.

Pytanie: Obiecałem, że uwiecznię twoje słowa i dotrzymam obietnicy.

Odpowiedź: Doprawdy? Więc słuchaj mnie uważnie, fremeński degeneracie, kapłanie nie mający żadnego boga poza samym sobą! Spora odpowiedzialność na was ciąży. To fremeński

rytuał podsunął Paulowi pierwszą potężną dawkę przyprawy, umożliwiając mu widzenie przyszłości. To przez fremeński rytuał ta sama przyprawa obudziła nienarodzoną Alię w łonie lady Jessiki... Czy zastanowiłeś się kiedykolwiek, czym było dla niej przyjście na ten świat - w pełni świadomej, wyposażonej we wszystkie wspomnienia i całą wiedzę swojej matki? Żaden gwałt nie mógłby być bardziej przerażający.

Pytanie: Bez świętej przyprawy Muad'Dib nie stałby się wodzem wszystkich Fremenów. Bez tego uświęcającego poznania Alia nie byłaby Alią.

Odpowiedź: A ty, bez waszego ślepego, fremeńskiego okrucieństwa nie byłbyś kapłanem. Och, znam was, Fremen. Myślicie, że Muad'Dib jest jednym z was, bo związał się z Chani, bo przyjął wasze zwyczaje. Ale najpierw był Atrydą i był szkolony przez adeptkę Bene Gesserit. Posiadał umiejętności zupełnie wam nie znane. Myśleliście, że przyniósł wam nową organizację, nową misję. Obiecał przekształcić waszą pustynną planetę w tryskający wodą raj. Ale kiedy zawrócił wam w głowach tą wizją, jednocześnie odebrał wam dziewictwo!

Pytanie: Ta herezja nie zmienia faktu, że Ekologiczna Transformacja Diuny postępuje.

Odpowiedź: A ja jestem winien herezji śledzenia źródeł tej transformacji, zgłębiania jej skutków. Bitwa, która rozegrała się tam, na Równinie pod Arrakin nauczyła zapewne wszechświat tego, że Fremen są zdolni pokonać imperialnych sardaukarów. Ale kiedy gwiazdne imperium rodu Corrinów stało się fremeńskim imperium pod berłem Muad'Diba, czym więcej stało się Imperium? Wasza Dżihad trwała tylko dwanaście lat, ale jaką przyniosła naukę? Teraz Imperium rozumie, jaka błagą było małżeństwo Muad'Diba z księżniczką Irulaną! Pytanie: Ośmielasz się oskarżać Muad'Diba o nieszczerłość?

Odpowiedź: Możecie mnie za to zabić, ale to nie herezja Księżniczka została mu poślubiona, lecz nie jest jego żoną. Chani, jego mała fremeńska gołąbeczka - ona jest żoną. Wszyscy o tym wiedzą. Irulaną była kluczem do tronu, niczym więcej.

Pytanie: Łatwo dostrzec, dlaczego ci, którzy spiskują przeciwko niemu, używają twojej "Analizy historycznej" jako koronnego argumentu.

Odpowiedź: Nie przekonam cię, wiem o tym. Konspiratorzy dostali do ręki argument, zanim jeszcze ukazała się moja "Analiza". Zrodziła go dwunastoletnia Dżihad. To ona zjednoczyła dawne grupy nacisku, ona wznieciła spisek przeciw Muad'Dibowi.

Tak gęsty welon mitu spowija Paula Muad'Diba, Imperatora - mentata i jego siostrę Alię, te trudno jest dojrzeć ludzi z krwi i kości poza tą zasłoną. Ale przecież byli nimi: on - żywym mężczyzną Paulem Atrydą i ona - żywą kobietą Alią. Ich ciała podlegały wpływom przestrzeni i czasu. I nawet jeśli dar widzenia przyszłości pozwalał im przekraczać zwykłe limity czasoprzestrzenne, należeli do rodzaju ludzkiego. Doświadczali rzeczywistych zdarzeń pozostawiających ślady w rzeczywistym wszechświecie. By ich zrozumieć, trzeba dostrzec, że ich tragedia była tragedią ludzkości. To dzieło jest więc poświęcone nie Muad'Dibowi czy jego siostrze, ale ich spadkobiercom - nam wszystkim.

Dedykacja do Konkordatu Muad'Diba

spisana z Tabla Memorium

Kultu Ducha Mahdiego

Okres rządów imperialnych Muad'Diba spłodził więcej historyków niż jakakolwiek inna epoka w historii ludzkości. Większość z nich toczyła zawistne i sekciarskie spory, co również świadczy o szczególnym wpływie człowieka, który wywołał tyle uniesień na tak wielu różnych planetach.

Rzecz jasna, jego wizerunek składa się z pierwiastków historycznych, idealnych i wyidealizowanych. Ten człowiek, urodzony jako Paul Atrydą, pochodzący ze starożytnego wysokiego rodu, otrzymał gruntowne wykształcenie prana-bindu od swojej matki, Bene Gesserit - lady Jessiki. Dzięki temu mógł sprawować pełną kontrolę nad swymi mięśniami i nerwami. Posiadał jednak coś więcej: był mentatem, dysponował intelektem, którego zdolności przyćmiewały możliwości mechanicznych komputerów używanych przez starożytnych, zanim zakazała tego religia.

Ponad wszystko jednak Muad'Dib był Kwisatz Haderach, istotą, która była celem realizowanego przez tysiące pokoleń programu doboru genetycznego zakonu żeńskiego.

Był Kwisatz Haderach, "tym, który może być w wielu miejscach naraz", prorokiem, człowiekiem, poprzez którego Bene Gesserit spodziewały się kontrolować ludzkie przeznaczenie - i ten człowiek został Imperatorem Muad'Dibem, wymusiwszy polityczne małżeństwo z córką pokonanego przez siebie Padyszacha Imperatora.

Rozważcie ten paradoks: zaczętn klęski ukryty w chwili zwycięstwa. Z pewnością czytaliście inne opracowania i znacie powierzchowne fakty. Dzicy Fremeni Muad'Diba rzeczywiście zwyciężyli Padyszacha Szaddama IV. Zmiotli legiony sardaukarów, połączone siły wysokich rodów, armię Harkonnenów i wojska zaciężne opłacane z funduszy przyznanych przez

Landsraad. Atryda rzucił na kolana Gildię Planetarną i posadził swą siostrę Alię na tronie religijnym, który Bene Gesserit uważały dotąd za własny.

Dokonał tego wszystkiego i jeszcze więcej.

Misjonarze Muad'Diba, Kwizaraci, ponieśli w kosmos religijną wojnę, wielką Dżihad, której główny impet trwał dwanaście standardowych lat. To niewiele, ale w tym czasie religijny kolonializm zagarnął niemal cały ludzki wszechświat pod jednym berłem.

Dokonał tego, ponieważ władza nad Arrakis, planetą znaną bardziej jako Diuna, dawała monopol na najważniejszą monetę królestwa - przyprawę geriatryczną, melanż, truciznę dającą życie.

I oto następny składnik historii idealnej: materia, której psychotropowa chemia odkrywa Czas. Bez melanżu Wielebne Matki zakonu żeńskiego nie mogłyby dokonywać obserwacji i kontroli ludzi. Bez melanżu Nawigatorzy Gildii nie mogliby przemierzać przestrzeni kosmicznej. Bez melanżu miliardy miliardów obywateli Imperium zmarłyby z narkotycznego głodu.

Bez melanżu Paul Muad'Dib nie mógłby widzieć przyszłości.

Wiemy, że ów moment najwyższej potęgi niósł w sobie upadek. Wyjaśnienie może być tylko jedno: w pełni dokładne i całkowite przewidywanie przyszłości niesie śmierć.

Inne źródła twierdzą, że Muad'Dib został pokonany przez zwyczajny spisek Gildii, Bene Gesserit i amoralnych naukowców z Bene Tleilax, posługujących się niemożliwymi do rozpoznania Tancerzami Oblicza. Jeszcze inne wskazują na istnienie szpiegów w otoczeniu Muad'Diba. Podkreślają wpływ Tarota Diuny, zaćmiewającego jego prorocze wizje. Niektórzy podkreślają fakt, że Muad'Dib został zmuszony do przyjęcia służby gholi, ciała wskrzeszonego z martwych i przygotowanego, by go zniszczyć. Z całą pewnością wiedzą oni, że owym gholą był Duncan Idaho, oficer Atrydów, który zginął, ratując życie młodego Paula.

Opisywano również spisek w łonie Kwizaratu, któremu przewodził panegirysta Korba. Analizowano kolejne etapy planu Korby, zmierzającego do uczynienia z Muad'Diba męczennika i obciążenia winą Chani, jego fremeńskiej konkubiny.

Czy którekolwiek z tych twierdzeń może wyjaśnić fakty, jakie ujawniła historia? To niemożliwe. Tylko przez zabójczą naturę jasnowidzenia możemy tłumaczyć upadek tak wielkiej i dalekowzrocznej potęgi.

Żywię nadzieję, że inni historycy wyciągną wnioski z tego odkrycia.

"Muad'Dib: Analiza historyczna"

pióra Bronsa z Ix

Nie istnieje granica między bogami a ludźmi; niekiedy jedni przeistaczają się niepostrzeżenie w drugich.

"Przysłowia Muad'Diba"

Na myśl o morderczej intrydze, którą spodziewał się uknuć, Scytalus, tleilaxariski Tancerz Oblicza, odczuwał wyrzuty sumienia. "Będę żałował, że stałem się przyczyną cierpienia i śmierci Muad'Diba" - powtarzał sobie. Starannie ukrywał przed współspiskowcami tę delikatność uczuć. Wskazywała ona jednak wyraźnie, że łatwiej identyfikował się z ofiarą niż z katem, co zresztą było charakterystyczne dla Tleilaxan.

Scytalus stał w pewnym oddaleniu od innych, milczący i zamyślony. Od pewnego już czasu spierano się o przydatność trucizny psychotycznej. Spór był ożywiony i gwałtowny, lecz prowadzony w sposób kulturalny, co obowiązywało wychowanków Wielkich Szkół, omawiających sprawy bliskie ich dogmatów.

- Już myślisz, że go przyszpiliłeś, a właśnie wtedy odkrywasz, że jest nietknięty!

To rzekła stara Matka Wielebna Bene Gesserit, Gaius Helena Mohiam, goszcząca ich tutaj, na Waliach IX: sztywna postać w czarnym habicie, stara wiedźma, unosząca się w krześle grawitacyjnym na lewo od Scytalusa. Odrzucony na plecy kaptur aby odsłaniał pomarszczoną twarz w wieńcu siwych włosów, wpadnięte oczy patrzyły z twarzy podobnej do obciągniętej skórą czaszki.

Posługiwali się językiem Mirabhasa - pełnym ostro punktowanych spółgłosek i sąsiadujących samogłosek - doskonałym do przekazywania najbardziej wyrafinowanych, emocjonalnych subtelności. Edric, Nawigator Gildii, zareplikował właśnie słownym reweransem, pięknym sztychem pogardliwej uprzejmości.

Scytalus spojrzał na wysłannika Gildii. Edric unosił się o kilka kroków od niego w kapsule wypełnionej pomarańczowym gazem. Pojemnik umieszczono wewnątrz przezroczystej kopuły, zbudowanej przez Bene Gesserit specjalnie na to spotkanie. Gildianin był wydłużonym, zaledwie w przybliżeniu humanoidalnym stworzeniem o płetwopodobnych stopach i dużych, wachlarzowatych, błoniastych dłoniach. Ryba w dziwnym morzu. Z wentyli zbiornika unosił się bladopomarańczowy obłok, rozsiewający zapach geriatrycznej przyprawy - melanżu.

- Jeśli dalej będziemy iść tą drogą, pozdychamy z głupoty!

To była czwarta z obecnych osób - potencjalny członek spisku, księżna Irulana, żona /"Choć tylko z nazwy" - przypomniawszy sobie Scytalus/ ich wspólnego wroga. Stała u naroża kapsuły, wysoka, jasnowłosa piękność w sukni ze skóry wala błękitnego i dobranym kapeluszu. W jej

uszech błyszczały złote kolczyki. Nosiła się z arystokratyczną wyniosłością, ale coś w napiętej gładkości jej rysów zdradzało działanie hamulców wpojonych przez Bene Gesserit

Scytalus zaprzestał analizowania niuansów języka i otaczających go twarzy i rozejrzał się dokładnie wokół. Kopuła tkwiła wśród wzgórz zbrukanych topniejącym śniegiem, w którym odbijał się mokry błękit małego, błękitnobiałego słońca, stojącego w zenicie.

"Dlaczego właśnie to miejsce?" - zastanawiał się. Bene Gesserit rzadko pozostawiały coś przypadkowi. Weźmy otwartą konstrukcję kopuły: bardziej konwencjonalny, zabudowany gmach mógłby wprawić Gildianina w klaustrofobiczny lęk. Jego psyche nękały zahamowania wynikające z faktu narodzin i życia w otwartym kosmosie, z dala od jakiegokolwiek planety. Ale zbudować to wszystko specjalnie dla Edrica - cóż za finezyjny sposób wytknięcia mu jego słabości! "Co tutaj - dumiał Scytalus - zostało przygotowane dla mnie?"

- A ty nie masz nic do powiedzenia, Scytalusie? - zagadnęła go Matka Wielebna.

- Chcesz mnie wciągnąć w tę błazeńską potyczkę? - spytał Scytalus. - Dobrze więc. Mamy do czynienia z potencjalnym mesjaszem.

Na kogoś takiego nie przypuszcza się frontalnego ataku. Jego męczeństwo byłoby naszą klęską.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

- Uważasz, że to jedyne niebezpieczeństwo? - spytała Matka Wielebna świszczącym głosem.

Scytalus wzruszył ramionami.

Na to spotkanie wybrał sobie dobrotliwe, okrągłe oblicze, wesołe rysy z ckliwymi, pełnymi ustami oraz opasłe ciało tępaka Teraz, gdy przyglądał się współkonspiratorom, wiedział, że - być może instynktownie - dokonał idealnego wyboru. Jako jedyny z obecnych zdolny był manipulować wyglądem zewnętrznym, dowolnie zmieniając twarz i sylwetkę. Był Tancerzem Oblicza - ludzkim kameleonem, a jego aktualna postać prowokowała innych do lekceważenia go.

- No więc? - naciskała Matka Wielebna.

- Napawałem się ciszą - rzekł Scytalus. - Lepiej, by nasze wzajemne animozje pozostały nie wypowiedziane.

Matka Wielebna cofnęła się i Scytalus pojął, że starucha zmienia swoją opinię o nim. Wszyscy tutaj byli produktem morderczego szkolenia prana - bindu, które dawało dostępną tylko dla niewielu ludzi kontrolę mięśni i nerwów. Ale organizm Tancerza Oblicza wyposażony był w łączy mięśniowe i nerwowe, o których inni nie mogli nawet marzyć, a co więcej - w sympatico, mimetyczny dar, pozwalający mu przybierać nie tylko cudzy wygląd, lecz i cudzą psychikę.

Scytalus dał Matce Wielebnej czas na dokonanie przewartościowali i rzekł:

- Trucizna! - atonalne brzmienie słowa miało sygnalizować, że tylko on rozumie jego utajone znaczenie.

Gildianin wzdrygnął się.

- Mówimy o psychotycznej truciźnie, nie fizycznej - rozległo się z głośnika, krążącego wokół naroża zbiornika, tuż nad głową Irulany.

Scytalus roześmiał się. Śmiech w Mirabhasa miażdżył przeciwnika, nie pozostawiając mu żadnego atutu.

Irulana uśmiechnęła się z uznaniem, ale w kącikach oczu Wielebnej Matki czał się ślad gniewu.

- Przestań! - wychrypiała Mohiam.

Scytalus zamilkł, ale już zdążył przykuć ich uwagę: milczącego Edrica, gniewnej i czujnej Matki Wielebnej oraz Irulany - ubawionej, lecz nieco zmieszanej.

- Nasz przyjaciel Edric sugeruje - podjął - że dwie czarownice Bene Gesserit, szkolone tajemnymi metodami, nie nauczyły się robić rzeczywistego użytku z oszustwa

Mohiam odwróciła się, by spojrzeć na zimne wzgórza świata Bene Gesserit. "Zaczyna wreszcie doceniać sytuację - zorientował się Scytalus. - To dobrze. Ale z Irulana to całkiem inna sprawa"

- Jesteś, czy nie jesteś jednym z nas, Scytalusie? - zapytał wprost Edric, wytrzeszczając swe małe, szczurze oczka

- Nie o mojej lojalności tu dyskutujemy - odparł Scytalus. Skoncentrował uwagę na Irulanie. - Zastanawiasz się, księżno, czy słusznie przebyłaś tyle parseków, podejmując takie ryzyko?

Skinęła głową potwierdzająco.

- Czy podróżowałaś po to, aby żonglować frazesami z człękoksztalną rybą albo dyskutować z tłustym tleilaxańskim Tancerzem Oblicza? - drażył Scytalus.

Odsunęła się od zbiornika i potrząsnęła głową, zirytowana silnym odorem melanzu. Edric wykorzystał tę chwilę, by wrzucić sobie do ust pastylkę. Scytalus zauważył, że Gildianin zjadał przyprawę, wdychał ją i bez wątpienia również ją pił. Było to zrozumiałe, skoro przyprawa wzmagala zmysł jasno widzenia Nawigatora, umożliwiając prowadzenie galeonu Gildii bezdrożami kosmosu z ponadświatlnymi prędkościami. Wyostrzona przez melanz świadomość pozwalała mu znaleźć taką linię przyszłości statku, która pozbawiona była niebezpieczeństw. Edric wietrzył teraz inny rodzaj zagrożenia lecz nawet wykorzystując jasnovidzenie, mógł go nie rozpoznać.

- Myślę, że popełniłam błąd, przybywając tutaj - stwierdziła Irulana

Wielebna Matka odwróciła się, otworzyła oczy i zamknęła je natychmiast w sposób przypominający zachowanie gada.

Scytalus przeniósł spojrzenie z Irulany na zbiornik, jakby zapraszając księżną do pójścia za jego wzrokiem. Wiedział, że dla niej Edric wygląda odpychająco: wylupiające ślepia, potworne ręce i stopy, poruszające się wolno pośród otaczających go matowopomarańczowych wirów. Z pewnością zastanawiała się nad jego zwyczajami seksualnymi, myśląc, jak niesamowite musi być zbliżenie z czymś takim. Tych dwoje dzielił nawet generator pola antygrawitacyjnego, stwarzający Edricowi nieważkość kosmosu.

- Księżno - odezwał się Scytalus - obecności Edrica tutaj zawdzięczamy, że prorocza wizja twojego męża nie zdoła natknąć się na pewne wydarzenia, nie wyłączając tego... przypuszczalnie.

- Przypuszczalnie - powiedziała Irulana.

Matka Wielebna pokiwała głową, nie otwierając oczu.

- Fenomen jasnowidzenia jest tylko w części rozumiany, nawet przez tych, którzy go dostąpili - powiedziała.

- Jestem pełnoprawnym Nawigatorem Gildii i władam Mocą - zauważył Edric.

Matka Wielebna znów otworzyła oczy. Tym razem przyglądała się Tancerzowi Oblicza, mierząc go wzrokiem z tą szczególną intensywnością Bene Gesserit. Ważyła najdrobniejsze szczegóły.

- Nie, Wielebna Matko - zamruczał Scytalus - nie jestem takim prostaczkim, jakim się wydaję.

- Nie rozumiemy Mocy jasnowidzenia - rzekła Irulana. - O to właśnie chodzi. Edric mówi, że mój mąż nie jest w stanie zobaczyć, dowiedzieć się, bądź przewidzieć, co dzieje się wewnątrz sfery oddziaływania Nawigatora. Ale jak daleko rozciąga się ta sfera?

- W naszym Wszechświecie istnieją ludzie i rzeczy, które znam tylko ze skutków ich działania. - Edric zacisnął rybie usta w cienką Unię. - Wiem, że były tu, tam... gdzieś. Jak wodne stworzenie płynąc roztrąca prądy, tak samo jasnowidzenie roztrąca Czas. Widziałem miejsca, w których był twój mąż. Nigdy nie widziałem jego samego ani też oddanych mu ludzi, którzy dążyli do wyznaczonych przez niego celów. To jest osłona, jaką jasnowidz ofiarowuje tym, którzy są z nim.

- Irulana nie jest z tobą - rzucił Scytalus, zerkając kątem oka na księżną.

- Wiemy wszyscy, dlaczego konspiracyjne zebrania mogą odbywać się tylko w mojej obecności - powiedział Edric.

- Najwyraźniej masz swoje zastosowania - stwierdziła Irulana, jak gdyby mówiła o maszynie.

Teraz widzi w nim to, czym jest w istocie - pomyślał Scytalus. - Nieźle!"

- Przyszłość jest rzeczą, którą można kształtować - powiedział głośno. - Rozważ tę myśl, księżno.

Irulana spojrzała na niego.

- Ludzie, którzy dążą do obranych przez Paula celów - powtórzyła. - A więc z pewnością pod tym płaszczem kryją się niektórzy z jego fremeńskich legionistów. Widziałam, jak przepowiadał im przyszłość, słyszałam wykrzykiwane pochlebstwa dla ich Mahdiego, ich Muad'Diba.

"Zorientowała się - pomyślał Scytalus - że jest tu na przesłuchaniu, że zostanie wydany wyrok, który ją zachowa lub zniszczy. Widzi pułapkę, jaką na nią zastawiliśmy."

Jego wzrok napotkał spojrzenie Matki Wielebnej. Odniosł dziwne wrażenie, że myślą o tym samym. Oczywiście Bene Gesserit pouczyły swoją księżną, dostarczyły jej zręcznych kłamstewek. Ale zawsze nadchodził ten moment, w którym Bene Gesserit musiała zaufać raczej własnemu instynktowi i wychowaniu.

- Księżno, wiem, czego najbardziej pragniesz od Imperatora - odezwał się Edric.

- Któż to może wiedzieć? - rzuciła Irulana

- Pragniesz być matką, założycielką królewskiej dynastii - ciągnął Edric, jak gdyby jej nie słyszał. - Jeśli nie przyłączysz się do nas, nie stanie się to nigdy. Daję ci na to słowo jasnowidza. Imperator poślubił cię ze względów politycznych, ale nigdy nie będziesz dzielić z nim łoża.

- Zatem jasnowidzenie jest również podglądactwem - zakpiła Irulana.

- Silniejszy ślub wiąże Imperatora z jego fremeńską konkubiną niż z tobą! - warknął Edric.

- Ale jednak ona nie daje mu następcy - powiedziała Irulana.

- Rozsądek jest pierwszą ofiarą silnych emocji - wtrącił cicho Scytalus, czując, jak gniew zaczyna ponosić księżną. Stwierdził, że jego uwaga odniosła skutek.

- Nie daje mu następcy - Irulana odmierzała słowa z wymuszonym spokojem - ponieważ bez jej wiedzy karmię ją środkiem antykoncepcyjnym. Czy to wyznanie chcieliście ode mnie usłyszeć?

- Nie jest to rzecz, którą Imperator powinien odkryć - powiedział Edric uśmiechając się.

- Mam dla niego gotowe kłamstwa - powiedziała Irulana. - Może mieć zmysł prawdopoznania, ale istnieją kłamstwa o wiele bardziej wiarygodne niż najprawdziwsza prawda.

- Musisz dokonać wyboru, księżno - rzekł Scytalus - ale musisz również zrozumieć, co jest dla ciebie tarczą.

- Paul postępuje ze mną uczciwie - powiedziała. - Zasiadam w jego Radzie.

- W ciągu tych dwunastu lat, odkąd jesteś jego Królewską Małżonką - indagował Edric - czy okazał ci chociaż cień uczucia?

Irulana potrząsnęła głową.

- Z pomocą tej nikczemnej fremieńskiej hordy zrzucił z tronu twojego ojca, poślubił cię, aby utwierdzić swoje własne pretensje, a jednak nigdy nie koronował cię na władczynię...

- Edric próbuje grać na twych emocjach, księżno - zauważył Scytalus. - Czy to nie ciekawe?

Irulana spojrzała na niego i uniesieniem brwi odpowiedziała na beczelny śmiech Tancerza Oblicza. Scytalus zauważył, że była teraz w pełni świadoma, że jeśli pozwoli, by Gildianin grał pierwsze skrzypce podczas tego spotkania, to jego przebieg, ich intryga, będą mogły pozostać ukryte przed proroczą wizją Paula. Gdyby jednak wycofała swój akces...

- Czy nie wydaje ci się, księżno - zapytał Scytalus - że Edric otrzymał niezasłużone fory w naszej konspiracji?

- Zgodziłem się już - powiedział Edric - że podporządkuję się najrozsądniejszej propozycji przedłożonej na tej naradzie.

- A kto wybierze najrozsądniejszą propozycję? - zainteresował się Scytalus.

- Chciałbyś, żeby księżna opuściła to miejsce, nie przyłączając się do nas? - spytał Gildianin.

- On chciałby, żeby jej zaangażowanie było prawdziwe! - rzuciła ostro Matka Wielebna. - Nie powinniśmy się wzajemnie zwodzić.

Scytalus obserwował Irulanę, która rozluźniła się, przyjmując postawę medytacyjną, z dłońmi ukrytymi w rękawach szaty. "Z pewnością zastanawia się nad przynętą zarzuconą przez Edrica - myślał. - Założyć królewską dynastię! Próbuje odgadnąć, jakie środki przedsięwzięli spiskowcy, by im nie mogła zagrozić. Zapewne rozważa wiele różnych spraw."

- Scytalusie - Irulana zwróciła się do niego - mówi się, że wy, Tlei - laxanie, macie szczególny kodeks honorowy: wasze ofiary muszą mieć zawsze możliwość ucieczki.

- Jeżeli tylko potrafią ją znaleźć - zgodził się Scytalus.

- Czy ja jestem ofiarą? - zapytała wprost

Tancerz Oblicza wybuchnął śmiechem. Wielebna Matka prychnęła.

- Księżno - w głosie Edrica brzmiała łagodna perswazja - możesz się nie obawiać, już jesteś jedną z nas. Czyż nie szpiegujesz Dworu Imperialnego dla swoich zwierzchniczek z Bene Gesserit?

- Paul wie, że składam raporty moim nauczycielkom - odparła.

- I czy nie dostarczasz im materiałów do prowadzenia nasilonej propagandy przeciwko waszemu Imperatorowi? - nie rezygnował Edric.

"Nie: naszemu Imperatorowi - odnotował w duchu Scytalus - lecz: waszemu Imperatorowi. Irulana za bardzo jest Bene Gesserit, by przeoczyć ten lapsus."

- Pytanie dotyczy wyłącznie sił i schematu ich użycia - powiedział głośno, przysuwając się do zbiornika - My, Tleilaxanie, wierzymy, że

w całym wszechświecie istnieje tylko niezaspokajalny głód materii, za to energia jest jedyną rzeczą decydującą. Energia gromadzi wiedzę. Słuchaj mnie uważnie, księżno: energia gromadzi wiedzę. To nazywamy potęgą.

- Nie przekonaliście mnie, że możemy pokonać Imperatora - rzekła Irulana.

- Nie przekonaliśmy jeszcze nawet siebie samych - odparł Scyta - lus.

- Gdziekolwiek się zwrócimy - mówiła Irulana - natrafiamy na jego siłę. On jest Kwisatz Haderach, ten, który może być w wielu miejscach naraz. Jest Mahdim, którego najbliższy kaprys jest nieodwołalnym rozkazem dla jego kwizarackich misjonarzy. Jest mentatem, którego kalkulacyjne zdolności umysłu przewyższają największe antyczne komputery. Jest Muad'Dibem, na którego słowo fremieńskie legiony pustoszą planety. Doświadcza proroczych wizji, odsłaniających przed nim przyszłość. Ma ten zapis genetyczny, jakiego my, Be - ne Gesserit, pożądamy dla...

- Znamy jego możliwości - przerwała Matka Wielebna. - Wiemy też, że ten sam zapis genetyczny jest własnością Paskudztwa, jego siostry Alii. Ale oboje są także istotami ludzkimi. I jako tacy nie są wolni od słabości.

- A gdzie są owe ludzkie słabości? - zapytał Tancerz Oblicza. - Czy mamy ich szukać w religijnym aspekcie jego Dżihad? Czy Kwizarzy Imperatora mogą zostać zwrócenii przeciwko niemu? Co z władzą cywilną wysokich rodów? Czy Landsraad stać na cokolwiek więcej poza tym słownym rwetesem, który podnosi?

- Proponowałbym Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercanti - les - powiedział Edric, przekręcając się w zbiorniku. - KHOAM to interes, a interes jest tam, gdzie zyski.

- Lub może matkę Imperatora - poddał Scytalus. - Rozumiem, że lady Jessika pozostaje na Kaladanie, ale regularnie kontaktuje się z synem.

- To fałszywa suka - powiedziała Mohiam głosem nie zdradzającym emocji. - Dałabym sobie obciąć ręce, które pomagały ją wyszkolić.

- Nasz spisek wymaga oparcia - oświadczył Scytalus.

- Jesteśmy kimś więcej niż spiskowcami - sprzeciwiła się Matka Wielebna.

- O, tak - zgodził się Scytalus. - Jesteśmy energiczni i szybko się uczymy. To czyni z nas jedyną nadzieję na zbawienie ludzkości.

Mówił tonem wyrażającym absolutne przekonanie, co w języku Mirabhasa mogło być odczytane jako najwyższe szyderstwo, jeśli - tak jak teraz - zostało wypowiedziane przez Tleilaxanina. Tylko Wielebna Matka zdawała się pojmować tę subtelność.

- Dlaczego? - pytanie skierowane było do Scytalusa.

Nim Tancerz Oblicza zdołał odpowiedzieć, wmieszał się Edric:

- Nie przerzucajmy się filozoficznymi nonsensami - rzekł odchrząknawszy. - Wszystkie pytania można sprowadzić do jednego: "Dlaczego jest cokolwiek?" Każda kwestia religijna, gospodarcza czy polityczna niesie tylko jedno pytanie: "Kto zdobędzie władzę?" Alianse, konsorcja, kompleksy - wszystkie gonią za mirażami, jeśli nie walczą o władzę. Wszystko inne jest nonsensem, co większość istot myślących zaczyna sobie uświadamiać.

Scytalus wzruszył ramionami, patrząc na Matkę Wielebną. Edric wyręczył go w odpowiedzi. Ten napuszony głupiec był ich najsłabszym punktem.

- Słuchając pilnie nauczyciela, zdobywa się wiedzę - oznajmił, chcąc się upewnić, że Matka Wielebna go zrozumiała.

Mohiam wolno pokiwała głową.

- Księżno - mówił Edric - dokonaj wyboru. Zostałaś obrana narzędziem przeznaczenia, najdoskonalszym...

- Zachowaj komplementy dla tych, które będą się z nich cieszyć - ucięła Irulana. - Wspomniałeś poprzednio o duchu, widmie, z pomocą którego, być może poniżymy Imperatora. Wyjaśnij to.

- Atryda pokona samego siebie! - wydusił z siebie Edric.

- Przestań mówić zagadkami - wypaliła Irulana - Co to za duch?

- To bardzo niezwykły duch - rzekł Edric. - Posiada ciało i imię. Postać jego jest ciałem sławnego mistrza miecza, znanego jako Duncan Idaho. Imię...

- Idaho nie żyje - przerwała Irulana. - Nieraz byłam świadkiem, jak Paul bolał nad jego stratą. Sardaukar mojego ojca zabił Idaho na jego oczach.

- Nawet w obliczu klęski - rzekł Edric - sardaukar twojego ojca nie stracił głowy. Złożmy, że mądry oficer sardaukarów rozpoznał mistrza miecza w ciele rozsiekanym przez swoich ludzi. Co wtedy? Istnieją sposoby spożytkowania takiego ciała i takiego wyszkolenia... jeżeli działa się szybko.

- Tleilaxański ghola... - wyszeptała Irulana, zerkając na Scytalusa.

Widząc jej zaciekawienie, Tancerz Oblicza wykorzystał swoje możliwości. Jego postać rozmyła się, ciało, organizując się ponownie, płynnie przybrało nowy kształt. Po chwili stał przed nimi szczupły mężczyzna, którego twarz pozostała zaokrąglona, ale była teraz ciemniejsza, o lekko spłaszczonych rysach i wydatnych kościach policzkowych. Oczy osadzone były w wyraźnych, skośnych fałdach. Oblicze Scytalusa okalały ciemne i kręcone włosy.

- Ghola o tej powierzchowności - powiedział Edric.

- Czy po prostu kolejny Tancerz Oblicza? - spytała Irulana

- Żaden Tancerz Oblicza - odparł Edric. - Tancerz ryzykowałby wykrycie przy dłuższej obserwacji. Nie. Załóżmy, że nasz mądry oficer nakazał przechować ciało Idaho w aksolotlowym zbiorniku. Czemu nie? Zwłoki zawierały wszak tkanki i nerwy jednego z najświetniejszych szermierzy w historii, doradcy Atrydów, militarnego geniusza. Cóż za marnotrawstwem byłoby utracić całą tę maestrię i talent, kiedy mógł on zostać ożywiony jako instruktor sardaukarów.

- Nie dotarły do mnie nawet pogłoski o tym, a przecież byłam powiernicą ojca - powiedziała Irulana.

- Aach, przecież twój ojciec był człowiekiem pokonanym, a ty w przeciągu paru godzin zostałeś sprzedana nowemu Imperatorowi.

- Czy tak zrobiono? - spytała.

- Załóżmy - ciągnął zadowolony z siebie Edric - że nasz mądry sardaukar, znając potrzebę pośpiechu, natychmiast przekazał zakonserwowane ciało w ręce Bene Tleilax. Załóżmy dalej, że on i jego ludzie polegli, nim zdołali powierzyć tę informację twojemu ojcu, dla którego zresztą i tak nie miała ona wielkiej wartości. Pozostałby zatem fizyczny fakt, ciało, które zostało przekazane Tleilaxanom. Jedyne pojazdy, jakim mogło zostać przetransportowane, to galeon. Naturalnie my, Gildia, znamy każdy przewożony przez nas ładunek. Dowiadując się o tej przesyłce, czy nie uznalibyśmy za rozsądne zakupić gholę jako dar stosowny dla Imperatora?

- A zatem zrobiliście to - powiedziała Irulana.

- Jak przedstawił to nasz gadatliwy przyjaciel, stało się tak - przyznał Scytalus, który zdążył już odzyskać pierwotną, puciołowatą aparycję.

- Jak uwarunkowany został Idaho? - spytała Irulana.

- Idaho? - zdziwił się Edric, spoglądając na Tleilaxanina. - Słyszałeś o jakimś Idaho, Scytalusie?

- Sprzedaliśmy wam istotę zwaną Hayt - stwierdził Scytalus.

- Aach, Hayt - przytaknął Edric. - Dlaczego go nam sprzedaliście?

- Ponieważ kiedyś sami wyhodowaliśmy własnego Kwisatz Haderach - powiedział Scytalus.

Matka Wielebna spojrzała na niego, błyskawicznie poderwawszy siwą głowę.

- Nie powiedzieliście nam o tym! - rzuciła oskarżycielsko.

- Nie pytałyście - odparł Scytalus.

- Jak zapanowaliście nad waszym Kwisatz Haderach? - zainteresowała się Irulana.

- Istota, która przez całe życie tworzyła pewne określone wyobrażenie swojej osoby, zginie raczej, niż stanie się antytezą tego wyobrażenia - rzekł Scytalus.

- Nie rozumiem - odważył się przyznać Edric.

- Zabił się - warknęła Matka Wielebna.

- Słuchaj mnie dobrze. Matko Wielebna - ostrzegł Scytalus używszy modulacji informującej: - Nie jesteś obiektem seksualnym, nigdy nie byłeś obiektem seksualnym, nie możesz być obiektem seksualnym.

Odczekał, aż dotrze do niej rażąca emfaza tych słów. Musi właściwie zrozumieć jego intencje. Poprzez gniew musi dojść do jej świadomości, że Tleilaxanin z pewnością nie wygłosiłby tego zarzutu, nie znając wymogów hodowlanych zakonu żeńskiego. Znaczenie jego słów kryło się pod rynsztokową zniewagą, całkiem obcą stylowi Tleilaxan.

- Powiedziałeś, że sprzedaliście Hayta, bo podzielacie naszą chęć wykorzystania go tak, jak to zamierzamy zrobić - pośpiesznie, posługując się trybem kojącym Mirabhasa, Edric usiłował zatuszować nietakt.

- Edric, będziesz milczał, dopóki nie udzielę ci głosu - uciął Scytalus.

Gildianin zaczął protestować, lecz Matka Wielebna osadziła go oschle:

- Edric, zamknij się!

Edric cofnął się w głąb zbiornika, posapując ze wzburzenia.

- Przelotne osobiste emocje nie mają związku z rozwiązaniem naszego wspólnego problemu - powiedział Scytalus. - Mącą tok rozumowania, ponieważ jedyną istotną emocją jest podświadomy strach, który sprowadził nas na to zebranie.

- Rozumiemy - potwierdziła Irulana, zerkając na Matkę Wielebną.

- Musicie pojąć niebezpieczne ograniczenia naszej tarczy - podkreślił Scytalus. - Jasnowidzący nie może porywać się na to, czego nie potrafi zrozumieć.

- Jesteś przebiegły, Scytalusie - powiedziała Irulana.

"Nie wolno jej odgadnąć, jak bardzo przebiegły - myślał Scytalus. - Kiedy to się uda, zyskamy Kwisatz Haderach, nad którym będziemy panować. Tamci nie będą mieli nic."

- Jakie było pochodzenie waszego Kwisatz Haderach? - zagadnęła Wielebna Matka.

- Bawiliśmy się rozmaitymi czystymi esencjami - odpowiedział Scytalus. - Czystym dobrem i czystym złem. Stuprocentowy łajdak, rozkoszujący się jedynie zadawaniem bólu i sianiem terroru, może być całkiem dobrym przykładem.

- Czyżby stary baron Harkonnen, dziadek naszego Imperatora, był wytworem Tleilaxan? - spytała Irulana.

- Nie, nie naszym - odparł Scytalus - ale natura często rodzi stworzenia równie mordercze jak nasze. My hodujemy je tylko w warunkach, w których możemy je badać.

- Nie pozwolę odsuwać się na bok i traktować w ten sposób! - zaprotestował Edric. - Kto osłania to spotkanie przed...

- Widzicie? - zapytał Scytalus. - Kto domaga się największego uznania?

- Chciałbym przedyskutować nasz plan przekazania Hayta Imperatorowi - nalegał Edric. - Jest on ucieleśnieniem dawnej moralności, jakiej Atrydzi hołdowali na swej rodzinnej planecie. Będzie się od niego oczekiwać, że ułatwi Imperatorowi umocnienie jego natury, ułatwi zorientowanie się w pozytywnych i negatywnych stronach życia i religii.

Scytalus uśmiechnął się, wodząc pobłażliwym spojrzeniem po obecnych. Byli tacy, jakich kazano mu się spodziewać. Stara Matka Wielebna, dzierżąca swe emocje jak kosę. Irulana - niedoskonały twór Bene Gesserit, świetnie wyszkolona do zadania, którego nie zdołała wykonać. Edric, będący niczym więcej /i niczym mniej/Jak ręką czarodzieja - mogący ukrywać lub rozpraszać. W tej chwili zlekceważony przez wszystkich Gildianin zapadł w ponure milczenie.

- Czy dobrze rozumiem, że ten Hayt ma zatruć psychikę Paula? - zapytała Irulana.

- Mniej więcej - powiedział Scytalus.

- A co z Kwizaratem?

- Kwizarat wymaga tylko lekkiego nacisku, rozbudzenia emocji, by zazdrość zmieniła się we wrogość.

- AKHOAM?

- Będą gonić za zyskiem.

- A inne grupy nacisku?

- Można posłużyć się mianem rządu - stwierdził Scytalus. - Mniej potężnych pozyskamy w imię moralności i postępu. Opozycja wyginie w plątaninie własnych układów.

- Alia także?

- Hayt jest wielofunkcyjnym gholą - powiedział Tleilaxanin. - Siostra Imperatora jest w wieku, w którym może stracić głowę dla czarującego samca, specjalnie w tym celu stworzonego. Będzie ją pociągać zarówno jego męskość jak i zdolności mentata.

Mohiam pozwoliła starym oczom rozszerzyć się ze zdziwienia.

- Ghola jest mentatem? To ryzykowne posunięcie.

- Żeby być dokładnym - zaznaczyła Irulana - mentat musi mieć dokładne dane. A jeśli Paul każe mu określić cel stojący za naszym darem?

- Hayt powie prawdę - rzekł Scytalus. - Ale to niczego nie zmienia.

- Więc zostawiacie Paulowi otwartą furtkę - zauważyła Irulana.

- Mentat! - mruknęła Mohiam.

Tancerz Oblicza rzucił okiem na starą Matkę Wielebną, dostrzegając odwieczną nienawiść, barwiącą jej reakcje. Od czasów Dżihad Butlerjanskiej - gdy wymieciono "myślące maszyny" z całego niemal wszechświata - komputery budziły nieufność. Tamte emocje kładły się cieniem również na ludzkie komputery.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki się uśmiechasz - odezwała się Mohiam tonem przepełnionym absolutną pewnością siebie, podnosząc na niego wzrok.

- Mało zważam na to, co ci się podoba - odparł Scytalus, używając tej samej modulacji - ale musimy pracować razem. Wszyscy to rozumiemy. - Zerknął na Gildianłna. - Czyż nie, Edric?

- Udzielasz bolesnych lekcji - powiedział Edric. - Sądzę, że chciałeś dać mi jasno do zrozumienia, że nie powinienem występować przeciwko połączonej opinii współkonspiratorów.

- A widzicie, jednak można go czegoś nauczyć! - zaśmiał się Scytalus.

- Rozumiem też coś innego - mruknął ponuro Edric. - Atrydzi mają monopol na przyprawę. Bez przyprawy nie będę mógł zaglądać w przyszłość. Bene Gesserit utracą zmysł prawdopoznania. Mamy zapasy, ale ograniczone. Melanz to potężna waluta.

- Nasza cywilizacja ma więcej niż jedną walutę - rzekł Scytalus. - Dlatego prawo popytu i podaży upada.

- Zamierzacie wykraść tajemnicę melanzu! - syknęła Mohiam. - I to z planety strzeżonej przez jego szalonych Fremenów!

- Fremenі są uprzejmi, zarówno ci wykształceni, jak prości - powiedział Scytalus. - Nie są szaleni. Nauczono ich wierzyć, a nie wiedzieć. Wiarą można manipulować. Tylko wiedza jest niebezpieczna

- Ale czy zostanie mi coś, abym mogła założyć królewską dynastię? - spytała Irulana.

Wszyscy usłyszeli żarliwość w jej głosie, lecz tylko Edric się uśmiechnął.

- Coś - powtórzył Scytalus. - Coś.

- To oznacza koniec Atrydów jako siły panującej - stwierdził Edric.

- Podejrzewam, że inni, mniej utalentowani prorocy już to przewidzieli - powiedział Scytalus. - Dla nich mektub al mellach, jak mówią Fremenі.

- Rzecz była napisana solą - przetłumaczyła Irulana.

Słuchając jej, Scytalus wreszcie odkrył, co Bene Gesserit przygotowały dla niego - piękną i inteligentną kobietę, której nigdy nie mógłby mieć.

"No cóż - pomyślał. - Może ją dla kogoś skopiuję."

Każda cywilizacja ściera się z bezwiedną siłą zdolną zablokować, sprowadzić na manowce lub wręcz wymazać jakiegokolwiek świadome dążenie społeczności

Teoremat Tleilaxan (niedowiedziony)

Paul przysiadł na skraju łóżka i zaczął ściągać pustynne buty. Śmierdziały zjełczałym smarem ułatwiającym działanie napędzanych piętami pomp filtrfraka. Było późno. Przedłużył dziś swoją nocną przechadzkę, przysparzając zmartwienia tym, którzy go kochali. Przez zamiłowanie do spacerów narażał swe życie, ale lubił ten rodzaj niebezpieczeństwa, potrafił błyskawicznie rozpoznać i stawić mu czoła. Było coś kuszącego i podniecającego we włóczeniu się incognito po nocnych ulicach Arrakin.

Kopnął buty w oświetlony kulą świętojańską kąt pokoju i szarpnął szczelne zamki filtrfraka. Bogowie głębin, jakież był zmęczony! Znużenie dotyczyło jednak wyłącznie mięśni - w jego głowie wrzało. Przyglądanie się zwykłej, codziennej krzątaniu napełniło go niewypowiedzianą zazdrością. Całe to bezimienne życie kipiące wokół murów jego Cytadeli nie mogło stać się udziałem Imperatora, a jednak... cóż za przywilej - móc chodzić ludnymi ulicami, nie zwracając na siebie uwagi! Mijać hałaśliwe grupki zebranych pielgrzymów, słyszeć, jak Fremen pomstuje na handlarza krzycząc: "Masz mokre ręce!"

Paul uśmiechnął się na to wspomnienie i rzucił z siebie filtrfrak.

Stał nagi, przedziwnie dostrojony do swojego świata. Diuna była teraz światem paradoksu - obleżonym, a jednak skupiającym wszelką władzę. Obleżenie, zdecydował, było nieuchronnym losem potęgi. Spojrzał w dół, na zielony dywan, którego fakturę czuł pod nogami.

Ulice aż po kostki zasypane były piachem przeniesionym ponad Murem Zaporowym przez wiatr. Stopy przechodniów zmieliły go w duszący pył, zatykający wloty filtrfraka. Wciąż jeszcze, mimo wydmuchiwalnych zainstalowanych w portalu Cytadeli, czuł ten pył, jego zapach pełen pustynnych wspomnień.

Inne czasy... inne niebezpieczeństwa.

W porównaniu z tamtymi czasami to, co groziło mu podczas samotnych przechadzek, było doprawdy blahostką. Ale wkładając filtrfrak, wkładał na siebie pustynię. Filtrfrak, z całym swym oprzyrządowaniem odzyskującym wilgoć ciała, w szczególny sposób kierował jego myślami, nadawał ruchom pustynny rytm. Paul stawał się wówczas dzikim Fremenem. Będąc czymś więcej niż przebraniem, filtrfrak przeciwstawiał go jego miejskiemu wcieleniu. Włożywszy go, Imperator porzucał myśl o bezpieczeństwie i przywoływał dawną zręczność w walce. Pielgrzymi i mieszczuchy omijali go ze spuszczonej oczyma. Roztropność nakazywała im trzymać się z dala

od gwałtowników. Jeśli pustynia miała twarz, to dla ludzi z miasta była nią twarz Fremena - skryta za ustno-nosowymi filtrami fraka.

W rzeczywistości małe były szanse na to, by jakiś znajomy z dawnych czasów, gdy mieszkał w siczy, mógł go rozpoznać po chodzie, zapachu czy kształcie oczu. A i wtedy ryzyko spotkania wroga było minimalne.

Rozmyślania przerwał mu szelest portiery i błysk światła. Weszła Chani, niosąc serwis do kawy na platynowej tacy. Za nią poszybowwały dwie niewolnicze kule świętojańskie i szybko rozbiegły się na swoje miejsca: jedna u wezglowia łoża, druga nad Chani, by świecić jej przy pracy.

Chani poruszała się z delikatną siłą wiecznej młodości - wrażliwą, skupioną w sobie. Coś w geście, gdy pochyliła się nad serwisem do kawy, przypomniało Paulowi ich pierwsze wspólne dni. Jej twarz pozostała śniada, o urodzie elfa, na pozór nietknięta przez te wszystkie lata - chyba, że ktoś przyjrzałby się zewnętrznym kącikom jej pozbawionych bieli oczu i dostrzegłby tam delikatne kreski - "piaskowe ścieżki", jak nazywali je Fremeni.

Kłęb pary uleciał z dzbanka, gdy podnosiła pokrywkę, trzymając ją za uchwyt z hagalskiego szmaragdu. Mógłby się założyć, że kawa

nie jest jeszcze zaparzona, obserwując sposób, w jaki Chani opuściła pokrywkę. Imbryk - w kształcie brzemiennej kobiety, wykonany z cienkiej srebrnej blachy - dostał się w jego ręce jako ghanima, łup bitewny, kiedy zabił w pojedynku poprzedniego właściciela. Dżamis, tak się nazywał ten człowiek... Dżamis.

Jak dziwnie śmierć unieśmiertelniła Dżamisa. Wiedząc, że śmierć jest nieunikniona, czy trzymał w ręku tę właśnie czarkę?

Chani rozstawiła filiżanki. Błękitna porcelana przycupnęła jak świta wokół dużego imbryka. Filiżanek było trzy: po jednej dla nich i jedna dla wszystkich poprzednich właścicieli.

- Jeszcze tylko chwila - powiedziała.

Spojrzała na niego i Paul zaczął się zastanawiać, jak wyglądał w jej oczach. Czy nadal był egzotycznym pozaświatowcem, szczupłym i żyłastym, charakterystycznie napęczniałym od wody, gdy porównało się go do Fremena? Czy pozostał tym, kogo plemię nazywało Usulem i kto posiadał ją w czasie fremenskiej tau, kiedy oboje byli uciekinierami w pustyni?

Paul zerknął w dół, na swoje ciało: smukłe, o twardych mięśniach... kilka blizn więcej, lecz w zasadzie to samo mimo dwunastu lat na tronie. Podniósł wzrok i dostrzegł swoją twarz odbitą w stojącym lustrze: błękitne w błękicie oczy - oznaka przyprawowego uzależnienia, ostry nos Atrydów. Imperator wyglądał jak godny wnuk tego Atrydy, który zginął na arenie w walce z bykiem, występując przed swoim ludem.

Przez umysł Paula przemknęła myśl, którą kiedyś wypowiedział dziadek: "Ten, kto włada, przyjmuje nieodwołalną odpowiedzialność za poddanych. Jesteś gospodarzem. A to czasami wymaga bezinteresownego aktu miłości, który może wydać się śmieszny tylko tym, którymi władasz." Ludzie nadal wspominali z miłością tego starego człowieka.

"A co ja zrobiłem dla imienia Atrydów? - zastanowił się Paul. - Wpuściłem wilka pomiędzy owce." Przez chwilę rozmyślał o śmierci i przemocy zadawanych w jego imieniu.

- Natychmiast do łóżka! - zakomenderowała Chani ostrym tonem, który przyprawiłby o wstrząs jego imperialnych poddanych.

Posłusznie położył się, podkładając ręce pod głowę i pozwolił się usypiać znanemu rytmowi ruchów Chani.

Wygląd pokoju nagle go rozśmieszył. Nie był podobny do tego, co pospólstwo musiało wyobrażać sobie jako sypialnię Imperatora. Żółty blask kuł świętojańskich tworzył ruchome cienie wśród rzędów słoï z barwnego szkła na półce powyżej Chani. Paul zaczął bezgłośnie wymieniać ich zawartość - suche składniki pustynnej farmakopei, maści, kadzidła, pamiątki... szczypta piachu z siczy Tabr, pukiel włosów ich pierwородnego... martwego od tak dawna... już od ponad dwunastu lat... niewinnej ofiary bitwy, która wyniosła Paula na imperialny tron.

Bogaty aromat zaprawionej przyprawą kawy napełnił komnatę. Paul wciągnął go w płuca, spoglądając na żółtą misę obok tacy, gdzie Chani parzyła kawę. Naczynie pełne było orzeszków ziemnych. Zamontowany pod stołem wykrywacz trucizny węszył, rozciągając nad nimi swe owadzie ramiona. Urządzenie wprawiało Paula we wściekłość. Na pustyni nigdy nie potrzebowali czegoś takiego!

- Kawa gotowa - powiedziała Chani. - Jesteś głodny?

Jego gniewne "nie" utonęło w świszczącym ryku lichtugi przyprawowej, dźwigającej się w górę z lądowiska pod Arrakin. Mimo to Chani spostrzegła jego złość. Nalała kawę i postawiła filiżankę blisko jego ręki. Usiadła w nogach łóżka, odkryła nogi Paula i zaczęła masować je tam, gdzie mięśnie zeszywniały od chodzenia w filtrfraku.

- Porozmawiajmy - powiedziała cicho, przybrawszy obojętną minę, która jednak i tak go nie zwiódła. - Irulana pragnie mieć dziecko.

Paul otworzył zdziwiony oczy. Przyjrzał się Chani z uwagą.

- Irulana wróciła z Waliach niecałe dwa dni temu - zauważył. - Już u ciebie była?

- Nie mówiłyśmy o jej frustracjach - powiedziała Chani.

Paul zmusił swój umysł do wzmożonej czujności. Badał twarz Chani wedle Metody Bene Gesserit, której nauczyła go matka, łamiąc ślub posłuszeństwa. Nie lubił tego robić w stosunku do Chani. Część władzy, jaką miała nad nim, zawdzięczała temu, że rzadko przy niej potrzebował

wywołujących napięcie mocy. Chani zazwyczaj unikała niedyskretnych pytań. Jej wątpliwości dotyczyły najczęściej spraw praktycznych. Tym, co interesowało Chani, były fakty, mogące zaciążyć na pozycji jej mężczyzny - poważanie jego osoby w Radzie, lojalność jego legionów, możliwości i umiejętności sojuszników. Jej pamięć zawierała katalog imion i powiązanych z nimi szczegółów. Mogła wyrecytować ważniejsze słabostki każdego ze znanych wrogów, rozmieszczenie potencjału nieprzyjacielskich sił, bitewne plany ich dowódców wojskowych, wyposażenie i możliwości produkcyjne podstawowych gałęzi przemysłu.

"Czemu teraz - zastanawiał się Paul - napomknęła o Irulanie?"

- Zmartwiłam cię - powiedziała Chani. - Nie taki był mój zamiar.

- A co było twoim zamiarem?

Uśmiechnęła się nieśmiało, podnosząc na niego wzrok.

- Jeśli się gniewasz, kochany, proszę, nie ukrywaj tego. Paul oparł się z powrotem o wezgłowie.

- Mam ją oddalić? - spytał. - Jej przydatność jest teraz ograniczona, a nie podoba mi się to, czym pachnie jej wycieczka do domu, do zakonu żeńskiego.

- Nie oddalisz jej - powiedziała rzeczowo Chani, nadal masując mu nogi. - Wiele razy twierdziłeś, że dzięki niej masz kontakt z naszymi wrogami, że możesz odczytać ich plany poprzez jej działania.

- Ale co kogo obchodzi jej głód macierzyństwa?

- Myślę, że mogłoby to pomieszać szyki nieprzyjaciółom, a Irulanę postawić w niezręcznym położeniu, gdybyś uczynił ją brzemienną.

Z ruchów jej dłoni, masujących mu nogi wyczytał, ile kosztowało ją to stwierdzenie. Poczuł ucisk w gardle.

- Chani, ukochana - powiedział miękko - przysiągłem, że nigdy nie wezmę jej do mojego łóża. Dziecko dałoby jej zbyt wielką władzę. Chciałabyś, żeby zajęła twe miejsce?

- Ja nie mam miejsca.

- Nieprawda, Sihajo, moja pustynna wiosenka. Skąd ta nagła troska o Irulanę?

- To troska o ciebie, nie o nią! Jeśli będzie nosić dziecko Atrydy, jej przyjaciele zwątpią w jej lojalność. Im mniej zaufania będą pokładać w niej nasi wrogowie, tym mniej będzie nam zagrażać.

- Jej dziecko mogłoby oznaczać twoją śmierć - rzekł Paul. - Znasz tutejsze intrygi - gestem ręki ogarnął Cytadelę.

- Musisz mieć potomka! - powiedziała matowym głosem. - Oooch! - jęknął.

A więc o to chodzi. Chani nie dała mu dziecka. W takim razie ktoś inny musiał to zrobić. Dlaczego nie Irulana? Takim to torem biegły myśli Chani. A dokonać się to musi w akcie miłosnym, gdyż w Imperium nie wolno było stosować sztucznych metod. Chani podjęła fremeńską decyzję.

Po tym spostrzeżeniu Paul z uwagą obserwował twarz Chani. Pod wieloma względami znał ją lepiej niż własną. Widział tę twarz rozluźnioną w chwilach namiętności, widział w słodczy snu, widywał na niej lęk, gniew i żal.

Zamknął oczy i we wspomnieniach pojawiła się Chani - owiana wiosną dziewczynka, śpiewająca, budząca się ze snu tuż obok niego - tak doskonała, że sama jej wizja wystarczała, by go pochłonać. W tym marzeniu uśmiechała się... zrazu nieśmiało, potem stawiając opór wizji, jak gdyby pragnęła uciec.

Zaschło mu w ustach. Przez chwilę nozdrza przechwyciły dym spustoszonej przyszłości, a głos innej wizji nakazywał mu odejść... odejść... odejść... Jego prorocze wizje od dawna już podsłuchiwały wieczność, łapały strzępy obcych języków, wsłuchiwały się w kamień i ciało, które nie było jego własnym. Od dnia pierwszego spotkania z okrutnym przeznaczeniem zaglądał w przyszłość, ufając, że znajdzie pokój.

Był przecież sposób. Nie potrafił go sprecyzować, ale czuł go całą swoją istotą - utarta przyszłość, ścisła w swych żądaniach: odejść... odejść... odejść...

Paul otworzył oczy. Chani przestała nacierać mu nogi, siedziała teraz bez ruchu - czystej krwi Fremenka. Wciąż przyglądał się jej rysom pod błękitną chustą nezhoni, którą w zaciszu ich komnat często wiązała włosy. Do jej twarzy przylgnęła maska zdecydowania, pradawny i obcy mu sposób myślenia. Fremeńskie kobiety dzieliły się mężczyznami od tysięcy lat - nie zawsze w zgodzie, lecz zawsze znajdując sposób, by fakt ten nie nabrał niszczycielskiej mocy. I coś takiego tajemnie - fremeńskiego dokonało się w Chani.

- Ty mi dasz jedyne następcę, jakiego pragnę - powiedział.

- Widziałeś to? - nacisk w głosie wskazywał wyraźnie, że ma na myśli wyrocznię.

Nie pierwszy już raz Paul szukał sposobu, by jej wyjaśnić kruchość proroctwa, uzmysłwić niezliczone linie Czasu, których zwienny splot wiła przed nim wizja. Westchnął, wspominając wodę zaczerpniętą z rzeki w zagłębienie dłoni - drżącą, sączącą się między palcami. Pamięć nurzała w niej jego twarz. Jak mógł rozeznąć się w przyszłościach, gmatwających się coraz bardziej pod presją zbyt wielu wyroczni?

- A więc nie widziałeś tego - rzekła Chani.

Wizja przyszłości, niemal już dlań niedostępna, chyba, że kosztem wysiłku, który wysącał zeń życie - cóż oprócz smutku mogła im jeszcze pokazać? Paul czuł, że znalazł się w niegościnniej

strefie przejściowej, jałowej krainie, gdzie jego uczucia bezwolnie unosiły się, chwiały, wymiatane na zewnątrz przez wszechogarniający niepokój.

Chani okryła mu nogi mówiąc:

- Dziedzic rodu Atrydów to nie jest coś, co pozostawia się przypadkowi. Ani jednej kobiecie.

"Coś takiego mogłaby powiedzieć matka" - pomyślał Paul. Zastanawiał się, czy lady Jessika nie kontaktowała się z Chani potajemnie. Jego matka myślała wyłącznie pod kątem dobra rodu Atrydów. Był to wzorzec zachowania wszczepiony i uwarunkowany w niej przez Bene Gesserit; dający o sobie znać nawet teraz, gdy jej moce zwróciły się przeciw zakonowi.

- Podśluchiwałaś, kiedy Irulana przyszła dziś do mnie - stwierdził oskarżycielsko.

- Podśluchiwałam - przyznała, nie patrząc na niego.

Paul przypominał sobie spotkanie z Irulaną. Gdy weszła do rodzinnego salonu, spostrzegł nie dokończoną szatę na warsztacie tkackim Chani. W komnacie unosił się cierpki smród czerwia, zły odór, który niemal całkiem stłumił cynamonową woń melanzu. Ktoś rozlał nieprzetworzoną esencję przyprawową i zostawił ją, aż weszła w reakcję z dywanem z przyprawowego włókna. Efekt był nieszczególny. Przyprawowa esencja rozpuściła dywan. Tłuste plamy zakrzepły na płaskalnej posadzce w miejscu, skąd usunięto dywan. Paul zamierzał posłać po kogoś, kto sprzątnąłby ten brud, ale Hara, żona Stilgara i najbliższa przyjaciółka Chani, wślizgnęła się, by zaanonsować Irulanę.

Musiał prowadzić rozmowę pośród tej wstrętnej woni, niezdolny odsunąć od siebie fremeńskiego przesądu, że złe wonie zwiastują nieszczęście.

Hara wycofała się, gdy tylko Irulana weszła.

"Witaj" - powiedział Paul.

Irulana miała na sobie szatę z popielatej wielorybiej skóry. Dotknęła dłonią włosów, poprawiła strój. Widział, że dziwi ją jego łagodny ton. Czuł, że przygotowane na to spotkanie gniewne słowa opuszczają jej umysł w kłębowisku przewartościowań.

"Zapewne przyszedłaś zameldować, że zakon żeński utracił resztki moralności" - rzekł.

"Czy to nie jest niebezpieczne, robić z siebie takiego błazna?" - zapytała.

"Być błaznem i stwarzać niebezpieczeństwo - cóż za wątpliwa kombinacja" - stwierdził. Renegackie szkolenie Bene Gesserit pozwoliło mu teraz wyczuć, że Irulana z trudem panuje nad chęcią, by się wycofać. Ten wysiłek ujawnił się w błysku ukrywanego strachu i Paul pojął, że otrzymała zadanie, które nie przypadło jej do gustu.

"Widzę, że trochę za wiele oczekują od księżnej królewskiej krwi" - powiedział.

Irulana znieruchomiła i Paul uświadomił sobie, że udało jej się opanować. "Doprawdy, ciężkie brzemię" - pomyślał. Dziwiło go, że prorocze wizje nie ukazały mu nawet przebiegu tej sceny.

Księżna powoli odprężyła się. "Dać ovladnąć się lękom byłoby bezcelowe, odwrót nie miałby sensu" - zdecydowała.

"Pozwoliłeś, żeby pogoda się ustaliła - powiedziała, pocierając ramiona przez suknię. - Jest sucho, a dziś była burza piaskowa. Nie masz zamiaru spowodować, by kiedykolwiek spadł tu deszcz?"

"Nie przyszłaś chyba rozmawiać o pogodzie?" - zauważył.

Czuł, że dał się wciągnąć w grę podwójnych znaczeń. Czy Irulana próbowała przekazać mu coś, czego jej szkolenie nie zezwalało powiedzieć otwarcie? Takie odniósł wrażenie. Czuł, że nagle porwał go prąd i teraz musi wywalczyć sobie drogę z powrotem na pewny grunt.

"Muszę mieć dziecko" - powiedziała.

Pokręcił głową.

"I tak postawię na swoim! - warknęła. - Jeżeli będzie trzeba, znajdę innego ojca dla swego dziecka. Przyprawię ci rogi i spróbuj tylko mnie wydać!"

"Zdradzaj mnie, z kim chcesz - rzekł - ale żadnych dzieci."

"Jak możesz mnie powstrzymać?"

Uśmiechnął się dobrodusnie.

"Każę poderznąć ci gardło, jeśli do tego dojdzie."

Zamilkła na chwilę, wstrząśnięta. W tym momencie Paul wyczuł, że ich rozmowę podsłuchuje Chani zza ciężkich draperii, oddzielających komnaty.

"Jestem twoją żoną" - wyszeptała Irulana.

"Nie bawmy się w te głupie gierki - powiedział. - Grasz swoją rolę, nic ponadto. Oboje wiemy, kto jest moją żoną."

"A ja jestem tylko złem koniecznym" - jej głos nabrzmiał goryczą.

"Nie pragnę być dla ciebie okrutny."

"Ty wybrałeś mnie do tej roli."

"Nie ja - rzekł Paul. - Wybrało cię przeznaczenie. Twój ojciec cię wybrał. Bene Gesserit cię wybrały. Gildia cię wybrała. A teraz wybrali cię raz jeszcze. Do czego, Irulano?"

"Dlaczego nie mogę mieć twojego dziecka?"

"Bo to jest rola, do której cię nie wybrano."

"Mam prawo zrodzić królewskiego następcę! Mój ojciec był..."

"Twój ojciec był i jest bestią. Wiemy oboje, że niemal całkiem stracił kontakt z ludźmi, którymi miał władać i których miał chronić."

"Może nienawidzono go mniej niż ciebie?" - wypaliła.

"Dobre pytanie." - Sardoniczny uśmiech wygiął kąciki jego ust.

"Mówisz, że nie chcesz być dla mnie okrutny, ale..."

"Dlatego właśnie zgadzam się, byś wzięła sobie kochanka. Jakiego zechcesz. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała: weź kochanka, ale nie przyprowadzaj na mój dwór żadnych splodzonych na boku dzieci. Wyprę się takiego dziecka. Nie będę ci żałował żadnego romansu, dopóki będziesz dyskretna... i bezdzietna. Byłbym głupcem, gdybym w tej sytuacji postępował inaczej. Lecz nie nadużywaj wolności, którą cię tak hojnie obdarzam. Gdy idzie o tron, ja decyduję, jaka krew będzie płynąć w żyłach mego następcy. Ani Gildia, ani Bene Gesserit nie będą miały na to wpływu. To jeden z przywilejów, który zdobyłem, kiedy rozgromiłem legiony sardaukarów twojego ojca, tam, na Równinie pod Arrakin."

"Więc sam się o to martw" - Irulana określiła się na pięcie i wypadła z komnaty.

Paul otrząsnął się ze wspomnień i skupił uwagę na Chani, siedzącej obok niego na łożu. Rozumiał własne ambiwalentne odczucia wobec Irulany, rozumiał też decyzję Chani. W innych okolicznościach Irulana i Chani mogłyby się zaprzyjaźnić.

- Co zadecydowałeś? - spytała Chani.

- Żadnego dziecka - odparł.

Chani złożyła palec wskazujący i kciuk prawej dłoni we fremieński znak krysznoża.

- Do tego mogłoby dojść - przyznał.

- Nie sądzisz, że dziecko rozwiązałoby kłopoty z Irulana?

- Tylko głupiec mógłby tak uważać.

- Nie jestem głupia, kochany. Owładnął nim gniew.

- Nigdy nie powiedziałem, że jesteś! Ale nie rozmawiamy o jakiejś cholernej, romantycznej powieści. Ona jest prawdziwą księżną. Wyrosla wśród obrzydliwych intryg imperialnego dworu. Zdolność spiskowania ma tak samo we krwi, jak chęć do pisania tych bzdurnych historyjek!

- One nie są bzdurne, kochanie.

- Być może nie są. - Powściągnął gniew i ujął ją za rękę. - Przepraszam. Ale w tej kobiecie jest mnóstwo intryg. Intryg w intrygach. Poddaj się jednej z jej zachcianek, a sprowokujesz następne.

- Czyż nie powtarzałam tego tyle razy? - powiedziała Chani łagodnie.

- Oczywiście, że tak. - Spojrzał na nią. - A więc co tak naprawdę próbujesz mi powiedzieć?

Wyciągnęła się przy nim, kładąc mu dłoń na karku.

- Już się zdecydowali, jak z tobą walczyć - powiedziała. - Irulana aż cuchnie tajnymi decyzjami.

Paul pogładził jej włosy. Chani grzebała się w brudnych sprawach.

Targnęło nim uczucie strasznego przeznaczenia. W duszy rozpętał się wiatr Coriolisa, docierając ze świstem w każdy jej zakątek. Ciało czuło to, czego nigdy nie odkryła świadomość.

- Chani, kochana - szepnął - czy wiesz, co bym dał, by położyć kres Dżihad, by odciąć się od tej przeklętej boskości, którą narzuca mi Kwizarat?

Zadrżała.

- Wystarczy, żebyś rozkazał - powiedziała cicho.

- Och, nie. Nawet, gdybym teraz umarł, moje imię wiodłoby ich dalej. Gdy pomyślę, że imię Atrydów związało się z tą religijną jatką...

- Ależ jesteś Imperatorem! Zdołałeś...

- Jestem pionkiem. Nimb boskości ma pewną wadę: tak zwany "Bóg" nie panuje już nad niczym.

Zaśmiał się gorzko. Czuł, jak przyszłość spogląda wstecz, na niego, poprzez dynastie, o których nawet nie śnił. Jego jaźń łkała, odepchnięta na bok, oderwana od kręgów Losu - tylko jego imię przetrwało.

- Zostałem wybrany - powiedział. - Może w chwili narodzin... z pewnością zanim spytano mnie o zdanie. Zostałem wybrany.

- Więc zmień to.

Zacisnął ramię wokół jej barku.

- W swoim czasie, kochana. Daj mi jeszcze trochę czasu. Niewypłakane łzy piekły go w oczach.

- Powinniśmy wrócić do siczy Tabr - powiedziała Chani. - W tym kamiennym pałacu zbyt wiele jest rzeczy, z którymi trzeba walczyć.

Przytaknął ruchem głowy, pocierając brodą o śliski materiał chusty spinającej jej włosy. Kojący, przesiąknięty przyprawą zapach Chani wypełnił mu nozdrza.

Sicz. Fascynowało go to pradowe słowo z języka Chakobsa: miejsce ucieczki i schronienia w niebezpiecznych czasach. Za sprawą Chani zataśknił do otwartej pustyni, niezmaconych przestrzeni, gdzie nadchodzący wróg widoczny był z daleka.

- Plemiona oczekują, że Muad'Dib do nich wróci. - Uniosła głowę, by na niego spojrzeć. - Należysz do nas.

- Należę do wizji - wyszeptał.

Myślał o Dżihad, o mieszaniu się genów przez parseki i o wizji, która mówiła mu, jak mógłby z nią skończyć. Czy ma zapłacić tę cenę? Cała nienawiść wyparowałaby, wygasła jak ognisko: węgielek po węgielku. Ale... Och! Ta straszliwa cena!

"Nigdy nie chciałem być bogiem - myślał. - Chciałem tylko zniknąć jak ostatnia kropla rosy przyłapana przez poranek. Chciałem uciec aniołom i potępieńcom. Sam... jak gdybym został przeoczony."

- Wrócimy do siczy? - nalegała Chani.

- Tak - szepnęła. I pomyślał: "Muszę zapłacić tę cenę".

Chani westchnęła głęboko, układając się przy nim.

"Zmarnowałem mnóstwo czasu" - pomyślał. Zrozumiał, jak bardzo dał się osaczyć nakazom miłości i Dżihad. Czym było jedno życie - nieważne, jak ukochane - w porównaniu do tych, które miała zabrać Dżihad? Czy jedno cierpienie mogło przeważać udręki tysięcy?

- Kochany?

Położył jej rękę na ustach.

"Sam ustąpię - pomyślał. - Umknę, póki jeszcze mam siłę, odleczę tak daleko, że nawet ptak mnie nie dojrzy."

Nawet owa myśl była bluźnierstwem i wiedział o tym. Dżihad podąży za jego duchem.

Co mógłby odpowiedzieć? Jak się tłumaczyć, skoro ludzie osadzali go z przerażającą, prymitywną głupotą? Kto mógł go zrozumieć?

"Chciałem tylko obejrzeć się i powiedzieć: Macie! Takie istnienie nie zdoła mnie zatrzymać. Patrzcie! Znikam! Żadne więzy czy sieci wymyślone przez ludzi już nigdy mnie nie skrepują. Wypieram się mojej religii! Ta chwila chwaty należy do mnie! Jestem wolny!"

Cóż za puste słowa!

- Wczoraj widziano wielkiego czerwia koło Muru Zaporowego - powiedziała Chani. - Mówią, że miał ponad sto metrów długości. Tak wielkie rzadko już pojawiają się w tej okolicy. Myślę, że odstrasza je woda. Ludzie mówią, że ten przybył wezwać Muad'Diba do powrotu na pustynię. - Uszczypnęła go w pierś. - Nie śmieję się ze mnie!

- Nie śmieję się.

Paul, zadziwiony trwałością fremenckiego mitu, poczuł skurcz serca - to dała o sobie znać adab - władcza pamięć, rzecz ciężąca na całym jego życiu. Przypomniał sobie pokój dziecienny na Kaladanie... ciemna noc w kamiennej komnacie... wizja... To była jedna z jego pierwszych chwil jasnowidzenia. Czuł, jak jego umysł zanurza się w wizji poprzez zamglony obłok pamięci, wizję wewnątrz wizji. Dojrzał sznur Fremenów w szatach pokrytych kurzem. Szli przez przełęcz w wysokich skałach. Nieśli długie, owinięte płótnem brzemie.

I w tej wizji usłyszał, jak sam mówi: "Było cudownie... A najcudowniejsza byłaś ty..."

Adab uwolniła go.

- Jesteś taki cichy - szepnęła Chani. - Co się stało? Paul wzdygnął się. Usiadł, odwracając twarz.

- Jesteś zły, bo byłam na skraju pustyni. Potrząsnął głową bez słowa.

- Poszłam, bo chcę mieć dziecko - powiedziała.

Paul nie był w stanie przemówić. Czuł, jak pochłonęła go surowa moc pierwotnej wizji. Straszne przeznaczenie! W tej chwili całe jego życie było gałęzią rozchwaną zerwaniem się ptaka... a tym ptakiem była szansa. Wolna wola

"Uległem pokusie widzenia przyszłości" - pomyślał.

Miał wrażenie, że ulegając tej pokusie pozwolił, by życie wkroczyło na prostą ścieżkę. "Czy to możliwe - myślał - by wyrocznia nie ukazywała przyszłości? Czy może być tak, że prorok stwarza przyszłość?" Czy to on skierował swoje życie w sieć utajonych nici, czy też dał się wpłatać w to dawne przebudzenie, stał się ofiarą pajęczej przyszłości, która nawet w tej chwili na niego nacierała?

Wpadł mu do głowy aksjomat Bene Gesserit:

"Posługiwać się nieujarzmioną mocą, to znaczy nieskończenie uwrażliwiać się na działanie jeszcze większych mocy."

- Wiem, że to cię gniewa. - Chani dotknęła jego ramienia. - To prawda, że plemiona powróciły do starych obrządków i krwawych ofiar, ale ja nie brałam w tym udziału.

Paul wciągnął głęboko powietrze. Rwący nurt wizji rozproszył się, stał się rozległą, cichą przestrzenią, w której przemieszczały się prądy wciągające go z siłą, jakiej nie mógł sprostać.

- Proszę - błagała Chani. - Chcę dziecka, naszego dziecka. Czy to takie straszne?

Paul pogłaskał rękę, która go dotykała i odsunął się. Wstał z łóżka, zgasił kule świętojańskie, podszedł do drzwi balkonowych i odsunął zasłony. Mógł tu wtargnąć co najwyżej zapach pustyni. Przed oczyma Imperatora wspinał się w nocne niebo pozbawiony okien mur. Księżycowe światło padało ukośnie na osłonięty ogród, wyprężone na warcie szerokolistne drzewa, mokrą zieleń. W rybnym stawie, pośród liści i w wychylających się z cienia jasnych plamach kwietnej bieli odbijały się gwiazdy. Przez moment Paul zobaczył ten ogród oczyma Fremena: obcy, groźny, wręcz niebezpieczny w swym marnotrawstwie wody.

Pomyślał o sprzedawcach wody, których profesję zniszczył swą hojnością. Nienawidzili go. Zabił przeszłość.

Byli też inni. Nawet ci, którzy musieli dawniej walczyć o każdy grosz na zakup cennej wody, nienawidzili go za to, że zmienił stare obyczaje. W miarę, jak wprowadzany w życie przez

Muad'Diba program ekologiczny zmieniał krajobraz planety, narastał wśród ludzi opór. Czyż nie było zarozumiałością sądzić, że zdoła przekształcić całą planetę, doprowadzić do tego, że wszystko będzie rosło, kiedy i gdzie rozkaże? Nawet, gdyby mu się udało, co z czekającym wokoło wszechświatem? Może wszechświat bał się takiego traktowania?

Gwałtownie zaciągnął zasłony i wyłączył wentylatory. Obrócił się ku Chani, czując, że ona czeka na niego w ciemności. Jej pierścienie wody podzwaniały jak żebracze dzwonki pielgrzymów. Po omacku ruszył w stronę tego dźwięku, aż spotkał jej wyciągnięte ramiona.

- Kochany - wyszeptała - zmartwiłam cię? Tuląc go, zamykała w ramionach przyszłość.

- Nie ty - powiedział. - Och, nie ty.

Pojawienie się Zjawiska Polowego tarcz i rusznic laserowych, których spotkanie powoduje wybuch zabójczy zarówno dla atakującego, jak i wszystkich znajdujących się w pobliżu, wyznaczyło obecne determinanty technologu uzbrojenia. Nie musimy tu zagłębiać się w szczególną rolę atomistyki. Fakt, że każdy ród w moim Imperium może do tego stopnia rozwinąć swój arsenał jądrowy, że będzie w stanie zniszczyć bazy planetarne najmniej pięćdziesięciu innych rodów, wywołuje pewne zaniepokojenie, to prawda. Lecz każdy z nas opracował program zapobiegawczy, który zapewnia mu niszczący odwet. Gildia i Landsraad mają sposoby, by trzymać w szachu te siły. Nie, mnie niepokoi koncepcja wykorzystania ludzi jako szczególnego rodzaju broni. To autentycznie nieograniczone pole do popisu, nad który m pracuje już kilka sił.

*Muad'Dib: Wykład w Akademii Wojennej
(według "Kroniki Stilgara")*

Starzec stał w drzwiach swego domu, spoglądając w dal błękitnymi w błękitie oczyma, w których czaiła się ta wrodzona nieufność, jaką wszyscy ludzie pustyni żywili w stosunku do obcych. Głębokie bruzdy zniekształciły kąciki jego ust, widocznych spod siwej brody. Nie miał na sobie filtrfraka. Fakt, że to ignorował, a także obojętność wobec faktu, iż wilgoć ucieka z domu przez otwarte drzwi, był zaskakujący.

Scytalus skłonił się, czyniąc powitalny znak spiskowców.

Gdzieś zza pleców starca dobiegło zawroźnienie rebeki, na której atonalnymi dysonansami ktoś grał muzykę semuty. W zachowaniu starego nie było śladu narkotycznego otępienia, a zatem semuta była słabością kogoś innego. Scytalusowi wydało się jednak dziwne, że natknął się w tym miejscu na tak wyrafinowany nałóg.

- Pozdrowienia z daleka - powiedział, rozciągając w uśmiechu płaską twarz, którą przyjął na to spotkanie. Zdał sobie sprawę, że stary może rozpoznać tę twarz. Tu, na Diunie, niektórzy starsi Fremeni znali niegdyś Duncana Idaho.

Uznał, że wybór, który dotąd wydawał mu się zabawny, może okazać się pomyłką. Nie ośmielił się jednak tutaj zmieniać rysów. Nerwowo zerknął w górę i w dół ulicy. Czy ten staruch nigdy nie poprosi go do środka?

- Czy znasz mego syna? - zapytał starzec.

To przynajmniej było jedno z haseł. Scytalus udzielił właściwej odpowiedzi, cały czas obserwując otoczenie, baczny na jakikolwiek niepokojący znak. Nie podobało mu się to miejsce. Dom, przed którym stał, zamykał ślepą uliczkę. Wszystkie domy tutaj zbudowano dla weteranów Dżihad. Tworzyły wspólnie jedno z przedmieść Arrakin, rozciągające się poza Tiemag, aż do

Basenu Imperialnego. Ściany domów wytyczały ulicę gładkimi płaszczyznami brunatnego plasmeldu, przerywanymi tylko głębokimi cieniami uszczelnianych drzwi. Tu i ówdzie ktoś pokrył ściany plugawymi bazgrołami. Przed nosem Scytalusa ktoś kredą obwieścił, że niejaki Beris przywłókł na Arrakis brzydką chorobę, która pozbawiła go męskości.

- Przyszedłeś z kimś? - spytał starzec.

- Sam - odparł Scytalus.

Stary odchrząknął, choć nadal irytująco się wahał.

"Cierpliwości" - uspokajał sam siebie Scytalus. Ta metoda nawiązywania kontaktu łączyła się z pewnym ryzykiem. Może stary miał jakiś powód, by tak, a nie inaczej się zachowywać. Choć pora była właściwa. Błade słońce wisiało prawie dokładnie w zenicie. Ludzie z tej dzielnicy siedzieli pozamykani w domach, przesypiając najgorętszą część dnia.

"Może stary obawia się nowego sąsiada?" - zastanawiał się Scytalus. Wiedział, że przyległy dom przyznano Otheymowi, ongiś członkowi fedajkinów, siejących grozę komandosów śmierci Muad'Diba. A Bidżaz, karzeł - katalizator, czekał u Otheyma

Scytalus spojrzał znów na starego. Zauważył pusty rękaw, zwisający z lewego ramienia Fremen wyglądał na człowieka przywykłego do rozkazywania. Z pewnością nie dekował się na tyłach Dżihad.

- Czy mogę poznać imię swego gościa? - spytał.

Scytalus zdusił westchnienie ulgi. Więc mimo wszystko miał zostać przyjęty.

- Jestem Zaal - podał imię nadane mu na czas misji.

- A ja Farok - powiedział stary. - Dawniej baszar Dziewiątego Legionu Dżihad. Czy to ci cokolwiek mówi?

Scytalus usłyszał groźbę w jego słowach.

- Urodziłeś się w siczy Tabr, jako poddany Stilgara. Farok odprężył się, odsłonił drzwi.

- Witaj w moim domu - rzekł.

Scytalus wślizgnął się do cienistego atrium. Podłoga pokryta była błękitną mozaiką, a na ścianach lśnił wycięty w kryształach ornament. Za atrium znajdował się kryty dziedziniec. Światło wpuszczane przez przejrzyste filtry opalizowało tak srebrzyście, jak nocna biel Pierwszego Księżyca. Za jego plecami drzwi wejściowe zapadły w uszczelnienia.

- Płyńcie w nas szlachetna krew - powiedział Farok, prowadząc w kierunku dziedzińca - Nie byliśmy wyrzutkami. Nie mieszkaliśmy w żadnej dziurze w grabienie... jak ta! Mieliliśmy porządną sicz w Murze Zaporowym, nad Granią Habbanja Jeden czerw doniósłby nas w Kedem, w serce pustyni.

- Nie tak jak teraz - zgodził się Scytalus, odgadując, co przywiodło Faroka do udziału w spisku. Fremen tęsknił do dawnych czasów, dawnego życia.

Weszli na dziedziniec. Scytalus uświadomił sobie, że Farok zмага się z żywiołową niechęcią do swojego gościa. Fremen nie ufali oczom, które pozbawione były błękitnego spojrzenia ibada. Mówili, że oczy pozaświatowców nie są właściwie zogniskowane, widzą rzeczy, których nie powinny widzieć.

Muzyka semuty urwała się, gdy weszli. Zamiast niej zagrała teraz baliseta: najpierw dziesięciostrunowy akord, potem czyste nuty piosenki znanej na planetach układu Naradź.

Gdy oczy przywykły do światła, Scytalus zauważył po prawej młodego chłopaka, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na niskiej otomanie w łukowatej wnęcie. Oczodoły młodzieńca były puste. Z owym niesamowitym wyczuciem ślepego zaczął śpiewać w chwili, gdy spoczęło na nim spojrzenie Tancerza Oblicza. Głos miał wysoki i dźwięczny.

Wiatr wymiółł ziemię precz

I wymiółł niebo precz

I ludzi też!

Kim jest ten wiatr?

Wodę dumne drzewa piją

Zamiast ludzi, co nie żyją.

Poznałem światów za wiele,

Ludzi za wiele, Wichur za wiele,

Za wiele drzewa.

Scytalus zorientował się, że słowa pieśni zostały pozmieniane. Fa - rok odciągnął go od młodzieńca i powiódł pod arkadami na przeciwległą stronę, wskazując poduszki rzucone na mozaikową posadzkę. Mozaikę ułożono w obraz ławicy wodnych stworzeń.

- Na tamtej poduszce zasiadał w siczy Muad'Dib. - Farok wskazał okrągły, czarny puf. - Teraz spocznij ty.

- Jestem twoim dłużnikiem. - Scytalus zapadł się w czarną miękkość. Uśmiechnął się. Farok był mądry. Mędrzec mówi o lojalności, nawet gdy słucha pieśni pełnych ukrytych znaczeń i słów niosących tajne przesłania. Któż mógł zaprzeczyć straszliwej mocy Imperatora - tyrana?

- Czy nie przeszkadza ci muzyka mego syna? - Farok wypowiadał słowa w interwałach pieśni, nie łamiąc metrum.

Scytalus poprawił poduszkę przed sobą i oparł się o chłodną kolumnę.

- Lubię muzykę - rzekł.

- Mój syn stracił oczy zdobywając Naradź - powiedział Farok. - Leczone go tam i powinien był tam zostać. Żadna nasza kobieta nie zechce go takim. To nie jest śmieszne wiedzieć, że mam w układzie Naradź wnuczeta, których zapewne nigdy nie zobaczę. Czy znasz planety Naradzu, Zaal?

- W młodości byłem tam na tournée z grupą podobnych mi Tancerzy Oblicza - odparł Scytalus.

- Jesteś więc Tancerzem Oblicza - rzekł Farok. - Zastanawiały mnie twoje rysy. Przypominają mi człowieka, którego kiedyś tu znałem.

- Duncana Idaho?

- Tak, jego. Mistrza miecza na żołdzie obecnego Imperatora.

- Powiadają, że został zabity.

- Tak powiadają - potwierdził Farok. - Czy jesteś więc naprawdę mężczyzną? Słyszałem o Tancerzach Oblicza, że... - Wzruszył ramionami.

- Jesteśmy jadachańskimi hermafrodytami - wyjaśnił Scytalus - przybierającymi dowolną płć. W tej chwili jestem mężczyzną.

Farok zagryzł wargi w zamyśleniu.

- Mam kazać przynieść coś orzeźwiającego? Życzysz sobie wody? Mrożonych owoców? - spytał.

- Wystarczy rozmowa - powiedział Scytalus.

- Życzenie gościa jest rozkazem - rzekł Farok, sadowiąc się naprzeciwko na poduszcze.

- Błogosławiony niech będzie Abu d'Dhur, Ojciec Nieskończonych Ścieżek Czasu - rzekł Scytalus.

"No! - pomyślał. - Powiedziałem mu wyraźnie, że przychodzę od Nawigatora Gildii i przynoszę jego czapkę - niewidkę."

- Po trzykroć błogosławiony - odparł Farok, składając rękę na kolanie w rytualnym geście. Dłoń miał starą, oplecioną gęstą siecią żył.

- Obiekt widziany z oddali ujawnia tylko swe ogólne cechy. - Scytalus dał do zrozumienia, że chce rozmawiać o twierdzy Imperatora, czyli Cytadeli.

- To, co jest ciemne i złe, jawi się złym z każdej odległości. - Farok doradzał zwłokę.

"Dlaczego?" - zastanawiał się Scytalus. Zapytał jednak:

- W jaki sposób twój syn stracił oczy?

- Obrońcy Naradzu użyli spopielacza skał - odparł Farok. - Mój syn był zbyt blisko. Przeklęta technika jądrowa! Spopielacz skał winien być zakazany przez prawo.

- Taka rzecz wymyka się istocie prawa - przyznał Scytalus. "Spopielacz skał w układzie Naradzu! - myślał. - Nic nam nie doniesiono. Po co ten stary mówi o spopielaczu tutaj?"

- Proponowałem, że kupię mu tleilaxańskie oczy od waszych mistrzów - ciągnął Farok. - Ale w legionach krąży opowieść, że tleilaxańskie oczy zniewalają tych, którzy je noszą. Mój syn powiedział, że takie oczy są z metalu, a on ma żywe ciało, więc taki związek musi być grzeszny.

- Cechy obiektu muszą pozostawać w zgodzie z jego przeznaczeniem. - Scytalus usiłował skierować rozmowę z powrotem na dane, których szukał.

Usta Faroka zacisnęły się, lecz skinął głową.

- Mów otwarcie, czego chcesz - powiedział Farok. - Musimy pokładać ufność w twoim Nawigatorze.

- Czy byłeś kiedyś wewnątrz Imperialnej Cytadeli? - zagadnął Scytalus.

- Byłem tam na uczcie z okazji zwycięstwa nad układem Molitor. Pomimo najlepszych ixiańskich grzejników, zimno było wśród wszystkich tych kamieni. Poprzedniej nocy spaliliśmy na tarasie świątyni Alii. Wiesz, ona ma tam drzewa. Drzewa z wielu planet My, baszarowie, przyodziani byliśmy w najlepsze zielone szaty, a nasze stoły stały osobno. Piliśmy i jedliśmy za wiele. Byłem zgorszony tym, co tam widziałem. Przyszli wędrowni kalecy, wlokący się o kulach. Nie sądzę, żeby nasz Muad'Dib wiedział, jak wielu mężczyzn okaleczył.

- Nie podobała ci się uczta? - Scytalus słyszał o fremieńskich orgiach, podsycanych przez piwo przyprawowe.

- Nie była taka, jak łączenie się naszych dusz w siczy - rzekł Farok. - Nie było tau. Dla zabawy żołnierze mieli niewolnice, a mężczyźni snuli opowieści o bitwach i ranach.

- A więc byłeś wewnątrz tej wielkiej sterty kamieni.

- Muad'Dib wyszedł do nas na taras - mówił Farok. - Powiedział: "Przychylności losu dla nas wszystkich". Powitalna formuła z pustyni w tamtym miejscu!

- Znasz położenie jego prywatnych komnat? - spytał Scytalus.

- Gdzieś w środku - powiedział Farok. - Gdzieś głęboko w środku. Mówiono mi, że on i Chani żyją wewnątrz murów Cytadeli na wzór koczowników. Na publiczne audycje Muad'Dib przychodzi do Wielkiej Sali. Ma sale audiencyjne i oficjalne miejsca spotkań, całe skrzydło dla swojej osobistej ochrony, miejsca ceremonii i wewnętrzny sektor łączności. Mówiono mi, że głęboko w podziemiach fortecy jest sala, gdzie trzyma karłowatego czerwia, otoczonego fosą z wodą, która może go otruć. To tam czyta przyszłość.

"Mity splecione z faktami" - pomyślał Scytalus.

- Wszędzie towarzyszy mu aparat rządowy - gorzko rzucił Farok. - Urzędnicy, świta i świta świty. Ufa tylko tym, którzy, jak Stilgar, byli mu bardzo bliscy za dawnych dni.

- Tobie nie - wtrącił Scytalus.
- Myślę, że zapomniał o moim istnieniu.
- Którędy wchodzi i wychodzi, kiedy opuszcza gmach?

- Miał małe lądowisko ornitopterów, wystające z wewnętrznego muru. Mówią, że Muad'Dib nie pozwala nikomu innemu trzymać sterów przy lądowaniu. Trzeba być mistrzem, mówią, gdyż najmniejszy błąd strąci maszynę w dół po gładkim urwisku muru, wprost do jednego z tych jego przeklętych ogrodów.

Scytalus pokiwał głową. To była niewątpliwie prawda. Powietrzne wejście do kwater Imperatora daje pewne bezpieczeństwo. A wszyscy Atrydzi byli świetnymi pilotami.

- Używa ludzi do przenoszenia dystansowych przekazów - ciągnął Farok. - To poniżające, wszczepiać ludziom translatory falowe. Głos człowieka winien być jego własnością, podlegać tylko jemu. Nie powinien brzmieć ukrytymi przesłaniami innego człowieka.

Scytalus wzruszył ramionami. Wszyscy możni używali w tych czasach dystransów. Trudno było przecież przewidzieć, jakie przeszkody mogą zostać postawione między nadawcą a adresatem. Dystrans spełniał wymagania politycznej tajności, bo stosowano w nim minimalne zafałszowania naturalnych wzorców głosowych, które można było niesłychanie pogmatwać.

- Nawet jego poborcy podatkowi posługują się tą metodą - żalił się Farok. - W moich czasach dystransy wszczepiano tylko niższym zwierzętom.

"Ale dane fiskalne muszą być zachowane w tajemnicy - pomyślał Scytalus. - Niejeden rząd upadł dlatego, że ludzie odkryli rzeczywiste rozmiary jego oficjalnych dochodów."

- Co sądzą teraz fremieńskie kohorty o Dżihad Muad'Diba? - spytał.

- Nie protestują, gdy czyni się boga z ich władcy?

- Większość z nich nawet się nad tym nie zastanawia - odparł Farok.

- Myślą o Dżihad, tak jak ja o niej myślałem. Wojna jest źródłem niecodziennych doświadczeń, przygód, łupów. Ta grabieńska nora, w której mieszkam - machnął ręką w stronę dziedzińca - kosztuje sześćdziesiąt lid przyprawy. Dziewięćdziesiąt kontarów! Był czas, kiedy nie potrafiłbym nawet wyobrazić sobie takich bogactw. - Potrząsnął głową.

"Dziewięćdziesiąt kontarów - myślał Scytalus. - Jakie to dziwne. Wielkie bogactwo, to pewne. Nora Faroka byłaby pałacem na wielu innych planetach, ale wszystko jest względne, nawet kontar. Czy Farok na przykład wie, skąd wzięła się miara takiej ilości przyprawy? Czy kiedykolwiek pomyślał sobie, że półtora kontara limitowało dawniej obciążenie wielbłąda? Pewnie nie. Farok prawdopodobnie nigdy nawet nie słyszał o wielbłądach ani o Złotym Wieku Ziemi."

Wtapiając się w rytm melodii, którą brzmiała baliseta syna, Farok mówił:

- Miałem krysnóż, taliony wody na dziesięć litrów, własną lancę, która kiedyś należała do mojego ojca, serwis do kawy i flaszkę z czerwonego szkła, starszą, niż sięgała pamięć siczy. Miałem udział w naszych zbiorach przyprawy, lecz nie miałem pieniędzy. Byłem bogaty i nie wiedziałem o tym. Dwie żony miałem: jedną niepozorną i drogą memu sercu, drugą głupią i upartą, ale o twarzy i kształtach anioła. Byłem fremeńskim naibem dosiadającym czerwia, panem lewiatana i panem piasku.

Chłopak po drugiej stronie dziedzińca mocniej uderzył w struny.

- Wiedziałem wiele rzeczy, nie myśląc o nich na co dzień - ciągnął Farok. - Wiedziałem, że głęboko pod piaskiem pustyni jest woda, trzymana tam w niewoli przez maleńkie stworzyciele. Wiedziałem, że moi przodkowie składali dziewice w ofierze dla Szej-huluda... zanim Liet - Kynes nie kazał im tego zaprzestać. Widziałem klejnoty w paszczy czerwia. Moja dusza miała czworo drzwi i wszystkie je potrafiłem otwierać.

Zamilkł, pogrążywszy się w myślach.

- Wtedy zjawił się Atryda i jego matka - wiedźma - powiedział Scytalus.

- Zjawił się Atryda - przytaknął Farok. - Ten, którego między sobą zwaliśmy Usulem. Takie miał sekretne, siczowe imię. Nasz Muad'Dib, nasz Mahdi! I gdy wezwał nas na Dżihad, byłem jednym z tych, którzy pytali: "Dlaczego mam iść walczyć? Nie mam tam przecież krewnych." Ale inni młodzi poszli - przyjaciele, druhowie mego dzieciństwa. A wróciwszy mówili o czarach, o mocy tego atrydzkiego zbawcy. Pokonał naszych wrogów - Harkonnenów. Liet - Kynes, który przyobiecał nam raj na naszej planecie, obdarzył go swoim błogosławieństwem. Mówiło się, że Atryda przybył odmienić nasz świat i nasz wszechświat, że on jest tym, za sprawą którego złoty kwiat rozkwitnie pośród nocy.

Farok podniósł ręce i przyjrzał się swoim dłoniom.

- Ludzie wskazywali na Pierwszy Księżyc i mówili: 'Tam jest jego dusza'. I tak nazwano go Muad'Dibem. Nie pojmowałem tego wszystkiego.

Opuścił dłonie, patrząc poprzez dziedziniec na syna.

- W mojej głowie nie było myśli. Myśli były tylko w mym sercu i brzuchu, i lędźwiach.

Tempo muzyki wzrosło.

- Wiesz, dlaczego zaciągnąłem się na Dżihad? - Spojrzenie starych oczu spoczęło na Scytalusie. - Usłyszałem, że jest coś, co nazywa się morze. Bardzo trudno uwierzyć w morze, gdy żyło się tylko wśród naszych wydm. Nie mamy mórz. Ludzie Diuny nigdy nie widzieli morza. Mamy oddzielną wiatr. Zbieraliśmy wodę na wielką przemianę, którą przyrzekł nam Liet - Kynes, przemianę, którą Muad'Dib czyni skinieniem ręki. Mogłem wyobrazić sobie kanat - wodę płynącą rowem poprzez łąd. Stąd mój umysł mógł stworzyć obraz rzeki. Ale morze?

Farok wpatrywał się w przezroczysty strop nad dziedzińcem, jak gdyby chciał zbadać rozciągający się za nim wszechświat

- Morze - powiedział cicho. - To było wiele więcej, niż mógł wyobrazić sobie mój umysł. A ludzie, których znałem, mówili, że widzieli ten cud. Myślałem, że kłamali, chciałem przekonać się sam. Dlatego się zgłosiłem.

Chłopak dobył z balisety głośny końcowy akord i zaraz podjął nową pieśń o zaskakująco falującym rytmie.

- Znalazłeś swoje morze? - spytał Scytalus.

Stary tak długo milczał, aż Scytalusowi zdało się, że Fremen go nie dosłyszał. Muzyka balisety wznosiła się wokół nich i opadała jak ruch morskich pływów. Farok oddychał tym rytmem.

- Słońce zachodziło - powiedział. - Taki zachód słońca mógł namalować któryś ze starych mistrzów. Miał w sobie czerwień, taką jak szkło mojej flaszki. Miał złoto... błękit... To było na planecie, którą zwą Enfeil; tam powiodłem mój legion do zwycięstwa. Przeszliśmy górską przełęcz, gdzie powietrze było aż mdłe od wody. Z trudem mogłem oddychać. A w dole, u moich stóp, było to, o czym opowiadali mi przyjaciele: woda - tak daleko, jak sięgałem okiem i jeszcze dalej. Pomaszerowaliśmy ku niej w dół. Wszedłem do niej i piłem. Była gorzka, poczułem się chory. Ale cud tej wody nigdy mnie nie opuścił.

Scytalus zdał sobie nagle sprawę, że wraz ze starym Fremenem odczuwa lęk.

- Zanurzyłem się w tamtym morzu. - Farok patrzył w dół, na morskie stwory pływające w płytkach posadzki. - Jakiś człowiek pogrążył się w tej wodzie... inny się z niej wyłonił. Czułem, że pamiętam przeszłość, jakiej nigdy nie było. Rozglądałem się wokół oczyma, które mogły zaakceptować wszystko... zupełnie wszystko. Zobaczyłem ciało w wodzie - trupa jednego z obrońców, którychśmy zabili. W pobliżu na wodzie unosił się pień, kawałek wielkiego drzewa. Mogę zamknąć teraz oczy i widzę ten pień. Z jednego końca był poczerniały od ognia. I był jeszcze w tej wodzie strzęp odzieży - właściwie żółty gałgan... podarty i brudny. Patrzyłem na wszystkie te rzeczy i zrozumiałem, dlaczego się tam znalazły. Dla mnie, abym je zobaczył.

Farok odwrócił się z wolna i spojrzał Scytalusowi w oczy.

- Wiesz, wszechświat jest nie dokończony - rzekł.

"Ten stary to gaduła, ale jednocześnie bardzo wnikliwy i mądry" - pomyślał Scytalus i powiedział:

- Widzę, że zrobiło to na tobie głębokie wrażenie.

- Jesteś Tleilaxaninem - rzekł Farok. - Widziałeś wiele mórz. Ja widziałem tylko to jedno, ale wiem o morzach coś, czego ty nie wiesz.

Scytalus poczuł, jak dziwny niepokój chwyta go za gardło.

- Matka Chaosu narodziła się z morza - powiedział Farok. - Kwizar Tafwid stał obok, gdy wyszedłem ociekający z tamtej wody. Nie wszedł do morza. Stał na piasku... to był mokry piasek... z kilkoma ludźmi, którzy się bali. Patrzył na mnie oczyma, które dostrzegły, że poznałem coś, co jemu nie było dane. Stałem się morskim stworzeniem i przerażałem go. Morze uleczyło mnie z Dżihad i myślę, że on to właśnie zobaczył.

Scytalus uświadomił sobie, że w trakcie tej opowieści muzyka ucichła. Irytowało go, że nie mógł dokładnie określić chwili, w której zamilkła baliseta.

Jak gdyby to miało jakikolwiek związek z opowiadaniem, Farok dodał:

- Każda brama jest strzeżona. Nie ma drogi do twierdzy Imperatora.

- I to jest jej słabość - powiedział Scytalus. Farok spojrzał na niego, wyciągając szyję.

- Jest do niej wejście - wyjaśnił Tancerz Oblicza. - Fakt, że większość ludzi - włączając, mam nadzieję. Imperatora - wierzy, iż jest inaczej, działa na naszą korzyść.

Potał wargi, czując obcość twarzy, którą przywdział. Milczenie instrumentu rozstrajało go. Czy oznaczało, że syn Faroka skończył nadawać? Naturalnie, była to jedna z metod: informacja skondensowana i przekazana w muzyce. Odcisnięta w układzie nerwowym Scytalusa, mogłaby we właściwym momencie zostać zaktywizowana przez dystrans umieszczony w korze nadnercza. Po tym wszystkim stałby się pojemnikiem pełnym nieznanych słów, naczyniem, z którego wylewają się dane: każda konspiracyjna komórka tu, na Arrakis, każde nazwisko, każde hasło kontaktowe - wszystkie istotne wiadomości.

Dysponując nimi, mogliby dostać się na Arrakis, porwać czerwia i rozpocząć cykl melanzowy gdzieś poza zasięgiem władzy Muad'Diba. Mogliby złamać monopol, tak jak złamią Muad'Diba. Wiele mogliby zdziałać przy pomocy tych informacji.

- Mamy tu tę kobietę - powiedział Farok. - Chcesz ją teraz zobaczyć?

- Widziałem ją - odparł Scytalus. - Przyjrzałem jej się uważnie. Gdzie ona jest?

Farok pstryknął palcami.

Chłopak ujął rebeke i pociągnął po niej smyczkiem. Instrument za - łkał muzyką semuty. Jakby przyciągnięta dźwiękami, w drzwiach za jego plecami, pojawiła się młoda kobieta w błękitnej szacie. Narkotyczne otępienie zasnuło jej oczy, całkiem niebieskie oczy ibada. Była Fremenką uzależnioną od przyprawy, a teraz jeszcze schwytaną w kleszcze zaświatowego nałogu. Jej świadomość pograżyła się głęboko w semucie, zagubiła się w ekstazie, dając się unieść muzyce.

- Córką Otheyma - powiedział Farok. - Mój syn dał jej narkotyk w nadziei, że zdobędzie kobietę z naszego Ludu mimo swej ślepoty. Jak widzisz, zwycięstwo przyniosło mu pustkę. Semuta zabrała to, co pragnął uzyskać.

- Jej ojciec nie wie o tym? - spytał Scytalus.

- Nawet ona nie wie - rzekł Farok. - Mój syn karmi ją fałszywymi wspomnieniami, którymi sama przed sobą tłumaczy te wizyty. Myśli, że jest w nim zakochana. Jej rodzina w to wierzy. Są źli, bo przecież nie jest pełnym sił mężczyzną, ale oczywiście nie będą się wtrącać.

Muzyka stopniowo ucichła.

Przywołana gestem młodzieńca, dziewczyna usadowiła się przy nim i nachyliła bliżej, by słyszeć, co do niej szeptają.

- Co z nią zrobicie? - zapytał Farok. Scytalus zbadał wzrokiem dziedziniec.

- Kto jeszcze jest w tym domu? - zainteresował się.

- Wszyscy jesteśmy tutaj - rzekł Farok. - Nie powiedziałeś mi, co zamierzacie zrobić z tą kobietą. Mój syn chciałby to wiedzieć.

Scytalus wyciągnął przed siebie prawą rękę, jak gdyby miał zaraz odpowiedzieć. Z rękawa szaty wystrzeliła błyszcząca igła i wbiła się w kark Faroka. Żadnych krzyków, żadnej zmiany pozycji. Farok będzie martwy w ciągu minuty, lecz teraz siedział bez ruchu, zmrożony trucizną w żądle.

Scytalus wstał powoli i podszedł do ślepego muzyka. Chłopak wciąż szeptał do kobiety, gdy trafiła weń igła.

Scytalus ujął dziewczynę za ramię i delikatnie ją podciągnął, zmieniając swą powierzchowność, nim zdążyła na niego spojrzeć. Wyprostowała się, podniosła na niego oczy.

- O co chodzi, Farok? - spytała.

- Mój syn jest zmęczony i musi odpocząć - powiedział Scytalus. - Chodź. Wyjdziemy tylnym wyjściem.

- Tak miło nam się rozmawiało - powiedziała. - Myślę, że przekonałam go, żeby przyjął tleilaxańskie oczy. Dzięki nim znów stałby się mężczyzną.

- Czy nie mówiłem o tym wiele razy? - spytał Scytalus, prowadząc ją do izby na tyłach domu.

Jego głos, co zauważył z dumą, dokładnie współgrał z rysami. Nie mogło być cienia wątpliwości, że to głos starego Fremena, który w tej chwili z pewnością był już martwy.

Scytalus westchnął. Okazał im zrozumienie, a ofiary na pewno zdawały sobie sprawę z ryzyka. Teraz należało dać szansę dziewczynie.

Imperia w fazie tworzenia nie uskarżają się na brak celu. Dopiero gdy już okrzepną, cele gubią się, zastępowane przez złudny rytuał.

"Słowa Muad'Diba"

w opracowaniu księżnej Irulany

Alia zdawała sobie sprawę, że to posiedzenie Rady Imperialnej będzie trudne. Wiszący w powietrzu spór narastał, gromadził energię - czuła to w sposobie, w jaki Irulana odwracała wzrok od Chani, Stilgar nerwowo przewracał papiery, a Paul zerkał na Kwizara Korbę.

Alia usadowiła się na końcu złotego stołu obrad tak, by przez balkonowe okna mogła spoglądać w przymglone światło popołudnia.

Korba, któremu przerwała wchodząc, podjął wątek, zwracając się do Paula:

- Chodzi mi o to, panie, że nie ma teraz tak wielu bogów, ilu ongiś było.

Alia roześmiała się, odrzucając w tył głowę. Kaptur jej czarnej aby opadł, odsłaniając rysy - błękitne w błękicie "przyprawowe oczy", owal twarzy jak u matki - pod czapą miedzianych włosów mały nos, pełne i szerokie usta.

Policzki Korby przybrały niemal kolor jego ceglastej szaty. Zmierzył Alię spojrzeniem, rozwścieczony gnom, łysy i pałający oburzeniem.

- Czy wiesz, co mówi się o twoim bracie? - zapytał.

- Wiem, co mówi się o twoim Kwizaracie - odparowała Alia. - Nie jesteście sługami boga, jesteście szpiegami boga.

Korba wzrokiem poprosił Paula o poparcie.

- Wypełniamy wolę Muad'Diba, aby znał On prawdę o swoim ludzie i by lud jego znał prawdę o Nim.

- Szpieczy - powtórzyła Alia. Korba zacisnął usta urażony.

Paul spojrzał na siostrę, zastanawiając się, po co sprowokowała Korbę. Spostrzegł nagle, że Alia stała się kobieta, piękna, olśniewającą niewinnością pierwszej młodości. Miała piętnaście lat, prawie szesnaście. Wielebna Matka, która nie zaznała macierzyństwa, dziewicza kapłanka, obiekt trwożnej czci przesądnych mas: Alia - od - Noża.

- To nie czas ani miejsce na popisy twojej siostry - zauważyła Iru - lana.

Paul udał, że jej nie słyszy. Kiwnął na Korbę.

- Plac jest pełen pielgrzymów. Wyjdź i poprowadź modły.

- Ale oni oczekują ciebie, mój panie - rzekł Korba.

- Włóż turban - powiedział Paul. - Nie zorientują się z tej odległości.

Irulana, zlekceważona, przełknęła złość obserwując, jak Korba wstaje, by wykonać polecenie. Nagle odczuła niepokój, że być może Edric nie zdoła ukryć przed Alią jej działań. "Co my naprawdę wiemy o niej?" - zastanawiała się.

Chani, trzymając na kolanach mocno zaciśnięte ręce, spoglądała przez stół na swojego wuja Stilgara, Ministra Stanu Paula. Czy ten stary fremeński naib kiedykolwiek zatęsknił za nieskomplikowanym życiem w pustynnej siczy? Zauważyła, że czarne włosy Stilgara zaczęły siwieć na skroniach, ale oczy pod gęstymi brwiami nadal były dalekowzroczne. To orle spojrzenie było rodem z pustyni, a na brodzie Fremena wciąż widniał odcisk chwytowności świadczący o życiu w filtrfraku.

Wytracony z równowagi wzrokiem Chani, Stilgar rozejrzał się po Sali Narad. Jego wzrok spoczął na balkonowym oknie, za którym stał Korba. Kwizar wzniosł wyciągnięte ramiona w geście błogosławieństwa, a niezwykle efekt zachodzącego słońca wymalował na szybie za nim czerwoną aureolę. Przez chwilę Stilgar widział ukrzyżowaną postać w gorejącym, ognistym kole. Korba opuścił ramiona, niweczając złudzenie, ale wstrząsające wrażenie nie opuściło Stilgara. W odruchu gniewnego rozczarowania jego myśli powędrowały ku płaszczącym się suplikantom, czekającym w sali audiencyjnej, a także ku nienawistnej celebrze, jaka otaczała tron Muad'Diba.

"Obcując z Imperatorem ma się nadzieję odnaleźć w nim skazy, czyha się na omyłki" - pomyślał Stilgar. Wiedział, że jest to profanacja, a jednak pragnął, by tak było.

Odległy hałas czyniony przez tłum wdarł się do komnaty, gdy Korba otworzył drzwi balkonowe. Po chwili z trzaskiem zapadły się za nim w uszczelniający kołnierz, odcinając dochodzące dźwięki.

Wzrok Paula pobiegł za Kwizarem. Korba zasiadł po lewej ręce Imperatora. W jego opanowanej, ciemnej twarzy oczy gorzały fanatyzmem. Napawał się tą chwilą religijnej wielkości.

- Obecność Ducha została przywołana - powiedział.

- Panu niech będą dzięki! - rzuciła Alia Wargi Korby zbieleły.

Paul znów zaczął przyglądać się siostrze, zastanawiając się, co powoduje jej agresję. "Niewinność jest tylko maską dla przebiegłości" - pomyślał. Alia była owocem tego samego planu hodowlanego Bene Gesserit, co i on. Co z nią zrobił genotyp Kwisatz Haderach? Istniała jednak niezgłębiona różnica: była nienarodzonym embrionem, gdy jej matka otrzymała trującą dawkę nieprzetworzonego melanzu. Matka i córka w jej łonie równocześnie stały się Wielebnymi Matkami. Lecz równoczesność nie oznaczała identyczności. Alia opowiadała kiedyś o tym przeżyciu. W tej jednej chwili otwarła się jej świadomość, a pamięć wchłaniała niezliczone inne życia tkwiące już w jej matce.

"Stałam się matką i wszystkimi innymi - mówiła. - Byłam nie - ukształtowana, nienarodzona, ale w owym momencie stałam się starą kobietą."

Alia uśmiechnęła się do brata, wyczuwając, że myśli o niej. Twarz Paula złagodniała. "Nikt nie może reagować na Korbę inaczej niż z cynicznym humorem" - stwierdził. Cóż może być bardziej śmiesznego niż komandos śmierci przemieniony w kapłana?

Stilgar postukał palcem w papiery.

- Jeśli mój suzeren pozwoli - zaczął - są tu sprawy naglące i trudne.

- Traktat z Tupile? - spytał Paul.

- Gildia obstaje przy tym, byśmy podpisali ten traktat bez poznania lokalizacji siedziby Sprzymierzenia Tupile - rzekł Stilgar. - Ma ono pewne poparcie ze strony delegatów Landsraadu.

- Jakie formy nacisku zamierzasz zastosować? - zapytała Irulana.

- Takie, jakie mój Imperator przewidział dla tego przedsięwzięcia. - W oficjalnym tonie odpowiedzi Stilgara tkwiła cała antypatia, jaką żywił dla Księżnej Małżonki.

- Mój panie i mężu - Irulana zwróciła się do Paula, zmuszając go, by na nią spojrzał.

"Podkreślanie tytularnej nierówności przy Chani to oznaka słabości" - pomyślał Paul. W takich chwilach dzielił niechęć Stilgara do Irulany, choć jego emocje studziło współczucie. Czymże była księżna, jeśli nie marionetką w rękach Bene Gesserit?

- Tak? - zagadnął. Irulana podniosła głowę.

- Jeżeli odetniesz im dopływ melanżu... Chani pokręciła głową z dezaprobatą.

- Staramy się postępować ostrożnie - powiedział Paul. - Tupile stało się schronieniem dla pokonanych wysokich rodów. Symbolizuje ostatnie schronienie, końcowy azyl dla wszystkich naszych poddanych. Ujawnienie sanktuarium wystawia je na cios.

- Jeśli potrafią ukrywać ludzi, mogą też ukryć inne rzeczy - burknął Stilgar. - Na przykład armię albo zaczątki uprawy melanżu, która...

- Nie zapędza się ludzi w ślepą uliczkę - odezwała się Alia - jeśli chce się utrzymać wśród nich spokój.

Już wiedziała, oto została wciągnięta w spór, który przewidziała.

- Więc straciliśmy dziesięć lat negocjacji na darmo - powiedziała Irulana.

- Żadne z działań mego brata nie jest daremne - odparła Alia. Irulana podniosła rysik, zaciskając na nim palce tak mocno, że aż

pobielaly. Paul widział, jak - żeby się opanować - stosuje Metodę Bene Gesserit: penetrujące wejrzenie w siebie, głęboki oddech. Nieomal słyszał, jak powtarza litanie.

- A co osiągnęliśmy? - powiedziała w końcu.

- Przeszkodziłoby Gildii odzyskać równowagę - rzekła Chani.

- Chcemy uniknąć otwartej konfrontacji z naszymi wrogami - powiedziała Alia - Nie pragniemy ich zabijać. Dostyc już jatek, które odbywają się pod sztandarem Atrydów.

"Ona też to czuje" - pomyślał Paul. Dziwne, jak dojmujące poczucie odpowiedzialności mieli oboje wobec tego krnąbrnego, bałwochwalczego wszechświata, miotającego się między chwilami spokoju i dzikiego pędu. "Czy musimy bronić ich przed nimi samymi? - zastanawiał się. - Cały czas zabawiają się nicością - puste życie, puste słowa. Zbyt wiele ode mnie żądają".

Czuł suchy ucisk w gardle. Ile chwil utraci? Jakich synów? Jakie marzenia? Czy było to warte ceny, jaką ujawniła mu wizja? Kto zapyta żyjących w odległej, dalekiej przyszłości, kto im powie: "Ale gdyby nie Muad'Dib, nie byłoby was tutaj".

- Odmawianie im melanżu nie rozwiąże niczego - mówiła Chani. - Wtedy Nawigatorzy Gildii utracą zdolność widzenia czasoprzestrzeni. Twoje siostry z Bene Gesserit stracą zmysł prawdopoznania. Wielu ludzi może umrzeć przedwcześnie. Komunikacja się załamie. Kogo będą winić?

- Nie dopuściliby do tego - powiedziała Irulana.

- Czyżby? - zapytała Chani. - Dlaczego nie? Któż obciążałby winą Gildię? Byłaby bezradna, manifestacyjnie bezradna.

- Podpiszemy ten traktat taki, jaki jest - rzekł Paul.

- Mój panie - Stilgar wpatrywał się w swoje ręce - nurtuje nas jedno pytanie.

- Tak? - Paul skoncentrował uwagę na starym Fremenie.

- Masz pewne... moce. Czy nie możesz zlokalizować Sprzymierzenia na przekór Gildii?

"Moce! - pomyślał Paul. - Stilgar nie mógł powiedzieć po prostu: Jesteś jasnowidzący. Czy nie potrafisz znaleźć w przyszłości ścieżki prowadzącej do Tupile?"

Paul patrzył na złotawą powierzchnię stołu. Zawsze ten sam problem: jak ma wyrazić granice niewyraźnego? Czy ma mówić o fragmentaryczności, będącej wrodzonym przeznaczeniem wszelkiej mocy? Jak ktoś, kto nigdy nie doświadczył przyprawowego proroczego transu może wyobrazić sobie świadomość pozbawioną trwałej czasoprzestrzeni, osobowych wektorów widzenia, a nawet związku między odebranymi bodźcami?

Zauważył, że Alia przygląda się Irulanie. Alia wyczuła jego spojrzenie, zerknęła na niego i głową wskazała księżną. No, tak. Każda odpowiedź, której udzieli, trafi do jednego ze specjalnych raportów Irulany dla Bene Gesserit. One nie zaprzestały poszukiwać klucza do swego Kwisatz Haderach.

Ale Stilgar zasługiwał na jakąś odpowiedź. A przy okazji - także i Irulana.

- Niewtajemniczeni traktują jasnowidzenie jako konsekwencję Praw Natury. - Paul uniósł ręce przed sobą. - Równie właściwym byłoby twierdzenie, iż oto niebiosy mówią do nas, że

widzenie przyszłości jest harmonijnym przejawem istoty człowieka. Innymi słowy, przepowiadanie jest naturalnym wynikiem fali teraźniejszości. Widzicie, ona przybiera pozór natury. Ale takiej mocy nie da się użyć dla osiągnięcia z góry założonych celów. Czy wiór, schwytany przez falę, powie, dokąd zmierza? W wyroczni nie ma przyczyn i skutków. Przyczyna staje się przypadkowym przepływem, miejscem, gdzie spotykają się prądy. Przyjmując wizję przyszłości, posługujecie się pojęciami sprzecznymi z intelektem. Tak więc wasza rozumna świadomość odrzuca je. A po odrzuceniu rozum staje się częścią procesu i zaczyna być odeń zależny.

- Nie możesz tego zrobić? - zapytał Stilgar.

- Gdybym miał szukać Tupile z pomocą wyroczni - Paul mówił wprost do Irulany - mogłaby ona ukryć Tupile.

- Chaos! - wykrzyknęła Irulana. - To nie jest... nie jest... spójne!

- Powiedziałem przecież, że nie podlega żadnym Prawom Natury - rzekł Paul.

- A więc istnieją granice tego, co możesz widzieć lub czynić swymi mocami? - spytała Irulana.

- Droga Irulano - powiedziała Alia, zanim Paul zdążył się odezwać - jasnowidzenie nie ma granic. Niespójne? Spójność nie jest koniecznym aspektem wszechświata.

- Ale on mówił...

- W jaki sposób mój brat ma ci udzielić wyczerpującej informacji o granicach czegoś, co nie ma granic? Nieskończoność wymyka się pojmowaniu.

"Paskudnie, że Alia to zrobiła - pomyślał Paul. - To może spłoszyć Irulanę, której świadomość była tak skrupulatna, tak zależna od wartości wynikających ze sprecyzowanych ograniczeń." Powiódł wzrokiem ku Korbie, który siedział w pozie religijnej zadumy - słuchając duszą. Jaki użytek mógłby zrobić Kwizarat z tej wymiany zdań? Więcej mistycznej tajemnicy? Coś, co wywoła lęk? Bez wątpienia.

- Więc podpiszesz ten traktat w obecnej formie? - spytał Stilgar.

Paul uśmiechnął się. Stilgar uznał sprawę jasnowidzenia za zamkniętą. Celem Stilgara było tylko zwycięstwo, nie odkrywanie prawd. Pokój, sprawiedliwość i porządek monetarny - to były podstawy jego wszechświata. Chciał czegoś rzeczywistego i namacalnego - podpisu pod traktatem.

- Podpiszę go - rzekł Paul. Stilgar wziął do ręki nową teczkę.

- Ostatnie doniesienia od naszych dowódców liniowych w sektorze IX mówią o agitacji na rzecz konstytucji. - Stary Fremen rzucił okiem na Chani, ale ta wzruszyła tylko ramionami.

Irulana, która z zamkniętymi powiekami trzymała obie dłonie na czole w transie mnemonicznego zapamiętywania, otworzyła oczy i szybko spojrzała na Paula.

- Konfederacja Ixiańska proponuje poddanie się - mówił Stilgar - ale ich negocjatorzy kwestionują wysokość podatku imperialnego, który...

- Marzy im się legalne ograniczenie mojej imperialnej woli - powiedział Paul. - Kto miałby mnie nadzorować, Landsraad czy KHOAM?

Stilgar wydobyl z teczki notatkę na niezniszczalnym papierze.

- Jeden z naszych agentów nadesłał to memorandum mniejszościowej kliky w KHOAM. - Zaczął czytać szyfrogram bezbarwnym głosem: - "Trzeba powstrzymać dążenie tronu do jednowładztwa. Musimy powiedzieć prawdę o Atrydzie, o jego manipulacjach ukrytych pod potrójną oszukańczą przykrywką prawodawstwa Landsraadu. przywództwa religijnego i biurokratycznej skuteczności".

Stilgar wepchnął notatkę z powrotem do teczki.

- Konstytucja! - mruknięła Chani.

Paul zerknął na nią, potem znów na Stilgara. 'Tak oto Dżihad chwieje się w posadach - pomyślał. - Lecz nie na tyle szybko, żeby mnie ocalić.' Ta myśl wzbudziła w nim emocjonalne napięcie. Pamiętał swoje najwcześniejsze wizje przyszłej Dżihad, przerażenie i odrazę, którymi go napełniały. Teraz, oczywiście, znał już wizje straszliwsze. Żył wśród rzeczywistej przemocy. Widział swoich Fremenów tak przepojonych mistyczną siłą, że w religijnej wojnie niszczyli wszystko. Na Dżihad patrzył z nowej perspektywy. Była skończona, oczywiście, krótki spazm w porównaniu z wiecznością, lecz teraz poza nią czały się koszmary, które miały przyćmić to, co już było.

"A wszystko w moim imieniu" - pomyślał Paul.

- A gdyby im dać jakąś formę konstytucji? - podsunęła Chani. - Niekoniecznie realną.

- Fałsz jest narzędziem polityki - zgodziła się Irulana.

- Istnieją granice władzy, jak twierdzą ci, którzy pokładają nadzieje w konstytucji - odparł Paul.

Korba podniósł się w swej pełnej uszanowania pozie.

- Mój panie?

- Słucham.

"O, proszę! - pomyślał Paul. - Oto ktoś, kto może czuć ukryte sympatie dla wyimaginowanych rządów Prawa."

- Moglibyśmy zacząć od konstytucji religijnej - powiedział Korba. - Czegoś dla wiernych, którzy...

- Nie! - warknął Paul. - Ogłosimy to jako Rozporządzenie Imperialne. Notujesz, Irulano?

- Tak, mój panie - lodowaty głos Irulany wyrażał brak zachwytu nad podrzędną rolą, jaką jej narzucił.

- Konstytucje stają się najwyższą formą tyranii - zaczął Paul. - Dają władzę zorganizowaną na przytłaczającą skalę. Konstytucja to pozbawiona świadomości, uaktywniona siła społeczna. Może zdruzgotać zarówno wielkich, jak małych, zmiatając wszelką godność i indywidualność. Jest niestabilna, a jednocześnie nie ma żadnych ograniczeń. Ja jednakże podlegam ograniczeniom. W trosce o zapewnienie maksymalnej opieki swemu ludowi zakazuję tworzenia konstytucji. Rozporządzenie z dnia, itd., itd.

- Co z postulatami Ixian w sprawie podatków, panie? - spytał Stilgar.

Paul zmusił się do oderwania wzroku od chmurnej twarzy Korby.

- Masz jakieś propozycje, Stil?

- Musimy trzymać rękę na podatkach, Sire.

- Ceną, której zażądamy od Gildii za podpisanie traktatu z Tupile - rzekł Paul - będzie poddanie Konfederacji Ixiańskiej obowiązkowi płacenia nam podatków. Konfederacja nie może prowadzić handlu bez transportu Gildii. Zapłacą.

- Bardzo dobrze, mój panie - Stilgar wyciągnął następną teczkę, odchrząknął. - Raport Kwizaratu z Salusa Secundus. Ojciec Irulany przeprowadza manewry desantowe swoich oddziałów.

Irulana z zainteresowaniem oglądała wewnętrzną stronę dłoni. Na jej szyi pulsowała malutka żyłka.

- Irulano - zagadnął Paul - czy nadal upierasz się przy twierdzeniu, że ten jeden legion twojego ojca to nic więcej jak tylko zabawka?

- Co mógłby zdziałać z jednym legionem? - powiedziała, spoglądając na niego spod przymrużonych powiek.

- Mógłby wyprawić się na tamten świat - zauważyła Chani.

- A winą obarczono by mnie. - Paul pokiwał głową.

- Znam paru dowódców Dżihad - wtrąciła Alia - którzy rzuciliby się na twego ojca, gdyby się o tym dowiedzieli.

- Ależ to tylko jego siły policyjne! - zaprotestowała Irulana.

- Więc niepotrzebne im manewry desantowe - stwierdził Paul. - Proponuję, żeby twój następny liścik do ojca szczerze i bez ogródek naświetlił mu moje poglądy na jego delikatną sytuację.

Irulana spuściła wzrok.

- Tak, panie. Mam nadzieję, że na tym się to zakończy. Ojciec nadawałby się na męczennika.

- Mhmm - mruknął Paul. - Moja siostra nie przekaże wiadomości dowódcom, o których wspomniała, chyba, żebym jej kazał.

- Atak na mojego ojca pociągnąłby jeszcze inne zagrożenia poza militarnymi, widocznymi na pierwszy rzut oka - powiedziała Irulana. - Ludzie zaczynają wspominać dni jego panowania z pewną nostalgią.

- Któregoś dnia posuniesz się za daleko - odezwała się Chani śmiertelnie poważnym tonem.

- Dość! - uciął Paul.

Rozwagał ujawnioną przez Irulanę informację o powszechnej nostalgii. No tak, brzmiała w tym nuta prawdy. Raz jeszcze Irulana dowiodła swojej wartości.

- Bene Gesserit przysłały oficjalną prośbę - powiedział Stilgar, wyjmując kolejną teczkę. - Chcą naradzić się z tobą w sprawie zachowania twojej linii genetycznej.

Chani spojrzała z ukosa na teczkę, jak gdyby była w niej bomba.

- Wyślij zakonowi żeńskiemu te same wymówki, co zwykle - rzekł Paul.

- Czy to koniecznie? - zapytała Irulana.

- Może... jest już czas, żeby o tym pomówić - powiedziała Chani.

Paul gwałtownie zaprzeczył głową. Nie mogły wiedzieć, że chodziło o cenę, jakiej jeszcze nie zdecydował się zapłacić. Ale Chani nie można już było powstrzymać:

- Byłam przy ścianie modłów w siczy Tabr, tam, gdzie się urodziłam - powiedziała. - Podałam się kuracji lekarskiej. Uklękałam na pustyni i słałam myśli w głębiny, w których żyje Szejhulud. Jednak - wzruszyła ramionami - nic nie pomogło.

"Nauka i zabobon - pomyślał Paul - wszystko ją zawiodło. Czy ja także ją zawodzę, ukrywając przed nią to, czego powodem staną się narodziny dziedzica rodu Atrydów?" Podniósł wzrok i w oczach Alii natrafił na błysk litości. Sama myśl, że siostra się nad nim lituje, wzbudziła w nim odrazę. Więc ona także widziała tę przerażającą przyszłość?

- Mój pan musi zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie naraża królestwo, nie pozostawiając następcy tronu - przekonywał go miękki głos Irulany, poparty kunsztem Bene Gesserit. - Rzecz jasna, dyskutować o tych sprawach jest niezręcznie, ale trzeba je wreszcie wydobyć na światło dzienne. Imperator jest kimś więcej niż tylko mężczyzną. Odpowiada za królestwo. Jeżeli umrze bez następcy, niechybnie rozpocznie się wojna domowa. Skoro kochasz swój lud, nie możesz go chyba tak zostawić?

Paul odsunął się od stołu i podszedł do okien wychodzących na balkon. Wiatr nie pozwalał unosić się ku niebu dymom miasta. Na horyzoncie ciemniał srebrny błękit, przygaszony wieczornym opadem pyłu z Muru Zaporowego. Imperator spojrzał na południe, na szaniec chroniący jego północne ziemie przed kurzą Coriolisa i zastanawiał się, dlaczego spokój jego ducha nie mógł znaleźć sobie takiej tarczy.

Za jego plecami Rada czekała w milczeniu, świadoma, jak bliski był gniewu.

Paul czuł, że czas go przynagla. Usiłował narzucić sobie wielopłaszczyznową równowagę, na podstawie której mógłby kształtować nową przyszłość.

"Odejść... odejść... odejść..." - pomyślał. Co by się stało, gdyby zabrał Chani, po prostu spakowałby się i wyjechał wraz z nią, szukając azylu na Tupile? Pozostanie po nim jego imię. Dżihad znajdzie nowe, podniecające cele, ku którym zwróci swój impet. Za to też będą winić jego. Poczul nagły strach, że sięgając po cokolwiek nowego, spowoduje upadek tego, co najcenniejsze, że najlżejszy dźwięk, jaki wyda, sprawi, że wszechświat się zapadnie, umykając mu tak, że w końcu nie będzie już mógł pochwycić żadnej jego cząstki.

Plac poniżej niego stał się tłem dla grupy pielgrzymów odzianych w zieleń i biel wymaganą przez hadżdż. Podążali za idącym szybko arrakańskim przewodnikiem jak wąż z poprzetracanymi kręgami. Ich widok przypominał Paulowi, że jego sala audiencyjna jest już pewnie po brzegi napchana suplikantami. Pielgrzymi! Ich obyczaje przyjęte w koczowniczym życiu stały się obrzydliwym źródłem dochodu dla Imperium. Hadżdż wypełniła kosmiczne szlaki religijnymi włóczęgami. Napływali, napływali i napływali.

"W jaki sposób puściłem to w ruch?" - zapytywał siebie.

To oczywiście uruchomiło się samo. To było w genach, które, być może, trzymały się przez całe wieki, aby osiągnąć ten krótkotrwały stan.

Wiedzeni najgłębszym religijnym instynktem, ludzie przybywali tu w poszukiwaniu zmartwychwstania. Tu kończyła się pielgrzymka: Arrakis - miejsce powtórnych narodzin, miejsce do umierania.

Przewrotni starzy Fremeni twierdzili, że pielgrzymi potrzebni mu są dla ich wody.

"Czego naprawdę szukają pielgrzymi?" - zastanawiał się Paul. Mówili, że zdążają do świętego miejsca. Musieli przecież wiedzieć, że we wszechświecie nie ma źródła Edenu, nie ma Tupile dla duszy. Nazywali Arrakis gniazdem nieznanego, miejscem, gdzie wyjaśniają się tajemnice. Istniała więc między tym wszechświatem, a następnym. I najstraszniejsze było to, że odchodząc, wydawali się zaspokojeni.

"Co oni tu znajdują?" - zadawał sobie pytanie.

Często w religijnej ekstazie napędlali ulice wrzaskiem jak jakaś dziwaczna ptaszarnia. Przez to Fremeni mówili o nich: "przelotne ptaki". A o tych paru, którzy tu umarli - "skrzydlate dusze".

Paul pomyślał z westchnieniem, że każda nowa planeta podbita przez jego legiony staje się nowym źródłem pielgrzymów. Przybywali w podzięcie za "pokój Muad'Diba".

"Wszędzie jest pokój - pomyślał. - Wszędzie... tylko nie w sercu Muad'Diba."

Czuł, że jakaś jego część pograżyła się w mroźnej, okrytej szronem ciemności bez kresu. Jego prorocza moc fałszowała obraz wszechświata, jaki jawił się innym ludziom. Muad'Dib wstrząsnął zacisznym kosmosem, poczucie bezpieczeństwa zastąpił swoją Dżihad. Wywalczył, wymyślił i wyprorokował ludzki wszechświat. Lecz teraz przepełniała go pewność, że ten wszechświat wymyka mu się spod kontroli.

Planeta pod jego stopami, która z jego rozkazu miała być przekształcona w raj wodnej obfitości, była żywa. Jej tętno biło tak silnie jak tętno każdego człowieka. Walczyła z nim, opierała się, uchylała przed jego rozkazami...

Czyjaś ręka wśliznęła się w jego dłoń. Podniósł wzrok i zobaczył Chani, patrzącą na niego z niepokojem w oczach.

- Kochany, proszę, nie walcz z ruh-duchem swojej jaźni - wyszeptała. Z ciepła jej dłoni płynęło krzepiące go uczucie.

- Sihaja... - szepnął.

- Musimy szybko wrócić na pustynię - powiedziała cicho. Uścisnął jej rękę, wypuścił ją i wrócił do stołu. Chani zajęła swoje miejsce.

Irulana z zaciśniętymi w wąską kreskę ustami spoglądała na leżące przed Stilgarem papiery.

- Irulana wysuwa swoją kandydaturę na matkę następcy imperialnego tronu - powiedział Paul. Zerknął na Chani, potem znów na Irulanę, która nie odważyła się spojrzeć mu w oczy. - Wiemy wszyscy, że nie żywi do mnie miłości.

Irulana znieruchomiała.

- Znam argumenty polityczne - ciągnął Paul. - To, co mnie niepokoi, to kwestie ludzkie. Myślę, że gdyby Księżna Małżonka nie była sterowana rozkazami Bene Gesserit, gdyby jej pragnieniu nie przyświecała żądza własnej potęgi, moja reakcja byłaby zupełnie inna. Ale skoro sprawy stoją tak, jak stoją, odrzucam tę propozycję.

Irulana wciągnęła głęboko powietrze.

Siadając na swoim miejscu, Paul pomyślał, że nigdy nie widział jej tak źle panującej nad sobą.

- Irulano, naprawdę przykro mi - rzekł, nachylając się ku niej. Uniosła głowę z furią w oczach.

- Nie chcę twojej litości! - syknęła - Czy jest jeszcze coś ważnego i naglącego? - rzuciła w kierunku Stilgara.

- Jeszcze jedna sprawa, panie - odparł Stilgar, nie odrywając wzroku od Paula. - Gildia ponownie proponuje otwarcie oficjalnej ambasady tu, na Arrakis.

- Z rodzaju tych próżniowych? - spytał Korba głosem pełnym fanatycznej odrazy.

- Przypuszczalnie - odpowiedział Stilgar.

- Ta sprawa powinna być rozważona z najwyższą ostrożnością, mój panie - ostrzegł Korba. - Radzie naibów nie spodoba się prawdziwy Gildianin tu, na Arrakis. Oni bezczeszczą nawet ziemię, po której stąpają.

- Żyją w zbiornikach i nie stąpają po ziemi - Paul pozwolił sobie na irytację w głosie.

- Naibowie mogliby przejąć sprawę we własne ręce, panie - rzekł Korba.

Paul zmierzył go spojrzeniem.

- Mimo wszystko są Fremenami, mój panie - upierał się Korba. - Doskonale pamiętamy, jak Gildia przywiozła tu tych, którzy nas uciskali. Nie zapomnieliśmy, jak wymuszali od nas okup w przypowie za zachowanie naszych sekretów w tajemnicy przed wrogami. Wydzierali nam każdą...

- Dosyć! - wybuchnął Paul. - Czy myślisz, że ja zapomniałem? Korba wybełkotał coś niezrozumiałe, jak gdyby dopiero teraz dotarło do niego znaczenie własnych słów.

- Wybacz mi, panie. Nie chciałem dać do zrozumienia, że ty nie jesteś Fremenem. Nie miałem...

- Przyślą Nawigatora - powiedział Paul. - Mało prawdopodobne, by Nawigator tu przybył, gdyby widział w tym zagrożenie.

- Czy ty... widziałeś, jak zjawia się tu Nawigator? - spytała Irulana suchymi ze zdenerwowania ustami.

- Naturalnie, że nie widziałem Nawigatora - przedrzeźnił ją Paul. - Ale widzę, gdzie był i widzę, dokąd zmierza. Niechże nam go przyślą. Może będę mógł zrobić z tego użytek.

- A więc zarządzone - rzekł Stilgar.

"A jednak to prawda - uśmiechnęła się Irulana, przysłaniając twarz dłonią. - Nasz Imperator nie jest w stanie dojrzeć Nawigatora. Wobec siebie obaj są ślepi. Spisek jest nie do wykrycia."

"Raz jeszcze dramat się zaczyna"

*Imperator Paul Muad'Dib,
wstępując na Lwi Tron*

Alia spoglądała przez ukryte okienko na wielką salę audiencyjną, obserwując, jak nadchodzi orszak Gildian.

Jaskrawosrebrne światło południa lało się przez okna głównej nawy na posadzkę wyłożoną zielonymi, niebieskimi i kremowymi płytkami, imitującymi staw pełen wodnych roślin, ponad którym tu i ówdzie plama kontrastującego z tłem koloru oznaczała ptaka lub zwierzę.

Gildianie szli przez wzór na posadzce jak myśliwi podchodzący zwierzynę w niesamowitej dżungli. Tworzyli ruchomy deseń szarych, czarnych i pomarańczowych szat, zgrupowanych w złudnie przypadkowym szyku wokół przezroczystego zbiornika, w którym otoczony gazem pływał Sternik - Ambasador. Zbiornik ślizgał się na polu dryfowym, ciągnięty przez dwóch odzianych na szaro członków świty, jak prostopadłościenny statek holowany do doku.

Tuż pod stanowiskiem obserwacyjnym Alii, na podwyższeniu, na Lwim Tronie siedział Paul. Na głowie miał nową obrzędową koronę z symbolami ryby i pięści. Jego ciało okrywały wysadzone klejnotami, złote szaty. Spowijała go również migocząca poświata osobistej tarczy. Wzdłuż podwyższenia i na jego stopniach stały dwa szeregi ochroniarzy. Po prawej stronie, dwa stopnie poniżej Paula, stał Stilgar w białej szacie przepasanej żółtym sznurem.

Siostrzana intuicja mówiła Alii, że w Paulu wrze to samo podniecenie, co w niej, choć wątpiła, by kto inny zdołał to dostrzec. Z uwagą wpatrywała się w człowieka w pomarańczowej szacie, którego nieobecne metalowe oczy nie spoglądały ani w lewo, ani w prawo. Szedł z przodu po prawej stronie orszaku Ambasadora niczym pewny siebie wojskowy. Płaska twarz okolona kręconymi włosami, postać okryta uroczystą szatą, każdy gest - wszystko to krzyczało ludzającym podobieństwem.

To był Duncan Idaho.

To nie mógł być Idaho, a jednak nim był.

Wspomnienia wchłonięte w łonie matki podczas przyprawowej przemiany pozwoliły Alii zidentyfikować tego człowieka deszyfracją rihani, odkrywającą każdy kamuflaż. Paul go poznawał, wiedziała to dzięki niezliczonym własnym przeżyciom, dzięki spędzonej wspólnie z bratem młodości.

To był Duncan.

Alia zadrżała. Mogło być tylko jedno wyjaśnienie: to tleilaxański ghola, istota odtworzona z martwego ciała oryginału. Oryginał zginął, ratując życie Paula. To mógł być tylko produkt aksolotlowych zbiorników.

Ghola stapał czujnym, kogucim krokiem mistrza fechtunku. Zatrzymał się, gdy zbiornik Ambasadora osiadł o dziesięć kroków od podwyższenia.

Metodą Bene Gesserit, od której nie mogła się oswobodzić, Alia odczytywała niepokój Paula. Nie patrzył teraz na nauczyciela ze swej przeszłości. Ale nie patrząc, wpatrywał się w ghole całą swą istotą. Mięśnie napięły się, przewyciężając opór. Skinął Ambadorowi Gildii, mówiąc:

- Powiedziano mi, że nazywasz się Edric. Witamy cię na naszym dworze w nadziei, że zrodzi to pomiędzy nami nowe zrozumienie.

Nawigator przybrał wygodną pozę sybaryty, odchylił się w pomarańczowym gazie i wrzucił do ust pastylkę melanzu, zanim spojrzał w oczy Paula. Mały transduktor krążący wokół rogu zbiornika przekazał kasznięcie, potem szorstki, beznamiętny głos:

- Chylę się przed mym Imperatorem i błagam o pozwolenie złożenia listów uwierzytelniających oraz drobnego podarunku.

Adiutant podał Stilgarowi zwój, który ten obejrzał, marszcząc brwi, a następnie skinął głową do Paula. Obaj, Stilgar i Paul, zwrócili się teraz ku gholi, który stał cierpliwie u stóp podwyższenia.

- Zaiste, mój Imperator rozpoznał dar - rzekł Edric.

- Z przyjemnością uznajemy twoje listy uwierzytelniające - powiedział Paul. - Opowiedz o podarunku.

Edric przekręcił się w pojemniku, przenosząc wzrok na ghole.

- Oto człowiek, którego nazywamy Hayt - powiedział, przelitero - wując imię. - Nasze dochodzenie wykazało, że ma bardzo ciekawą historię. Został zabity tu, na Arrakis... paskudna rana głowy wymagająca wielu miesięcy regeneracji. Ciało zostało sprzedane Bene Tleilax jako szczątki niezrównanego szermierza, wychowanka szkoły Giną - zów. Stwierdziliśmy, że musi to być Duncan Idaho, twój zaufany dworzanin. Kupiliśmy go jako dar odpowiedni dla Imperatora. - Edric zerknął w górę na Paula. - Czyż to nie Idaho, Sire?

Samokontrola i ostrożność stłumiły głos Paula.

- Wygląda jak Idaho.

"Czy Paul widzi coś, czego ja nie dostrzegam? - zastanawiała się Alia. - Nie! To jest Duncan!"

Człowiek nazwany Haytem stał nieporuszony. Rozluźnił jedynie ciało, utkwivszy metalowe spojrzenie w jakimś punkcie przed sobą. Nie zrobił żadnego gestu świadczącego o tym, że wie, iż jest tematem dyskusji.

- Zgodnie z naszymi najdokładniejszymi informacjami, to Duncan Idaho - powiedział Edric.

- Nazywa się teraz Hayt - zauważył Paul. - Ciekawe imię.

- Sire, próżno by zgadywać, jak i dlaczego Tleilaxanie nadają imiona - rzekł Edric. - Ale imię można zmienić. Imię Tleilaxan ma niewielkie znaczenie.

"To wytwór Tleilaxan - pomyślał Paul. - W tym cały problem. Bene Tleilax nie żywią zbytniego przywiązania do natury zjawisk. Dobro i zło ma równe znaczenie w ich filozofii. Co mogli wbudować w ciało Idaho, z dalekosiężnym zamiarem lub dla kaprysu?"

Paul spojrzał na Stilgara; dostrzegł zabobonny lęk Fremana. To uczucie promieniowało na szeregi jego gwardii. Umysł Stilgara zaprzętały teraz zapewne domysły na temat obmierzłych zwyczajów Gildian, Tleilaxan i gholi.

- Hayt, czy to twoje jedyne imię? - zagadnął Paul, zwracając się do gholi.

Spokojny uśmiech okrył ciemną twarz gholi. Metalowe oczy podniosły się i utkwily w Paulu, nie tracąc swego mechanicznego wyrazu.

- Tak właśnie się nazywam, mój panie: Hayt

W swej mrocznej kryjówce Alia zadygotała. To był głos Idaho: barwa dźwięku tak precyzyjna, że wyczuła jego piętno w swych komórkach.

- Może będzie to miłe memu panu - dodał ghola - jeśli powiem, że jego głos sprawia mi przyjemność. To znak, mówili Bene Tleilax, że słyszałem już ten głos... kiedyś.

- Ale nie wiesz tego na pewno - stwierdził Paul.

- Niczego o mojej przeszłości nie wiem na pewno, panie. Wyjaśniono mi, że nie mogę mieć żadnych wspomnień z poprzedniego życia. Jedyne, co z niego zostało, to wzorzec stworzony przez geny. Istnieją jednak nisze, do których znane niegdyś rzeczy mogą pasować. Są to głosy, miejsca, potrawy, twarze, dźwięki, czynności - miecz w dłoni, stery omitoptera...

Zauważając, z jakim napięciem Gildianin przysłuchuje się tej rozmowie, Paul zapytał:

- Pojmujesz, że jesteś podarunkiem?

- Wyjaśniono mi to, mój panie.

Paul oparł się, kładąc ręce na poręczach tronu.

"Jaki dług mam wobec ciała Duncana? - rozmyślał. - Ten człowiek zginął, ratując mi życie. Ale to nie jest Idaho, to ghola." A jednak stały tu: ciało i mózg, które nauczyły go pilotować omitopter tak, jak gdyby skrzydła wyrastały z jego własnych ramion. Paul wiedział, że nie mógłby

wziąć w rękę miecza, gdyby nie mógł polegać na twardej szkole Idaho. Ghola. To było ciało pełne fałszywych wrażeń, które trudno było właściwie odczytać. Narzucały się stare skojarzenia. Duncan Idaho. Była to nie tyle maska, którą nosił ghola, co luźna, kryjąca ciało szata osobowości poruszająca się odmiennie niż to, co Tleilaxanie w niej schowali.

- Jak mógłbyś mi służyć? - zapytał.

- Jakkolwiek pan mój zażąda, a moje umiejętności pozwolą.

Alia, przyglądająca się wszystkiemu ze swojego dogodnego punktu obserwacyjnego, była poruszona nieśmiałością gholi. Nie odczuła żadnego udawania. Coś w najwyższym stopniu niewinnego promieniowało od tego nowego Duncana Idaho. Jego pierwowzór był świa - towcem, zuchwałym lekkoduchem. A to ciało zostało z tego wszystkiego wyprane. Czysta powierzchnia, pod którą Tleilaxanie zapisali... co?

Poczuła teraz groźbę ukrytą w tym podarku. To była zabawka Tlei - laxan, a oni zawsze wykazywali niepokojący brak zahamowań w tym, co tworzyli. Motorem ich działań była rozpasana ciekawość. Chętni się, że z odpowiedniego materiału ludzkiego mogą zrobić wszystko - szatanów i świętych. Sprzedawali mentatów - zabójców. Produkowali lekarzy - zabójców, przełamując w tym celu zasady Akademii Suk zabraniające odbierania człowiekowi życia. Wśród ich wytworów byli gorliwi słudzy, zręczne seksualne zabawki, zdolne zaspokoić każdy kaprys, żołnierze, generałowie, filozofowie, nawet jakiś przypadkowy moralista.

Paul drgnął, spojrzał na Edrica.

- Jak ten podarek został wyszkolony? - spytał.

- Jeśli mój pan pozwoli - rzekł Edric - Tleilaxanom spodobało się wykształcić tego gholę jako mentata i filozofa Zensunnitów. W ten sposób chcieli podnieść jego umiejętność władania mieczem.

- I udało im się?

- Nie wiem, mój panie.

Paul ważył odpowiedź. Prawdopoznanie mówiło mu, iż Edric szczerze wierzy, że ghola jest Duncanem Idaho. Lecz było jeszcze coś więcej. Wody Czasu, wśród których poruszał się ten jasnowidzący Nawigator, sugerowały zagrożenie, nie ukazując go. Hayt. Tleilaxańskie imię mówiło o niebezpieczeństwie. Paul miał ochotę odrzucić dar, lecz czując pokusę, wiedział, że nie może wybrać tej drogi. Ten ghola miał swe miejsce w rodzie Atrydów - był to fakt, o którym nieprzyjaciół doskonale wiedział.

- Zensunnicki filozof - zadumał się Paul, ponownie spoglądając na gholę. - Rozwagałeś swoją własną rolę i motyw?

- Podchodzę do mojej służby z pokorą, Sire. Jestem czystym umysłem, wypranym z imperatywów mej człowieczej przeszłości.

- Wolisz, żebyśmy cię nazywali Haytem czy Duncanem Idaho?

- Mój pan może mnie nazwać, jak zechce, bo nie jestem imieniem.

- Ale czy podoba ci się imię Duncana Idaho?

- Myślę, że to było moje imię, Sire. Wewnętrznie pasuje do mnie. Ale... wywołuje dziwne reakcje. Czyjeś imię, jak sędzę, może nieść wiele rzeczy nieprzyjemnych na równi z przyjemnymi.

- Co sprawia ci największą przyjemność? - spytał Paul. Nieoczekiwanie ghola roześmiał się.

- Szukanie znaków zdradzających moje poprzednie "ja".

- I widzisz tu takie znaki?

- O tak, mój panie. Twój człowiek, Stilgar, o tam, miota się między podejrzliwością a podziwem. Był przyjacielem mego poprzedniego "ja", lecz ciało gholi napawa go odrazą. Ty, mój panie, podziwiałeś człowieka, którym byłem... i ufałeś mu.

- Wyprany umysł - powiedział Paul. - Jak może czysty umysł zaprzedać się nam w niewolę?

- W niewolę, panie? Czysty umysł podejmuje decyzje w obliczu niewiadomych, bez znajomości przyczyn i skutków. Czy to niewola?

Paul skrzywił się. To było stwierdzenie Zensunnity - zagadkowe, trafne, wpływające z wiary, która odmawiała obiektywnej roli wszelkiej aktywności umysłowej. Bez znajomości przyczyn i skutków! Tego rodzaju myśli pogrążały duszę w zamęcie. Niewiadome? Niewiadome kryły się w każdej decyzji, nawet w proroczym widzeniu.

- Wolałbyś, żebyśmy zwali cię Duncan Idaho? - zapytał Paul.

- Żyjemy dzięki różnicom, panie. Wybierz dla mnie imię.

- Niech zostanie to, które dali ci Tleilaxanie - rzekł Paul. - Hayt, to imię nakazuje ostrożność.

Hayt skłonił się i cofnął o krok.

Tymczasem Alia dumiała: "Skąd wiedział, że posłuchanie dobiegło końca? Ja wiedziałam, bo ja znam mego brata. Ale nie było żadnego znaku, który mógłby odczytać ktoś obcy. Czy to Duncan Idaho w nim wiedział?"

Paul zwrócił się do Ambasadora.

- Wyznaczono pomieszczenie dla waszej ambasady. Naszym pragnieniem jest naradzić się z tobą osobiście przy pierwszej sposobności. Poślemy po ciebie. Prócz tego chcemy cię poinformować, zanim dotrą do ciebie pogłoski z nieodpowiednich źródeł, że Matka Wielebna

zakonu żeńskiego, Gaius Helena Mohiam, została usunięta z pokładu galeonu, który cię tu przywiózł. Zrobiono to na nasz rozkaz. Jej obecność na twoim statku będzie jednym z tematów naszych rozmów.

Gestem lewej ręki Paul odprawił wysłannika.

- Hayt - powiedział - zostań.

Świta Ambasadora wycofała się, ciągnąc zbiornik. Edric stał się pomarańczową smugą w pomarańczowym gazie - oczy, usta, łagodnie kołyszące się kończyny. Paul patrzył, jak znika ostatni Gildianin, a wielkie drzwi zatraskują się za nim.

"No i zrobiłem to - pomyślał. - Przyjąłem gholę." Ten twór Tleilaxan był przynętą, co do tego nie miał wątpliwości. Najprawdopodobniej stara wiedźma, Matka Wielebna, pełniła tę samą rolę. Ale nadeszły dni tarota, które przewidywał w jednej z pierwszych wizji. Przeklęty tarot! Mącił wody Czasu, aż jasnowidz z największym wysiłkiem musiał odkrywać chwile odległe ledwie o godzinę. Często się zdarza, że ryba chwyci przynętę i umknie. A tarot pracował tak dla niego, jak i przeciw niemu. Czego nie wiedział on sam, inni też mogli nie wykryć.

Ghola stał, przechyliwszy w bok głowę. Czekał.

Stilgar zmienił miejsce, zasłaniając gholę przed wzrokiem Paula. Odezwał się w Chakobsa, łowieckim języku z siczowych czasów:

- Ta kreatura w zbiorniku przyprawia mnie o dreszcze, Sire, ale ów dar! Odeślij go!

- Nie mogę - odpowiedział Paul w tym samym języku.

- Idaho nie żyje - przekonywał Stilgar. - To nie jest Idaho. Pozwól mi wziąć jego wodę dla plemienia.

- Ghola to mój problem, Stil. Twoim problemem będzie nasz więzień. Chcę, aby Wielebna Matka była strzeżona z najwyższą czujnością przez ludzi, których wyszkoliłem w odporności na fortele Głosu.

- Nie podoba mi się to, Sire.

- Będę ostrożny, Stil. Pilnuj, żebyś był również takim.

- W porządku, Sire - Stilgar zszedł na posadzkę sali, podszedł do Hayta, pociągnął nosem i wyszedł.

"Zło można poznać po zapachu - pomyślał Paul. - Stilgar zatknął zielono - czarny sztandar Atrydów na tuzinie światów, lecz pozostał przesadnym Fremenem, opornie przyjmującym jakiegokolwiek nowości."

Paul przyglądał się nowemu nabytkowi.

- Duncan, Duncan - szepnął. - Co oni z tobą zrobili?

- Dali mi życie, panie - powiedział Hayt.

- Lecz dlaczego cię wyszkolili i dali nam? - spytał Paul.

Hayt zacisnął usta.

- Chcą, żebym cię zniszczył.

Szczerść tego oświadczenia wstrząsnęła Paulem. No cóż, jak inaczej mógłby odpowiedzieć Zensunnita - mentat? Nawet w ciele gholi mentat mógł mówić tylko prawdę, szczególnie, jeśli wypływała ona z wewnętrznego spokoju zensunnizmu. To był ludzki komputer, którego umysł i układ nerwowy przystosowano do zadań spychanych w dawnych czasach na znienawidzone mechaniczne urządzenia. Okoliczność, że uczyniono go też Zensunnitą oznaczała podwójną dawkę uczciwości... chyba, że Tleilaxanie wmontowali w to ciało coś jeszcze dziwniejszego.

Dlaczego, na przykład, mechaniczne oczy? Tleilaxanie szczycili się, że ich metalowe oczy przewyższały prawdziwe. Dziwne w takim razie, że większość Tleilaxan nie nosiła ich z wyboru.

Paul rzucił okiem w stronę zamaskowanego wizjera Alii. Tęsknił za obecnością siostry i radą, wskazówką nie zaćmioną poczuciem odpowiedzialności i zobowiązania.

Znów spojrzał na gholę. To nie był błahy podarek. Dawał uczciwe odpowiedzi na niebezpieczne pytania.

To, iż wiem, że ta broń ma zostać użyta przeciw mnie, niczego nie zmienia" - pomyślał.

- Co powinienem zrobić, żeby ochronić się przed tobą? - zapytał Paul. Mówił otwarcie, nie było to żadne królewskie "my", ale pytanie, jakie mógłby zadać dawnemu Duncanowi Idaho.

- Odeślij mnie, mój panie. Paul pokręcił głową.

- W jaki sposób masz mnie zniszczyć?

Hayt popatrzył na strażników, którzy po wyjściu Stilgara skupili się bliżej Paula. Odwrócił się, obrzucił spojrzeniem salę, potem jego metalowe oczy spoczęły znów na Paulu. Pokiwał głową.

- To jest miejsce, w którym człowiek oddala się od ludzi - powiedział. - Mówi o takiej potędze, że można o niej myśleć spokojnie tylko, jeśli się pamięta, że wszystko ma swój koniec. Czy to moc proroca mojego pana otwarła mu drogę aż tutaj?

Paul zabębnił palcami o poręcz tronu. Mentat po prostu szukał danych, ale jego pytanie zmieszało Imperatora.

- Zaszedłem na to stanowisko dzięki stanowczym decyzjom... nie zawsze wpływającym z moich innych... zdolności.

- Stanowcze decyzje - powtórzył Hayt. - One hartują życie mężczyzny. Szlachetny metal można rozhartować, jeśli się go rozgrzeje i studzi powoli, nie zanurzając w wodzie.

- Zabawiasz mnie zensunnickim bełkotem? - spytał Paul.

- Zensunnita ma do zbadania inne ścieżki niż rozrywka czy popisy, Sire.

Paul zwilżył wargi końcem języka, wciągnął głęboko powietrze i doprowadził własne myśli do samokompensującego się stanu mentackiej równowagi. Wokół niego pojawiło się zbyt wiele sprzecznych przesłanek. Nie oczekiwano, że będzie z nosem przy ziemi uganiał się za gholą, zaniedbując inne obowiązki. Nie, to nie to. Dlaczego Z e n - sunnita - mentat? Filozofia... słowa., kontemplacja... zagłębianie się w sobie... Czuł wątroś swych danych.

- Potrzeba nam więcej danych - mruknął.

- Fakty, których potrzebuje mentat, nie osiadają na nim jak pyłek zbierający się na płaszczu, gdy idziesz przez kwietną łąkę - powiedział Hayt. - Ten pyłek wybiera się starannie i bada pod silnym powiększeniem.

- Musisz nauczyć mnie tej zensunnickiej retoryki - rzucił Paul. Metaliczne oczy błysnęły ku niemu.

- Mój panie, może tego właśnie po mnie oczekują? "Otępić moją wolę słowami i ideami?" - zastanawiał się Paul.

- Idei należy się obawiać najbardziej, gdy przechodzą w czyny - powiedział głośno.

- Odeślij mnie, Sire - powiedział Hayt i był to głos Duncana Idaho, pełen troski o "młodego panicza".

Paul czuł, że ten głos schwytał go w pułapkę. Nie mógł go zlekceważyć, nawet, jeśli dobiegał z ust gholi.

- Zostaniesz - rzekł - i obaj będziemy się uczyć ostrożności. Hayt skłonił się posłusznie.

Paul zerknął w kierunku ukrytego okienka, oczyma błagając Alię, by zabrała mu z rąk ten dar i wyszpiegowała jego tajemnice. Ghole były duchami, którymi straszono dzieci. Nigdy nie przypuszczał, że pozna któregoś. By dogłębnie poznać tego, musiał się wznieść ponad wszelkie współczucie... a nie był pewien, czy jest do tego zdolny. Duncan... Duncan... Gdzie był Idaho w tym uszytym na miarę ciele? To nie było ciało... to był całun w kształcie ciała! Idaho leżał martwy na wieki na dnie arrakańskiej pieczary. Ale jego duch wyzierał z metalowych oczu. Dwie istoty zawierało w sobie to zmartwychwstałe ciało. Jedną z nich była groza, której moc i naturę kryły wymyślne zasłony.

Zamknawszy oczy, Paul pozwolił dawnym wizjom przenikać przez swoją świadomość. Czuł, jak żywioły miłości i nienawiści burzą się w falującym morzu, z którego odmetów nie wznosiła się żadna skała. Żadnego miejsca, skąd mógłby przyjrzeć się kipieli.

"Dlaczego żadna wizja nie ukazała mi tego nowego Idaho? - myślał. - Co zakrywało Czas przed jasnowidzem? Inny jasnowidz, to jasne."

Otworzył oczy.

- Hayt, czy posiadasz moc widzenia przyszłości?

- Nie, mój parne.

Szczerść przebijala w jego glosie. Oczywiscie bylo mozliwe, ze ghola nie wiedzial o swej umiejetnosci. Ale to by przeszkadzalo jego pracy mentata. Jaki byl ten ukryty zamysl?

Dawne wizje pienily sie wokol Paula. Czy bedzie musial wybrac te przerazajaca droge? Rozstrojony Czas napomylal o gholi w tej ohydnej przyszlosci. Czy ta sciezka prowadzi w przepasc bez wzgladu na to, co zrobi?

"Odejsc...Odejsc...Odejsc..."

Ta mysl huczala mu w glowie jak dzwieki dzwonu.

W kryjowce nad Paulem Alia, siedzac z broda oparta w zaglebieniu lewej dloni, patrzyla w dol na ghole. Dosieglo jej magnetyczne przyciaganie tego Hayta. Tleilaxanska odnowa dala mu mlodosc i widoczną niewinność, która zdawala sie niemal do niej krzyczec. Alia zrozumiala niewypowiedziana prosbe Paula. Gdy zawodzi wyrocznia, szuka sie prawdziwych szpiegow i fizycznych mozliwosci. Zastanawial ja jednak wlasny zapal, by przyjac to wyzwanie. Czula, ze naprawde pragnie znalezc sie blisko tego nowego mezczyzny, moze nawet dotknac go.

"On jest zagrozeniem dla nas obojga" - pomyslala.

Prawda cierpi od zbyt wielu analiz.

Stare porzekadlo fremenskie

- Wielebna Matko, drze, widzac cie w takich okolicznosciach - powiedziala Irulana.

Stala w drzwiach celi, mierzac objetosc pomieszczenia Metoda Bene Gesserit. Byl to trzymetrowy szezian, wyzlobiony promieniami frezowymi w brazowej, pelnej malutkich kolorowych zytek skale pod Cytadela Paula. Za cale umeblowanie mial jedno lekkie, plecione krzeslo, zajete teraz przez Wielebną Matkę Gaius Helenę Mohiam; prycze z brunatną narzutą, na której rozložono talie nowych kart Taro - ta Diuny; kran wodny z podzialką nad zlewem odzyskowym i fremenski ustep zabezpieczony uszczelnieniami wilgociowymi. Wszystko to bylo niewyszukane, wręcz prymitywne. Żółte światło dobywalo sie z otoczonych siatką kul swiętojańskich, zakotwiczonych w czterech rogach sufitu.

- Poslalas wiadomosc lady Jessice? - spytala Matka Wielebna.

- Tak, ale nie spodziewani sie, ze ruszy choc palcem przeciw swemu pierworodnemu - rzekla Irulana.

Spojrzala na karty. Byly dowodem, ze mozni odwrócili sie plecami od blagalników. Karta Wielkiego Czerwia lezala nad Spustoszonym Piaskiem. Zalecano cierpliwosc. "Czy trzeba az tarota, zeby to wiedziec?" - zdziwila sie w duchu Irulana.

Strażnik obserwował je z zewnątrz przez metaszkłany wizjer w drzwiach. Irulana wiedziała, że spotkanie śledzono i na inne sposoby. Wszystko przemyślała i zaplanowała, nim odważyła się tu przyjść. Gdyby tego nie zrobiła, zwiększyłaby tylko własne zagrożenie.

Wielebna Matka pogrążała się w medytacji prajna na przemian z analizowaniem układu kart tarota. Choć czuła, że nigdy żywa nie opuści Arrakis, dawało jej to paradoksalnie pewną dozę spokoju. Czyjś dar proroczy mógł być niewielki, lecz mętna woda zawsze była mętą wodą. I była jeszcze Litania Przeciw Strachowi.

Matka Wielebna starała się zrozumieć powody, które przywiodły ją do tej celi. Mroczne podejrzenia leżały się w jej głowie, a karty zdawały się potwierdzać. Czy to możliwe, by Gildia to zaplanowała?

Kwizar w żółtej szacie i turbanie na ogolonej czaszce, o paciorko - waty, całkiem niebieskich oczach w dobrotliwej twarzy, której skóra ogorzała od wiatru i słońca Arrakis, czekał na nią na pomoście recepcyjnym galeonu. Podniósł wzrok znad czarki przyprawowej kawy podanej mu przez usługowego stewarda, przyglądał się przez chwilę i odstawił napój.

"Ty jesteś Wielebną Matką Gaius Heleną Mohiam?"

Słowa te, powtórzone teraz w myśli, ożywiły jej pamięć. Krtań zacisnęła się w nieopanowanym skurczu trwogi. W jaki sposób któryś z pacholków Imperatora dowiedział się o jej obecności na statku?

"Dotarto do nas, że jesteś na pokładzie - powiedział. - Czyżbyś zapomniała, że zakazano ci kiedykolwiek postawić stopę na świętej planecie?"

"Nie jestem na Arrakis - odparła. - Jestem pasażerem na galeonie Gildii w wolnej przestrzeni."

"Nie ma czegoś takiego jak wolna przestrzeń, pani!"

Słyszała, jak w jego głosie nienawiść miesza się z jakimś głębokim podejrzeniem.

"Muad Dib włada wszędzie" - dodał.

"Arrakis nie jest celem mej podróży" - upierała się.

"Arrakis jest celem każdego."

Przez moment bała się, że zacznie recytować mistyczną litanię, powtarzaną przez pielgrzymów. Ten sam statek wiozł ich tysiące.

Ale kapłan wyciągnął spod szaty złoty amulet, ucałował go, przytknął do czoła, potem do prawego ucha i słuchał. Po chwili schował go z powrotem.

"Rozkazano ci zabrać bagaże i udać się ze mną na Arrakis."

"Ależ ja wybieram się gdzie indziej!"

Właśnie wtedy zaczęła podejrzewać perfidię Gildii... chyba, że odkryła jej obecność jakaś nadzmysłowa moc Imperatora lub jego siostry. Może, mimo wszystko, Nawigator nie był w stanie ukryć spisku. To Paskudztwo, Alia, na pewno miała zdolności Matki Wielebnej Bene Gesserit. Co nastąpiło, gdy te siły sprzęgły się z siłami, którymi władał jej brat?

"Natychmiast!" - warknął Kwizar.

Wszystko w niej burzyło się na myśl o dotknięciu raz jeszcze stopą tej przeklętej pustynnej planety. To tutaj lady Jessika zwróciła się przeciw zakonowi. Tu utraciły Paula Atrydę, Kwisatz Haderach, którego szukały przez długie pokolenia starannego doboru.

"Natychmiast" - zgodziła się.

"Nie ma wiele czasu - rzekł Kwizar. - Gdy rozkazuje Imperator, wszyscy poddani są mu posłuszni."

A więc rozkaz wyszedł od Paula!

Pomyślała o odwołaniu się do komandora statku, ale powstrzymała ją oczywista nieskuteczność tego gestu. Cóż mogła zrobić Gildia?

"Imperator zapowiedział, że umrę, jeśli postawię stopę na Diunie - zdobyła się na ostatni desperacki wysiłek. - Sam o tym mówiłeś. Wydasz na mnie wyrok, jeżeli zabierzesz mnie tam, na dół."

"Nic więcej nie mów - uciął Kwizar. - Tak nakazano."

Zawsze w ten sposób mówili o imperialnych rozkazach, wiedziała o tym. Nakazano! Oto przemówił święty władca, którego oczy przenikały przyszłość. Co ma się stać, to się stanie. On to przecież widział.

Usłuchała, z mdłym uczuciem, że wpadła w sieć, którą sama utkała.

A sieć stała się cełą, w której mogła odwiedzić ją Irulana. Zauważyła, że Księżna Małżonka postarzała się trochę od ich spotkania na Waliach IX. Nowe nitki zgryzoty rozbiegły się z kącików jej oczu. Cóż... czas, by się przekonać, czy siostra Bene Gesserit zdoła wypełnić swe śluby.

- Miałam już gorsze kwatery - powiedziała. - Przychodzisz od Imperatora?

Jej palce zaczęły się poruszać jak gdyby w podnieceniu. Irulana odczytała ruch palców i jej własne zamigotały w odpowiedzi, podczas gdy mówiła:

- Nie. Przybiegłam, skoro tylko usłyszałam, że tu jesteś.

- Czy Imperator nie będzie się gniewał? - spytała Matka Wielebna. Palce poruszały się znowu - rozkazując, nagłąc, żądając.

- Niech się gniewa. Byłaś moją nauczycielką w zakonie, podobnie jak uczyłaś jego matkę. Czy myślisz, że odwrócę się do ciebie plecami, tak jak on to zrobił? - A palce Irulany usprawiedliwiały się, błagały.

Wielebna Matka westchnęła. Dla kogoś z zewnątrz było to westchnienie więźnia bolejącego nad swym losem, ale tu, teraz odnosiło się do Irulany. Daremnie byłoby oczekiwać, że cenny kod genetyczny Imperatora Atrydy zostanie przeniesiony w następne pokolenie właśnie dzięki niej. Mimo swej urody, księżna nie była najlepszą partnerką. Pod warstewką seksualnej atrakcyjności kryła się rozhisteryzowana jędrza, którą bardziej obchodziły słowa niż czyny. Ale Irulana była jednak Bene Gesserit, a zakon żeński zostawiał sobie w odwodzie pewne techniki, które zastosowane wobec słabszych wykonawczyń, zapewniały realizację najistotniejszych poleceń.

Pod pozorem pogawędki o wygodniejszej pryczy i lepszym jedzeniu, Wielebna Matka zastosowała cały arsenał perswazji i wydała rozkaz: należy połączyć, skojarzyć brata i siostrę. Irulana omal się nie załamała, otrzymując to polecenie.

- Muszę mieć szansę! - błagały palce Irulany.

- Miałaś już swoją szansę - odcięła się Matka Wielebna.

Instrukcje były wyraźne: Czy Imperator bywał zły na swą konkubinę? Jego wyjątkowa moc sprawia, że jest samotny. Do kogo ma się odezwać w nadziei, że zostanie zrozumiany? Oczywiście, do siostry. Dzieliła jego samotność. Należy wykorzystać głębię ich więzi. Trzeba stworzyć warunki, by widywali się sam na sam. Zaaranżować intymne spotkania. Zbadać możliwość pozbycia się konkubiny. Żałoba daje okazję przełamania tradycyjnych barier.

Irulana sprzeciwiła się. Jeśli Chani zostanie zabita, podejrzenie padnie natychmiast na Księżną Małżonkę. Prócz tego, były inne problemy. Chani zdecydowała się na starą fermeńską dietę, mającą sprzyjać płodności; ta dieta wykluczała jakakolwiek możliwość podania jej środków antykoncepcyjnych. Zniesienie supresorów uczyni Chani jeszcze bardziej płodna.

Wielebna Matka nie ukrywała wściekłości. Jej palce poruszały się w szalonym tańcu. Dlaczego nie otrzymała tej informacji na samym początku rozmowy? Czy Irulana jest aż tak głupia? Jeśli Chani pocznie i urodzi syna, Imperator ogłosi dziecko swoim następcą!

Irulana stwierdziła, że rozumie niebezpieczeństwo, ale uważa, iż geny mogą nie przepaść zupełnie.

Niech diabli porwą taką głupotę, złościła się Matka Wielebna. Kto wie, jakie stłumienia lub powikłania genetyczne z powodu swej dzikiej fremieńskiej rasy mogła wprowadzić Chani? Zakon żeński musi koniecznie mieć czystą linię! A potomek na nowo rozpali ambicje Paula, pchnie go do nowych wysiłków w konsolidacji Imperium. Konspiratorzy nie mogą sobie pozwolić na krok wstecz.

Irulana, broniąc się, spytała, w jaki sposób miała zapobiec stosowaniu przez Chani tej diety?

Ale Wielebna Matka nie była w nastroju do wysłuchiwania żalów. Irulana otrzymała precyzyjne instrukcje, mające zażegnać przypuszczalne zagrożenie. Jeżeli Chani pocznie, do jej jedzenia lub picia należy wprowadzić środek wywołujący poronienie. Albo ją zabić. Za wszelką cenę trzeba zapobiec pojawieniu się następcy tronu z domieszką fremeńskiej krwi.

- Środek napomnienie będzie tak samo niebezpieczny jak otwarty atak na konkubinę - oponowała Irulana. Drżała na samą myśl o zamachu na życie Chani.

"Ryzyko odstrasza Irulanę" - pomyślała Matka Wielebna. Mowa jej palców wyrażała głęboką pogardę.

Rozeźlona Irulana sygnalizowała, że zna swoją wartość jako agenta na dworze Imperatora. Czy konspiracja chce utracić tak cennego szpiega? Czy ma zostać odrzucona? Jak będą potem tak dokładnie śledzić Imperatora? A może wprowadzili już nowego agenta na dwór?

Czy tak? I dlatego ma teraz być tak desperacko wykorzystana, po raz ostatni?

- W czasie walki dotychczasowe wartości nabierają nowych odniesień - argumentowała Matka Wielebna.

Największym zagrożeniem było to, że ród Atrydów umocni się w imperialnej dynastii. Zakon żeński nie może zgodzić się na takie ryzyko. Groźba wisiała nie tylko nad kodem genetycznym Atrydów. Gdyby Paul osadził swój ród na tronie, zakon musiałby odłożyć swe plany o kilka stuleci.

Irulana rozumiała argumenty, lecz odnosiła wrażenie, że postanowiono przehandlować Księżną Małżonkę za coś o większej wartości.

- Czy jest coś, co powinnam wiedzieć o gholi? - zaryzykowała pytanie.

Wielebna Matka zdenerwowała się. C/y Irulana sady, że zakon składa się z idiotek? Czyż kiedykolwiek zapomniały jej powiedzieć o czymkolwiek, co powinna wiedzieć?

Irulana zauważyła, że ta odpowiedź, to jakby przyznanie się do ukrywania faktów. Oznaczała, że nie ujawni się jej niczego ponad to, co konieczne.

Zapytała, jak mogą być pewne, że ghola jest w stanie zniszczyć Imperatora?

- Mogłabyś równie dobrze zapytać, czy malenzjest zdolny do destrukcji - odparowała Matka Wielebna.

Irulana uświadomiła sobie, że była to nagana zawierająca subtelną wiadomość - "pouczający bicz" Bene Gesserit oznajmił, że już dawno temu winna była zrozumieć podobieństwo między przyprawą i ghola. Melanz był cenny, lecz żądał zapłaty - narkotycznego uzależnienia. Dodawał lat życia, może nawet dziesięcioleci, ale wciąż był to sposób umierania.

A ghola był czymś o morderczej wartości.

- Oczywistym sposobem zapobieżenia niepożądanym narodzinom jest zabicie przyszłej matki, zanim zajdzie w ciążę - zasygnalizowała Matka Wielebna.

"Oczywiście - pomyślała Irulana. - Jeśli zdecydujesz się wydać pewną sumę, walczyć o tak wiele, jak tylko możesz."

Oczy Matki Wielebnej - ciemne, z błękitnym blaskiem melanżo - wego nałogu - patrzyły uważnie na Irulanę, mierząc i obserwując najmniejsze drobiazgi.

"Bada mnie jak przedmiot. - Ta myśl wstrząsnęła Irulaną. - Szkoliła mnie i obserwowała podczas szkolenia Wie, że uświadamiam sobie, iż decyzja została podjęta tutaj. Sprawdza tylko, czy przyjmuję to do wiadomości. Dobrze. Zniosę to jak Bene Gesserit i jak księżna."

Wymusiła na sobie uśmiech, wyprostowała się i przyzwała w pamięci początkowe wersy Litanii Przeciw Strachowi.

"Nie wolno się bać. Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoła..."

Gdy powrócił spokój, pomyślała: "Niech mnie przeznaczą na straty. Pokażę im, co warta jest księżna. Może kupię dla nich więcej, niż oczekiwali".

Po kilku pustych frazesach, którymi zakończyła rozmowę, Irulana wyszła.

Wielebna Matka powróciła do swego tarota, rozkładając go we wzór Ognistego Wiru. W Wielkich Arkanach od razu pojawił się Kwiat Haderach, mając na wprost Ósemkę Statków: wieszcz oszukany i zdradzony. To nie był dobry omen, karty mówiły o ukrytych możliwościach jej wrogów.

Odwróciła się. Ogarnęła ją rozterka, zastanawiała się, czy Irulana zdoła zniszczyć przeciwników.

Dla Fremenów jest personifikacją Ziemi, półboginią. Jej szczególnej pieczy powierzają plemiona, które ma chronić swą okrutną moc. Jest Wielebną Matką ich Wielebnych Matek. Dla pielgrzymów, którzy zanoszą do niej prośby, by przywróciła męskość lub jałowe uczyniła płodnymi, jest czymś w rodzaju antymentata. Żeruje na fakcie, że są granice tego, co zbadane. Reprezentuje najwyższe napięcie. Jest dziewczyną nierządnicą - dowcipna, wulgarna, bezlitosna, w swych kaprysach niszczycielska jak kurzawa Coriolisa.

Święta Alia - od - Noża

(według "Raportu Irulany")

Okutana w czarny płaszcz jak wartownik, Alia stała na południowej platformie swojej świątyni - Przybytku Wyroczeni, którą fremeńskie kohorty Paula zbudowały dla niej przy murze twierdzy.

Nienawidziła tej mistycznej działalności, lecz nie znalazła sposobu, by wykręcić się od rytualnych obowiązków, nie ściągając na siebie i Paula katastrofy. Pielgrzymi /niech ich diabli!/ z dnia na dzień byli liczniejsi. Niższy portyk świątyni był nimi zapchany. Wśród pielgrzymów kręcili się przekupnie, a między nimi pomniejsi czarownicy, przyprawnicy haru, wróżbici - wszyscy, którzy swym rzemiosłem nieudolnie próbowali naśladować Muad'Diba i jego siostrę.

W kramach królowały czerwone i zielone paczuski z nowymi kartami Tarota Diuny. Alia zadumała się przez chwilę nad fenomenem tarota. Kto wprowadził ten zwyczaj na rynek Arrakin? Dlaczego tarot rozpanoszył się właśnie tu i w tym czasie? Czy po to, by zmącić Czas? Przyprawowy nałóg nieuchronnie prowadził do przeblysków jasnowidzenia. Wśród Fremenów notorycznie trafiali się nawiedzeni. Czy tylko przypadkiem tu i teraz tak wielu zajmowało się znakami i omenami? Postanowiła przy pierwszej sposobności poszukać odpowiedzi.

Wiał wiatr z południowego wschodu, a raczej resztką wiatru, utemperowana przez skarpe Muru Zaporowego, który tu, na północnych kresach, wznosił się wysoko. W rzadkiej, zakurzonej mgielce, podświetlonej chylącym się już ku zachodowi słońcem, jego krawędź lśniła pomarańczowo. Czując na policzkach gorący powiew, Alia zatęskniła do piasków, do bezpieczeństwa otwartych przestrzeni.

Resztki tłumu zaczęły odpływać z przedsionka po szerokich schodach z zielonego kamienia. Kilku pielgrzymów przystanęło, by obejrzyć pamiątki i święte amulety na ulicznych straganach, inni - by zasięgnąć rady u jednego z pozostałych pomniejszych czarowników. Pielgrzymi, suplikanci, mieszcianie, Fremen, kupcy zamykający kramy - rozciągnięty sznur ludzi włókł się obsadzoną palmami aleją ku centrum miasta.

Oczy Alii wylawiały z tłumu Fremenów. Ich twarze wyróżniały się zastygłym, przesadnym lękiem, a sposób bycia - dzikością, która izolowała ich od reszty. Byli jej siłą i jej zagrożeniem. Nadal chwyтали ogromne czerwce do jazdy, rozrywki i na ofiary. Obnosili się z niechęcią do pozaświatowych pielgrzymów, ledwie tolerowali mieszkańców grabenu i niecki, gardzili cynizmem ulicznych kramarzy. Nikt nie ważył się potrącić dzikiego Fremena, nawet w takiej ciżbie, jak tu - w Przybytku Alii. W Świętych Granicach nie widywano wprawdzie bójek na noże, ale znajdowano ciała... później.

Odchodzący tłum wzniecił kłęby kurzu. Alia poczuła zapach krzemienia, a wraz z nim ogarnęła ją nowa fala tęsknoty za otwartym blechem. Uświadomiła sobie, że wzywający ją zew przeszłości wzmógł się wraz z przybyciem gholi. Ileż było radości w tych niezmaconych dniach, zanim jej brat wstąpił na tron! Zawsze był czas na żarty, czas na drobnostki, czas, by cieszyć się chłodem poranka, czy zachodem słońca, czas... czas... czas... Nawet niebezpieczeństwa były wtedy dobre - wiadome niebezpieczeństwa z wiadomych źródeł. Nie trzeba było forsować granic wyroczni, zerkać przez mroczne woale na niepokojące wizje przyszłości.

Mieli rację dzicy Fremen, gdy mówili: "Czterech rzeczy nie da się ukryć: miłości, dymu, słupa ognia i człowieka, kiedy idzie przez otwarty blech."

Z nagłą odrazą Alia wycofała się z platformy w cień Przybytku i ruszyła kruzgankiem wychodzącym na opalizującą Salę Przepowiedni. Piach zgrzytał pod jej stopami. Suplikanci zawsze wnosili piach do Świętych Komnat! Udając, że nie dostrzega służących, strażników, członków nowicjatu, wszędobylskich kwizarackich pochlebców, dopadła krętych schodów prowadzących do jej prywatnych kwater. Tu - wśród otoman, grubych dywanów, namiotowych zasłon przywodzących wspomnienia pustyni - odprawiła fremeńskie amazonki, które Stilgar przydzielił jej jako straż przyboczną. A raczej jako psy łańcuchowe.

Gdy, mamrocząc protesty, odeszły, bardziej bojąc się jej niż Stilgara, zrzuciła z siebie szaty, zostawiając jedynie krysnóż zawieszony na szyi. Cisnęła odzież za siebie, idąc do kąpieli.

On był blisko, wiedziała - cień mężczyzny, którego istnienie wyczuwała w swojej przyszłości, choć nie mogła go zobaczyć. Złościło ją, że moc jasnowidzenia nie mogła oblec w ciało tej postaci. Wyczuwała go w najmniej oczekiwanych momentach; pojawiał się, gdy badała losy innych. Czasem trafiała na mglistą sylwetkę w bezludnym mroku, w którym czystość splatała się z pożądaniem. Był tuż za niestałym horyzontem i czuła, że gdyby nadludzkim wysiłkiem zintensyfikowała swoje zdolności, być może ujrzałaby go. Był tam, stanowił nieustający atak na jej świadomość - zaciekły, groźny, bezwstydnny.

W łaźni otuliło ją ciepłe, wilgotne powietrze. Zamiłowanie do kąpieli przejęła z pamięcioobecności niezliczonych Wielebnych Matek, nanizanych w jej świadomości niczym perły

na lśniącym naszyjniku. Woda, ciepła woda, obmyła jej skórę, gdy dziewczyna wśliznęła się do wanny. Dookoła ornament na zielonych płytkach przedstawiał czerwone ryby w morskich głębinach. To miejsce kipiało taką obfitością wody, że dawny Fremen zapalałby gniewem, widząc, że służy ona tylko do mycia ludzkiego ciała.

On był blisko.

"To konflikt dziewictwa i pożądania" - pomyślała. Jej ciało pragnęło mężczyzny. Seks nie miał tajemnic dla Matki Wielebnej, przewodzącej w siczowych orgiach. Tau - świadomość innych jaźni - mogła zaspokoić jej ciekawość wszelkimi szczegółami. Odczuwane poczucie bliskości nie mogło być niczym innym, jak tylko płomieniem ciała rwącego się do drugiego ciała.

Chęć działania przemogła lenistwo wywołane ciepłą kąpielą.

Ociekając wodą, Alia gwałtownie wyskoczyła z wanny, pobiegła naga i mokra do sali treningowej, przylegającej do jej sypialni. W tej wydłużonej komnacie, oświetlonej blaskiem bijącym od strony mansardowych okien, znajdowały się zarówno niewyszukane, jak i wyrafinowane instrumenty, pozwalające adeptce Bene Gesserit osiągnąć najwyższą świadomogotowość fizyczną i psychiczną. Były tu wzmacniacze mnemoniczne, młynki palcowe z IX wzmacniające i wyczulające palce rąk i nóg, syntetyzery zapachów, sensory dotykowe, pola zmian temperatury, wykrywacze szablonów zapobiegających popadaniu w dające się rozpoznać nawyki, symulatory odbić fal alfa, synchronizatory migowe dla podnoszenia zdolności analizy spektrum światła/ciemności...

Wzdłuż jednej ze ścian własnoręcznie napisała mnemoniczną farbą kluczową maksymę Kredo Bene Gesserit:

"Przed nami wszelkie metody uczenia się skażone były instynktownością. To my nauczyliśmy się, jak się uczyć. Przed nami, ograniczona rozpiętość uwagi wiedzionych instynktem badaczy rzadko sięgała poza jedno ludzkie życie. Plany, rozciągające się na pięćdziesiąt i więcej pokoleń, były dla nich niedostępne. Koncepcja całościowego szkolenia mięśni i nerwów nie dotarła do ich świadomości".

Wbiegając do sali treningowej, Alia kątem oka spostrzegła swoje odbicie, powielone tysiące razy w kryształowych pryzmatach szermierczego zwierciadła, kołyszącego się w centrum manekina - celu. Chwyciła długi rapier, tkwiący w stojaku naprzeciw celu.

"Tak - pomyślała. - Będę ćwiczyć do upadłego. Gdy zmęczone ciało, oczyszczone umysł."

Rapier dobrze leżał w dłoni. Z pochwy zawieszanej na szyi Alia wysunęła krysnóż, ujęła go lewą ręką, końcem klingi nacisnęła włącznik. Pojawiła się emanacja tarczy celu, opór ożył, powoli i stanowczo odpychając ostrze.

Pryzmaty zamigotały. Cel przesunął się w lewo.

Alia powiodła za nim końcem ostrza, jak zwykle ulegając złudzeniu, że cel jest żywym przeciwnikiem. Były to jednak tylko serwomechanizmy i złożony system zwierciadlany, symulujące sytuacje zagrożenia, dezorientujące, by uczyć. Urządzenie reagowało jak Alia, tworzyło anty - jaźń, która poruszała się jak ona, balansując światłami w pryzmatach, przesuwając cel i mierząc w nią przeciwnym ostrzem.

Z pryzmatów sterczało wiele kling, lecz tylko jedna była prawdziwa. Alia sparowała rzeczywiste pchnięcie, ostrze rapiera prześliznęło się przez opór tarczy i uderzyło w cel. Ożyła lampka sygnalizacyjna, połyskując czerwono pośród pryzmatów: większe rozproszenie.

Sztuczny szermierz zaatakował znowu, o jeden stopień zwiększając szybkość - był teraz odrobinę zwawszy niż na początku.

Sparowała cios i wbrew zasadzie ostrożności weszła w niebezpieczną strefę, mając przewagę krysoza

Między pryzmatami błyszczały dwie lampki.

Urządzenie znów przyśpieszyło, potoczyło się na kółkach, przyciągane jak magnes ruchami jej ciała i ostrzem rapiera.

Atak - parada - kontra.

Atak - parada - kontra...

Lśniły już cztery lampki, przyrząd stawał się coraz bardziej niebezpieczny, z każdym nowym światełkiem poruszał się szybciej, tworząc więcej pól dezorientacji.

Pięć świateł.

Pot błyszczał na nagiej skórze dziewczyny. Teraz istniała we wszechświecie, którego wymiary kreśliło groźne ostrze; cel, mata pod bosymi stopami, zmysły - nerwy - mięśnie - ruch przeciwko ruchowi.

Atak - parada - kontra

Sześć świateł... Siedem.

Osiem!

Nigdy dotąd nie zaryzykowała ośmiu.

W umyśle narastał nagły pośpiech, rodził się jednocześnie protest wobec tego szaleństwa. Złożony z pryzmatów i celu przyrząd nie potrafił myśleć, odczuwać obaw lub skruchy. A miał prawdziwe ostrze. Pozbawienie go tego żądła uczyniłoby ćwiczenie bezcelowym. Atakująca klinga mogła okaleczyć i mogła zabić. A najlepsi szermierze Imperium nigdy nie porywali się na więcej niż siedem świateł.

Dziewięć!

Alia wpadła w ekstazę. Atakujące ostrze i cel stały się rozmazanymi plamami wśród plam. Miała wrażenie, że rapier w jej dłoni żyje własnym życiem. Była anty - celem. Nie poruszała klingą: klinga poruszała nią.

Dziesięć!

Jedenaście!

Coś błysnęło nad jej ramieniem, zwolniło w okalającej cel poświacie tarczy, prześliznęło się przez nią i uderzyło w wyłącznik. Światła pogasły. Pryzmaty i cel zastygły.

Alia odwróciła się, wściekła na intruza, lecz po chwili złość zmieniła się w ciekawość, gdy uświadomiła sobie najwyższy kunszt tego, kto rzucił nóż. Rzut wykonany był z doskonałą precyzją - na tyle szybko, by przedostać się przez pole tarczy i nie aż tak szybko, by zostać odbity.

I pomiędzy jedenastoma światłami trafił w punkt o średnicy milimetra.

Alia poczuła, jak emocje i napięcie wygasają w niej w sposób przypominający reakcję ćwiczebnego manekina. Przestała się dziwić, gdy zobaczyła kto rzucił nóż.

W drzwiach sali stał Paul, a trzy kroki za nim Stilgar. Oczy brata zwięzły się z gniewu.

Uświadomiła sobie własną nagość. Chciała się okryć, ale po chwili uznała to za śmieszne. Co oczy raz ujrzały, nie sposób już wymazać. Powoli włożyła krysnóż do pochwy na szyi.

- Mogłam się była domyślić - powiedziała.

- Przypuszczam, że wiesz, jak było to niebezpieczne - odezwał się Paul.

Niespiesznie przyglądał się jej: czerwone od wysiłku ciało, wilgotna obrzmiałość ust. Roztaczała wokół siebie niepokojąca kobiecość, której istnienia nigdy dotąd nie podejrzewał. Dziwnie było patrzeć na osobę tak bliską i nie rozpoznawać w niej dotychczasowej tożsamości, która wydawała się tak trwała i znajoma.

- To było szaleństwo - fuknął Stilgar, podchodząc do Paula. Słowa były gniewne, lecz Alia posłyszała lęk w jego głosie, dojrzała go w oczach.

- Jedenaście światel! - Paul potrząsnął głową.

- Uruchomiłabym dwunaste, gdybyś nie przeszkodził - powiedziała. Blednąc pod zaniepokojonym spojrzeniem, dodała: - I po co te cholerstwa mają tyle lampek, skoro mamy ich nie próbować?

- Bene Gesserit pyta o racje Nielimitowanego systemu? - odpowiedział pytaniem.

- Podejrzewam, że nigdy nie odważyłeś się na więcej niż siedem - rzuciła, czując, jak powraca gniew.

Jego uprzedzająca grzeczność zaczęła ją irytować.

- Tylko raz - powiedział Paul. - Gurney Halleck przyłapał mnie na dziesięciu. Kara była na tyle żenująca, że nie opowiem ci, co zrobił. A skoro już mówimy o zażenowaniu...

- Następnym razem może zapukacie przed wejściem - warknęła.

Przemknęła obok Paula do sypialni, znalazła luźną, szarą suknię, narzuciła ją na siebie i zaczęła przed lustrem szczotkować włosy. Czuła się lepka od potu, smutna tym smutkiem, który kończy akt miłosny, pragnęła jedynie raz jeszcze wziąć kąpiel... i spać.

- Dlaczego przyszliście? - zapytała.

- Panie - w głosie Stilgara zabrzmiała dziwna nuta, która kazała Alii obrócić się i raz jeszcze na niego spojrzeć.

- Przyszliśmy z powodu sugestii Irulany - zaczął Paul - choć może wydawać się to dziwne. Ona uważa, a informacje Stila zdają się to potwierdzać, że nasi wrogowie mają zamiar dokonać poważniejszej próby...

- Mój panie! - powtórzył Stilgar ostrzej.

Paul odwrócił się pytająco. Alia wciąż patrzyła na starego fremeńskiego naiba. Było teraz w nim coś, co natrętnie uświadamiało jej, jak prymitywny jest Stilgar. Wierzył, że świat nadprzyrodzony znajduje się o krok od niego. Ten świat przemawiał do niego prostym, pogańskim językiem, rozwiewając wszelkie wątpliwości. Pierwotny wszechświat, w środku którego stał, był zaciekle, niepowstrzymany, brakowało mu powszedniej moralności Imperium.

- Tak, Stil? - spytał Paul. - Chcesz sam jej powiedzieć, po co przyszliśmy?

- Nie pora o tym mówić - rzekł Stilgar.

- O co chodzi, Stil?

- Sire, czy jesteś ślepy? - Stilgar wciąż wpatrywał się w Alię.

Paul odwrócił się w stronę siostry, czując, jak zaczyna ogarniać go niepewność. Ze wszystkich współpracowników jedynie Stilgar ośmielał się mówić do niego takim tonem, lecz nawet jemu przytrafiało się to tylko w ostateczności.

- Ona musi mieć mężczyznę! - wyrzucił z siebie Stilgar. - Będą kłopoty, jeśli nie wyjdzie za mąż. I to prędko.

Alia odwróciła się od nich, czując, jak fala gorąca oblewa jej twarz. "Jak mógł mnie tak dotknąć?" - dziwiła się. Samokontrola Bene Gesserit nie była w stanie zapobiec jej zmieszaniu. Jak on to zrobił? Nie władał przecież Głosem. Czuła zakłopotanie i gniew.

- Słuchajcie wielkiego Stilgara! - Alia, wciąż odwrócona tyłem, zdawała sobie sprawę z kłótlivej nuty w swym głosie, której nie była zdolna ukryć. - Porady dla młodych panien od Fremena Stilgara!

- Nie mogę milczeć, bo kocham was oboje - powiedział Stilgar z godnością. - Nie zostałem przywódcą Fremenów, gdybym zamykał oczy na to, co popycha ku sobie kobietę i mężczyznę. Do tego nie trzeba żadnych tajemnych mocy.

Paul ważył słowa Stilgara, analizując to, co tu zobaczył i swoją własną - niezaprzeczalnie męską - reakcję na widok Alii. Tak, w Alii było coś lubieżnego, coś nieokiełznanie rozwiązłego. Co kazało jej iść nago do sali treningowej? I tak nierozważnie ryzykować życiem! Jedenaście światel w pryzmatach szermierczych! Bezmózgi automat jawił się w jego umyśle wyposażony we wszystkie cechy monstrum ze starożytnego mitu. Maszyna pochodziła z tego wieku, lecz miała na sobie również piętno dawnych grzechów. Kiedyś rządziły ludźmi komputerowe mózgi, sztuczne inteligencje. Dżihad Butlerjariska położyła temu kres, lecz nie rozwiązała aury arystokratycznego snobizmu otaczającego te maszyny.

Oczywiście Stilgar miał rację. Muszą znaleźć męża dla Alii.

- Dopilnuję tego - rzekł Paul. - Alia i ja przedyskutujemy to później bez świadków.

Alia odwróciła się i spojrzała na brata. Wiedziała, w jaki sposób pracuje jego mózg, zorientowała się, że została podporządkowana decyzji mentata, tej składającej się z niezliczonych fragmentów analizie ludzkiego komputera. W tym odkryciu było coś nieubłaganego - ruch podobny krążeniu planet. Coś z porządku wszechświata, nieuchronnego i przerażającego.

- Sire - zaczął Stilgar - możemy...

- Nie teraz - uciął Paul. - W tej chwili mamy inne problemy.

Wiedząc, że pod względem logicznego myślenia nie ma szansy dorównać swemu bratu, wzorem Bene Gesserit Alia odczekała kilka chwil, by następnie powiedzieć":

- Irulana cię przysłała? - Czuła zagrożenie, płynące z tego faktu.

- Nie bezpośrednio - odpowiedział Paul. - Informacje, których nam dostarczyła, potwierdzają nasze podejrzenia, że Gildia ma zamiar postarać się o czerwia pustyni.

- Będą usiłowali schwytać małego czerwia i rozpocząć cykl przyprawowy na jakiejś innej planecie - powiedział Stilgar. - To znaczy, że znaleźli świat, który uważają za odpowiedni.

- To znaczy, że mają fremieńskich sojuszników! - sprzeciwiła się Alia. - Żaden pozaświatowiec nie mógłby pojmać czerwia!

- To nie podlega kwestii - stwierdził Stilgar.

- Nie, niekoniecznie - Alia była wstrząśnięta jego tępotą. - Paul, ty na pewno...

- Zaczyna się upadek - powiedział Paul. - Wiedzieliśmy o tym już od jakiegoś czasu. Jednakże nigdy nie widziałem tego innego świata i to mnie niepokoi. Jeżeli...

- To cię niepokoi? - zapytała Alia. - To znaczy jedynie, że jego wizję osłania Nawigator. Tak samo, jak kryją swoje sanktuaria.

Stilgar otworzył usta i zamknął je bez słowa. Czuł, że jego bożyszczą ogarnięte zostały bluźnierczą słabością.

- Mamy problem, który nie może czekać - powiedział Paul, wyczuwając konsternację Stilgara. - Chcę zasięgnąć twojej opinii, Alio. Stilgar proponuje wysłać patrole w otwarte blech i ponownie zaciągnąć warty w siczach. Możliwe, że zdołamy namierzyć lądującą ekipę i zapobiec...

- Z Nawigatorem na czele? - zapytała Alia.

- Są zdesperowani, nieprawdaż? - zgodził się Paul. - Dlatego tu jestem.

- Zobaczyli coś, czego nie widzieliśmy my?

- Dokładnie.

Pokiwała głową, myśląc ponownie o nowym Tarocie Diuny. Krótko zrelacjonowała swoje obawy.

- Zarzucają nam koc na głowę - podsumował Paul.

- Odpowiednie patrole - zaryzykował Stilgar - i moglibyśmy zapobiec...

- Niczemu nie możemy zapobiec... na zawsze - przerwała Alia.

Sposób, w jaki pracował teraz mózg Stilgara, budził w niej instynktowną niechęć. Zawęzał horyzonty, eliminował istotne i oczywiste elementy. To nie był Stilgar, jakiego pamiętała.

- Musimy liczyć się z tym, że zdobędą czerwia - powiedział Paul. - Czy uda im się rozpocząć cykl melanzowy na innej planecie, to druga sprawa. Będą potrzebowali czegoś więcej niż czerwia.

Stilgar wodził spojrzeniem od brata do siostry. Wiedział, co mieli na myśli, życie w siczy wpoilo mu ekologiczny sposób myślenia. Schwytyany czerw nie mógłby przeżyć bez części Arrakis: bez planktonu piaskowego, maleńkich stwórczyli i tak dalej. Gildia miała poważny problem, lecz możliwy do rozwiązania. Rosnąca niepewność Stilgara dotyczyła czego innego.

- Więc twoje wizje nie wykrywają Gildii w działaniu? - zapytał.

- Do wszystkich diabłów! - wybuchł Paul.

Alia obserwowała Stilgara, czując barbarzyńskie uboczne efekty wyobrażeń, które powstawały w jego głowie. Pętał go czarodziejski urok. Magia! Magia! Zajrzeć w przyszłość oznaczało skraść przerażający ogień ze świętego płomienia. Miało to kuszący posmak najwyższego zagrożenia, dusz rzuconych na szalę i utraconych. Z niebezpiecznej, bezkształtnej dali wyzierało coś, co miało kształt i moc. Lecz Stilgar zaczynał wietrzyć inne, być może większe moce poza nieznanym widnokregiem. Jego Królowa Czarownica i Przyjaciel Czarnoksiężnik zdradzali złowróżbną słabość.

- Stilgarze - Alia ze wszystkich sił starała się go powstrzymać. - Stoisz w dolinie pośród wydm. Ja stoję na wierzchołku. Widzę to, czego ty nie widzisz. I, oprócz innych rzeczy, widzę też góry, które zasłaniają horyzont.

- Są rzeczy przed wami ukryte - przyznał Stilgar. - Zawsze to powtarzaliście.

- Wszystkie potęgi są ograniczone - rzekła Alia.
- A niebezpieczeństwo może nadejść zza gór - powiedział Stilgar.
- C o ś w tym jest - potwierdziła Alia.

Stilgar wolno pokiwał głową, nie odrywając oczu od Paula.

- Cokolwiek jednak przybędzie zza gór, musi przejść przez wydmy.

Rządy oparte na wyroczni są najbardziej ryzykowną grą w całym wszechświecie. Nie uważamy się za dość mądrych ani dość odważnych, aby w nią grać. Wyszczególnione tu środki regulacji mniej ważnych spraw to wszystko, na co możemy się odważyć, by nie przekroczyć granicy rzeczywistych rządów. Zgodnie z definicją, zapożyczoną dla naszych celów od Bene Gesserit, traktujemy różne światy jako pule genowe, źródła nauk i nauczycieli, źródła możliwości. Nie dążymy do objęcia władzy; chcemy wprawić te geny w ruch, zdobyć wiedzę i uwolnić się od wszelkich ograniczeń, nakładanych przez zależności administrację.

"Orgia jako narzędzie polityki",

trzeci rozdział "Przewodnika Nawigatora"

- Czy to tam zginął twój ojciec? - zagadnął Edric, emitując z kapsuły wskaźnikową wiązkę w kierunku wysadzanego klejnotami znacznika na jednej z plastycznych map, zdobiących ścianę audiencyjnego salonu Paula.

- To świątynia jego czaszki - rzekł Paul. - Ojciec zginął, będąc więźniem na harkonneńskiej fregacie w niecce poniżej nas.

- A, tak, teraz przypominani sobie tą historię - powiedział Edric. - Zdaje się, zabił starego barona Harkonnena, swojego śmiertelnego wroga.

Edric miał nadzieję, że nie da poznać po sobie lęku, jakim napawały go małe, zamknięte pomieszczenia, takie jak ten pokój. Przekreślił się w pomarańczowym gazie i spojrzał na Paula, który siedział samotnie na długiej otomanie w szaro - czarne paski.

- Barona zabiła moja siostra - zauważył oschle Paul - tuż przed bitwą pod Arrakin.

"Ciekawe - pomyślał - dlaczego ten gildyjski człowiek - ryba wybrał to miejsce i ten czas na otwieranie starych ran?"

Nawigator robił wrażenie, jak gdyby przegrywał walkę o utrzymanie swych nerwów na wodzy. Zaniechał już ociężałych, rybich ruchów, jakie demonstrował na wcześniejszym spotkaniu. Małe oczka Edrica skakały tu i tam, pytające i pełne wahania. Jedyne członek świty, który towarzyszył mu aż tutaj, stał z dala, na lewo, w pobliżu rzędu strażników przy tylnej ścianie. Paula niepokoił ten adiutant, niezgrabny, gruboszyi, o pustej i nieobecnej twarzy. Wkroczył do salonu krokiem dusiciela, podparty pod boki, od czasu do czasu popychając unoszący się na polu dryfowym zbiornik Edrica.

"Scytalus" - tak mówił do niego Edric. - "Adiutant Scytalus".

Powierzchnowość adiutanta manifestacyjnie wyrażała głupotę, ale zdradzały go oczy. Śmiały się ze wszystkiego, co dostrzegali.

- Zdaje się, że twojej konkubinie podobało się przedstawienie Tancerzy Oblicza - powiedział Edric. - Cieszy mnie, że mogłem jej dostarczyć tej drobnej rozrywki. Najbardziej podobała mi się reakcja, gdy ujrzała, jak cała trupa równocześnie powtarza rysy jej twarzy.

- Czy nie istnieje porzekadło, że gdy Gildianie przynoszą dary, trzeba się strzec? - zapytał Paul.

Myślał o przedstawieniu w Wielkiej Sali. Tancerze weszli przebrani za figury Tarota Diuny, rozbiegając się w pozornie przypadkowy układ, który przekształcił się w Ogniste Wiry i starożytne znaki wróżbiarskie. Potem nadeszli władcy - parada królów i imperatorów niczym oblicza na monetach, z pozoru oficjalne i sztywne, potem zadziwiająco płynne. W końcu przyszła pora na żarty: zademonstrowano kopię ciała i twarzy Paula, Chani zwielokrotnioną wzdłuż całej sali, nawet Stilgara, który chrząkał i wzdrygał się, kiedy innych ogarnął śmiech.

- Ależ nasze dary wypływają z najżyczliwszych intencji - zaprotestował Edric.

- Do jakiego stopnia jesteście życzliwi? - spytał Paul. - Ghola, którego nam dałeś, wierzy, że został stworzony, by nas zniszczyć.

- Zniszczyć ciebie, Sire? - Edric był ucieleśnieniem grzecznego zaciekawienia. - Czyż można zniszczyć boga?

Stilgar, który wszedł w trakcie ostatnich słów, zatrzymał się i spojrzał na strażników. Byli o wiele dalej od Paula, niż sobie życzył. Gniewnym gestem nakazał, by się zbliżyli.

- W porządku, Stil - Paul uniósł rękę. - To tylko przyjacielska dyskusja. Czemu nie przysuniesz zbiornika Ambasadora do brzegu mojej otomany?

Stilgar przeanalizował polecenie. Zbiornik Nawigatora znalazłby się pomiędzy Paulem a przysadzistym adiutantem - zbyt blisko Paula, lecz...

- W porządku, Stil - powtórzył Paul, dając sekretny znak dłonią, czyniący polecenie rozkazem.

Z widocznym ociąganiem Stilgar przysunął pojemnik bliżej Paula. Dotknięcie kapsuły, wokół której unosił się silnie perfumowany aromat melanzu, budziło w nim wstręt. Zajął miejsce przy narożniku, za orbitującym urządzeniem, przez które przemawiał Nawigator.

- Zabić boga - podjął Paul. - To bardzo interesujące. Tylko kto mówi, że jestem bogiem?

- Ci, którzy cię czczą. - Edric zerknął kątem oka na Stilgara. - I ty w to wierzysz?

- To, w co wierzę, nie ma tu znaczenia, Sire - rzekł Edric. - Większości obserwatorów wydaje się jednak, że spiskujesz, by obwołać się bogiem. I można by zapytać, czy jest to coś, czego śmiertelnik mógłby dokonać... bezpiecznie?

Paul przyjrzał się Gildianinowi. Obmierzły stwór, lecz spostrzegawczy. Sam niejednokrotnie zadawał sobie to pytanie. Ale widział też dość dużo alternatywnych linii Czasu, by

wiedzieć, że istnieją możliwości gorsze niż zaakceptowanie własnej boskości. O wiele gorsze. Nie były to jednak drogi, którymi zwykł przechadzać się Nawigator. Ciekawe. Po co zostało zadane to pytanie? Co Edric zamierzał zyskać przez taki afront? Myśli Paula rozbiegły się, analizując wiele możliwości jednocześnie: klik /za tym mchem mogło stać stowarzyszenie Tleilaxan/ - klik /na postępowanie Edrica mogło wpłynąć ostatnie zwycięstwo Dżihad pod Sembou/ - klik /czuło się tu echo różnych wypowiedzi Bene Gesserit/ - klik...

Proces angażujący tysiące bitów informacji wypełnił błyskawicznie zmieniającymi się sekwencjami kalkulacyjną świadomość Paula. Zajął to może trzy sekundy.

- Czy Nawigator kwestionuje wskazówki wyroczni? - zapytał, chcąc wepchnąć rozmówcę na grząski grunt rozumowania.

Edric zręcznie pokrył zmieszanie czymś, co brzmiało jak przydługi aforyzm:

- Żaden inteligentny człowiek nie kwestionuje jasnowidzenia jako faktu, Sire. Prorocze wizje znane były ludziom od najdawniejszych czasów. Zdołały nas usidlić, gdy najmniej się tego spodziewaliśmy. Na szczęście, są też inne siły wszechświata.

- Potężniejsze niż jasnowidzenie? - naciskał Paul.

- Gdyby istniało i działało tylko jasnowidzenie, samo by się unicestwiło, Sire. Nic prócz wyroczni? Gdzie znalazłaby zastosowanie, z wyjątkiem własnych, degenerujących się poczynąń?

- Pozostaje jeszcze sytuacja ludzi - zgodził się Paul.

- W najlepszym przypadku niepewna - rzekł Edric - i bez gmatwania jej halucynacjami.

- Czyżby moje wizje były jedynie halucynacjami? - w głosie Paula pobrzmiwał szyderczy smutek. - A może utrzymujesz, że to moi wyznawcy mają halucynacje?

Stilgar, wyczuwając narastające napięcie, zrobił krok w stronę Paula i skupił uwagę na Gildianinie, spoczywającym w zbiorniku.

- Przekręcasz moje słowa, Sire - zaprotestował Edric z dziwną gwałtownością.

"Przemoc tutaj? - zastanawiał się Paul. - Nie ośmiela się! Chyba, że - spojrzał na strażników - siły, które mnie chronią, mają być użyte, by mnie usunąć."

- Przecież oskarżasz mnie, że potajemnie spiskuję, by obwołać się bogiem - powiedział, zniżając głos tak, by słyszał go tylko Edric i Stilgar. - Spiskuję?

- Być może źle dobrałem słowa, mój panie - rzekł Edric.

- Lecz znamienne - zauważył Paul. - Oznacza to, że spodziewasz się po mnie najgorszego.

Edric wygiął szyję i spojrzał na Stilgara z obawą.

- Ludzie zawsze spodziewają się najgorszego po wielkich i potężnych, Sire. Mówi się, że łatwo można poznać arystokratę: ujawnia tylko te wady, które przysparzają mu popularności.

Cień przebiegł przez twarz Stilgara.

Paul podniósł wzrok, wyczuwając myśli powstające w głowie Stilgara: "Jak śmiał ten Gildianin odezwać się taki sposób do Muad'Di - ba?"

- Oczywiście nie żartujesz - stwierdził.

- Żartuję, Sire?

Paul poczuł suchość w ustach. Miał wrażenie, że w tym pokoju jest za dużo ludzi, że powietrze, którym oddychał, przeszło przez zbyt wiele płuc. Woń melanzu z kapsuły Edrica napelniała go przerażeniem.

- Jakichż to współników miałbym mieć w tym spiskowaniu? - spytał. - Wskazujesz na Kwizarat?

Edric wzruszył ramionami, wprowadzając w ruch smugi pomarańczowego gazu wokół głowy. Nie robił już wrażenia, że boi się Stilgara, choć Fremen nadal mu się przyglądał.

- Sugerujesz, że moi misjonarze Świętego Posłannictwa, wszyscy, głoszą misterny fałsz? - nalegał Paul.

- Można by to uznać za kwestię korzyści własnych i szczerości - powiedział Edric.

Stilgar sięgnął po krysnóż ukryty pod szatą. Paul potrząsnął głową.

- Oskarżasz mnie więc o nieszczerłość - stwierdził.

- Nie jestem pewien, czy "oskarżać" to właściwe słowo, Sire. "Ale to stworzenie ma tupet!"

- pomyślał Paul. I rzekł:

- Oskarżasz, czy nie, mówisz, że moi biskupi wraz ze mną są nie lepsi od żadnych władzy bandytów.

- Żadnych władzy, Sire? - Edric znów spojrzał na Stilgara. - Władza ma tendencję izolowania tych, którzy dzierżą jej zbyt wiele. W końcu tracą kontakt z rzeczywistością... i upadają.

- Panie - wtrącił Stilgar - kazałeś tracić ludzi za mniejsze przewiny!

- Ludzi, tak - zgodził się Paul. - Ale to jest Ambasador Gildii.

- On oskarża cię o bezbożne szalbierstwo!

- Interesuje mnie jego sposób myślenia - rzekł Paul. - Powściągnij gniew i bądź czujny.

- Jak Muad'Dib rozkaże.

- Powiedz, Nawigatorze - ciągnął Paul - jak moglibyśmy utrzymać tę hipotetyczną mistyfikację na tak wielkich obszarach przestrzeni i czasu, nie mając środków, by obserwować każdego misjonarza, bądź każdą sytuację w każdym kwizarackim klasztorze czy świątyni?

- Czy istnieje dla ciebie czas? - spytał Edric.

Stilgar zmarszczył brwi z widocznym zakłopotaniem. "Muad'Dib często mówił, że widzi poprzez zasłony czasu - pomyślał. - Co ten Gildianin chce naprawdę powiedzieć?"

- Czy w strukturze takiej mistyfikacji nie zaczęłyby pojawiać się luki? - zapytał Paul. - Znaczące rozbieżności, schizmy, wątpliwości, wyznania win. Oszustwem na pewno nie dałoby się wyeliminować wszystkiego.

- To, czego nie może ukryć religia i korupcja, może ukryć rząd - powiedział Edric.

- Badasz granice mojej tolerancji? - spytał Paul.

- Czy w moich argumentach nie ma ziarna prawdy? - odparował Edric.

"Czy on chce, żebyśmy go zabili? - myślał Paul. - Czyżby składał siebie w ofierze?"

- Bardziej mi odpowiada cyniczny punkt widzenia - powiedział wymijająco. - Najwyraźniej wyuczyli cię wszystkich kłamliwych sztuczek dyplomacji: podwójnych znaczeń i słów - wytrychów. Język jest dla ciebie niczym innym jak bronią i sprawdzasz nim wytrzymałość mej zbroi.

- Cyniczny punkt widzenia - usta Edrica rozciągnęły się w uśmiechu. - Przecież władcy zawsze są cyniczni, gdy chodzi o religię. Religia także jest bronią. Jakiego rodzaju bronią jest religia, kiedy staje się rządem?

Paul czuł, jak nieruchomieje, postawiony nagle w stan najwyższego pogotowia. Do kogo mówił Edric? Diabelnie chytne słowa, gęste od demagogicznych podtekstów - ten pozór wyśmienitego samopoczucia, ten nieodpowiedzialny nastrój wspólnych sekretów, maniera dająca do zrozumienia, że on i Paul to dwaj przewrotni mędracy, świa - towcy rozumiejący rzeczy niedostępne prostaczkom. Paul dokonał wstrząsającego odkrycia, że to nie on był celem całej tej retoryki. To trapiące dwór nieszczęście wygłaszało mowy na użytek innych - przemawiało do Stilgara, do straży zamkowej, może nawet do krępego adiutanta.

- Narzucono mi religijną mana - powiedział. - Ja jej nie szukałem.

"A masz! - pomyślał. - Niech ta ryba myśli, że wygrała naszą bitwę na słówka."

- Czemu więc nie zaprzeczyłeś temu, panie? - zapytał Edric.

- Z powodu mojej siostry, Alii - Paul uważnie przyglądał się Edricowi. - Ona jest boginią. Pozwól, że ci doradzę ostrożność, jeśli chodzi o Alię, bo jedno jej spojrzenie mogłoby położyć cię trupem.

Uśmiech samozadowolenia, rozkwitający dotąd na wargach Edrica, zamarł, zgaszony przez osłupienie.

- Mówię to śmiertelnie poważnie - dodał Paul, obserwując, jak szok się rozprzestrzenia. Zauważył aprobujący ruch głowy Stilgara.

- Zraniłeś moją wiarę w ciebie, Sire - powiedział słabo Edric. - I nie wątpię, że taki był twój zamiar.

- Nie bądź taki pewien, że znasz moje zamiary - odparł Paul i dał znak Stilgarowi, że posłuchanie dobiegło końca.

Nieme pytanie Stilgara, czy trzeba Edrica zgładzić, skwitował przeczącym gestem, dla wzmocnienia dodając kategorię nakaz, by Stilgar nie załatwił sprawy po swojemu.

Adiutant Scytalus podszedł do tylnego rogu zbiornika i popchnął go w kierunku drzwi. Znalazłszy się naprzeciw Paula zatrzymał się i spoglądając na niego roześmianymi oczyma, zagadnął:

- Czy mój pan pozwoli?

- Tak, o co chodzi? - rzekł Paul, widząc, jak Stilgar zbliża się, zaniepokojony ukryta groźbą promieniującą od tego człowieka.

- Niektórzy mówią - powiedział Scytalus - że ludzie gamą się pod berło Imperatora dlatego, że kosmos jest nieskończony. Bez jednoczącego symbolu czują się samotni. Dla osamotnionych jest on pewnym oznaczonym miejscem. Mogą się zwrócić ku niemu i powiedzieć: "Patrzcie, tam jest On. On czyni z nas jedno". Być może religia służy do osiągnięcia tego samego celu, mój panie.

Scytalus uklonił się grzecznie i wymierzywszy kapsule kolejnego szturchańca, opuścił salon wraz z Edricem, spoczywającym w zbiorniku na wznak, z zamkniętymi oczyma. Nawigator wydawał się ledwie żywy, jak gdyby wyczerpał całą swą życiową energię.

Paul patrzył w ślad za powłóczącym nogami adiutantem, rozmyślając nad jego słowami. "Dziwny typ, ten Scytalus" - zawyrokował. Gdy mówił, przypominał na raz wielu ludzi, jak gdyby całe jego genetyczne dziedzictwo leżało odkryte na skórze.

- To było zastanawiające spotkanie - rzucił w przestrzeń Stilgar.

Paul wstał z otomany, gdy tylko strażnik zamknął drzwi za Edrickiem i jego eskortą.

- Zastanawiające spotkanie - powtórzył Stilgar. Na skroni pulsowała mu żyłka.

Paul przygasił lampy i podszedł do okna wychodzącego na prostopadłą skarpe jego Cytadeli. Daleko w dole migotały światelka i poruszały się maleńkie sylwetki ludzi. Brygada robocza uwijała się przy transporcie gigantycznych bloków plazmeldu, które miały być użyte przy naprawie fasady świątyni Alii, uszkodzonej przez kapryśne wiry burzy piaskowej.

- To było głupie, Usul, zapraszać to stworzenie na pokoje - powiedział Stilgar.

"Usul - pomyślał Paul. - Moje siczowe imię. Stilgar chce mi przypomnieć, że kiedyś miał nade mną władzę, że ocalił mnie od pustyni."

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał się Stilgar, stojąc tuż za nim.

- Dane - powiedział Paul. - Potrzeba mi więcej danych.

- Czy to bezpieczne, próbować stawiać czoła temu zagrożeniu ty i I - k o jako mentat?

"Celne spostrzeżenie" - pomyślał Paul.

Kalkulacja mentata miała ograniczony zasięg. Nie sposób analizować coś bezgranicznego, poruszając się w granicach jakiegokolwiek języka. Mentackie zdolności były jednak przydatne. Wyjaśnił to natychmiast, prowokując Stilgara, by ten odpierał jego argumenty.

- Zawsze jest jeszcze coś poza tym - rzekł Stilgar. - To coś lepiej pozostawić na zewnątrz.
- Albo wewnątrz - odpowiedział Paul.

Na moment dopuścił do siebie efekt własnej proroczo - mentackiej analizy. Na zewnątrz, tak. A wewnątrz: tu gnieździł się prawdziwy koszmar. Jak mógłby obronić się przed samym sobą? Z pewnością prowadzono go ku samozagładzie, ale na skraju tej możliwości czały się inne, jeszcze bardziej przerażające.

Rozważania przerwał odgłos szybkich kroków. W drzwiach, ciemna na tle rzęście oświetlonego korytarza, ukazała się postać Kwizara Korby. Wpadł, jak gdyby był ścigany przez niewidzialnego prześladowcę i zatrzymał się jak wryty w ciemnym salonie. Ręce miał pełne nawiniętych na szpule szigastrun. Zamigotały w świetle padającym z hallu jak dziwaczne, małe, okrągłe klejnoty i w jednej chwili zgasły, gdy ręka strażnika zamknęła drzwi.

- Czy to ty, mój panie? - zapytał Korba, rozglądając się w mroku.
- O co chodzi? - odezwał się Stilgar.
- Stilgar?
- Obaj tu jesteśmy. O co chodzi?
- Martwi mnie to przyjęcie na cześć Gildianina.
- Martwi? - zapytał Paul.
- Ludzie mówią, mój panie, że honorujesz wrogów.
- I to wszystko? - spytał Paul. - Czy to są te szpule, które kazałem ci przynieść wcześniej? -

Wskazał na kążki szigastrun w dłoniach Korby.

- Szpule... Och! Tak, panie. To te wykłady z historii. Czy zechcesz je przejrzeć tutaj?
- Widziałem już je. Chcę, żeby Stilgar je obejrzał.
- Ja? - zdziwił się Stilgar.

Czuł, jak rośnie w nim niechęć do tego, co uważał za kaprys Paula. Wykłady z historii! Szukał Paula, by przedyskutować z nim logistyczną koncepcję podboju Zabulonu. Przeszkodziła mu obecność Ambasadora Gildii. A teraz znów Korba z wykładami z historii!

- Na ile znasz historię? - zastanawiał się na głos Paul, przyglądając się mrocznej sylwetce przed sobą.

- Panie, potrafię nazwać każdy świat, o jaki w swej wędrówce zawadzili nasi ludzie. Wiem, dokąd rozciąga się imperialna...

- Złoty Wiek Ziemi. Czy kiedykolwiek uczyłeś się o tym? - Ziemia? Złoty Wiek?

Stilgar był rozdrażniony i zmieszany. Po co Paul wracał do mitów z zarania dziejów? W umyśle Stilgara piętrzyły się dane dotyczące Zabulonu - kalkulacje sztabowych mentatów: trzydzieści legionów na pokład dwustu pięćdziesięciu zaczepnych fregat, bataliony pomocnicze, jednostki pacyfikacyjne, kwizaraccy misjonarze... racje żywnościowe/wszystkie liczby miał w pamięci/, racje melanzu... uzbrojenie, umundurowanie, orderzy... urny na popioły zmarłych... specjaliści: ludzie przygotowujący materiały wstępne dla propagandy, kanceliści, rachmistrze... szpiedzy i szpiedzy szpiegów...

- Przyniosłem też przystawkę projektora: synchronizator tętna - nieśmiało wtrącił Korba. Wyraźnie wyczuwał rosnące napięcie między Stilgarem a Paulem i był tym zaniepokojony.

Stilgar pokręcił głową. Synchronizator tętna? Z jakiej racji Paul chce, żeby oprócz projektora szigastrunowego posłużył się mnemonicznym systemem pulsacyjnym? Po co szukać swoistych danych w historii? To zajęcia dla mentata! Jak zwykle, Stilgar czuł głęboki sprzeciw na samą myśl o użyciu projektora z przystawką. Ten przyrząd zawsze rodził w nim mieszane uczucia, zalewał go strumieniem danych, które umysł sortował dopiero później. Był zaskakiwany informacjami, o których wiedział, że ich nie zna.

- Sire, przyniosłem kalkulacje dotyczące Zabulon... - zaczął.

- A żeby je odwoźnił! - parsknął wściekle Paul, używając obsce - nicznego fremieńskiego zwrotu przywołującego na myśl wilgoć, której dotknięciem nie skalałby się żaden człowiek.

- Panie!

- Stilgarze - powiedział Paul - rozpaczliwie potrzeba ci poczucia równowagi, które może przyjść tylko wraz ze zrozumieniem procesów długofalowych. Korba przyniósł ci to, co nam zostało z informacji o dawnych czasach, strzępy danych pozostawione przez Butlerjan. Zaczniemy od Czyngis - chana.

- Czyngis... Chan? Jakiś sardaukar, mój panie?

- O nie, na długo przed tym. Uśmiercił prawdopodobnie cztery miliony.

- Musiał mieć wspaniałą broń, żeby zabić aż tylu, Sire. Być może promienniki laserowe albo...

- Nie zabijał ich własnoręcznie, Stil. Robił to tak jak ja - wysyłając w bój swe legiony. Jest i inny imperator, na którego chcę, żebyś zwrócił uwagę - niejaki Hitler. Zabił ponad sześć milionów. Całkiem nieźle, jak na tamtą epokę.

- Zabił... z pomocą swych legionów? - upewnił się Stilgar. - Tak.

- Niezbyt imponujące liczby, panie.

- Dobrze, Stil - Paul spojrzał na szpule w rękach Korby. Korba stał z nimi, wyglądał jakby chciał rzucić je na ziemię i dać drapak. - Liczby: według umiarkowanych szacunków zabiłem

sześćdziesiąt jeden miliardów ludzi, spustoszyłem dziewięćdziesiąt planet, kompletnie zdemoralizowałem pięćset innych. Starłem z ich powierzchni wyznawców czterdziestu religii, które istniały odkąd...

- Niewiernych! - oburzył się Korba. - To wszystko niewierni!

- Nie - zaprzeczył Paul. - Wierzący.

- Mój monarcha raczy żartować - głos Korby drżał. - Dżihad przywiodła dziesięć tysięcy światów w promienną jasność...

- W ciemność - uciął Paul. - Setka pokoleń będzie leczyć rany zadane przez Dżihad Muad'Diba Trudno mi nawet wyobrazić sobie, że ktoś może mnie kiedyś przewyższyć. - Śmiech wydarł mu się z gardła.

- Co tak bawi Muad'Diba? - spytał Stilgar.

- Nic mnie nie bawi. Po prostu nagle ujrzałem Imperatora Hitlera wygłaszającego mowę w tym stylu. Nie wątpię, że tak mówił.

- Żaden inny władca nigdy nie dorównał ci potęgą - sprzeciwił się Korba. - Kto ośmieliłby się rzucić ci wyzwanie? Twoje legiony kontrolują cały znany wszechświat i wszystkie...

- Legiony kontrolują - powtórzył Paul. - Ciekawe, czy o tym wiedzą?

- Ponad legionami stoisz ty, Sire - wtrącił Stilgar głosem, który mówił wyraźnie, że zna swoją pozycję w tym łańcuchu władzy, własną rękę dzierząc całą tę potęgę.

Skierowawszy myśli Stilgara na bliską mu płaszczyznę, Paul skupił całą uwagę na Korbie.

- Połóż szpule tu, na otomanie - rozkazał. Korba wykonał polecenie.

- Jak tam przyjęcie, Korba? - ciągnął Paul. - Czy moja siostra panuje nad wszystkim?

- Tak, mój panie - odparł Korba ostrożnie. - A Chani podgląda przez ukryty wizjer. Podejrzewa, że w świecie Gildianina mógłby się znaleźć sardaukar.

- Z pewnością ma rację - rzekł Paul. - Szakale się zbierają.

- Bannerdzi - Stilgar mówił o dowódcy Służby Bezpieczeństwa Paula - obawiał się, że niektórzy z nich mogą próbować spenetrować prywatne skrzydła Cytadeli.

- Były takie próby?

- Na razie nie.

- Ale było zamieszanie w ceremonialnych ogrodach - nadmienił Korba.

- Jakiego rodzaju zamieszanie? - spytał ostro Stilgar.

Paul kiwnął głową.

- Obcy włóczą się tu i tam - mówił Korba - tratuja kwiaty, szepczą między sobą...

Otrzymałem raporty o paru niepokojących uwagach.

- Jakich? - spytał Paul.

- "To na to wydaje się nasze podatki?" Doniesiono mi, że sam Ambasador zadawał takie pytania

- Nie dziwi mnie to - stwierdził Paul. - Czy wielu obcych było w ogrodach?

- Dziesiątki, panie.

- Bannerdzi rozmieścił wybranych żołnierzy przy niezabezpieczonych bramach. - Stilgar odwrócił się, stojąc tak, że jedyne palące się w salonie światło padało na połowę jego twarzy.

To szczególne oświetlenie, ta twarz, pobudziły jakiś węzłowy punkt pamięci Paula - przypomniały coś z pustyni. Paul nie zatroszczył się, by przywołać wspomnienie; obserwował psychiczną rejteradę Stilgara. Napięta skóra na czole Fremena odsłaniała niemal każdą pojawiającą się w głowie myśl. Teraz był pełen podejrzeń, głęboko sceptyczny wobec dziwnego zachowania swojego Imperatora.

- Nie podoba mi się to najście na ogrody - powiedział Paul. - Uprzejmość dla gości to jedna sprawa, podobnie zresztą jak konieczność powitania wysłannika, ale to...

- Dopilnuję, żeby ich usunięto - rzekł Korba. - Natychmiast

- Czekaj! - rozkazał Paul, nim Korba zdążył się odwrócić.

W nagle zapadłym milczeniu Stilgar przesunął się w miejsce, skąd mógł obserwować twarz Paula. Bardzo to było zręczne. Paul podziwiał dyskrecję, krok pozbawiony jakiegokolwiek przedwczesności. To była fremeńska specjalność: chytryść zabarwiona szacunkiem dla cudzych sekretów, ruch podyktowany koniecznością.

- Która godzina? - zapytał Paul..

- Prawie północ, Sire - odparł Korba

- Korba, myślę, że chyba jesteś moim najdoskonalszym dziełem - powiedział Paul.

- Sire! - w głosie Korby zabrzmiała uraza

- Czujesz lęk przede mną?

- Jesteś Paul Muad'Dib, który w naszej siczy był Usulem - rzekł Korba. - Znasz moje oddanie...

- Czy czułeś się kiedyś jak apostoł? - spytał Paul.

Korba najwyraźniej nie pojął pytania, ale właściwie zinterpretował ton głosu.

- Mój Imperator wie, że mam czyste sumienie!

- Szej-huludzie, miej nas w opiece! - wymamrotał Paul.

Pełną wahania ciszę przerwało pogwizdywanie kogoś, kto szedł korytarzem. Na wysokości drzwi melodia ucichła, zduszona szorstkim rozkazem strażnika.

- Myślę, Korba, że masz szansę to wszystko przeżyć - powiedział Paul. Zobaczył, że błysk zrozumienia rozjaśnia twarz Stilgara.

- A intruzi w ogrodach, Sire? - zagadnął Stilgar.

- A, tak - przypomniał sobie Paul. - Każ Bannerdziemu ich usunąć, Stil. Korba będzie przy tym obecny.

- Ja, Sire? - Korba zdradzał silne zaniepokojenie.

- Niektórzy z moich przyjaciół zapomnieli, że kiedyś byli Fremenami. - Paul mówił do Korby, ale słowa skierowane były do Stilgara. - Zidentyfikujesz tych, których Chani rozpozna jako sardaukarów i każesz ich stracić. Zrobisz to osobiście. Chcę, aby zostało to przeprowadzone cicho i bez zbędnego zamieszania. Musimy pamiętać, że religia i rząd to więcej niż tylko zatwierdzanie traktatów i kazań.

- Jak Muad'Dib rozkaże - wyszeptał Korba.

- A kalkulacje dotyczące Zabulonu? - spytał Stilgar.

- Jutro - rzekł Paul. - A gdy z ogrodów usunie się już obcych, obwieść, że przyjęcie dobiegło końca. Zabawa skończona, Stil.

- Rozumiem, mój panie.

- Tego jestem pewien - powiedział Paul.

*Tu leży bóg, który runął
Z wyżyn - upadek bolesny.
Ów tron, wyniosły i stromy
To myśmy dla niego wzniesli...*

Tleilaxański epigramat

Alia przykucnęła. Oparła łokcie na kolanach, podbródek złożyła na pięści. Oglądała zwłoki rozciągnięte na wydnie - kilka kości i trochę poszarpanego ciała, wszystko, co zostało z młodej kobiety. Ręce, głowa i góra tułowia zniknęły, pożarte przez kurzawę Coriolisa. Piach wokół nosił ślady obecności lekarzy i śledczych jej brata. Odeszli już, tylko służba pogrzebowa stała jeszcze z boku za plecami Hayta, czekając, aż ona odczyta tajemne znaki pozostawione w tym miejscu.

Niebo koloru pszenicy malowało tło tej sceny sinawym światłem, częstym po południu na tych szerokościach.

Ciało odkryto kilka godzin wcześniej. Nisko lecący kurier zauważył, że czujniki wykazały słaby ślad wody tam, gdzie jej nie powinno być wcale. Jego wezwanie ściągnęło ekspertów, którzy stwierdzili, że była to kobieta około lat dwudziestu; Fremenka uzależniona od semuty...

I że zmarła tu, w tyglu pustyni, od wyrafinowanej trucizny tleilaxańskiego pochodzenia.

Śmierć na pustyni była wydarzeniem powszednim. Ale Fremenka uzależniona od semuty stanowiła taką rzadkość, że Paul posłał tutaj Alię, by zbadała sprawę metodami, których nauczyła ich matka.

Alia czuła, że nie osiągnęła niczego poza owianiem własną tajemniczością sceny, która sama w sobie była i tak wystarczająco zagadkowa. Odwróciła się, słysząc szelest stóp gholi na piasku. Hayt błyskawicznie udał zainteresowanie eskortą, krążącą nad ich głowami jak stado kruków.

"Strzeż się, gdy Gildia przynosi ci dary" - pomyślała.

Ornitopter kostnicy i jej własna maszyna stały na piasku za gholą, w pobliżu skał. Spojrzała na nie, marząc, by znaleźć się w powietrzu i uciec jak najdalej.

Ale Paul miał nadzieję, że dojrzy tu coś, co umknęło uwadze innych. Filtrfrak przyprowadził Alię o męki. Zdawał się szorstki i niewygodny po długich miesiącach spędzonych w mieście, gdzie od niego odwykła. Spojrzała na gholę, zastanawiając się, czy Hayt może wiedzieć coś istotnego o tym niezwykłym zgonie. Kosmyk włosów, przypominających sierść czarnego kozła, wymknął się mu spod kaptura. Poczula, że jeszcze chwila, a wyciągnie dłoń, by wsunąć go z powrotem.

Jak gdyby poruszone tą myślą, szaro - metaliczne oczy zwróciły się ku niej. Sprawily, że zadrżała i wbrew sobie oderwała od gholi wzrok.

Fremeriska kobieta zginęła tu od trucizny zwanej "gardłem piekiel".

Podzielała zaniepokojenie Paula tą kombinacją.

Ekipa pogrzebowa czekała cierpliwie. W ciecie zostało już zbyt mało wody, by opłacało się ją odzyskać. Nie było powodu do pośpiechu. Ponadto wszyscy wierzyli, że Alia widzi niedostrzegalną prawdę wyrytą w tych szczątkach.

Nie objawiła się jej żadna niezwykła prawda.

Odczuwała tylko gniew, jaki budziło w niej to oczywiste niepowodzenie. Oto efekt tej cholernej religijnej tajemnicy. Ona i jej brat nie mogli być ludźmi. Musieli być czymś więcej. Zadbali o to Bene Gesserit, manipulując przodkami Atrydów. I przyczyniła się ich matka, wprowadzając ich na ścieżkę magii.

A Paul utrwalił tę odmiennosc.

Wielebne Matki, tkwiące w pamięci, odezwały się jakby zaniepokojone przyływem wątpliwości: "Spokojnie, malutka! Jesteś tym, czym jesteś. To ma też dobre strony".

Dobre strony!

Skinieniem ręki wezwała gholę. Stanął przy niej, pełen pokory, usłużny.

- Co tutaj widzisz? - spytała.

- Możemy nigdy się nie dowiedzieć, kto tu zginął - powiedział. - Głowa i zęby zniknęły. Ręce... Mało prawdopodobne, że istnieje gdzieś zapis genetyczny, do którego moglibyśmy porównać komórki.

- Tleilaxańska trucizna - rzuciła - Co ci to mówi?

- Wielu ludzi kupuje takie trucizny.

- To prawda. A rozkład posunął się za daleko, by można było odrodzić ciało, tak jak zrobiono to z twoim.

- Nawet, gdybyś mogła w tej kwestii zaufać Tleilaxanom - rzekł. Skinęła głową.

- Odstawisz mnie teraz do miasta - powiedziała wstając.

- Latasz dokładnie jak Duncan Idaho - zauważyła, gdy byli już w powietrzu, biorąc kurs na północ.

Spojrzał na nią z uwagą.

- Już mi to powiedziano.

- O czym teraz myślisz? - zapytała.

- O wielu rzeczach.

- Do diabła, przestań wykręcać się od odpowiedzi na pytanie!

- Które pytanie?

Przeszyła go wzrokiem. Zauważył to i wzruszył ramionami.

"Cały Duncan w tym geście" - pomyślała. Rzuciła zniecierpliwiona:

- Chciałam po prostu, byś odkrył swoje wrażenia, pozwolił je skonfrontować z moimi.

Śmierć tej dziewczyny mnie niepokoi. - Jej ochrypły głos brzmiał zaczepnie.

- Nie o tym myślałem.

- A o czym?

- O tych dziwnych emocjach, jakich doznaję, gdy ludzie mówią o kimś, kim być może byłem.

- Być może byłeś?

- Tleilaxanie są bardzo przebiegli.

- Nie aż tak przebiegli. Byłeś Duncanem Idaho.

- Najprawdopodobniej. Taka jest wstępna kalkulacja.

- Więc stajesz się uczuciowy?

- W pewnym stopniu. Odczuwani podniecenie. Niepewność. Jestem roztrzęsiony i opanowanie tego kosztuje mnie nieco wysiłku. Mam... przebłyski wyobrażeń.

- Jakich wyobrażeń?

- Są zbyt krótkie, by je rozpoznać. Migawki. Strzępy... Niemal wspomnienia.

- Nie jesteś ciekaw tych wspomnień?

- Oczywiście. Ciekawość mnie pociąga, ale napotykam poważny opór. Myślę: "A co, jeśli nie jestem tym, za kogo mnie uważają?" Nie lubię tej myśli.

- I to wszystko, o czym myślałeś?

- Ty wiesz najlepiej, Alio.

"Jak on śmie mówić mi po imieniu?" Czują, jak gniew w niej wzbiera i opada na myśl o tym, jak mówił: lekko drżący półgłos, przypadkowe męskie zwierzenie. Tik poruszył jej podbródkiem. Zaciśnęła zęby.

- Czy to w dole to nie El Kuds? - zapytał, obniżając na chwilę lot, co wywołało nagłą reakcję eskorty.

Spojrzała w dół na cienie ich pojazdów załamujące się na iglicy ponad przełęczą Harga. Dostrzegła urwisko i skalną piramidę zawierającą czaszkę jej ojca. El Kuds - Święte Miejsce.

- To jest Święte Miejsce - powiedziała.

- Muszę tam kiedyś pójść - rzucił. - Może bliskość szczątków twego ojca odsłoni mi wspomnienia, które zdołam zatrzymać.

Nagle pojęła, jak bardzo pragnął dowiedzieć się, kim był. To w nim dominowało. Spojrzała na skały. Podstawa urwiska wchodziła ukośnie w suchą plażę. Morze piasku - cynamonowa skała wynurzała się z wydm jak okręt roztrącający fale.

- Zawróć - powiedziała.

- Eskortę...

- Polecą za nami. Prześliznij się pod nimi. Posłuchał.

- Czy naprą wda służysz mojemu bratu? - zapytała, gdy eskorta dążyła w ślad za nimi na nowy kurs.

- Służę Atrydom - odparł oficjalnym tonem.

Ujrzała, jak jego prawa dłoń unosi się i opada w geście przypominającym dawny kaladański salut. Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz zadumy. Obserwowała go, gdy spoglądał w dół na skalną piramidę.

- Co cię trapi? - spytała.

Poruszył wargami. Głos był napięty, łamał się.

- On był... był... - Łza spłynęła mu po policzku.

Alia zastygła, tknięta zabobonnym fremieńskim lękiem. Ofiarował wodę zmarłemu! Odruchowo dotknęła jego policzka. Pod palcami poczuła wilgoć.

- Duncan - wyszeptała.

Zdawał się przyrośnięty do sterów, utkwivszy wzrok w znajdującym się pod nim grobowcu. Podniosła głos:

- Duncan!

Przełknął ślinę. Potrząsnął głową, spojrzał na nią z błyskiem w metalowych oczach.

- Poczułem rękę... rękę... na ramieniu - szepnął. - Czułem! Rękę - głos wydobywał się z trudem. - To był... przyjaciel. To był mój przyjaciel.

- Kto?

- Nie wiem. Myślę, że to... nie wiem.

Kontrolka wezwania zaczęła pulsować tuż przed Alią. Dowódca eskorty chciał wiedzieć, dlaczego wrócili nad pustynię. Podniosła mi - krofon, wyjaśniła, że złożyli krótki hołd pamięci jej ojca. Kapitan przypomniał, że jest już późno.

- Lecimy teraz do Arrakin - powiedziała, odkładając mikrofon. Hayt głęboko zaczerpnął powietrza i położył ornitopter w zakręt, kierując się na pomoc.

- Poczujesz rękę mojego ojca, prawda? - Może.

Odezwał się głosem mentata obliczającego prawdopodobieństwo. Czuła, że odzyskał równowagę.

- Czy wiesz, skąd znam mego ojca?
- Mam pewne pojęcie.
- Pozwól, że ci je rozszerzę.

Krótko wyjaśniła, jak uzyskała świadomość Matki Wielebnej jeszcze przed swoim narodzeniem; przerażony płód, obarczony doświadczeniem niezliczonych żywych istot wpisanym w kod genetyczny. Było to już po śmierci ojca.

- Znam mego ojca takim, jakiego знаła go matka - stwierdziła. - W najdrobniejszym szczególe każdego doznania, jakie z nim dzieliła. W tym sensie jestem moją matką. Przejęłam jej wszystkie wspomnienia aż do chwili, gdy wypłynęła Wodę Życia i weszła w czas transmigracji.

- Twój brat wyjaśnił mi co nieco.

- Tak? Dlaczego?

- Pytałem. - Po co?

- Mentat wymaga danych.

- Och! - Spojrzała w dół na płaski grzbiet Muru Zaporowego. Udręczona skała, przepaście, rozpadliny.

Pochwycił jej spojrzenie.

- To bardzo odsłonięte miejsce - zauważył.

- Lecz dobre, by się ukryć. - Zerknęła na niego. - Przypomina mi ludzki umysł z jego wszystkimi zakamarkami.

- Aha - powiedział.

- Aha? Co to znaczy "aha"? - Nieoczekiwanie ogarnęła ją złość, której przyczyny nie potrafiła ustalić.

- Chciałabyś wiedzieć, co kryje mój umysł. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Skąd wiesz, że nie obnażyłam twej prawdziwej istoty mocą jasnowidza?

- A zrobiłaś to? - spytał zaciekawiony. - Nie!

- Wieszczyki też podlegają ograniczeniom - rzekł. Wydawał się ubawiony i to ostudziło nieco gniew Alii.

- Bawi cię to? Nie masz żadnego szacunku dla moich mocy? - Nawet w jej własnych uszach pytanie nie zabrzmiało zbyt przekonywająco.

- Szanuję twoje znaki i omeny może bardziej, niż sądzisz - odparł. - Brałem udział w twoim Rytuale Porannym.

- I jaki stąd wniosek?

- Masz prawdziwy dar ożywiania symboli - ciągnął, nie odwracając uwagi od sterów. - Powiedziałbym, że to specyfika Bene Gesserit. Ale jak wiele czarownic, stałaś się nieostrożna.

Poczuła skurcz strachu.

- Pozwalasz sobie za dużo!

- Pozwalam sobie na wiele więcej, niż przewidzieli moi twórcy. Dzięki temu nadal jestem u boku twego brata.

Alia w milczeniu przyglądała się stalowym gałkom jego oczu: żadnych ludzkich uczuć. Kaptur filtrfraka krył linię podbródka. Ale usta nadal były zaciśnięte. Zdradzały wielką siłę i determinację. W tym, co mówił, brzmiało fascynujące zaangażowanie. "Pozwalam sobie na wiele więcej..." Tak mógłby powiedzieć Duncan Idaho. Czy Tleilaxa - nie zbudowali swego gholę lepiej, niż myśleli, czy też to tylko pozory, część wyposażenia?

- Wytlumacz siebie, gholo - zażądała.

- Poznaj siebie, czy tak brzmi rozkaz? - zapytał. Znów wyczuła w nim rozbawienie.

- Nie baw się ze mną słowami, ty... ty przedmiocie! - wybuchnęła. Położyła dłoń na wąskiej pochwie krysnoża. - Dlaczego podarowali cię mojemu bratu?

- Twój brat mówił, że przyglądałaś się prezentacji - powiedział. - Słyszałaś, jak odpowiadałem na to pytanie.

- Odpowiedz jeszcze raz mnie!

- Zaplanowano, że mam go zniszczyć. - I to mówi mentat?

- Znasz odpowiedź nie pytając - uciął. - I wiesz też doskonale, że taki podarunek nie był konieczny. Twój brat dostatecznie dobrze pracuje nad swym upadkiem.

Ważyla jego słowa, nie wypuszczając rękojęści noża. Przebiegła odpowiedź, choć brzmiała w niej szczerść.

- Więc po co ten dar?

- Może po prostu bawił Tleilaxan. A prawdę mówiąc. Gildia prosiła o mnie jako o prezent.

- Dlaczego?

- Ta sama odpowiedź.

- Czy znaczy to, że nieostrożnie posługuję się moją mocą?

- A jak jej używasz? - odparował.

Jego pytanie dotknęło jej własnych obaw. Zdjęła dłoń z noża

- Dlaczego mówisz, że Paul dąży do własnego upadku?

- Och, daj spokój, dziecko! Gdzie owe osławione moce? Gdzie twoja zdolność rozumowania?

- Rozumuj za mnie, mentacie - wycedziła, powściągając gniew.

- Doskonale.

Poszukał wzrokiem eskorty, skupiając się znów na utrzymaniu kursu. Zza pomocnej krawędzi Muru Zaporowego wyłaniała się już równina Arrakin. Zabudowania wiosek rozrzuconych w niecce i grabienie kryły się pod całunem kurzu, ale można było dostrzec lśniąco w oddali miasto.

- Symptomy - powiedział. - Twój brat utrzymuje nadwornego panegirystę, który...

- Który był darem od fremeńskich naibów!

- Dziwny dar od przyjaciół - stwierdził. - Dlaczego opętali go uniżeniem i służalczością?

Czy kiedykolwiek słuchałeś tego panegirysty? "...Lud kąpie się w światłości Muad'Diba. Regent Ummy, nasz Imperator, nadszedł spośród mroków, by błyszczyć olśniewająco nad rzeszą poddanych. Jest naszym Panem. Jest bezcenną wodą z niewyczerpanej krynicy. Rozlewa radość, której pragną usta całego wszechświata..." Masz!

- Gdybym powtórzyła twoje słowa naszej fremeńskiej eskorcie - powiedziała cicho Alia - posłużyłbyś ptakom na żer.

- Więc powtórz im.

- Mój brat rządzi zgodnie z naturalnym prawem niebios!

- Sama w to nie wierzysz, więc po co to mówisz?

- Skąd wiesz, w co wierzę?

Żadna z metod Bene Gesserit nie mogła jej pomóc opanować drżenia. Ghola działał na nią w sposób, którego nie przewidziała.

- Kazałaś, żebym rozumował jako mentat - przypomniał.

- Żaden mentat nie wie, w co wierzę! - Dwa razy głęboko zaczerpnęła powietrza - Jak śmiesz nas osądzać?

- Osądzać was? Ja nie osądzam.

- Nie macz pojęcia, czego nas uczono!

- Oboje was uczono rządzić - powiedział. - Wpojono w was arogancką żądzę władzy. Nafaszerowano solidną wiedzą polityczną, głębokim przekonaniem o skuteczności wojny i rytuału. Naturalne prawo? Jakie naturalne prawo? To mit, który straszy w historii ludzkości. Straszy! Upiór pozbawiony treści, nierealny. Czy wasza Dżihad to naturalne prawo?

- Mentat - gaduła - zakpiła.

- Jestem sługą Atrydów i mówię otwarcie.

- Sługą? Nie mamy sług, tylko zwolenników.

- A ja jestem zwolennikiem świadomości - powiedział. - Zrozum to, dziecko, a..

- Nie nazywaj mnie dzieckiem! - warknęła Wyrwała nóż do połowy z pochwy.

- Uznaję swój błąd. - Zerknął na nią, uśmiechnął się i powrócił do sterów. Widać już było strome mury Cytadeli Atrydów górującej nad północnymi dzielnicami Arrakin. - Jesteś czymś odwiecznym w ciele, które jest niewiele starsze niż dziecko - rzucił. - A teraz to ciało niepokoi się swoją świeżo upieczoną kobiecością.

- Nie wiem, dlaczego w ogóle cię słucham - burknęła, chowając krysnóż. Wytarła rękę w suknię. Dłoń mokra od potu obrażała jej fremenński zmysł oszczędności. Takie marnotrawstwo wilgoci!

- Słuchasz, bo wiesz, że jestem oddany twemu bratu - stwierdził. - Moje działanie jest jasne i zrozumiałe.

- Jesteś najbardziej skomplikowanym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałam. Skąd mogę wiedzieć, co TleiJaxanie w ciebie wszczepili?

- Omyłkowo lub rozmyślnie - powiedział - dali mi wolność kształtowania się.

- Uciekasz się do zensunnickich paraboli - zauważyła z przekąsem. - "Mądry człowiek nadaje sobie kształt - głupiec żyje tylko po to, by umrzeć." Zwolennik świadomości! - przedrzeźniła go.

- Ludzie nie potrafią oddzielić metod od intencji - rzekł.

- Mówisz zagadkami.

- Mówię do otwierającego się umysłu.

- Powtórzę to wszystko Paulowi.

- Większość z tego już słyszał.

- Jakim cudem jesteś wciąż żywy... i wolny? - nie mogła oprzeć się ciekawości. - Co odpowiedział?

- Śmiał się. I powiedział: "Ludzie nie chcą, żeby królował im księgowy. Chcą mistrza, kogoś, kto uchroni ich od zmian". Ale zgodził się, że ruina jego Imperium rodzi się z niego samego.

- Po co mówiłby takie rzeczy?

- Bo przekonałem go, że rozumiem jego problem i pomogę mu.

- Cóż takiego mogłeś mu powiedzieć, że dał się przekonać?

Zamilkł, kładąc ornitopter w ukośny ślizg w kierunku lądowiska na dachu Cytadeli przy budynkach straży.

- Żądam, byś powtórzył mi, co powiedziałeś!

- Nie jestem pewien, czy to przełkniesz.

- Ja to osądzę. Rozkazuję ci mówić natychmiast!

- Pozwól mi wpierw wylądować - przerwał.

Nie czekając na pozwolenie, rozpoczął podejście do lądowania, uniósł skrzydła pod optymalnym kątem i delikatnie posadził maszynę na jaskrawopomarańczowej poduszce na szczycie dachu.

- Teraz mów - zażądała Alia.

- Powiedziałem mu, że zaakceptowanie samego siebie może być najtrudniejszym zadaniem w całym wszechświecie.

Potrząsnęła głową.

- To... to jest...

- Gorzka pigułka. - Patrzył, jak strażnicy biegną ku nim po dachu, przejmując stanowiska eskorty.

- Gorzki nonsens!

- Największy książę palatynatu i najnędziej opłacany parobek dzielą ten sam problem. Nie możesz wynająć mentata czy jakiegokolwiek innego umysłu, by rozwiązał go za ciebie. Żaden nakaz sądowy, żadni świadkowie, których powołasz, nie dostarczą ci odpowiedzi. Żaden sługa czy zwolennik nie zdoła opatrzyć rany. Zasztywniał ją sama - albo krwawi dalej, na oczach wszystkich.

Odsunęła się od niego, w tejże chwili zdając sobie sprawę, że zdradziła własne odczucia. Nie używając Głosu ani czarodziejskich sztuczek raz jeszcze wdarł się w jej psychikę. Jak mu się to udało?

- Co radziłeś mu zrobić? - spytała cicho.

- Mówiłem, żeby sądził, narzucał posłuszeństwo.

Alia wyjrzała na zewnątrz, podświadomie dostrzegając, jak cierpliwie czekali strażnicy - jak posłusznie.

- By uchylił sprawiedliwość - szepnęła.

- Nie to! - prychnął. - Radziłem, by sądził, tylko sądził, kierując się zasadą, być może...

- Jaką?

- Oszczędzić przyjaciół i zniszczyć wrogów.

- A więc sądzić niesprawiedliwie.

- Czym jest sprawiedliwość? Dwie siły się ścierają. Każda może mieć rację w swoim własnym kręgu. I wtedy rozkazy Imperatora mają przywrócić ład. On nie może zapobiec tym starciom - ma je rozstrzygać.

- Jak?

- Najprościej: decydując.

- Oszczędzając przyjaciół i niszcząc wrogów.

- Czy to nie daje stabilności? Ludzie chcą ładu, takiego czy innego. Biedni przez pryzmat swych potrzeb widzą, jak wojna stała się zabawą bogatych. To niebezpieczna forma sofistyki. Wprowadza chaos.

- Ostrzegę brata, że jesteś zbyt niebezpieczny i trzeba cię usunąć. - Obróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

- Takie rozwiązanie ja już sugerowałem - odparł.

- Tym bardziej jesteś niebezpieczny - powiedziała, akcentując każde słowo. - Panujesz nad swymi namiętnościami.

- Nie dlatego jestem niebezpieczny.

Nim zdołała się cofnąć, ujął ją pod brodę i dotknął ustami jej ust

Pocałunek był delikatny, krótki. Odsunął się, a ona wpatrywała się w niego przerażona, kątem oka dostrzegając powstrzymywane uśmiešky ochrony wyprężonej w równym szyku na zewnątrz.

Dotknęła warg palcem. Ten pocałunek wydawał się jej bardzo znajomy.

Jego usta były ciałem z przyszłości, ujrzanym w przeblysku proroczej wizji.

- Powinnam kazać cię obdrzeć ze skóry - wykrztusiła, oddychając szybko.

- Bo jestem niebezpieczny?

- Bo pozwalasz sobie na zbyt wiele!

- Na nic sam sobie nie pozwalam. Nie biorę niczego, czego mi nie zaoferowano. Bądź zadowolona, że nie wzięłem wszystkiego, co oferowano. - Otworzył drzwi i wysunął się na zewnątrz. - Chodź. Za długo już tu siedzimy.

Zdecydowanym krokiem ruszył w stronę kopuły wejściowej za lądowiskiem. Alia wyskoczyła i pobięła, by się z nim zrównać.

- Powtórzę mu wszystko, co mówiłeś, opowiem co zrobiłeś.

- Dobrze. - Przytrzymał drzwi.

- Każę cię stracić - powiedziała

- Dlaczego? Za pocałunek, na który miałem ochotę?

Wszedł za nią, zmuszając, by się cofnęła. Drzwi zatrzasnęły się.

- Miałeś ochotę! - kipiała złością.

- W porządku, Alia. A więc pocałunek, na który ty miałaś ochotę. - Okrążył ją, idąc w kierunku windy.

W tym momencie zdała sobie sprawę z jego szczerości i całkowitej prawdomówności. "Pocałunek, na który miałam ochotę - pomyślała. - To prawda."

- Twoja otwartość - to jest właśnie niebezpieczne - mruknęła, usiłując dotrzymać mu kroku.

- Powracasz na ścieżki mądrości - stwierdził nie zwalniając. - Mentant nie ująłby sprawy prościej. A teraz: co zobaczyłaś na pustyni?

Chwyciła go za ramię, zatrzymując się. Znowu to zrobił: zmusił ją do zaostrenia świadomości.

- Nie mogę tego wyjaśnić - powiedziała - ale ciągle myślę o Tancerzach Oblicza. Dlaczego?

- Właśnie po to twój brat wysłał cię na pustynię. - Wzruszył ramionami. - Powiedz mu o tej natrętej myśli.

- Ale dlaczego? - Potrząsnęła głową. - Dlaczego Tancerze Oblicza?

- Tam leży martwa kobieta - rzekł Idaho. - Być może nie zauważono zniknięcia żadnej młodej kobiety wśród Fremenów.

Wciąż myślę o tym, jaka to radość: żyć, i zastanawiam się, czy kiedykolwiek zdołam wniknąć aż do samego jądra tego ciała i poznać siebie takiego, jakim byłem kiedyś. To jądro istnieje tam, wewnątrz. Czy jakkolwiek akt mojej woli doprowadzi do tego, by m je odnalazł - pozostaje nierozwikłane w ścieżkach przyszłości. Ale wszystko, co człowiek jest w stanie uczynić, mogę i ja. Każde moje działanie może do tego doprowadzić.

"Wypowiedzi gholi"

z "Komentarzy Alu"

Leżąc pogrążony w oszalamiających wyziewach przyprawy, Paul wpatrywał się w siebie w proroczym transie. Widział, jak księżyc wydłuża się w kształt owalu. Kołysał się i wykrzywił sycząc - okropny syk gwiazdy gasnącej w nieskończonym morzu - w dół... w dół... w dół... jak piłka ciśnięta ręką dziecka.

Zniknął.

Księżyc nie zaszedł. To odkrycie sprawiło, że Paul poczuł pod sobą otchłań. Zniknął: nie było go. Ziemia chybotwała się jak zawieszona na niewidzialnej nici kula. Ogarnęło go przerażenie.

Zerwał się z posłania, spoglądając przed siebie szeroko otwartymi oczami. Częścią swej świadomości patrzył na zewnątrz, częścią do wewnątrz. Na zewnątrz widział plazmellową kratownicę swego prywatnego pomieszczenia, wiedział, że leży w kamiennej otchłani swej Cytadeli.

Wewnątrz wciąż widział spadający księżyc.

Wydostać się! Wydostać!

Plazmellowe kraty jaśniały blaskiem oślepiającego, arrakańskiego południa. Wewnątrz Paula panowała najczarniejsza noc. Z ogrodu na dachu drażnił jego zmysły ożywczy zapach kwiatów, ale żadne kwietne kadzidło nie było w stanie dźwignąć upadłego księżycy.

Paul opuścił stopy na chłodną posadzkę i wyjrzał przez kraty. Naprzeciw delikatnym łukiem wznosił się mostek z platyny i złota stabilizowanego kryształem. Zdobiły go płomieniste klejnoty z dalekiego Cedonu. Ponad basenem z fontanną, wypełnionym wodnym kwieciem, most prowadził do pasaży wewnętrznej części miasta.

Patrzył przez okno, pozostając w narkotycznym więzieniu.

Potworna wizja utraconego księżycy.

Wizja była przestrogą przed groźną utratą bezpieczeństwa jednostki. Być może widział, jak upada jego cywilizacja, obalana przez własne ambicje.

Księżyc... Księżyc... Spadający księżyc...

Musiał zażyć solidną dawkę esencji przyprawowej, by spenetrować tarotowy muł. Wszystko, co mu się objawiło, to upadek księżycy i nienawistny szlak, który znał od początku. Żeby zakończyć tę wojnę, uspić wulkan rzezi, musiał zaprzeć się siebie.

Odejść... Odejść... Odejść...

Zapach kwiatów z ogrodu na dachu przypominał mu o Chani. Zatęsknił do jej ramion, do przysgarbiających go ramion miłości i zapomnienia. Lecz nawet Chani nie mogła zatrzeć tej wizji. Co powiedziałaaby, gdyby poszedł do niej oznajmić, że rozmyśla o pewnej, konkretnej śmierci? Skoro jest nieuchronna, dlaczego nie wybrać śmierci arystokratycznej, nie zakończyć życia u szczytu, odrzucając te wszystkie lata, które mają nadejść? Umrzeć, zanim nastąpi kres potęgi - czyż to nie arystokratyczny wybór?

Wstał. Rozsunął kraty i wyszedł na taras otwierający się w górę dla pędów kwiecica i winorośli spadających z ogrodu. W ustach miał suchość jak po długim marszu przez pustynię.

Księżyc... Księżyc... Gdzie jest ten księżyc?

Pomyślał o raporcie Alii, o ciele młodej kobiety znalezionym na wydmach. Fremenka uzależniona od semuty! Wszystko pasowało do znienawidzonego wzoru.

"Nie czerpie się ze wszechświata - pomyślał. - To on łaskawie obdarza cię, czym zechce."

Na niskim stoliku przy balustradzie leżały szczątki konchy małża z mórz Matki Ziemi. Wziął w dłonie kształtną muszlę, próbując wczuć się we wsteczny bieg Czasu. Perłowa powierzchnia odbijała błyszczące księżyce. Oderwał od niej wzrok, spojrzał wzwyż, w niebo ogarnięte pożogą - łuk tęczowego pyłu płonący w srebrnym, słonecznym świetle.

"Moi Fremeni nazywają siebie Dziećmi Księżyca" - pomyślał.

Odłożył muszlę, przeszedł przez taras. Czy ten przerażający księżyc przynosi nadzieję ucieczki? Paul szukał znaczeń w mistycznym zespoleniu. Czuł się słaby, wstrząśnięty, niezdolny wyzwolić się z przyprawowego delirium.

Z północnego krańca plazmeldowej półki rozciągał się widok na niższe budynki rządowego mrowiska. Tłumy ludzi przewalały się chodnikami biegnącymi po dachach. Korowód na tle drzwi, murów, siatki dachówek, wyglądał jak antyczny ornament. Ludzie byli płytkami mozaiki. Przymknąwszy oczy, Paul zatrzymał w mózgu nieruchomy obraz. Ornament

Księżyc upada i gnie.

Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to miasto, tam, w dole, stanowi tajemny symbol jego wszechświata. Budowle, na które patrzył, wzniesiono na równinie, gdzie jego Fremeni starli legiony sardaukarów. Ziemia ongiś tratowana przez armie niosła teraz wrzawę pośpiesznych interesów.

Trzymając się balustrady, Paul okrążył załamanie budynku. Roztoczyła się przed nim panorama przedmieść, których miejska zabudowa ginęła w skałach i nawianym z pustyni piasku. Pierwszy plan zdominowała świątynia Alii. Czarno - zielone proporce, rozwieszone na dwukolorowych ścianach, miały namalowane księżycy - znak Muad' Diba.

Spadający księżyc.

Paul przetarł dłonią czoło i oczy. Jego symboliczne metropolis przygnębiło go. Pogardzał sobą. Podobna słabość w kimkolwiek wzniciłaby jego gniew.

Nienawidził swego miasta!

Wrzała w nim wściekłość zrodzona z nudy, karmiona decyzjami, których nie mógł uniknąć. Wiedział, którą ścieżką musi pójść. Widział ją wiele razy, dostatecznie dużo. Widział! Kiedyś... dawno temu myślał, że sam wynalazł system rządów. Ale jego wynalazek miękko dostosował się do starych wzorców, wpadł w stare koleiny. Podstępny układ, wyposażony w plastyczną pamięć. Ukształtuj go jak chcesz, ale spuść na chwilę z oka, a w ułamku sekundy przybierze poprzednią formę. Siły działające poza jego zasięgiem, w ludzkich sercach, wymykały mu się, sprzeciwiały jego woli.

Powiodł wzrokiem po szczytach dachów. Jakie klejnoty nieskrępowanych istnień kryły się pod tymi dachami? Dostrzegł plamy liściastej zieleni, otwarte ogrody wśród matowej czerwieni i złota dachówek. Zieleń, dar Muad'Diba i jego wody. Gdzie spojrzał, leżały sady i gaje - otwarte plantacje rywalizujące z lasami bajecznego Libanu.

"Muad'Dib trwoni wodę jak szaleniec" - mówili Fremeni.

Paul zakrył dłońmi oczy.

Księżyc runął.

Opuścił bezwładnie ramię, patrzył na swą stolicę nowym, wyostrozonym spojrzeniem. Budowle nosiły stygmat monstrualnego, imperialnego barbarzyństwa. Sterczały ogromne i lśniące w pełnym słońcu. Kolosy! Każde architektoniczne dziwactwo, jakie mogła stworzyć zamierzchła przeszłość, leżało w zasięgu wzroku: tarasy o rozmiarach płaskowzgórzy, place wielkie jak miasto, parki, posesje, skrawki okiełznanej natury.

Najwyższy artyzm stykał się z wytworami przygnębiającego złego smaku. Umysł Paula notował detale: furta rodem z antycznego Bagdadu... kopuła wyśniona w mitycznym Damaszku... łuk stworzony przez niską grawitację Ataru... harmonijne fasady i ekscentryczne czeluści. Wszystko to dawało efekt niedoścignionej wspaniałości.

Księżyc! Księżyc! Księżyc!

Wikłał się w wątpliwościach. Czuł presję nieświadomych mas, kielkujący bunt ludów pędzących przez jego wszechświat. Napierał na niego z siłą gigantycznej fali pływowej.

Przeczuwał potężne migracje wstrząsające ludzkością: wiry, prądy, transfery genetyczne. Żadne nakazy wstrzemięźliwości, zjawiska impotencji ani złe uroki nie będą mogły ich powstrzymać.

Jego Dżihad znaczyła w tym wielkim ruchu mniej niż mrugnięcie oka. Bene Gesserit, kupczująca genami wspólnota, unosiła się w tym płynie porwana przez prąd. Upadek księżyca trzeba rozważyć w kontekście innych wizji, innych legend; w skali wszechświata, w którym nawet pozornie wieczne gwiazdy bladły, zaczynały migotać i gasły...

Cóż znaczył jeden księżyc w takim wszechświecie?

Z głębi warownej Cytadeli, tak głęboko, że dźwięk rozmywał się w powodzi miejskiego hałasu, z dziesięciostrunowego rebabu płynęła pieśń Dżihad, pieśń bólu i tęsknoty za kobietą pozostawioną na Arrakis:

Jej biodra to wydmy zaokrąglone przez wiatr

Jej oczy lśnią jak żar w sercu lata

Dwa warkocze kołyszą się na plecach

Bogate w pierścienie wody, jej włosy!

W mych dłoniach mieszka pamięć jej skóry

Wonnej jak żywica, słodkiej jak kwiat

Pod powiekami trzepocą wspomnienia

Poraził mnie biały płomień miłości!

Paul poczuł mdłości. Śpiewka dla ogłupiałych stworzeń próbujących zatracić się w sentymentalizmie! W sam raz dla wysuszonego przez piach ciała, które widziała Alia!

Jakaś postać poruszyła się w cieniu za balkonową kratą. Paul odwrócił się.

Na tarasie pojawił się ghola. Jego metalowe oczy błyszczały w jaskrawym, słonecznym świetle.

- Czy to Duncan Idaho, czy ten, którego nazywają Hayt? - spytał Paul.

Ghola zatrzymał się dwa kroki przed nim.

- Kogo wolałbyś, panie? - W jego głosie brzmiała ledwo dosłyszalna nuta niepewności.

- Zagraj dziś Zensunnitę - rozkazał cierpko Paul.

Znaczenia wewnątrz znaczeń! Cóż mógłby powiedzieć lub zrobić zensunnicki filozof, by choć o jotę zmienić rzeczywistość, jaka w tej chwili odsłaniała się przed nimi?

- Niepokój dręczy mego pana.

Paul odwrócił się od niego i spojrzał na dalekie urwisko Muru Zaporowego, na wyrzeźbione przez wiatr łuki i przypory, niesamowite odbicie jego miasta. Natura naigrywała się z niego!

Zobacz, co Ja mogę zbudować! Rozpoznał szramę w odległej ścianie masywu, miejsce, gdzie piasek sypał się ze szczeliny.

“Tam! Właśnie tam pobiliśmy sardaukarów!” - pomyślał.

- Co cię niepokoi, panie? - spytał ghola.

- Wizja - wyszeptał Paul.

- Och, miałem wizje, kiedy Tleilaxanie obudzili mnie pierwszy raz. Byłem zagubiony, samotny... nie wiedząc naprawdę, że jestem samotny. Wtedy nie wiedziałem. Moje wizje nie odkryły nic! Tleilaxanie mówili, że była to intruzja ciała, która dręczy ghole tak samo jak ludzi - choroba, nic więcej.

Paul przyjrzał się uważnie oczom gholi, usianym otworami stalowym gałkom bez cienia wyrazu. Jakie wizje przesuwają się przed tymi oczyma?

- Ducan, Ducan... - szepnął. - Mam na imię Hayt.

- Widziałem, jak runął księżyc - mówił Paul. - Przestał istnieć, obrócony w perzynę. Słyszałem wielki syk. Ziemia drżała.

- Zbyt długo trwasz w upojeniu - stwierdził ghola

- Proszę o Zensunnitę, a dostaję mentata! - fuknął Paul. - Dobrze więc! Przecedź moją wizję przez twoją logikę, mentacie. Zanalizuj ją i sprowadź do płaskich słów, odpowiednich na pogrzeb.

- Pogrzeb, rzeczywiście - odparł ghola. - Uciekasz od śmierci. Chwytasz się kurczowo następnej chwili, zamiast żyć tu i teraz. Wyrocznia! To ma być podpora dla władcy!?

Paul przyłapał się na tym, że zafascynowany wpatruje się w doskonale zapamiętane znamię na podbródku gholi.

- Usiłując żyć w przyszłości - mówił ghola - czy nadajesz jej treść? Czy ją urzeczywistniasz?

- Jeśli pójdę drogą mojej proroczej przyszłości - szepnął Paul - wtedy będę żywy. Dlaczego myślisz, że chcę tam żyć?

Ghola wzruszył ramionami.

- Prosiłeś mnie o konstruktywną odpowiedź.

- W czym tkwi treść wszechświata złożonego z przypadków? - spytał Paul. - Czy istnieje ostateczna odpowiedź? Czy każde rozwiązanie nie rodzi nowych pytań?

- Połknąłeś tak wiele Czasu, że masz złudzenie nieśmiertelności - rzekł ghola. - Nawet twoje Imperium, panie, musi przeżyć swe dni i zginąć.

- Nie pokazuj mi ołtarzy owianych czarnym dymem - warknął Paul. - Słyszałem już dość smutnych opowieści o bogach i mesjaszach. Niepotrzebna mi szczególna moc, by przepowiedzieć

własny upadek, taki sam, jak tamtych. Ostatni z moich kuchcików mógłby dojść do tego samego wniosku. - Potrząsnął głową. - Księżyc runął!

- Nie pozwoliłeś myśli zatrzymać się u jej źródła.

- To tak chcesz mnie zniszczyć? - rzucił Paul. - Nie dopuszczając, bym zebrał myśli?

- Czy można zebrać chaos? - spytał ghola. - My, Zensunnici, mówimy: "Najwyższą koncentracją jest powstrzymanie się od gromadzenia. Cóż możesz zgromadzić, nie ogarniając siebie?"

- Prześladuje mnie wizja, a ty opowiadasz brednie! - rozzłościł się Paul. - Co ty wiesz o jasnowidzeniu?

- Widziałem wyrocznie w działaniu. Widziałem tych, którzy szukają znaków i omenów własnego przeznaczenia. Boją się tego, czego szukają.

- Mój spadający księżyc jest rzeczywisty. - Paul oddychał z trudem. - Porusza się. Porusza.

- Ludzie zawsze boją się zjawisk obdarzonych własnym ruchem. Ty boisz się własnej mocy. Różne rzeczy wpadają znikąd do twojej głowy. Gdzie się podziewają, kiedy z niej wylatują?

- Dodajesz mi otuchy cierniami - poskarżył się Paul. Wewnętrzne światło rozjarzyło twarz gholi. Przez chwilę był prawdziwym Duncanem Idaho.

- Dodaję ci takiej otuchy, na jaką mnie stać - odparł.

To zdanie - tak pełne wyrzutu - uderzyło Paula. Czyżby ghola odczuwał żal, odrzucony przez jego umysł? Czy Hayt przekreślił swoją własną wizję?

- Mój księżyc ma imię - szepnął Paul.

Pozwolił wizji przepływać przez siebie. Nie wydał dźwięku, choć całe jego jestestwo krzyczało. Bał się otworzyć usta, by własny głos go nie zdradził. Atmosfera tej przerażającej przyszłości nabrzmiała była nieobecnością Chani. Ciało, które krzyczało w ekstazie, oczy spalające go pożądaniem, głos, który urzekał go dlatego, że nie uciekał się do wyrafinowanych, kontrolowanych sztuczek - wszystko zniknęło, odeszło w wodę i piach.

Powoli odwrócił się, dostrzegł teraźniejszość, a w niej plac przed świątynią Alii. Trzech pielgrzymów o wilgotnych głowach ukazało się w wylocie procesjonalnej alei. Odziani w brudne, żółte szaty, szli szybko, pochylając się w podmuchach wieczornego wiatru. Jeden z nich utykał, powłócząc lewą nogą. W narastającej zawierusze przedarli się przez plac, skęcili za róg i zniknęli mu z oczu.

Zniknęli, jak zniknął księżyc. A jego wizja wciąż rozpościerała się przed nim. Okrutne przeznaczenie nie dawało mu wyboru.

"Ciało się poddaje - myślał. - Wieczność zabiera, co do niej należy. Nasze ciała na krótko tylko zmaciły te wody, upojone zawirowały w tańcu przed miłością życia i miłością własną; zajęły

się kilkoma dziwnymi pomysłami, a wreszcie poddały się narzędziom Czasu. Cóż możemy o tym powiedzieć? Nie: jestem... Raczej: zdarzyłem się."

"Nie błaga się słońca o miłosierdzie."

"Trud Muad'Diba"

z "Komentarzy Stilgara"

"Jeden moment niekompetencji może okazać się fatalny" - upomniała samą siebie Matka Wielebna Gaius Helena Mohiam.

Kuśtykała w pierścieniu eskorty fremieńskich strażników, pozornie obojętna. Któryś za jej plecami, wiedział, był głuchoniemy, odporny na fortele Głosu. Bez wątpienia miał rozkaz ją zabić przy najmniejszej prowokacji.

"Dlaczego Paul mnie wezwał? - dumiała. - Czy po to, by wydać wyrok?" Pamiętała ten dzień, dawno temu, gdy poddawała go próbie... Był sprytny, ten smarkaty Kwisatz Haderach.

Niech jego matka będzie przeklęta na całą wieczność! To z jej winy Bene Gesserit utraciły kontrolę nad tą linią genetyczną.

Cisza niosła się sklepieniami korytarzami, wyprzedzając jej świt. Mohiam przez skórę czuła przekazywane hasło. Paul usłyszy tę ciszę. Będzie wiedział o jej przybyciu, nim je oznajmią. Nie dała się zwieść złudzeniu, że jej moc przewyższa jego.

Niech będzie przeklęty!

Doskwierało jej brzemię, jakim obarczył ją wiek: bolące stawy, mięśnie nie tak sprężyste jak owe postronki z czasów młodości, odpowiedzi już nie tak cięte, jak ongiś. Miała za sobą długie życie... i długi dzień. Spędziła go nad Tarotem Diuny, bezskutecznie usiłując znaleźć klucz do swego losu. Karty były odporne.

Strażnicy skierowali ją w bok - w kolejny, zdawało się, korytarz bez końca. Trójkątne metaszkłane okna po lewej pozwalały dojrzeć girlandy winorośli i kwiatów koloru indygo w głębokich cieniach, rzucanych w popołudniowym słońcu. Pod stopami ciągnęła się mozaika - sylwetki wodnych stworzeń z egzotycznych planet. Wszędzie wspomnienia o wodzie.

Dostatek... bogactwo...

Przez hali, w którym się znalazła, szli owinięci w płaszcze ludzie rzucając ukradkowe spojrzenie na Matkę Wielebną. Ich zachowanie zdradzało napięcie; wiedziała, że ją poznają.

Nie spuszczała wzroku z karku poprzedzającego ją strażnika' młode ciało, plisowany, różowy kołnierz munduru.

Ogrom tej ighirowej cytadeli zaczął robić na niej wrażenie. Korytarze... korytarze... Minęli otwarte drzwi, zza których dobiegł głos bębna i fletu; stara, spokojna muzyka. Stara kobieta

kątem oka dostrzegła błękitne w błękie fremieńskie oczy, patrzące na nią z komnaty. Czał się w nich zaczyn mitycznych rewolt, burzący się w nieujarzmionych genach.

Wiedziała, że jest w tym miara jej własnego brzemienia Bene Gesserit nie mogła uciec od świadomości kształtowania genów i ich możliwości. Doświadczyła bolesnego poczucia straty. Ten uparty, atrydzki głupiec! Jak mógł odmawiać im skarbów swego potomstwa! Kwisatz Haderach! Zrodzony nie w swoim czasie, lecz rzeczywisty, równie prawdziwy jak Paskudztwo - jego siostra. W niej kryło się nieznane niebezpieczeństwo. Samorodna Matka Wielebna, pozbawiona hamulców Bene Gesserit i poczucia odpowiedzialności za harmonijny rozwój genetyczny. Niewątpliwie miała moc równą bratu - albo i większą.

Rozmiary twierdzy zaczęły ją przytłaczać. Czy te korytarze nigdy się nie skończą? To miejsce porażało swą fizyczną potęgą. Żadna planeta, żadna cywilizacja w całej historii nie widziała dotąd takiego ogromu wzniesionego ludzką ręką. Tuzin antycznych miast można by ukryć w tych murach.

Minęli owalne drzwi, nad którymi mrugały światełka. Poznała ixiańskie rzemiosło: wylot pneumatycznej sieci transportowej. Dlaczego więc kazali jej przejść cały ten szmat drogi? Z wolna wyłaniała się odpowiedź: żeby ją zgłębić przed audiencją u Imperatora

Był to trop niepewny, ale wiązał się z innymi subtelными spostrzeżeniami. Skąpe i dobrane słowa cedzone przez eskortę, ślady prymitywnej obawy w oczach, gdy nazywali ją Wielebną Matką, mijane sale - zimne i eleganckie, z zasady pozbawione wszelkich zapachów - wszystko to, złożone razem, tworzyło obraz, który Bene Gesserit mogła właściwie zinterpretować.

Paul czegoś od niej chciał.

Ukryła podniecenie. Istniała więc dźwignia nacisku. Pozostało tylko odkryć jej istotę i wypróbować siłę. Bywały dźwignie zdolne poruszyć coś znacznie większego niż ta Cytadela. Znano przypadki, kiedy muśnięcie palca obalało cywilizacje.

Przyszło jej na myśl stwierdzenie Scytalusa: "Kiedy jakaś istota stanie się czymś, wybierze raczej śmierć, niż zmieni się w swe przeciwieństwo" .

Korytarze, którymi ją prowadzono, rosły. Zmiana następowała nieznacznie, etapami - przemysłne łuki, stopniowe poszerzanie się podpierających strop kolumnad, zastąpienie trójkątnych okien dłuższymi, większymi. W końcu zamajaczyły przed nią podwójne odrzwia, usytuowane w środku przeciwległej ściany wysokiego przedsionka. Czuła, że są bardzo duże, lecz musiała stłumić okrzyk, kiedy jej wyszkolona świadomość odkryła ich rzeczywiste rozmiary. Drzwi miały co najmniej osiemdziesiąt metrów wysokości i połowę tego szerokości.

Gdy zbliżyła się wraz ze swą eskortą, drzwi otworzyły się do wewnątrz - potężny, bezszelestny ruch ukrytej maszynierii. Kolejny ixiański wytwór. Przez te niebotyczne wierzeje

weszła otoczona strażnikami do Wielkiej Sali Audiencyjnej Imperatora Paula Atrydy - "Muad'Diba, przy którym wszyscy są tylko karłami". Widziała teraz, jak działa to porzekadło.

Idąc w kierunku Paula, który siedział na odległym tronie, odkryła, że większe wrażenie wywierają na niej architektoniczne detale tej sali niż jej wielkość. Aula była gigantyczna, mogłaby zmieścić cały zamek każdego władcy w historii. Jej rozległa przestronność wiele mówiła o zawołowanej sile współgrającej z pięknem konstrukcji. Dźwigary i wsporniki w tych murach i dalekim, sklepionym stropie swym ogromem przekraczały wszystko, na co się dotąd w tej dziedzinie porwano. Każdy szczegół mówił o inżynieryjnym geniuszu.

W końcu sali strop niezauważalnie obniżał się, by nie pomniejszać postaci Paula na podwyższonym tronie. Niewycwiczona świadomość, zmiażdżona przez tę perspektywę, w pierwszej chwili odbierała go kilkakrotnie większym, niż był w istocie. Barwy szarpały bezbronną psychikę. Zielony tron Paula wycięty był z jednego bloku hagalskiego szmaragdu. Zieleń podsuwała obraz roślinności, będąc zarazem kolorem żałoby we fremeńskiej religii. Podszeptowała, że ten, kto tam zasiada, może sprawić, byś legł w proch, że tworzy wspólny symbol życia i śmierci, sprytny kontrast przeciwieństw. Za tronem opadały kaskadami draperie barwy spłowiałego pomarańcza, przyprawowego złota ziemi Diuny i cynamonowych plam melanżu. Dla wyszkolonego oka ta symbolika była oczywista, lecz prostaczków powalała jak obuchem.

Czas potrzebny, by dojść przed Jego Imperatorską Obecność, także grał swoją rolę. Było go dosyć, by się ukorzyć. Jakakolwiek myśl o oporze wymiatana była przez rozkielznaną siłę, wymierzoną wprost w intruza. Można było zacząć długi marsz w stronę tego tronu jako człowiek pełen godności, lecz z pewnością kończyło się go jako ludzkie zero.

Adiutanci i świta stali wokół Imperatora w osobliwie pomyślanym szyku: czujna gwardia pałacowa wzdłuż zasłoniętej draperią tylnej ściany; to Paskudztwo, Alia, dwa stopnie poniżej Paula, po jego lewej ręce; Stilgar, lokaj imperialny, dokładnie o jeden stopień niżej; a po prawej, na pierwszym stopniu powyżej posadzki - ghola, cielesne widmo Duncana Idaho. Wśród straży Matka Wielebna widziała starych Fremenów - brodatych naibów o nosach zniekształconych bliznami - uzbrojonych w ukryte w pochwach krysnoże, pistolety maula, a nawet kilka rusznic laserowych. "To ci najbardziej zaufani" - pomyślała Bene Gesserit. Broń laserowa w obecności Paula, kiedy wiadomo, że nosi tarczę? Widziała wokół niego migotanie pola. Jeden strzał z rusznicy w to pole i z całej twierdzy zostałyby tylko dziura w ziemi.

Jej strażnicy stanęli dziesięć kroków od podwyższenia i rozstąpili się, by nie zasłaniać Imperatora. Ze zdziwieniem odnotowała nieobecność Chani i Irulany. Nie udzielał bez nich żadnych ważnych audiencji, tak przynajmniej mówiono.

Paul skinął jej głową w milczeniu, wyczekująco. W jednej chwili zdecydowała się przejąć inicjatywę.

- A zatem wielki Paul Atryda raczy przyjąć tę, którą ongiś wygnał.

Paul uśmiechnął się kwaśno. "Wie, że chcę czegoś od niej" - pomyślał. Należało to przewidzieć, skoro była tym, kim była. Znał jej możliwości. Bene Gesserit nie zostawały Wielebnymi Matkami przez przypadek.

- Może damy sobie spokój ze słowną szermierką? - zapytał. "Czyżby miało być aż tak łatwo?" - myślała.

- Powiedz, czego chcesz - odezwała się hardo. Stilgar drgnął, rzucając ostre spojrzenie na Paula. Imperialnemu lokajowi nie podobał się jej ton.

- Stilgar chce, żebym cię stąd odesłał - rzekł Paul.

- A nie zabił? - spytała. - Spodziewałabym się czegoś bardziej zdecydowanego po fremieńskim naibie.

Stilgar spojrzał na nią złym okiem.

- Często muszę mówić co innego, niż myślę - powiedział. - To nazywa się dyplomacją.

- Dajmy więc sobie spokój również z dyplomacją - odparła. - Czy było to konieczne kazać mi pieszo odbyć całą drogę? Jestem starą kobietą.

- Musiałaś się przekonać, że potrafię być niedelikatny - stwierdził Paul. - W ten sposób docenisz moją wielkoduszość.

- Pozwalasz sobie na taki brak taktu wobec Bene Gesserit?

- Grubiańskie posunięcia niosą swoje podteksty - odparł. Zawahała się, ważąc jego słowa. Więc mógłby jednak pozbyć się jej - ordynarnie, otwarcie, gdyby ona... gdyby co?

- Powiedz, czego chcesz ode mnie - mruknęła

Alia zerknęła na brata, wskazując głową draperie wiszące za tronem. Nazywała to dzikim przeczuciem: czuła niechęć do udziału w tych pertraktacjach.

- Powinnaś uważać, jak się do mnie zwracasz, starucho - rzucił Paul.

"Nazwał mnie staruchą, kiedy był jeszcze dzieckiem - pomyślała Wielebna Matka. - Czy teraz chce mi przypomnieć o roli, jaką odegrałam w jego przeszłości? Decyzję, którą wtedy podjęłam? Czy dziś muszę znów ją podjąć?" Czuła wagę tej kwestii, jej ciężar wprawiał kolana w drżenie. Mięśnie płakały ze zmęczenia.

- To był długi spacer - odezwał się Paul - i widzę, że jesteś zmęczona. Udamy się do mojej prywatnej komnaty za tronem. Będziesz tam mogła usiąść. - Skinął ręką na Stilgara wstając.

Stilgar i ghola podeszli do niej i pomogli jej pokonać schody. Przeszli za Paulem przez ukryte w kotarach przejście. Zrozumiała, dlaczego powitał ją w wielkiej sali: było to

przedstawienie na użytek gwardii i naibów. W takim razie obawiał się ich. A teraz... teraz okazywał uprzejmą łaskawość, ryzykując te sztuczki z Bene Gesserit. Czy rzeczywiście ryzykował? Wyczuła za sobą czyjaś obecność. Obejrzała się. Z tyłu szła Alia. Oczy dziewczyny patrzyły w zadumie, złowieszczo. Wielebna Matka zadrżała.

Prywatna komnata na końcu korytarzyka była dwudziestometrowym plazmellowym sześcianem oświetlonym żółtymi kulami świętojańskimi. Na ścianach wisiały ciemnopomarańczowe zasłony z pustynnego filtrnamiotu. W środku były otomany, miękkie poduszki. Kryształowe karafki z wodą stały na niskim stoliku. W powietrzu unosił się lekki aromat melanzu. Pokój wydawał się maleńki i ciasny w porównaniu z przyległą salą.

Paul posadził wiedźmę na otomanie i stanął nad nią, uważnie przyglądając się jej starczej twarzy - stalowym zębom, oczom, które więcej skrywały, niż odsłaniały, głęboko zaoranej zmarszczkami skóry. Wskazał karafkę z wodą. Potrząsnęła głową, odsuwając kosmyk siwych włosów.

- Chcę układać się z tobą o życie mojej ukochanej - odezwał się cicho.

Stilgar zakasłał.

Alia dotknęła krysnoża zawieszonego na szyi. Ghola pozostał przy drzwiach z twarzą bez wyrazu, wlepiwszy metalowe spojrzenie w powietrze nad głową Matki Wielebnej.

- Czy wizja ujawniła ci mój udział w jej zgonie? - zapytała.

Nie mogła oderwać uwagi od gholi, który podświadomie ją niepokoił. Dlaczego miałyby czuć się zagrożona przez ghole? Był przecież narzędziem spisku.

- Wiem, czego chcesz ode mnie - odpowiedział wymijająco.

"A zatem tylko podejrzewa" - pomyślała. Spojrzała w dół na czubki butów wystające spod fałd szaty. Czerń... czarne buty i także szata nosiły znamiona jej stanu: plamy, bruzdy. Uniosła podbródek, napotykać płonący gniewem wzrok Paula. Poczula, jak przenikają dreszcz, ale ukryła podniecenie za zasznurowanymi ustami i opuszczonymi powiekami.

- Jaką monetę oferujesz? - spytała.

- Możecie dostać moje nasienie, ale nie moją osobę - zaczął Paul. - Irulana usunięta z Arrakis i zapłodniona sztuczną...

- Ośmielasz się?!... - wybuchnęła Matka Wielebna sztywniejąc. Stilgar ruszył pół kroku.

Ghola uśmiechnął się niepokojąco. Teraz i Alia zaczęła mu się przyglądać.

- Nie będziemy dyskutować o tym, czego zabrania wasz zakon żeński - podjął Paul. - Nie będę wysłuchiwać nauk o grzechu, Paskudztwach czy też wierzeniach pozostawionych przez poprzednie dżihad. Możecie mieć moje nasienie dla swoich celów, ale żadne dziecko Irulany nie zasiądzie na moim tronie.

- Twoim tronie - przedrzeźniała go. - Moim tronie.

- W więc kto zrodzi dziedzica Imperium?

- Chani.

- Chani jest bezpłodna.

- Jest w ciąży.

Zdradziła się głośnym zaczerpnięciem powietrza.

- Kłamiesz! - krzyknęła.

Paul uniósł rękę, powstrzymując Stilgara, który rzucił się do przodu.

- Od dwóch dni wiemy, że nosi moje dziecko.

- Ale Irulana...

- Tylko sztuczną metodą. To moja oferta

Wielebna Matka zamknęła oczy, by nie patrzeć w jego twarz. Do diabła! Traktować genetyczne misterium w taki sposób! Odraza kipiała w jej piersi. Doktryna Bene Gesserit i nauki Dżihad Butlerjańskiej zakazywały aktów tego rodzaju.

"..Me będziesz upadła największych aspiracji ludzkości. Nie będziesz czynił maszyn na obraz i podobieństwo ludzkiego umysłu. Żadna myśl ani czyn nie będą służyć temu, by człowiek był hodowany jak zwierzę."

- Decyzja należy do ciebie - rzekł Paul.

Potrząsnęła głową. Geny, bezcenne atrydzkie geny - tylko to się liczyło. Ich zdobycie było ważniejsze niż wszelkie zakazy. Ale dla zakonu żeńskiego akt płciowy łączył więcej niż spermę i jajeczko. Jego celem było złowienie duszy.

Wielebna Matka pojęła teraz, co kryło się za ofertą Paula. Wciągał Bene Gesserit w postępki, który wzbudziłby powszechny gniew... gdyby kiedykolwiek został wykryty. Nie mogłoby się ogłosić takiego ojcostwa, gdyby Imperator mu zaprzeczył. Za tę monetę ocaliłaby atrydzkie geny dla zakonu, lecz przenigdy nie kupiłaby tronu.

Powiodła wzrokiem po pokoju, obserwując każdą twarz: Stilgar - bierny teraz i wyczekujący; ghola - zamarły w jakimś wewnętrznym skupieniu; Alia - wpatrzona w ghole... i Paul - gniewny pod cieniutką warstwą ogłady.

- To twoja jedyna oferta? - zapytała.

- Moja jedyna oferta.

Zerknęła na ghole, zaskoczona przelotnym drgnieniem mięśni policzków. Emocja?

- Ty, ghola - powiedziała. - Czy taka oferta może być złożona? A jeśli została złożona, czy powinna zostać przyjęta? Bądź naszym mentatem.

Metaliczne oczy powędrowały w stronę Paula.

- Odpowiedz, jak chcesz - rzekł Paul.

Ghola ponownie zwrócił połyskujący wzrok ku Matce Wielebnej, raz jeszcze zaskakując ją uśmiechem.

- Oferta jest tyle warta, co rzeczywisty nabytek - powiedział. - Wymiana, którą się tu proponuje, to życie za życie. Wysoka stawka w przetargu.

Alia niecierpliwie odrzuciła z czoła pasmo miedzianych włosów i spytała:

- Co jeszcze kryje się w tym przetargu?

Wielebna Matka nie odważyła się na nią spojrzeć, lecz te słowa wzburzyły jej umysł. Tak, kryły się tu daleko głębsze implikacje. Siostra była Paskudztwem, zgoda, ale nie sposób było odmówić jej potęgi Wielebnej Matki wraz ze wszystkim, co tytuł ten za sobą pociągał. W tej chwili Gaius Helena Mohiam czuła skupione w niej wielebne.

Stała się kapłanką zakonu żeńskiego, która wchłonęła wszystkie zaniepokojone teraz, Wielebne Matki. Alia przypuszczalnie była teraz w identycznej sytuacji.

- Co jeszcze? - powtórzył ghola. - Można by się zastanowić, dlaczego wiedźmy Bene Gesserit nie posłużyły się metodami Tleilaxan.

Gaius Helena Mohiam i wszystkie Wielebne Matki wewnątrz niej zadrżały. Tak, Tleilaxanie robili rzeczy godne potępienia. Jeśli ktoś już obalił barierę sztucznego zapłodnienia, czy następnym krokiem nie będzie pójście w ślady Tleilaxan - kontrolowane mutacje?

Paul, obserwując toczącą się grę emocji, poczuł nagle, jak dalecy są mu ci ludzie. Dostrzegał tylko obcych. Nawet Alia była dlań obca.

- Jeśli wpuścimy atrydzkie geny w nurt rzeki Bene Gesserit, to kto wie, czym mogą zaowocować? - odezwała się Alia.

Gaius Helena Mohiam błyskawicznie odwróciła głowę, napotykać spojrzeń Alii. Przez ułamek sekundy obie były Wielebnymi Matkami zjednoczonymi wspólną myślą: "Co kryje się za każdym postępkem Tleilaxan? Ghola jest ich wytworem. Czy to on podsunął Paulowi ten plan? Czy Paul będzie się starał paktować bezpośrednio z Bene Tleilax?"

Oderwała wzrok od Alii, zaniepokojona ambiwalencją własnych uczuć i brakiem kompetencji. "Najniebezpieczniejsza pułapka w wiedzy Bene Gesserit - powtórzyła sobie - tkwi w mocy, którą się rozporządza. Taka moc popycha do dumy i próżności. Zarazem uwodzi tego, kto się nią posługuje. Zaczyna wierzyć, że jego potęga zdolna jest pokonać wszelkie bariery... włączając w to własną ignorancję."

Starła się opanować. "Jedna rzecz ma dla nas fundamentalne znaczenie" - uświadomiła sobie. Piramida pokoleń, która osiągnęła szczyt w Paulu Atrydzie... i jego siostrze - Paskudztwie.

Jedna błędna decyzja i piramidę trzeba będzie budować od nowa, wykorzystując równoległą linię pokoleń, mając niestety do dyspozycji egzemplarze rozrodcze pozbawione najistotniejszych cech.

"Kontrolowana mutacja - pomyślała po chwili. - Czy Tleilaxanie rzeczywiście to praktykowali? Jakież to kuszące." Potrząsnęła głową, jakby chciała z niej wybić takie pomysły.

- Odrzucasz moją propozycję? - spytał Paul.

- Myślę - odparła.

Ponownie spojrzała na jego siostrę. Optymalna krzyżówka dla żeńskiej latorośli Atrydów została utracona... Zabita ręką Paula. Ale pozostawała jeszcze jedna możliwość, która scementowałaby pożądane cechy w potomstwie. Paul śmiał proponować Bene Gesserit zwierzęcy rozród! Ile naprawdę był skłonny zapłacić za życie swojej Chani? Czy zgodziłby się na krzyżówkę z własną siostrą?

- Powiedz mi - odezwała się, chcąc zyskać trochę czasu - ty, któryś jest nieskalanym wcieleniem wszystkiego co święte, czy Irulana ma coś do powiedzenia w sprawie twojej oferty?

- Irulana robi, co jej każecie - warknął.

"To prawda" - pomyślała Mohiam. Uniósłszy podbródek, rozpoczęła nowy gambit.

- Atrydów jest dwoje.

Paul, podejrzewając, co wiedźma ma na myśli, poczuł, jak krew napływa mu do twarzy.

- Uważaj, co sugerujesz - syknął.

- Chcesz po prostu użyć Irulany dla osiągnięcia swoich własnych celów, czy tak?

- Czy nie do tego została wyszkolona? - odpowiedział pytaniem.

"I to przez nas wyszkolona, to chciał powiedzieć - pomyślała Mohiam. - Cóż... Irulana to banknot rozmieniony na drobne. Czy istniał sposób, by raz jeszcze puścić go w obieg?"

- Czy osadzisz dziecko Chani na tronie? - spytała.

- Na moim tronie - podkreślił.

Rzucił okiem na Alię, zastanawiając się przelotnie, czy rozumiała sprzeczne skutki tej transakcji. Alia stała z zamkniętymi oczyma, ogarnięta niesamowitym bezruchem. Z jaką wewnętrzną siłą starała się zespolic? Widząc ją taką, Paul poczuł, jakby prąd znosił go na bok. Alia stała na brzegu, od którego się oddalał.

Wielebna Matka przestała się namyślać.

- Sprawa jest zbyt poważna, by decydowała o niej jedna osoba. Muszę porozumieć się ze swoją Radą na Waliach. Czy zezwolisz mi przesłać wiadomość?

"Jak gdyby potrzebowała pozwolenia" - pomyślał.

- Zgoda - rzekł. - Lecz nie zwlekajcie za długo. Nie będę czekał bezczynnie, podczas gdy wy będziecie debatować.

- Czy będziesz pertraktował z Bene Tleilax? - głos gholi zabrzmiał ostro w zapadającej ciszy.

Oczy Alii otwarły się nagle i wlepiły w gholę, jakby została obudzona przez groźnego intruza.

- Nie podjąłem takiej decyzji - rzekł Paul. - Teraz przeniosę się na pustynię tak szybko, jak tylko da się to zorganizować. Nasze dziecko przyjdzie na świat w siczy.

- Mądra decyzja - usłużnie poparł go Stilgar.

Alia zmusiła się, by na niego nie patrzeć. To była błędna decyzja. Czuła to każdą komórką swego ciała. Paul musi o tym wiedzieć. Dlaczego uparł się, by pójść tą drogą?

- Czy Bene Tleilax ofiarowały swoje usługi? - spytała Widziała, jak Mohiam z natężeniem nasłuchuje odpowiedzi.

Paul pokręcił głową.

- Nie. - Spojrzał na Stilgara. - Stil, dopilnuj, żeby wysiano wiadomość na Waliach.

- W tej chwili, panie.

Paul odwrócił się, odczekał, aż Stilgar wezwie strażników i wyjdzie wraz ze starą wiedźmą. Czuł, że Alia zastanawia się, czy zaatakować go dalszymi pytaniami. Zamiast tego zwróciła się do gholi.

- Mentacie - rzuciła - czy Tleilaxanie sięgną teraz po wszelkie korzyści możliwe do uzyskania od mego brata?

Ghola wzruszył ramionami.

Paul czuł, że jego uwaga rozprasza się: "Tleilaxanie? Nie... nie w taki sposób, o jakim myśli Alia". Jej pytanie powiedziało mu jednak, że Alia nie dostrzega alternatywy. Cóż, wizja różniła wieszczki. Czemu nie miała być różna wśród rodzeństwa? Błędne ścieżki... Otrząsnął się z zamyślenia, by złowić okruchy toczącej się obok rozmowy.

- muszę wiedzieć, co Tleilaxanie...

- ...kompletność danych jest zawsze...

- ...tu zdrowe wątpliwości...

Spojrzał na siostrę, przyciągając tym jej uwagę. Wiedział, że łzy na jego twarzy wzbudzą jej zdziwienie. Niech się dziwi. Zdziwienie było obecnie wyrazem uprzejmości. Rzucił okiem na gholę. Mimo metalicznych, obcych oczu, widział w nim swego druha - Duncana Idaho. W jego sercu zmagwały się smutek i współczucie. Co mogły postrzegać te stalowe oczy?

"Wiele jest stopni widzenia i wiele stopni ślepoty" - pomyślał. Przyszła mu do głowy parafraza jednego z ustępów Biblii Protestancko - Katolickiej: "Jakich brakuje nam zmysłów, że nie widzimy innego świata, który nas otacza?"

Czy te oczy z metalu służyły zmysłom odmiennym niż wzrok?

Alia podeszła do brata, czując jego ogromny smutek. Dotknęła łąy na policzku zabobonnym, fremeńskim gestem.

- Nie możemy opłakiwać tych, którzy są nam drodzy, zanim nie odejdą - powiedziała.

- Zanim nie odejdą... - powtórzył szeptem. - Powiedz mi, siostrzyczko, czym jest "zanim"?

"Mam już po uszy boskich i kapłańskich spraw! Myślisz, że nie dostrzegam własnego mitu? Sprawdź jeszcze raz swoje dane, Hayt. Wprowadziłem swoją istotę do najbardziej podstawowych ludzkich czynności. Ludzie jedzą w imię Muad'Diba! Kochają się w moje imię, rodzą się w moje imię - przechodzą ulicę z moim imieniem na ustach. Nawet wiechy nie zatkną na najniebezpieczniejszej norze dalekiego Gangishree bez wezwania błogosławieństwa Muad'Diba!"

"Księga Diatryb" z "Kroniki Hayta"

- Sporo ryzykujesz, opuszczając posterunek i przychodząc do mnie tu i teraz - powiedział Edric, spoglądając na Tancerza Oblicza przez ścianę zbiornika.

- Niepotrzebnie się martwisz - skrzywił się Scytalus. - Kim jest ten, co przychodzi cię odwiedzić?

Edric zawahał się, patrząc na niezgrabną postać, ciężkie powieki, nalaną twarz. Był wczesny ranek i metabolizm Edrica nie przestawił się jeszcze z nocnego odpoczynku na pełne wchłanianie melanzu.

- To nie pod tą postacią szedłeś ulicami? - zapytał.

- Nikt nie zdołałby zajrzeć dwa razy w jedną z moich dzisiejszych twarzy - zapewnił Scytalus.

"Ten kameleon myśli, że zmiana kształtu uchroni go przed wszystkim" - pomyślał Edric z podszytą strachem przenikliwością. Znow ogarnęły go wątpliwości, czyjego udział w spisku rzeczywiście chronił ich przed wszystkimi mocami wyroczni. Na przykład siostra Imperatora...

Potrząsnął głową, mącąc pomarańczowy gaz w zbiorniku.

- Dlaczego przyszedłeś? - zapytał.

- Żeby zmusić nasz prezent do szybszego działania.

- Tego się nie da zrobić.

- Trzeba znaleźć sposób - nalegał Scytalus. - Po co?

- Sprawy nie idą po mojej myśli. Imperator próbuje nas poróżnić. Już zdążył złożyć ofertę Bene Gesserit

- Och, to...

- To! Musisz popchnąć gholę do...

- Wy go zaprojektowaliście, Tleilaxanie - przerwał Edric. - Doskonale wiesz, że nie ma czego roztrząsać. Chyba, że... - zbliżył się do przejrzystej ściany zbiornika - że okłamaliście nas, opisując dar?

- Okłamaliśmy?

- Oznajmiliście, że broń ma zostać wycelowana i uruchomiona, nie ponadto. Z chwilą otrzymania gholi mieliśmy nie ingerować.

- Każdego gholę można wytrącić z rytmu - stwierdził Scytalus. - Wystarczy tylko zacząć go indagować o pierwotną naturę.

- Co to da?

- Będzie bodźcem do działań, które posłużą naszym celom.

- Jednak to mentat, zdolny logicznie rozumować - sprzeciwił się Edric. - Może odgadnąć moją rolę... on, czy ta jego siostra. Jeśli jej uwaga skoncentruje się na...

- Chronisz nas przed okiem wyroczni czy nie? - rzucił Scytalus.

- Nie obawiam się wyroczni - odparł Edric. - Niepokoi mnie logika, prawdziwi szpiedzy, fizyczna potęga Imperium, kontrola podaży przyprawy...

- Można natrzeć na potęgę Imperatora w spokoju ducha, jeśli się pamięta, że wszystko ma swój kres - wycedził Scytalus.

Nawigator niespodziewanie odskoczył, w podnieceniu poruszając kończynami jak niesamowita traszka. Scytalus zdławił uczucie odrazy. Gildianin miał na sobie codzienną odzież z leotarda, wybrzuszoną u pasa przez najróżniejsze pojemniki. Mimo to, gdy się poruszał, sprawiał wrażenie nagiego. 'To przez te płynne, żabopodobne gesty' - pomyślał Scytalus i znów wstrząsnęła nim świadomość kruchości więzów, łączących ich spisek. Nie byli spójną grupą. Tu tkwiła ich słabość.

Podniecenie Edrica opadło. Patrzył na Scytalusa przez spowijający go obłok pomarańczowego gazu. Jaką intrygę trzyma w zanadrzu Tancerz Oblicza, żeby zapewnić sobie drogę odwrotu? Tleilaxanin nie postępował w dający się przewidzieć sposób. To zły znak.

Zachowanie Nawigatora nasunęło Scytalusowi podejrzenie, że Gildianin bardziej niż Imperatora obawia się jego siostry. Ta nagła myśl rozbłysła w jego świadomości jak na ekranie projekcyjnym. Niepokojące. Czyżby przeoczyli coś ważnego, co dotyczyło Alu? Czy ghola jest dostatecznie skuteczną bronią, by zniszczyć oboje?

- Czy wiesz, co mówi się o Alii? - zapytał ostrożnie.

- Co masz na myśli? - Człowiek - ryba znów był wyraźnie spięty.

- Nigdy filozofia i kultura nie miały takiej patronki - powiedział Scytalus. - Rozkosz i piękno łączą się w...

- Cóż jest trwałego w pięknie i rozkoszy? - lekceważąco przerwał Edric. - Zniszczymy oboje Atrydów. Kultura! Szerzą kulturę, by skuteczniej rządzić. Piękno! Propagują piękno, które zniewala. Tworzą powszechną ignorancję - rzecz najłatwiejszą ze wszystkich. Niczego nie

pozostawiają przypadkowi. Więzy! Wszystko, co czynią, nakłada więzy, zniewala. Ale niewolnicy zawsze w końcu się burzą.

- Siostra może wyjść za mąż i wydać potomka - rzekł Scytalus.

- Dlaczego mówisz o jego siostrze? - zapytał Edric.

- Imperator może wybrać dla niej męża.

- Niech wybiera. Już jest za późno.

- Nawet ty nie możesz zdecydować o następnej chwili - ostrzegł Scytalus. - Nie jesteś stwórcą... nie większym niż Atryda. - Pokiwał głową. - Nie możemy liczyć na zbyt wiele.

- Nie naszym zadaniem jest pleść o stwarzaniu - zaprotestował Edric. - Nie jesteśmy motłochem, który Muad'Diba gotów uczynić mesjaszem. Co za brednie? Dlaczego w ogóle poruszasz te kwestie?

- To ta planeta - powiedział Scytalus. - O n a je porusza.

- Planety nie mówią. - Ta tak.

- Co?

- Mówi o tworzeniu. Piach nawiewany nocą - to jest tworzenie.

- Piach nawiewany...

- Gdy się budzisz, pierwsze światło dnia ukazuje ci nowy świat - nietknięty, czekający, byś pozostawił na nim swe ślady.

"Nietknięty stopą piach - myślał Edric. - Tworzenie?" Czuł, jak pograża się w sieci lęku. Ciasnota pojemnika, pokoju, wszystko zwierало się wokół niego, dusiło go. Ślady na piasku.

- Mówisz jak Fremen - zauważył.

- Ta fremeńska myśl jest pouczająca - zgodził się Scytalus. - Mówią o Dżihad Muad'Diba jak o zostawianiu śladów we wszechświecie; w ten sposób Fremen znaczy świeży piach. Wydeptali ścieżkę w ludzkich losach.

- Więc?

- Nadchodzi kolejna noc - rzekł Scytalus. - Wieje wiatr.

- Tak - potwierdził Edric. - Dżihad się skończyła. Muad'Dib posłużył się swoją wojną...

- Nie on się nią posłużył - powiedział Scytalus. - To Dżihad posłużyła się nim. Myślę, że kontynuowałby ją, gdyby mógł.

- Gdyby mógł? Wszystko, co musiał zrobić, to...

- Och, zamknij się - warknął Scytalus. - Nie można zatrzymać duchowej epidemii. Przenosi się z osoby na osobę poprzez parseki. Jest przerażająco zakaźna. Uderza w odsłonięte miejsca tam, gdzie zepchnęliśmy szczątki innych plag. Kto jest w stanie coś takiego zatrzymać? Muad'Dib nie ma antidotum. To wyrasta z chaosu. Czyje rozkazy tam dotrą?

- A więc też jesteś już zarażony? - Edric obrócił się powoli w pomarańczowym obłoku, zastanawiając się, skąd w słowach Scytalusa tyle trwogi. Czyżby Tancerz Oblicza wyłamał się z konspiracji? Nie ma teraz sposobu, by zajrzeć w przyszłość i to zbadać. Przyszłość stała się błotnistą strugą, zmaconą przez jasnowidzów.

- Wszyscy jesteście skażeni. - Scytalus uświadomił sobie, jak ograniczona jest inteligencja Edrica. Jak ująć istotę rzeczy, aby Gildianin zrozumiał?

- Ale kiedy go zniszczymy - powiedział Edric - zara...

- Powinienem pozostawić cię w nieświadomości - rzekł Scytalus - ale na to nie pozwala mi mój obowiązek. Ponadto, byłoby to niebezpieczne dla nas wszystkich.

Edric cofnął się, ruchem błoniastej stopy odzyskał równowagę, wprawiając smugi gazu w zawirowanie wokół swoich nóg.

- Mówisz dziwne rzeczy - powiedział.

- Cała ta sprawa grozi katastrofą - ciągnął Scytalus spokojniejszym tonem. - W każdej chwili może wybuchnąć. Gdy to nastąpi, odłamki polecą na całe stulecia. Czy tego nie widzisz?

- Dawaliśmy sobie radę z religiami - sprzeciwił się Edric. - Jeśli ta nowa...

- To nie jest tylko religia! - Scytalus był ciekaw, co powiedziałyby Matka Wielebna na takie brutalne douczanie współspiskowca. - Religijny rząd jest czymś innym. Muad'Dib pozatykał Kwizaratem wszystkie szpary, zastąpił dawne funkcje rządu. Nie ma żadnej stałej administracji, żadnej siatki ambasad. Ma biskupstwa - wysepki władzy. W sercu każdej z tych wysepek jest człowiek. Ludzie uczą się, jak zdobywać i utrzymywać osobiste wpływy. Ludzie są zazdrośni.

- Kiedy zostaną skłóceni, połkniemy ich jednego po drugim - Edric uśmiechnął się błogo. - Ściąć głowę, a ciało rozpadnie się...

- To ciało ma dwie głowy - wtrącił Scytalus.

- Siostra, która może wyjść za mąż...

- Która z pewnością wyjdzie za mąż.

- Nie podoba mi się twój ton, Scytalusie.

- A mnie się nie podoba twoja ignorancja

- I co, jeśli wyjdzie za mąż? Czy wstrząśnie to naszym planem?

- To wstrząśnie wszechświatem.

- Oni przecież nie są unikatowi. Ja sam posiadam moc, która...

- Jesteś niemowlęciem. Raczkujeś, gdzie oni krocą pewnie.

- Nie są unikatowi!

- Zapominasz, Gildianinie, że i my kiedyś stworzyliśmy Kwisatz Haderach. To był przepełniony panoramą Czasu. To forma istnienia, której nie sposób zagrozić, nie zagrażając

jednocześnie sobie. Muad'Dib wie, że zaatakujemy jego Chani. Musimy działać szybciej niż dotychczas. Musimy dotrzeć do gholi, pokierować go, jak ci tłumaczyłem.

- A jeśli nie?

- Wtedy dosięgnie nas grom.

*O, czerwiu wielozębny
Zdołasz odwrócić to, na co nie ma leku?
Ciało i oddech cię wabi
Ku wszelkich początków miejscu.
Karm się monstrami,
gdy wiją się w ognistej bramie!
Ni jednej szaty nie posiadasz, panie
By odurzenie boskością osłonić
Ni okryć żrący płomień pożądania!*

"Pieśń czerwia" z "Księgi Diuny"

Paul mocno się napocił w sali treningowej, stając do walki przeciw gholi uzbrojony w krysoż i krótki miecz. Teraz, gdy wyglądał przez okno na plac przyświątynny, usiłował sobie wyobrazić Chani w klinice. Jej stan pogorszył się nad ranem; była w szóstym tygodniu ciąży. Opiekowali się nią najlepsi z możliwych lekarze. Jeśli coś odkryją, dadzą znać. Ciemne, popołudniowe chmury piaskowe przysłaniały niebo nad placem. Fremeni mawiali o takiej pogodzie: "brudne powietrze". Czy ci medycy nigdy się nie odezwą? Każda sekunda toczyła się z trudem, nie spiesząc się, by zaistnieć w jego wszechświecie. Czekanie... Czekanie... Bene Gesserit nie odzywają się z Waliach. Oczywiście, rozmyślnie przewlekają sprawę. Prorocza wizja zapisała już kiedyś te chwile, lecz Paul teraz otoczył pancerzem swą świadomość. Broniąc się przed wyrocznią - wybrał rolę płotki, płynącej w morzu Czasu nie wedle woli, lecz tam, gdzie niosły ją prądy. Przeznaczenie nie pozwalało mu walczyć. Słyszał, jak ghola układa broń na stojakach, sprawdza wyposażenie. Paul z westchnieniem przesunął rękę do pasa i wyłączył tarczę. Opadające pole spłynęło po jego ciele, łaskocząc skórę.

"Stawię czoła wypadkom, gdy wróci Chani." Będzie wówczas dość czasu, by pogodzić się z faktem, że to, co przed nią zataił, przedłużyło jej życie. "Czy to źle - myślał - że wolałem Chani od następcy tronu?" Lecz jakim prawem dokonał za nią wyboru? Niepotrzebna wątpliwość! Któżby się zawahał, mając alternatywę - więzienne lochy, tortury, dręczącą rozpacz... i to najgorsze.

Posłyszał otwierające się drzwi, kroki Chani. Odwrócił się. W jej twarzy czaił się mord. Szeroki, fremeński pas, ściągający w talii pozłocistą suknię, naszyjnik z talionów wody, jedna ręka na biodrze /zawsze w pobliżu noża/, zdecydowane spojrzenie, jakim wchodząc omiotła salę -

wszystko to było tylko dopełnieniem jej wściekłości. Wyciągnął ramiona i przygarnął ją, gdy podeszła bliżej.

- Ktoś - wydyszała prosto w jego pierś - od dawna karmił mnie środkami antykoncepcyjnymi... zanim zaczęłam tę nową dietę. I przez to będą kłopoty z porodem.

- Są jakieś środki zaradcze? - zapytał.

- Niebezpieczne środki. Ale znam źródło tego jadu. Wy toczę z niej krew!

- Sihajo - szepnął, obejmując ją mocno, by opanować nagłe drżenie - zrodzisz następcę, którego pragniemy. Czy to nie najważniejsze?

- Moje życie wypala się szybciej - mówiła, tuląc się do niego. - Teraz wyznacza je ciąża. Lekarze powiedzieli, że to idzie w straszliwym tempie. Muszę jeść i jeść... i zażywać więcej przypraw... jeść ją i pić. Zabiję ją za to!

Paul pocałował ją w policzek.

- Nie, Sihajo. Nikogo nie zabijesz. - I pomyślał: "Irulana przedłużyła ci życie, ukochana. Dla ciebie czas porodu to czas śmierci".

Chani oderwała się od niego.

- Nie wolno jej wybaczyć!

- Kto mówi o przebaczeniu?

- Więc dlaczego nie mogę jej zabić?

Było to tak proste, fremeńskie pytanie, że Paul z trudem powstrzymał się, by nie wybuchnąć histerycznym śmiechem.

- To nie pomoże - powiedział szybko.

- W i d z i a ł e ś to?

Poczuł, jak żołądek ściska mu się na wspomnienie wizji.

- To, co widziałem... co widziałem... - wymamrotał.

Każdy szczegół toczących się wokół zdarzeń układał się precyzyjnie w mozaikę paralizującej go terażniejszości. Wiedział, że jest porażony przyszłością, która, odsłaniana zbyt często, ogarnęła go jak nienasycony demon. Suchość więziła mu gardło. Czyżby bezwolnie podążał za mirażem swojej wyroczni, aż ta pozostawiła go na pastwę bezlitosnej terażniejszości?

- Powiedz mi, co widziałeś - zażądała Chani.

- Nie mogę.

- Dlaczego nie wolno mi jej zabić?

- Bo o to proszę.

Obserwował, jak przyjęła jego prośbę. Tak samo, jak piasek przyjmuje wodę: wchłaniają i ukrywa w swym wnętrzu. Zadał sobie pytanie, czy pod tą wrzącą, gniewną powierzchnią kryło się

posłuszeństwo? I pojął, że życie w królewskim zamku nie odmieniło Chani. Dla niej był to jedynie przystanek, postój na drodze, którą szła u boku swego mężczyzny. Nie utraciła ani ziarnka pustyni.

Chani odstała o krok i obrzuciła spojrzeniem gholę, oczekującego przy diamentowym kręgu planszy szermierczej.

- Krzyżowałeś z nim ostrze? - zapytała.

- To mi dobrze zrobiło.

Jej spojrzenie powędrowało w stronę kręgu na posadzce, potem znów ku metalicznym oczom gholi.

- Nie podoba mi się to - stwierdziła.

- On nie jest powołany, by zadać mi gwałt.

- W i d z i a ł e ś to?

- Nie widziałem tego!

- Więc skąd wiesz?

- Bo on jest więcej niż gholą. Jest Duncanem Idaho.

- Jest wytworem Bene Tleilax.

- Stworzyli więcej, niż zamierzali.

Potrząsnęła głową. Rąbek jej chusty nezhoni opadł na kołnierz sukni.

- Jak możesz nie doceniać faktu, że jest gholą?

- Hayt - powiedział Paul - czy jesteś narzędziem mojej zagłady?

- Jeśli materia tu i teraz zmieni się, zmieni się przyszłość - rzekł gholą.

- To nie jest odpowiedź! - zaprotestowała Chani.

- Jak zginę, Hayt? - Paul podniósł głos. Światło błysnęło w sztucznych oczach.

- Powiedziane jest, panie, że zginiesz od bogactw i władzy. Chani zastygła

- Jak on śmie mówić tak do ciebie!

- Mentat mówi prawdę - odparł Paul.

- Czy Duncan Idaho był prawdziwym przyjacielem? - spytała.

- Oddał za mnie życie.

- To smutne - szepnęła - że gholi nie można przywrócić pierwotnego istnienia

- Nawróciłabyś mnie? - zapytał gholą, patrząc wprost w oczy Chani.

- O czym on mówi? - zapytała.

- Być nawróconym, to być stworzonym z powrotem - rzekł Paul. - Ale nie ma powrotnych dróg.

- Każdy człowiek dźwiga swoją przeszłość ze sobą - odezwał się Hayt.

- I każdy gholą?

- W pewien sposób, panie.

- A co z tej przeszłości jest w twoim tajemniczym ciele?

Chani zauważyła, jak bardzo to pytanie poruszyło gholę. Jego ruchy stały się przyśpieszone, dłonie zacisnęły się w pięści. Zerknęła na Paula, zastanawiając się, do czego zmierza ta indagacja. Czy istotnie był sposób, by zmienić tę istotę na powrót w człowieka, którym kiedyś był?

- Czy jakkolwiek gholą pamiętał swą prawdziwą przeszłość? - zagadnęła.

- Czyniono wiele prób. - Hayt wbił wzrok w podłogę koło swoich stóp. - Nie zdarzyło się nigdy, by gholą powrócił do swej poprzedniej jaźni.

- Ale marzysz, by to się stało - zauważył Paul.

Pozbawione wyrazu oczy gholi spojrzały na Paula z napięciem. - Tak!

- Jeśli jest jakiś sposób... - zaczął Paul cicho.

- To ciało - przerwał Hayt, dotykając dłonią czoła w osobliwym salucie - nie jest ciałem mych rzeczywistych narodzin. Jest... odrodzone. Jedynie kształt jest podobny. Równie dobrze spisałby się Tancerz Oblicza.

- Nie tak dobrze - powiedział Paul. - A ty nie jesteś Tancerzem Oblicza.

- To prawda, panie.

- Skąd wziął się twój kształt?

- Zapis genetyczny z oryginalnych komórek.

- Gdzieś - powiedział Paul - jest źródło, które pamięta ciało Dun - cana Idaho. Podobno starożytni badali te dziedziny jeszcze przed Dzi - had Butlerjańską. Jak głęboko sięga ta pamięć, Hayt? Co przejęła z oryginału?

Ghola wzruszył ramionami.

- A jeśli to nie był Idaho? - zapytała Chani. - Był.

- Możesz być pewny? - nalegała.

- Jest Duncanem pod każdym względem. Nie wyobrażam sobie siły tak potężnej, by mogła utrzymać tę postać w każdym szczególe bez odchyień.

- Panie - sprzeciwił się Hayt - to, że czegoś nie potrafimy sobie wyobrazić, nie wyklucza tego ze sfery realiów. Są rzeczy, które muszę zrobić jako gholą, a których nie uczyniłbym jako człowiek.

- Widzisz? - spytał Paul, nie spuszczać oka z Chani. Przytaknęła

Paul odwrócił się, próbując otrząsnąć się ze smutku. Podeszedł do drzwi balkonowych, rozsunał kotary. Światło wdarło się do środka nagłą powodzią blasku. Rozwiązał ciasno spinającą odzież szarfę, nasłuchując głosów za plecami. Cisza. Zawrócił. Chani stała jak w transie, wpatrując się w gholę. Paul zauważył, że Hayt schronił się w jakimś ukrytym zakamarku swej jaźni -

powrócił na miejsce gholi. Chani odwróciła się na dźwięk kroków Paula. Wciąż czuła brzemie sprowokowanej przez niego rozmowy. Na krótki moment ghola stał się pełną, żywą, ludzką istotą. Przez moment był kimś, kogo się nie bała, kogo naprawdę lubiła i podziwiała. Teraz pojęła cel tego przesłuchania. Paul chciał, żeby zobaczyła człowieka w ciele gholi. Spojrzała na niego.

- Ten człowiek, to był Duncan Idaho?

- To był Duncan Idaho. Wciąż tam jest.

- Czy on pozwoliłby Irulanie żyć dalej?

"Woda nie wsiąkła zbyt głęboko" - pomyślał Paul.

- Gdybym mu rozkazał.

- Nie rozumiem - powiedziała - Czy nie powinieneś być zły?

- Jestem zły.

- W twoim głosie nie słyhać... złości. Słyhać smutek. Zamknął oczy.

- Tak. To także.

- Jesteś moim mężczyzną - powiedziała. - Wiem o tym, ale czasami nie rozumiem cię.

Paul odniósł wrażenie, że schodzi w głąb długiej jaskini. Jego ciało poruszało się - noga za nogą - ale myśli zdążyły gdzie indziej.

- Sam siebie czasami nie rozumiem - szepnął. Otworzył oczy i zdał sobie sprawę, że odsunął się od Chani.

Odezwała się skądś spoza niego:

- Kochany, więcej nie pytam, co widziałeś. Wiem tylko, że mam ci dać następcę, którego pragniemy.

Skinął głową.

- Wiedziałem o tym od początku.

Odwrócił się i spojrzał uważnie. Wydawała się tak bardzo daleka.. Chani wyprostowała się i położyła dłoń na brzuchu.

- Jestem głodna - powiedziała. - Lekarze mówią, że muszę jeść trzy albo cztery razy tyle, co przedtem. Boję się, ukochany. To idzie zbyt szybko.

"Zbyt szybko - przyznał w duchu. - Ten płód rozumie konieczność pośpiechu."

Odwagę działań Muad'Diba można dostrzec w fakcie, iż od początku wiedział On, dokąd prowadzi Go przeznaczenie, a mimo to ni razu nie zstąpił z tej ścieżki. Wyraził to jasno, gdy rzekł: "Powiadam wam, że nadszedł czas mej próby, a wtedy okaże się, że jestem Ostatecznym Sługą". Tak splótł On wszystko w Jedno, by zarówno przyjaciel, jak i nieprzyjaciel mógł Go wielbić. Dla tej i tylko tej przyczyny Jego Apostołowie modlili się: "Panie, zbaw nas przed ścieżkami innymi niż te, które Muad'Dib okrył Wodami Swego Żywota". Owe "inne ścieżki" wyobrazić sobie można jedynie z największą zgrozą.

z "Yiam - el - Din" ("Księgi Sądu")

Posłaniec okazał się młodą kobietą, której twarz, imię i rodzina znane były Chani - co uściło czujność Imperialnej Służby Bezpieczeństwa. Chani ograniczyła się do potwierdzenia tożsamości posłańca przed oficerem Służby zwanym Bannerdzi, który następnie zorganizował spotkanie z Muad'Dibem. Bannerdzi kierował się zarówno instynktem, jak też zapewnieniem, że ojciec dziewczyny był członkiem komandosów śmierci Muad'Diba, siejącym postrach fedajkinem, w czasach poprzedzających Dżihad. W innym przypadku nie przejąłby się oświadczeniem, że jej posłanie przeznaczone było tylko dla uszu Muad'Diba. Została, oczywiście, prześwietlona i przeszukana przed audiencją w prywatnym gabinecie Paula. Nawet przy tym towarzyszył jej Bannerdzi, z jedną ręką na nożu, drugą na jej ramieniu. Było prawie południe, kiedy wprowadzono ją do gabinetu, dziwnego miejsca, w którego wystroju mieszały się upodobania pustynnych Fremenów i arystokratycznych rodów. Wzdłuż trzech ścian wisiały zasłony z hieregu - delikatne gobeliny poświęcone postaciom z fremeńskiej mitologii. Czwarta ścianę zajmował srebrzystoszary, panoramiczny ekran, przed którym stało owalne biurko z jednym tylko przedmiotem - fremeńską klepsydrą wbudowaną w planetarium. W tym zabytkowym mechanizmie dryfowym z Ix oba księżycy Arrakis tworzyły równą linię za słońcem w klasycznej Trójcy Czerwia. Stojący za biurkiem Paul spojrzał na Bannerdżiego. Oficer Bezpieczeństwa był jednym z tych, którzy mimo przemytniczego pochodzenia, co zdradzało nazwisko, służbę odbyli w Policji Fremeńskiej, zdobywając znaczącą pozycję dzięki inteligencji i wielokrotnie dowiedzionej lojalności. Był krępy, niemal otyły. Kosmyki czarnych włosów opadały na ciemne, błyszczące od potu czoło, w sposób przypominający czub egzotycznego ptaka. Z błękitnych w błękicie, rozważnych oczu biła radość życia i... okrucieństwo. Cieszył się zaufaniem zarówno Stilgara, jak i Chani. Paul wiedział, że jeśli rozkaże Bannerdziemu udusić dziewczynę, Bannerdzi zrobi to natychmiast

- Sire, oto dziewczyna - posłaniec - odezwał się Bannerdzi. - Moja pani, Chani, mówiła, że cię uprzedziła.

- Tak - Paul kiwnął głową.

Dziewczyna nie patrzyła na niego. Zdawała się być zafascynowana planetarium. Jej ciemnoskórą postać średniego wzrost spowijała szata, której prosty krój i bogata tkanina winnego koloru świadczyły o zamożności. Granatowoczarne włosy związane były wąską przepaską w kolorze sukni. Szata skrywała ręce. Paul podejrzewał, że dłonie dziewczyny były kurczowo zaciśnięte. Typowa Fremenka. Każdy szczegół postaci świadczył o pustynnym stylu, nawet suknia - ostatnia wykwintna szmatka, zachowana na taką okazję. Paul dał znak Bannerdziemu, by usunął się na bok. Ten z wahaniem usłuchał. Dziewczyna zrobiła krok do przodu. Poruszała się z gracją. Wciąż jednak nie patrzyła mu w twarz.

Paul chrząknął.

Dziewczyna podniosła wzrok, jej oczy rozszerzyły się, zamigotał w nich cień obawy. Na delikatnej twarzy o lekko zarysowanym podbródku i drobnych ustach malował się wyraz rezerwy. Nad zapadłymi policzkami oczy zdawały się nienaturalnie wielkie. Z twarzy bił smutek, widać było, że rzadko się uśmiechała. Kąciki oczu zaszyły żółtawą mgiełką; mogło to świadczyć o podrażnieniu pyłem - albo o śladach semuty.

Paul nie miał już wątpliwości.

- Prosiłaś o spotkanie ze mną - odezwał się.

Nadeszła chwila najtrudniejszej próby. Scytalus przybrał sylwetkę, gesty, płec, głos - wszystko, co jego umysł mógł ogarnąć i zanalizować. Ale to miała być kobieta, którą Muad'Dib znał w siczowych czasach. Miała wtedy niewiele lat, lecz znali się dobrze - łączyły ich wspólne przeżycia. Pewnych wspomnień należało więc delikatnie unikać. Dla Scytalusa była to najbardziej ekscytująca rola, o jaką kiedykolwiek się pokusił.

- Jestem Lichna, córka Otheyma z Berk al - Dib - głos wymieniający imię ojca i pochodzenie, był cichy, lecz pewny.

Paul kiwnął głową. Widział, jak Chani została wyprowadzona w pole. Wszystko, nawet barwę głosu, odtworzono z największą dokładnością. Gdyby nie szkolenie Bene Gesserit, jakie przeszedł w zakresie naśladowania głosów, i nie sieć dao, którą spowiła go prorocza wizja, przebranie tego Tancerza Oblicza mogłoby zwieść nawet jego. Szkolenie ujawniło pewne niedoskonałości: dziewczyna była starsza, niżby wskazywał jej wiek, struny głosowe strojone z nadmiernym wysiłkiem, linia szyi i barków o włos mijała się z subtelnymi kształtami rzeczywistej Fremenki. Lecz było też sporo finezji - bogata suknia nosiła ślady łątania, by zdradzić prawdziwy status materialny... a rysy twarzy były cudownie dokładne. Świadczyło to o pewnej sympatii Tancerza Oblicza do roli, którą grał.

- Odpocznij w mym domu, córko Otheyma - Paul wygłosił fremeńskie powitanie. - Bądź pozdrowiona jak woda dla piechura po przejściu pustyni.

Ledwo dostrzegalne odprężenie zdradziło ulgę, jaką wywołała ta pozorna akceptacja.

- Przynoszę wieści - powiedziała.

- Posłaniec druha jest jak on sam - odrzekł Paul.

Scytalus odetchnął z ulgą. Szło dobrze, choć teraz zbliżał się rozstrzygający moment: Atryda musi wkroczyć na proponowaną mu ścieżkę. Musi sam spowodować śmierć swej fremeńskiej konkubiny w okolicznościach wskazujących wyłącznie jego winę. Klęska musi być nie budzącym wątpliwości dziełem wszechmocnego Muad'Diba. Trzeba, by ostatecznie uświadomił sobie przegraną, a potem - przyjął alternatywę proponowaną przez Tleilaxan.

- Jestem dymem, co odpędza sen pośród nocy - Scytalus użył szyfrowego zwrotu fedajkinów znaczącego: "przynoszę złe wieści".

Paul walczył, by zachować spokój. Czuł się odarty, porzucony, jego dusza błądziła w Czasie zakrytym przed wszelką wizją. Tego Tancerza Oblicza osłaniał potężny jasnowidz. Paul widział jedynie zarysy przyszłości. Czuł, czego n i e może zrobić. Nie może zabić Tancerza Oblicza. To rozpętałoby przyszłość, jakiej chciał uniknąć za wszelką cenę. Musi więc znaleźć sposób, by sięgnąć w dal i wpłynąć na zmianę zakodowanego już losu.

- Przekaż swą wiadomość - rzekł.

Bannerdzi przesunął się w miejsce, z którego mógł obserwować twarz dziewczyny. Udała, że dostrzega go po raz pierwszy, a jej wzrok powędrował ku rękojeści noża, przykrytej dłonią oficera.

- Niewinny nie wierzy w zło - powiedziała, spoglądając kątem oka na Bannerdziego.

"Oooch, dobrze zrobione" - pomyślał Paul. To było coś, co powiedziałyby prawdziwa Lichna. Poczuł przelotny żal za prawdziwą córką Otheyma - martwą, trupem w piasku. Ale nie było czasu na takie emocje. Zmarszczył brwi.

Bannerdzi śledził każdy ruch dziewczyny.

- Polecono mi przekazać wiadomość w tajemnicy - powiedziała.

- Dlaczego? - szorstko spytał Bannerdzi.

- Ponieważ takie jest życzenie mojego ojca.

- To jest mój przyjaciel - powiedział Paul. - Czyż nie jestem Fremenem? Zatem mój przyjaciel może słyszeć to, co ja usłyszę.

Scytalus z trudem utrzymywał dziewczęcą postać. Czy to był prawdziwy fremeński zwyczaj... czy test?

- Imperator jest władny tworzyć własne prawa - rzekł. - Oto wiadomość: ojciec pragnie, byś przybył do niego wraz z Chani.

- Po co mam brać ze sobą Chani?

- Jest twoją kobietą i jest Sajjadiną. To sprawa Wody, podług praw naszych plemion. Chani musi zaświadczyć, że mój ojciec przemawia zgodnie z obyczajem Fremenów.

"Fremeni rzeczywiście biorą udział w spisku" - pomyślał Paul. Pojawił się jeszcze jeden szczegół w mozaice rzeczy nieuchronnych. Nie miał innego wyjścia, jak podjąć to wyzwanie losu.

- O czym chce mówić twój ojciec? - zapytał.

- Będzie mówić o spisku przeciwko tobie... spisku wśród Fremenów.

- Dlaczego sam nie przyniósł tej informacji? - przerwał Bannerdzi. Dziewczyna nie odrywała wzroku od Paula.

- Mój ojciec nie może tu przybyć. Spiskowcy mają go na oku. Nie przeżyłby tej podróży.

- A nie mógł tobie wyjawiać intrygi? - indagował Bannerdzi. - Po co narażać swą córkę w takiej misji?

- Szczegóły zawarte są w kurierze - dystransie, który może zostać otwarty tylko przez Muad'Diba - powiedziała. - Nic więcej nie wiem.

- Czemu więc nie wysłał dystransu? - zapytał Paul.

- To ludzki dystrans - odparła.

- Wobec tego pójdę - oznajmił Paul. - Ale pójdę sam.

- Chani musi iść z tobą!

- Chani jest brzemienna

- Od kiedy to Fremenka odmawia..?

- Moi wrogowie karmili ją niewykrywalną trucizną - wyjaśnił Paul. - To będzie ciężki poród. Stan jej zdrowia nie pozwala, by teraz mi towarzyszyła.

Rozczarowanie i gniew przemknęły przez twarz dziewczyny, nim Scytalus zdołał się opanować. Przypomniano mu, że każda ofiara musi mieć szansę ucieczki - nawet taka jak Muad'Dib. Mimo to, spiszek

miał szansę. Atryda pozostał w sieci. Przyszłość rozwijać się będzie według wzoru. Zniszczy sam siebie, nim uda mu się zmienić zakodowany wzór. Tak stało się z Kwisatz Haderach Tleilaxan. Tak stanie się i z nim. A wtedy... ghola.

- Pozwól mi poprosić Chani, by sama zdecydowała.

- Ja zdecydowałem - odparł. - Będiesz mi towarzyszyć w zastępstwie Chani.

- Potrzebna jest Sajjadiną od Obrządku!

- Czy nie jesteś przyjaciółką Chani?

'Trafiony! - pomyślał Scytalus. - Czyżby coś podejrzewał? Nie, to tylko fremieńska ostrożność. Ale środek antykoncepcyjny, zastosowany wobec Chani jest faktem. No cóż - znajdują się inne sposoby."

- Ojciec polecił mi, żebym nie wracała - powiedziała. - Miałam cię prosić o azyl. Powiedział, że nie będziesz mnie narażać.

Paul pokiwał głową. Jak to pięknie pasowało do roli! Nie mógł odmówić jej schronienia. Powoływała się na fremieńskie posłuszeństwo wobec nakazów ojca.

- Zabiorę żonę Stilgara, Harę - rzekł. - Powiesz jej, jak trafić do twego ojca.

- Skąd wiesz, że możesz ufać żonie Stilgara? - Wiem.

- Ale ja nie wiem. Paul zacisnął usta.

- Czy twoja matka żyje? - zapytał.

- Moja prawdziwa matka odeszła do Szejhuluda. Moja macocha żyje i troszczy się o ojca.

Dlaczego pytasz?

- Ona jest z siczy Tabr? - Tak.

- Pamiętam ją. Zastąpi Chani. - Skinął na Bannerdźiego. - Każ asyście zabrać Lichnę, córkę Otheyma, do odpowiedniej kwatery.

Bannerdźi skinął głową. Asysta. Słowo - klucz, oznaczające, że posłaniec ma zostać otoczony szczególną strażą. Ujął jej ramię. Wyrwała się.

- Jak trafisz do domu ojca? - spytała z rozpaczą.

- Opiszysz drogę Bannerdźiemu. To mój przyjaciel.

- Nie! Ojciec mi zakazał! Nie mogę!

- Bannerdźi? - odezwał się Paul. Bannerdźi zatrzymał się.

Paul wiedział, że oficer sięga do swej encyklopedycznej pamięci, dzięki której osiągnął obecne stanowisko.

- Znam przewodnika, który może zaprowadzić cię do Otheyma - powiedział.

- Wobec tego pójde sam - zdecydował Paul. - Sire, jeżeli...

- Otheym tego pragnie - Paul z trudem ukrywał przepełniającą go ironię.

- Sire, to zbyt niebezpieczne! - protestował Bannerdźi.

- Nawet Imperator musi czasem podjąć ryzyko - powiedział Paul. - Decyzja zapadła. Zrób to, co poleciłem.

Bannerdźi, ociągając się, wyprowadził Tancerza Oblicza z gabinetu. Paul odwrócił się w stronę pustego ekranu za biurkiem. Miał uczucie, że zobaczy na nim głaz spadający ślepo z nieznanej wysokości. Zastanawiał się, czy powinien był powiedzieć Bannerdźiemu o prawdziwej tożsamości posłańca. Nie. Takie wyjście nie pojawiło się na ekranie jego wizji. Jakiegokolwiek

odchylenie pociągnęłoby za sobą niekontrolowaną rzeź. Musiał znaleźć moment bezruchu wahadła, miejsce, w którym mógłby wydostać się z wizji. Jeżeli taki moment istniał...

Niezależnie, jak egzotyczna staje się ludzka cywilizacja, niezależnie od osiągnięć życia społecznego czy interakcji człowiek - maszyna, w interludiach zawsze pojawia się samotna potęga i wtedy los rodzaju ludzkiego, esencja jego przyszłości, zależy od prostych działań pojedynczych jednostek.

z "Bożej Xiegi Tleilaxan"

Na wysokiej kładce prowadzącej z Cytadeli do biurowca Kwizara - tu Paul zmienił rytm kroków i zaczął utykać. Słońce niemal już zachodziło i długie cienie pomagały mu przemykać się niepostrzeżenie, choć bystre oko wciąż mogło wykryć w sposobie poruszania się coś, co zdradzało, kim jest. Miał na sobie tarczę, której nie uaktywnił, gdyż jego sztab zdecydował, że jej poświata wzbudziłaby podejrzenia.

Zerknął w lewo. Strumienie chmur piaskowych ciągnęły się przez płonące zachodem niebo jak rozsunięte żaluzje. Powietrze, dochodzące do niego przez filtry, było suche jak w hieregu - pustynnym obozowisku. W rzeczywistości nie był tu zupełnie sam, choć odkąd zaprzestał nocnych spacerów ulicami miasta, pajęczyna ochrony nie była wokół niego nigdy tak luźna. Omitoptery wyposażone w noktowizory sunęły wysoko nad nim w pozornie przypadkowym szyku, podporządkowane jednak jego ruchom dzięki transponderowi, który ukrywał w odzieży. Poniżej kładki ludzie z ochrony przeczesywali ulice. Inni rozsypali się wachlarzem po mieście, ujrawszy Imperatora w przebraniu: fremeniński strój, aż po filtrfrak i pustynne buty temag, przyciemniona cera. Kształt policzków zmieniono wkładkami z tworzywa. Chwytywódek filtrfraka zbiegał z lewej strony brody.

Gdy dotarł do końca kładki, Paul obejrzał się nieznacznie. Zauważył ruch za kamienną kratą, osłaniającą balkon jego prywatnych apartamentów. Niewątpliwie Chani. Nazwała jego wyprawę "polowaniem na piasek w pustyni".

Niewiele rozumiała z tego gorzkiego wyboru. "Gdy trzeba wybierać pomiędzy cierpieniami - pomyślał - nawet najłżejsze z nich staje się nie do zniesienia." Boleśnie raz jeszcze powrócił moment rozstania. W ostatniej chwili Chani doznała wejrzenia tau w jego uczucia, lecz zleje zinterpretowała. Sądziła, że Paul przeżywa emocje mężczyzny, który opuszcza ukochaną, by stawić czoła nieznanym niebezpieczeństwom.

"O, gdybym ich nie znał!" - pomyślał.

Minał już kładkę i osiągnął górny pasaż biurowca. Zobaczył zakotwiczone kule świętojańskie i ludzi spieszących gdzieś w interesach. Kwizarat nigdy nie spał. Paul przyłapał się na tym, że wpatruje się w wywieszki nad drzwiami, jak gdyby widział je pierwszy raz w życiu:

Handel Pomyślnością, Uciszenie i Odwracanie Wiatru, Prognozy Prorocze, Kryteria Wiary, Zaopatrzenie Religijne, Zbrojownia... Szerzenie Wiary...

"Uczciwiej byłoby napisać: Szerzenie Biurokracji" - przemknęło mu przez myśl. W całym jego wszechświecie rozpowszechnił się pewien typ urzędnika religijnego. Ten nowy człowiek Kwizaratu z reguły był konwertytą. Rzadko osiągał kluczowe stanowisko Fremenów, lecz skutecznie obsadzał wszystkie urzędnicze biurka. Zażywał melanz nie tylko dla celów geriatrycznych, ale by pokazać, że go na to stać. Izolował się od swego władcy - Imperatora, a także Gildii, Bene Gesserit, Landsraadu, rodów czy Kwizaratu. Jego bóstwami były: Rutyna i Notatki. Posługiwał się mentolami i fantastycznym systemem kartotek. "Celowość" - od tego zaczynał się jego katechizm, choć składał niezmierzoną daninę słów przykazaniom Butlerjan. "Nie będziesz czynił maszyn na obraz i podobieństwo umysłu człowieka" - mówił, lecz zdradzał każdym gestem, że przedkłada maszynę nad człowieka; średnie statystyczne, nadjednostkowe fakty, dobro ogółu nad bezpośredni, osobisty kontakt, wymagający wyobraźni i inicjatywy.

Paul wyszedł na rampę po drugiej stronie budynku i usłyszał dzwony nawołujące do Wieczornego Obrządku w Przybytku Alii. Głos dzwonów dawał przedziwne poczucie trwałości. Świątynia za zatłoczonym placem była nowa, jej rytuał wymyślono niedawno. Jednak usytuowanie w pustynnej niecce na obrzeżu Arrakin, w której niesiony wiatrem piach zaczynał kruszyć kamień i tworzywo oraz przypadkowy układ budynków, które wyrosły wokół, stwarzały wrażenie, że miejsce to jest bardzo stare, pełne tradycji i tajemnic. Paul zszedł na dół i zanurzył się w ludzkiej ciżbie. Jedyne przewodnik, jakiego znalazła Służba Bezpieczeństwa, uparł się, by tak to zaaranżować. Ochronie nie podobało się, że tak łatwo na to przystał. Stilgarowi podobało się to jeszcze mniej. A najgłośniejsze protestowała Chani. Otaczający go ciasno ludzie, nawet gdy ocierali się o niego, spoglądali nań obojętnie i przechodzili dalej, dając mu naturalną swobodę ruchów. Wiedział, że taki stosunek do Fremena wynika z doświadczenia. Paul nosił się jak ludzie z głębi pustyni. A ci byli skorzy do gniewu. W pobliżu świątyni tłok był jeszcze większy. Przechodnie - chcąc nie chcąc - potracali go, zwracając się za każdym razem z rytualnymi przeprosinami: "Wybacz, szlachetny panie. Nie mogłem zapobiec tej nieuprzejmości". "Wybacz, panie. To najgorszy ścisk, jaki w życiu widziałem". "Korzę się przed tobą, święty obywatelu. Jakiś prostak mnie popchnął". Po kilku pierwszych zdaniach Paul przestał zwracać na nie uwagę. W tych słowach krył się jedynie rytualny lęk. Pomyślał, jak długą drogę przebył od chłopięcych lat na Zamku Kaladańskim. Gdzie zaczynała się ścieżka, która zawiodła go aż na ten zatłoczony plac na planecie tak dalekiej od Kaladanu? Czy rzeczywiście sam wstąpił na tę ścieżkę? Nie mógł sobie przypomnieć niczego, co świadczyłoby o jednoznaczności życiowych dążeń. Motywy działania i zderzające się siły były złożone - bardziej złożone, być może, niż jakikolwiek zespół bodźców w

ludzkiej historii. Odczuwał teraz pewność, że wciąż jeszcze mógłby uniknąć losu, który nań czekał, tak wyraźny, na końcu tej ścieżki. Ale po chwili ogarnęło go uczucie, że zgubił drogę, zgubił gdzieś możliwość kierowania swym losem. Tłum niósł go pod portyk świątyni. Głosy cichły. Narastała atmosfera zadumy, z głębi wiało strachem. W środku akolici zaczęli już obrządek. Prosta pieśń wybiła się ponad inne dźwięki - szepty, szelest odzieży, pokaskiwania, szurania stóp. Opowiadała o Dalekich Miejscach nawiedzanych przez kapłankę w świętym transie.

Ona dosiada czerwia przestrzeni!
Ona prowadzi przez sztormy
Do kraju łagodnych bryz.
Choć śpimy w jaskini węża
Ona strzeże uśpionych dusz.
Stroniąc od żaru pustyni
Ukrywa nas w chłodnej grocie.
Blask jej białych zębów
Wiedzie nas poprzez noc.
Bujne warkocze
Unoszą nas w górę, w niebiosy!
Słodki aromat, woń kwiecica
Otacza nas, gdy jest z nami...

"Balak! - pomyślał Paul po fremieńsku. - Ostrożnie! Ona może być także przepełniona gniewną pasją."

Portyk obrzeżono długimi, cienkimi rurami świętojańskimi, zastępującymi płonące świece. Ich migotanie przywodziło pamięć przodków, mimo iż Paul wiedział, że to zamierzony efekt. Współczesna dekoracja skutecznie budziła atawistyczne uczucia. Paul gardził sobą, widząc w tym własne dzieło. Wraz z tłumem wpłynął przez stalowe drzwi do gigantycznej nawy, w której światła błyskały wysoko nad głowami, a w oddali skrzył się cudownie iluminowany ołtarz. Za jego zwodniczo prostą konstrukcją z czarnego drzewa, inkrustowanego piaskiem w sceny z fremieńskiej mitologii, igrały ukryte światła, tworząc na awa - drzwiach zorzę polarną. Chór akolitów, stojący w siedmiu rzędach przed tym widmowym horyzontem, nabierał cech fantasmagorii: czarne szaty, białe twarze, usta poruszające się unisono.

Paul przyglądał się otaczającym go pielgrzymom, zazdroszcząc im ich przejęcia, wsłuchania w prawdy, którymi sam pogardzał. Zdawało mu się, że oto zostają obdarowani czymś,

czego mu odmówiono, czymś tajemnie kojącym . Gdy cał po cał uściłował przepchnąć się bliżej ołtarza, czyjaś ręka chwyciła go za ramię. Rozejrzał się. Napotkał badawcze spojrzenie sędziwego Fremena - w całkowicie błękitnych oczach pod nawisłymi brwiami dostrzegł błysk rozpoznania. W pamięci Paula mignęło imię: Rasir, towarzysz z czasów, gdy mieszkali w siczach. Wiedział, że w tłumie był całkiem bezbronny, jeśli Rasir planował atak. Starzec przepchnął się ku niemu z jedną ręką ukrytą pod zapiaszczonym płaszczem - z pewnością zaciśnięta była na rękojeści krysnoża. Paul przyjął najlepszą w tych warunkach pozycję do obrony. Stary przysunął głowę do jego ucha.

- Pójdziemy z innymi - szepnął.

Były to umówione słowa. Paul skinął głową. Rasir cofnął się, zwrócił twarzą do ołtarza.

"Ona nadchodzi ze wschodu - śpiewali akolici. - Za nią stoi słońce. Wszystko się odkrywa. W pełnym blasku jej oczom nie umknie nic - ni światło, ni ciemność."

Zawodzący rebab zgrzytał na tle głosów, uciszył je, a po chwili zamilkł. Raptownie jak porażony prądem, tłum ruszył o kilka metrów do przodu. Teraz wszyscy tworzyli zwartą masę ciał. Powietrze było ciężkie od oddechów i zapachu przyprawy.

- Szej-hulud pisze na czystym piasku! - zakrzyknęli akolici. Paul czuł, że jego własny oddech stopił się w jedno z innymi wkoło.

Chór kobiet ozwał się ledwo dosłyszalnie zza jarzących się awa-drzwi:

Śpiew stawał się coraz donośniejszy, aż urwał się nagle. I znów rozległy się ledwo słyszalne głosy:

Ona ucisza sztormy
Spojrzeniem zabija wrogów
I karze niewiernych.
Z iglic Tuono
Gdzie świt uderza
I tryska źródło
Widzisz jej cień.
W jaskrawej spiekocie lata
Karmi nas chlebem i mlekiem -
Chłodnym, o woni ziół.
Spojrzeniem roztopia wrogów
I karze dręczycieli
Przenika wsze tajemnice.
To Alia... Alia... Alia...

Głosy z wolna odpłynęły w dal. Paul czuł niesmak. "Co my robimy?" - zapytywał w duchu. Dawniej Alia była małą czarownicą, lecz teraz dorasta.

"Dorastać znaczy stawać się bardziej nikczemnym" - pomyślał. Jego duszę ogarniała atmosfera duchowej jedności, wszechobecna w świątyni. Odczuwał potrzebę stopienia się w jedno z wszystkimi wokół, lecz jego wiedza, doświadczenie stawiały go w opozycji do tłumu. Czuł się odosobniony, pograżony we własnym grzechu, którego nigdy nie zdoła odkupić. Ogrom wszechświata, którego małą częścią byli tutaj zgromadzeni, przytłoczył jego świadomość. Jakże mógł jeden człowiek marzyć, że z tego bezmiaru skroi przyrodziewek, w którym wszystkim będzie jednakowo do twarzy?

Zadygotał. Na każdym kroku wszechświat sprzeciwiał się jego woli, wymykał spod panowania, wymyślał niezliczone pozory, by go zwieść. Wszechświat nigdy nie przyjmie kształtu, jaki chciał mu nadać.

Potężny szmer podniósł się w świątyni.

Z mroku, zza migocącej zorzy, wyłoniła się Alia. Miała na sobie żółtą szatę lamowaną zielenią Atrydów; żółć słońca i zieleń śmierci dającej życie. Paul odniósł nagłe, zaskakujące wrażenie, że przybyła tu wyłącznie dla niego. Ponad głowami tłumu przyjrzał się siostrze. Przecież była jego siostrą. Znał i jej rytuał, i jego źródło, ale nigdy przedtem nie stał tu, wśród ludzi, nie patrzył na nią ich oczami.

Tu, uczestnicząc w misterium, ujrzał, że dostąpiła akceptacji wszechświata, który jego odrzucał.

Akolici podali jej złotą czarę. Uniosła ją. Paul wiedział, że czara zawierała nieprzemieniony melanz, subtelną truciznę, sakrament wyroczni.

Alia zaczęła mówić, utkwivszy wzrok w kielichu. Jej głos unosił się, płynny i śpiewny:

- Na początku była w nas pustka - odezwała się.
- Nieświadomość wszelkich rzeczy - podjął chór.
- Nie znaleźliśmy Mocy, która mieszka w każdym miejscu. - I w każdym Czasie - dodał chór.
- Oto jest Moc - powiedziała Alia, unosząc lekko czarę.
- Daje nam radość - śpiewał chór.

"I przynosi rozterkę" - pomyślał Paul.

- Budzi duszę do życia - mówiła Alia.
- Rozwiewa wątpliwości - śpiewał chór.
- W światach zginiemy.
- W Mocy przetrwamy.

Alia przytknęła czarę do ust, wypila

Ku swemu zdumieniu Paul poczuł, że oto wstrzymuje oddech tak samo, jak najędzniejszy z tej tłuszczy. Mimo całej swej wiedzy o tym, czego w tej chwili doznawała Alia, został schwytany w sieć tau. Powróciło wspomnienie palącej trucizny, krążącej w jego ciele. Odżyła pamięć czasu, w którym świadomość stawiała się pyłkiem, przemieniającym jad. Ponownie przeżył otwarcie się w bezczas, gdzie wszystko jest możliwe. Wiedział, co teraz dzieje się z Alia, lecz nagle spostrzegł, że o tym zapomniał. Tajemnica oślepiła go.

Alia zadrżała, upadła na kolana.

Paul odetchnął wraz z ogarniętym uniesieniem tłumem. Pokiwał głową. Pochłonięty atmosferą obrzędu zapomniał, że każda wizja była udziałem tych wszystkich, którzy stali na jej drodze, którzy mieli być jej podmiotem. Wizja pogrążona była w mroku nie pozwalającym rozróżnić tego, co musi się stać. Daleka była od absolutów, które nigdy nie mogą się ziścić. Pragnąc gubiło się teraźniejszość.

Alia chwiała się w ekstazie przemiany.

Paul słyszał, jak jakaś transcendentalna obecność mówi mu: "Rozejrzyj się! Popatrz! Widzisz, co przeoczyłeś?"

Wydawało mu się, że patrzy teraz innymi oczyma i widzi w tym miejscu kształty i rytmy, jakich nie stworzyłby żaden artysta. Było w tym piękno i życie, blask światła obnażający wszelki głód władzy... nawet jego własny.

Alia przemówiła. Nagłośnione słowa przetoczyły się gromem przez nawę.

- Świetlista noc! - krzyknęła.

Jęk przebiegł przez rzeszę pielgrzymów.

- Nic nie ukryje się takiej nocy! - wołała Alia. - Jakimż niezwykłym światłem jest ta ciemność? Nie możesz skupić na niej spojrzenia! Nie rejestrują jej zmysły. Żadne słowo nie opisze - ściszyła głos. - Otchłań wciąż istnieje. Jest brzemienią zapowiedzią wszystkiego, co może się zdarzyć. Aaach, jaka słodka przemoc!

Paul uświadomił sobie, że czeka na jakiś dla siebie tylko przeznaczony znak od siostry. Mógł nim być jakikolwiek gest lub słowo, coś ze sztuki magicznej czy mistycznych procesów; skierowany na zewnątrz potok, który mógłby go dopasować jak strzałę do kosmicznego łuku. Drżał, czekając na tę chwilę.

- I będzie smutek - zaintonowała Alia. - Pomnijcie, że wszystkie rzeczy są ledwie początkiem, zawsze początkiem. Światy czekają, by je podbić. Niektórzy z tych, co teraz mnie słyszą, dostąpią wielkich zaszczytów. Będziecie szydzić z przeszłości, zapomniawszy, co dzisiaj wam mówię: we wnętrzu wszystkich różnic jest jedność.

Paul stłumił okrzyk zawodu, gdy Alia spuściła głowę. Nie wyrzekła tego, na co czekał. Jego ciało zdawało się być pustą muszlą, łuską porzuconą przez pustynnego owada.

"Inni odczuli chyba coś podobnego" - pomyślał. Dokoła siebie dostrzegł niepokój. Nagle wśród tłumu, daleko z przodu, rozbrzmiał krzyk kobiety: nieartykułowany jęk udręki. Alia uniosła głowę i Paul odniósł wrażenie, że dzieląca ich przestrzeń skurczyła się do kilku cali, że patrzy wprost w jej błyszczące oczy.

- Kto mnie wzywa? - zapytała.

- Ja! - zawołała kobieta. - Ja, Alio! Och Alio, pomóż mi. Mówią, że mój syn zginął na Muritanie. Czy rzeczywiście odszedł? Czy nigdy już nie zobaczę mojego syna? Nigdy?

- Próbujesz wracać wstecz po własnych śladach - mówiła śpiewnie Alia. - Nic nie ginie. Wszystko kiedyś wraca, lecz możesz nie poznać zmienionej postaci, pod którą powróci.

- Alio, ja nie rozumiem! - załkała kobieta.

- Żyjesz otoczona powietrzem, ale go nie widzisz - powiedziała Alia ostrzej. - Czyżbyś była jaszczurką? Mówisz z fremeńskim akcentem. Czy Fremeni próbuje wskrzeszać zmarłych? Czego chcemy od naszych zmarłych, z wyjątkiem ich wody?

W środku nawy uniósł ręce mężczyzna w bogatym, czerwonym płaszczu. Rękawy opadły, ukazując ramiona okryte białą szatą.

- Alio! - krzyknął. - Otrzymałem ofertę handlową. Czy powinienem ją przyjąć?

- Przychodzisz tu jak żebrak - odparła Alia. - Szukasz złotej czary, lecz znajdziesz tylko sztylet!

- Chcą, bym zabił człowieka! - rozległ się z prawej strony niski głos z pustynnym akcentem. - Mam się zgodzić? Czy powiecie mi się, jeśli się zgodzę?

- Początek i koniec to jedno - stwierdziła oschle Alia. - Czyż nie mówiłam wam o tym? Nie przybyłeś, by zadać to pytanie. W cóż takiego nie możesz uwierzyć, że gna cię aż tutaj, by wykrzyczeć swój protest?

- Jest dziś w paskudnym nastroju - mruknęła kobieta obok Paula. - Czy kiedykolwiek widzieliście ją tak wściekłą?

"Wie, że jestem tutaj - pomyślał Paul. - Czy zobaczyła w wizji coś, co ją rozgniewało? Czy może gniewa się na mnie?"

- Alio! - zawołał mężczyzna stojący tuż za Paulem. - Powiedz tym kramarzom o zajętych sercach, jak długo będzie rządził twój brat!

- Pozwalam ci samemu zajrzeć w przyszłość - warknęła Alia. - W ustach niesiesz swoje uprzedzenia! Tylko dlatego, że mój brat ujeżdża czerwiałego chaosu, masz jeszcze dach i wodę!

Odwróciła się, gniewnym ruchem zgarniając suknię, pośpiesznie minęła jarzące się zorze i znikła w mroku za nimi. Akolici podjęli natychmiast pieśń pożegnalną, lecz rytm śpiewu kulał. Najwyraźniej byli zaskoczeni nieoczekiwanym zakończeniem obrządku. Ze wszystkich stron narastało szemranie tłumu. Paul czuł wokół poruszenie, niezadowolenie, niepokój.

- To przez tego głupca, z tym jego idiotycznym pytaniem o interesy - mruknęła kobieta obok Paula. - Hipokryta!

Co ujrzała Alia? Jaką ścieżkę przez przyszłość? Coś stało się tu tej nocy, co przepełniło goryczą rytuał wyroczni. Gawiedź często hałaśliwie domagała się od Alii odpowiedzi na swe prymitywne pytania. Tak, przybywali do wyroczni jak żebracy. Takimi ich słyszał wiele razy, obserwował ukryty w cieniu za ołtarzem. Co sprawiło, że ta noc była inna? Stary Fremen pociągnął Paula za rękaw, ruchem głowy wskazał drzwi. Ludzie już zaczynali ich pchać w tamtą stronę. Paul pozwolił, by tłum unosił go wraz z przewodnikiem uczeptionym jego rękawa. Ogarnęło go uczucie, jakby ciało stało się siedliskiem jakiejś siły, nad którą już nie panował. Stał się niebytem, na dnie niebytu istniał on sam, pozwalając bezwiednie prowadzić się ścieżką znaną jego wizji. Serce lodowaciało mu z przerażenia.

"Powinienem wiedzieć, co widziała Alia. Sam widziałem to tyle razy - myślał. - Nie zaprotestowała... Czyżby widziała alternatywę?..."

W moim Imperium nie może maleć tempo wzrostu produkcji i dochodu. To jest istota moich rządów. Trudności w zachowaniu zrównoważonego bilansu płatniczego między różnymi sferami są niedopuszczalne. Powód jest prosty - ja tak nakazuję. Pragnę podkreślić moją władzę na tym obszarze. Jestem najwyższym konsumentem energii i takim pozostanę, żywy czy umarły. Moim rządem jest gospodarka.

"Rozporządzenie Imperialne"

Imperatora Paula Muad'Diba

- Tutaj cię zostawię - powiedział stary, puszczając rękaw Paula. - To po prawej, drugie drzwi od końca. Idź z Szej-huldem, Muad'Dibie... i pamiętaj o dniach, gdy byłeś Usulem.

Przewodnik rozplynał się w mroku.

Paul wiedział, że gdzieś tam czekają ludzie ze Służby Bezpieczeństwa, by pochwycić przewodnika i zabrać go na przesłuchanie. Podświadomie jednak żywił nadzieję, że stary Fremen im umknie.

Nad głową miał gwiazdy i odległą poświatę Pierwszego Księżyca, błyszczącego gdzieś nad Murem Zaporowym. Ale to nie była otwarta pustynia, gdzie człowiek mógł wypatrzyć gwiazdę, która go poprowadzi. Stary przywiódł go na jedno z nowych przedmieść. Tyle przynajmniej rozpoznawał.

Na ulicy grzęzło się w piachu nawianym z atakujących miasto wydm. Daleko w głębi jedyna uliczna lampa dryfowa dawała wątłe światło. Wystarczyło, by dostrzegł, że znalazł się w ślepym zaułku.

Powietrze wokół było aż gęste od odoru destylami. Musiała być nieszczelna, rozsiewała cuchnący fetor, wraz z którym uciekała w powietrze bezpowrotnie marnotrawiona wilgoć.

"Jak nieostrożni stali sieci ludzie" - pomyślał Paul. Byli teraz wodnymi milionerami, zapomnieli o dniach, gdy na Arrakis człowiek mógł zostać zabity za ósmą część wody swego ciała.

"Dlaczego się waham? - zastanawiał się Paul. - To drugie drzwi od końca Wiedziałem, zanim mi powiedział. Ale tę grę muszę przeprowadzić bezbłędnie. A więc... waham się."

Z narożnego domu po lewej doleciały odgłosy kłótni. Jakaś kobieta besztала kogoś: "W nowym skrzydle domu osadza się kurz! - narzekała - Czy myślisz, że woda spada z nieba? Jeśli kurz dostaje się do środka, wilgoć ucieka na zewnątrz."

"Niektórzy jeszcze pamiętają" - pomyślał Paul.

Ruszył ulicą, kłótnia ucichła za jego plecami.

"Woda z nieba!" - pomyślał.

Niektórzy Fremeni widzieli ten cud na innych planetach. Sam zapragnął go kiedyś dla Arrakis, choć dziś to zdarzenie jawiło się w jego umyśle tak, jakby było wyjęte z życia innej osoby. Deszcz, tak się to nazywało. Niespodziewanie przypomniał sobie ulewę na planecie swych narodzin - gęste, szare chmury na niebie Kaladanu, ozonowy zapach burzy, wilgotne powietrze, potem wielkie, mokre krople bębniące w świetliki. Woda spływała strumykami z okapów. Ścieki burzowe odprowadzały ją do rzeki, która spęczniała błotem toczyła wody wzdłuż należących do rodu sadów... Nagie gałęzie drzew błyszcząły wilgocią.

Noga Paula uwięzła w niewielkiej przyźmie piasku, biegnącej w poprzek ulicy. Przez chwilę miał wrażenie, że to błoto lepi się do jego dzieciennych bucików. Po chwili wrócił do rzeczywistości, zlepionej kurzem, stłumionej wiatrem ciemności, z Przyszłością szyderczo wiszącą mu nad głową. Jałowość życia wokół oskarżała go: "Ty to zrobiłeś! ". Stworzył cywilizację bajkową, barwną dla dalekiego obserwatora, w której wszelkie problemy rozwiązywano, używając siły... więcej siły... i jeszcze więcej siły...

Pod stopami poczuł szorstkie kamienie. Nawet one zapisane były gdzieś w wizji przyszłości.

Po prawej pojawił się czarny prostokąt drzwi - czerń w czerni, dom Otheyma, dom Przeznaczenia, miejsce różniące się od innych jedynie rolą, jaką wybrał dla niego Czas. Dziwne miejsce na to, by przejść do historii. Paul zapukał i drzwi uchyliły się. Przez szparę rozbłysło nagle, zielone światło z atrium. Wyjrzał karzeł, wiekowa twarz w ciele dziecka, zjawa, której nigdy nie ukazała mu wizja.

- A więc przyszedłeś - powiedziała zjawa. Karzeł usunął się na bok, nie okazując strachu. Na usta powoli wypełził mu uśmiech zadowolenia. - Proszę! Proszę do środka!

Paul zawahał się. W wizji nie było karła, wszystko inne się zgadzało. Wizje mogły wykazywać nieścisłości, lecz mimo to pozostawały zgodne z przewidywaną linią rozwoju wypadków.

Lecz ta różnica natchnęła go nieśmiałą nadzieją. Obejrzał się na ulicę, na kremowo - perłową poświatę księżyca, który wypływał zza postrzępionych cieni. Księżyc nie dawał mu spokoju.

W jaki sposób spadł?

- Wejść - powtórzył karzeł.

Paul wszedł. Usłyszał, jak za jego plecami wodoszczelne grodzie zasłaniają drzwi. Karzeł minął go i poszedł przodem, kłapiąc wielkimi stopami o posadzkę. Otworzył furtkę z misternie kutej kraty, prowadzącą na wewnętrzny, zadaszony dziedziniec.

- Czekają, Sire - wskazał.

"Sire - zauważył Paul. - A więc mnie zna."

Zanim zdążył zgłębić to spostrzeżenie, karzeł zniknął w bocznym korytarzu. Nadzieja wirowała w głowie Paula jak tańczący derwisz. Ruszył przez dziedziniec. Ciemne, ponure miejsce czuć było chorobą i porażką. Ta atmosfera zniechęcała go. "Czy klęską był wybór mniejszego zła?" - myślał. Jak daleko zaszedł tą ścieżką?

Zza wąskich drzwi w przeciwną stronę syczące się światło. Nie zważając na złowieszcze wonie i wrażenie, że jest obserwowany, Paul wszedł do małego pokoju. Według norm fremeńskich pokój był ubogi, zasłony z hieregu okrywały tylko dwie ściany. Naprzeciw drzwi, pod najlepszą zasłoną, na karminowych poduszkach siedział mężczyzna. Kobięca postać krzątała się w cieniu za otwartymi drzwiami w nieosłoniętej ścianie po lewej stronie.

Paul czuł, że znalazł się w potrzasku wizji. Tak właśnie miało być. Ale skąd wziął się karzeł? Dlaczego wystąpiła różnica?

Jednym spojrzeniem ogarnął pokój. Mimo nędznego umeblowania znać było staranność jego mieszkańców. Z pustych ścian usunięto haki i kołki, zdradzające, skąd zdjęto zasłony. "Pielgrzymi płacili krociowe sumy za autentyczne wyroby sztuki fremeńskiej" - przypomniał sobie Paul. Dla bogaczy gobeliny z pustyni były skarbem, prawdziwą pamiątką z hadżdż.

Paul miał wrażenie, że nagie ściany oskarżają go swą świeżą bielą gipsu. Dwie wytarte zasłony, które jeszcze pozostały, potęgowały poczucie winy.

Wzdłuż prawej ściany biegła wąska półka. Stał na niej rząd portretów, głównie brodatych Fremenów, jednych w filtrfrakach ze zwisającymi luźno chwytywodami, innych w imperialnych mundurach, postaci upozowanych na tle egzotycznych krajobrazów z innych planet. Najczęściej owym tłem było morze.

Siedzący na poduszkach Fremen odchrząknął, zmuszając Paula, by na niego spojrzał. Był to Otheym, dokładnie taki, jakim przedstawiła go wizja. Koścista, ptasia szyja wydawała się zbyt słaba, by utrzymać dużą głowę. Twarz była wspólnym dziełem natury i wojny: zezujące, łzawiące oko i sieć krzyżujących się blizn na lewym policzku, na prawym gładka skóra i surowe spojrzenie błękitnego w błękitcie oka. Wydatny nos dopełniał tego dramatycznego obrazu.

Poduszki Otheyma leżały w centrum wytartego brązowego kobierca, przetykanego kasztanową i złotą nicią. Materiał poduszek nosił ślady zużycia i łatania, ale metalowe wyposażenie pokoju - ramy portretów, podpórka i okucia półki, noga niskiego stolika - lśniło wypolerowane.

Paul skinął głową gładkiej połowie twarzy Otheyma.

- Przychylności losu dla ciebie i twego domu - wypowiedział powitalną formułę starego przyjaciela i towarzysza z pustyni.

- A więc widzę cię raz jeszcze, Usul.

Głos starego człowieka, gdy wymówił jego plemienne imię, był drżący i skrzypli wy. Opadające, mętne oko poruszało się nad bliznami w pergaminowej skórze po zniszczonej stronie twarzy. Szara szczecina porastała szorstką, łuszczącą się skórę policzków i brody. Gdy mówił, usta Otheyma wykrzywiały się, ukazując srebrne zęby.

- Muad'Dib zawsze odpowiada na wezwanie fedajkina - powiedział Paul.

Kobieta w cieniu drzwi poruszyła się.

- Tak utrzymuje Stilgar - powiedziała

Weszła w krąg światła - starsza wersja Lichny, którą skopiował Tancerz Oblicza. Paul przypomniał sobie, że Otheym poślubił dwie siostry. Kobieta miała posiwiałe włosy i haczykowaty nos więdźmy. Wzdłuż jej kciuków i palców wskazujących biegły zgrubienia świadczące o tym, że żona Othayma często zajmowała się tkaniem. W dawnych, pustynnych czasach Fremenka ukazywałaby te znamiona z dumą, lecz tu, spostrzegłszy, że Paul patrzy na jej ręce, kobieta ukryła je w fałdach bładoniebieskiej sukni.

Paul odszukał w pamięci jej imię - Dhuria. Zaskoczeniem było dlań, że pamiętał ją jako dziecko. "To przez tę jękliwą nutę w głosie" - stwierdził w duchu. Jęczała już jako dziecko.

- Widzisz mnie tutaj - powiedział. - Czyż przyszedłbym bez zgody Stilgara? - Zwrócił się do Otheyma. - Dźwigam twe brzemień wody, Otheym. Rozkazuj mi.

Tak brzmiała szczerza fremeńska rozmowa między braćmi z siczy. Otheym skinął trzęsącą się głową, nieomal łamiąc chudą szyję. Uniósł lewą dłoń, usianą plamami wątrobowymi i wskazał na ruinę swej twarzy.

- Złapałem rozszczepiającą chorobę na Tarahellu, Usul - wyrzęził.

- Zaraz po zwycięstwie, kiedyśmy... - przerwał mu atak kaszlu.

- Plemię wkrótce zabierze jego wodę - powiedziała Dhuria.

Podeszła do Otheyma, poprawiła mu poduszki i podtrzymała go za ramię, aż skończył się atak. "Wcale nie jest taka stara - pomyślał Paul.

- To utracone nadzieje otoczyły zmarszczkami jej usta, napęłniły gorczą oczy."

- Wezwę lekarzy - powiedział Paul.

Dhuria odwróciła się z ręką opartą na biodrze.

- Mieliśmy tu medyków równie dobrych jak ci, których mógłbyś wezwać. - Mimo woli spojrzała na nagą ścianę po lewej.

"A medycy byli kosztowni" - pomyślał Paul.

Był rozdrażniony, skrępowany przez wizję, wciąż świadom, że wkradły się w nią drobne odstępstwa. Jak mógłby je wykorzystać? Czas rozwinął się z kłębka, niosąc ledwo uchwytnie

zmiany, lecz materia tła deprymująco pozostawała ta sama. Był pewien, że jeśliby spróbował wyrwać się z tego zapisu przyszłości, skutki rozszalałyby się z potworną gwałtownością. Moc, czająca się w złudnie spokojnym upływie Czasu, przygniatała go.

- Powiedz, czego chcesz ode mnie - rzucił szorstko.

- Może Otheym chce, by był przy nim przyjaciel, gdy nadejdzie czas? - spytała Dhuria. - Czy fedajkin ma powierzyć swoje ciało obcym?

"Byliśmy razem w siczy Tabr - przypomniał sobie Paul. - Ma prawo mnie zganić za tę widoczną obcesowość."

- Uczynię, co będę mógł - powiedział. Nowy atak kaszlu wstrząsnął Otheymem.

- Zdrada, Usul - wydyszał starzec, kiedy minął atak. - Spisek przeciw tobie wśród Fremenów. - Jego usta poruszały się dalej bezgłośnie. Pocięła z nich ślina.

Dhuria wytarła wargi Otheyma rąbkiem sukni i Paul dostrzegł w jej twarzy niezadowolenie z takiego marnotrawstwa wody.

Paulem owładnął bezsilny gniew. "Żeby Otheym miał tak dogorywać! Fedajkin zasłużył na coś lepszego." Ale nie było wyboru - ani dla komandosa śmierci, ani dla jego Imperatora. Tu, w tej izbie, stąpali po ostrzu brzytwy. Najmniejsza pomyłka mnożyła zagrożenie nie tylko dla nich, ale dla całej ludzkości, także dla tych, którzy chcieli ich zniszczyć.

Paul zmusił się do zachowania spokoju. Spojrzał na Dhurię. Straszliwa tęsknota, z jaką patrzyła na Otheyma, dodała mu sił. "Chani nie powinna nigdy na mnie tak patrzeć" - powiedział sobie.

- Lichna wspomniała o informacjach - powiedział.

- Mój karzeł - wycharczał Otheym. - Kupiłem go na... na... na planecie... Nie pamiętam. Jest ludzkim dystransem, zabawką porzuconą przez Tleilaxan. Zarejestrował wszystkie nazwiska... wszystkich zdrajców.

Otheym zamilkł dygocąc.

- Mówiłeś o Lichnie - odezwała się Dhuria. - Kiedy przybyłeś, domyśliliśmy się, że dotarła do ciebie bezpiecznie. Jeśli rozmyślasz o nowym brzemieniu, jakie Otheym kładzie na twoje barki, weź pod uwagę Lichnę. Rzetelna wymiana, Usul: bierz karła i idź.

Paul zamknął oczy, powstrzymując drżenie. Lichna! Ich prawdziwa córka zginęła w pustyni - zniszczone semutą ciało, porzucone na pastwę piasku i wichru.

Otworzył oczy i powiedział:

- Mogliście w każdej chwili przyjść do mnie po...

- Otheym trzymał się z boku, by nie zostać zaliczony do tych, którzy cię nienawidzą, Usul - przerwała mu Dhuria. - Dom przy końcu ulicy, na południe od nas, to miejsce spotkań twych wrogów. To dlatego wzięliśmy tę norę.

- Więc przywołajcie karła i chodźmy - rzekł Paul.

- Nie słuchałeś uważnie - powiedziała Dhuria

- Musisz zabrać karła w bezpieczne miejsce - rzekł Otheym, w jego głosie była niebywała moc. - Nosi jedyny zapis zdrady. Nikt nie podejrzewa, że ma te zdolności. Myślę, że trzymam go dla zabawy.

- Nie możemy odejść razem - powiedziała Dhuria - Tylko ty i karzeł. Wszyscy wiedzą... jak biedni jesteśmy. Mówiliśmy, że mamy zamiar sprzedać karła. Wezmą cię za nabywcę. To twoja jedyna szansa.

Paul sięgnął do pamięci swej wizji. Opuszczał w niej ten dom z nazwiskami zdrajców, lecz nigdy nie poznał, jak zdobył tę tajemnicę. Najwyraźniej karzeł poruszał się pod osłoną innej wyroczni. Paul zrozumiał teraz, że każde stworzenie musi nieść jakieś przeznaczenie, będące wypadkową rozmaitych sił zewnętrznych, skutków szkolenia i własnych zdolności. Od chwili, gdy wybrała go Dżihad, czuł się osaczony przez potęgę tłumu. Jego niezmiennie cele określały i kontrolowały drogę, którą zdążał. Wszelkie miraże o Wolnej Woli, jakie zachował, powodują, że czuje się jak więzień szarpiący pręty klatki. Jego przekleństwo tkwiło w fakcie, że widział klatkę. W i d z i a ł j ą!

Nasłuchiwał odgłosów tego domu: było w nim tylko ich czworo - Dhuria. Otheym, karzeł i on. Dostrzegał strach i napięcie swoich towarzyszy, odczuwał obecność swoich własnych ludzi, unoszących się w ornitopterach wysoko, tam, w górze... i tych innych... za ścianą.

"Nadzieja była pomyłką" - pomyślał. Jednak myśl o nadziei przyniosła mu przewrotne poczucie nadziei i wiedział, że ma jeszcze szansę, by uchwycić swą chwilę.

- Wezwij karła - powiedział.

- Bidżaz! - zawołała Dhuria.

- Wołałaś mnie? - Karzeł wszedł z dziedzińca do pokoju. Na czujnej twarzy malował mu się wyraz zmartwienia.

- Masz nowego pana, Bidżaz - powiedziała Dhuria. Zerknęła na Paula. - Możesz nazywać go... Usul.

- Usul to podstawa filaru - rezonował Bidżaz. - Jak Usul może być podstawą, skoro ja jestem najbardziej podstawową z żywych istot?

- Zawsze tak mówi - usprawiedliwił go Otheym.

- Nie mówię - oświadczył Bidżaz. - Operuję maszyną zwaną językiem. Skrzypi i jęczy, ale jest mój własny.

"Tleilaxańska zabawka, uczona i czujna - pomyślał Paul. - Bene Tleilax nigdy nie pozbywają się czegoś tak cennego."

Odwrócił głowę i przyjrzał się karłu. Okrągłe, melanzowe oczy odpowiedziały mu spojrzeniem.

- Jakie masz jeszcze talenty, Bidżazie? - zapytał.

- Wiem, kiedy powinniśmy odejść - odparł Bidżaz - a to talent, jaki posiada niewielu ludzi. Nastal czas zakończeń i jest to ku temu dobry początek. Zaczniemy iść, Usul.

Paul sprawdził w pamięci wizji: karła nie było, ale słowa małego człowieczka pasowały do sytuacji.

- Przy drzwiach nazwałeś mnie "Sire" - powiedział. - Znasz mnie więc?

- Pańskie trafienie, panie - wyszczerzył się Bidżaz. - Jesteś o wiele wyższy niż przyziemny Usul. Jesteś Imperatorem Atryda, Paulem Muad'Dibem. I jesteś moim palcem. - Uniósł wskazujący palec prawej ręki.

- Bidżaz! - warknęła Dhuria. - Kusisz los.

- Kuszę mój palec - zaskrzeczał Bidżaz w proteście. Wskazał na Usul. - Wskazuję na Usul. Czyż mój palec nie jest Usulem we własnej osobie? A może jest odbiciem czegoś bardziej podstawowego? - Podniósł palec do oczu, obejrzał go uważnie z szyderczym śmiechem, najpierw jedną stronę, potem drugą. - Aaach, mimo wszystko to tylko palec.

- Często tak trajkocze - w głosie Dhurii słychać było troskę. - Myślę, że przez to Tleilaxanie się go pozbyli.

- Nikt nie miał mi patronować - rzekł Bidżaz - a oto mam nowego patrona. Jakże niezbadane są dzieła palca. - Zerknął na Otheyma i Dhurię z dziwnym błyskiem w oku. - Słaba więc nas trzyma, Otheym. Kilka łąz i już się rozstajemy. - Wielkie stopy karła zaszurały po podłodze, gdy zakręcił się dookoła i zatrzymał przed Paulem. - Aach, patronie! Przebyłem długą drogę, by cię odnaleźć.

Paul pokiwał głową.

- Będiesz dobry, Usul? - zapytał Bidżaz. - Wiesz, jestem osobą. Osoby przybierają wiele kształtów i rozmiarów. Widzisz tylko jedną z nich. Jestem słaby w garści, za to mocny w gębie, tani do wyżywienia, ale kosztowny do napełnienia. Opróżniaj mnie do woli i tak jest we mnie więcej, niż wepchnęli tam ludzie.

- Nie mamy czasu na głupie łamigłówki - sarknęła Dhuria. - Musicie już iść.

- Moja główka łamie się od zagadek - odparł Bidżaz - ale nie wszystkie są głupie. Odejść, Usul, to znaczy przeminać. Czyż nie tak? Pozwólmy więc, by to co ma przeminać, przeminęło. Dhuria mówi prawdę, a dano mi też talent, by to dosłyszeć.

- Masz zmysł prawdopodobstwa? - spytał Paul, zdecydowany czekać, aż włączy się mechanizm jego wizji. Wszystko byłoby lepsze od zaprzepaszczenia tych chwil i spowodowania nowych konsekwencji.

Pozostało kilka rzeczy, które chciał powiedzieć Otheymowi, chyba że Czas miał się skierować w nieprzewidziane koryto.

- Mam zmysł teraźniejszości - powiedział Bidżaz.

Paul zauważył, że karzeł stawał się coraz bardziej nerwowy. Czy świadomy był zdarzeń, które miały nastąpić? Czy Bidżaz mógł być swoją własną wyrocznią?

- Pytałeś o Lichnę? - zagadnął nagle Otheym, spoglądając na Dhurię zdrowym okiem.

- Lichna jest bezpieczna - powiedziała Dhuria.

Paul spuścił głowę, by wyraz jego twarzy nie zdradził kłamstwa. Bezpieczna! Lichna to popioły w bezimiennym grobie.

- To dobrze - Otheym wziął ruch głowy Paula za potwierdzające skinienie. - Jedyna dobra rzecz pośród tylu złych, Usul. Nie podoba mi się świat, który tworzymy, wiesz? Było lepiej, gdy byliśmy sami na pustyni, mając przeciw sobie tylko Harkonnenów.

- Czasami pomiędzy przyjaźnią a wrogością istnieje tylko cienka linia - odezwał się Bidżaz. - Tam, gdzie linia dobiega, nie ma początku ani końca. Zakończmy to, przyjaciele. - Przynal się do Paula, prze - stępując z nogi na nogę.

- Co to jest zmysł teraźniejszości? - spytał Paul, prowokując karła.

- Teraz! - karzeł drżał. - Teraz! Teraz! - Pociągnął Paula za płaszcz. - Chodźmy teraz!

- Jego gęba terkocze, ale jest nieszkodliwy. - Otheym patrzył na karła zdrowym okiem, a w jego głosie słyhać było sympatię.

- Nawet terkotka może dać sygnał do odjazdu - rzekł Bidżaz. - Tak samo łyzy. Chodźmy już, póki jest czas zaczynać.

- Bidżazie, czego się boisz? - spytał Paul.

- Boję się ducha, który teraz mnie szuka - wymamrotał Bidżaz. Krople potu lśniły mu na czole, policzki trzęsły się. - Boję się tego, co nie myśli i nie ma ciała, prócz mojego... a co na powrót wstąpiło w siebie! Boję się tego, co widzę i tego, czego nie widzę.

"Ten karzeł ma moc jasnowidzenia" - pomyślał Paul. Bidżaz dzielił z nim przerażającą wizję. Czy dzielił też los, przypisany przez wizję? Jak wielka była moc karła? Czy zbierał okruchy

przyszłości jak ci, którzy zabawiali się Tarotem Diuny? A może było to coś większego? Jak wiele widział?

- Lepiej idźcie - powiedziała Dhuria. - Bidżaz ma rację.

- Każda minuta zwłoki - mówił Bidżaz - przedłuża... przedłuża teraźniejszość!

"Każda minuta zwłoki odsuwa moją winę" - pomyślał Paul.

Przemknął nad nim trujący oddech czerwia, ujrzał tkwiące w czaszce zęby, z których sypał się piach. To było dawno temu, lecz teraz powróciło to wspomnienie, niosąc gorzkość i zapach narkotycznej przyprawy. Wiedział, że czeka nań jego własny czerw - urna pustyni.

- To niespokojne czasy - powiedział, nawiązując do refleksji Ot - heyma.

- Fremeni wiedzą, co czynić w czasach niepokoju - rzekła Dhuria. Otheym przytaknął drżącym ruchem głowy.

Paul spojrzał na Dhurię. Nie oczekiwał wdzięczności, byłaby dla niego ciężarem nie do zniesienia, lecz gorzkość Otheyma i namiętna uraza, jaką dojrzał w oczach Dhurii, zachwiały jego pewność. Czy c o k o l w i e k warte było tej ceny?

- Ociąganie się jest bezcelowe - stwierdziła Dhuria.

- Czyń, co musisz, Usul - zachrypiał Otheym.

Paul westchnął. Słowa z jego wizji zostały już wypowiedziane.

- Pora na rozrachunek - rzekł, by jej dopełnić.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju, słysząc za sobą człapanie Bidżaza.

- Co przeminęło, to przeminęło - mruczał Bidżaz, gdy szli. - Niech ci, co przeminęli, odejdą w cień. To był plugawy dzień.

Pokrętne słownictwo jurystów wyrosło z potrzeby ukrycia przed nimi samymi przemocy, z jaką zwracamy się ku innym. Między zabraniem komuś jednej godziny z życia, a odebraniem mu życia, jest tylko różnica skali. Dokonałeś na tym kimś gwałtu, pochłonąłeś jego energię. Wyszukane eufemizmy mogą kamuflować jedynie twą żądzę mordu. Za każdym użyciem siły wobec drugiej istoty kryje się podstawowe założenie: "Nasyć się twoją energią".

Suplement do "Rozporządzeń Imperialnych"

Imperatora Paula Muad'Diba

Pierwszy Księżyc stał wysoko nad miastem, gdy Paul wyłonił się z zaułka, otoczony obronną poświatą włączanej tarczy. Wiatr znad masywu toczył ślepą uliczką piach i kurz. Bidżaz mrugał, usiłując osłonić oczy.

- Musimy się spieszyć - mruczał karzeł. - Spieszmy się! Spieszmy!
- Czujesz, że jest niebezpiecznie? - zapytał ostrożnie Paul.
- W i e m, że jest niebezpiecznie.

W ślad za nagłym poczuciem bezpośredniego zagrożenia w drzwiach zamajaczyła postać, zbliżająca się ku nim.

Bidżaz skulił się i pisnął.

Lecz był to tylko Stilgar, pracy przed siebie jak maszyna bojowa: głowa naprzód, stopy silnie uderzające o bruk.

Paul pospieszenie wyjaśnił użyteczność karła i przekazał go Stilgarowi. Teraz wizja jakby przyspieszyła. Stilgar szybko oddalił się z Bidżazem. Ochroniarze otoczyli Paula. Wydano rozkaz, by posłać strażników do domu za domem Otheyma. Ludzie posłusznie rozbiegli się; cienie pośród cieni.

"Jeszcze więcej ofiar" - pomyślał Paul.

- Jeńców brać żywcem! - syknął jeden z oficerów straży. Jego szept dotarł do uszu Paula jak echo wizji.

Wizja i rzeczywistość biegły teraz z równoległą precyzją. Orni to - petry spływały w dół na tle księżycowej tarczy.

Noc wypełniła się atakującymi żołnierzami Imperium.

Ponad inne dźwięki świst wybił się ostry, urósł w ryk, nim jeszcze dotarł do ich uszu. Wznicił rudą pożogę, która zakryła gwiazdy, pochłonięła księżyc.

Paul doznał dziwnego uczucia spełnienia. Z najwcześniejszych, koszmarnych przeblysków wizji znał ten dźwięk i ten blask. Stało się to, co stać się musiało.

- Spopielacz skał! - usłyszał wrzask.

- Spopielacz skał! - Wokół był tylko krzyk. - Spopielacz skał... Spopielacz skał...

Paul odruchowo osłonił twarz ramieniem, skoczył pod okap dachu. Oczywiście, było już za późno.

Tam, gdzie kiedyś był dom Otheyma, rósł teraz ognisty słup ognia, oślepiający strumień ryczący w niebiosa. W brudnawej poświacie widać było odwrót omitopterów, zastygły jak w wielowymiarowym reliefie. Dla każdego w tym oszalałym dumie było już za późno.

Grunt pod stopami Paula stał się gorący. Imperator słyszał, jak cichną odgłosy bieganiny. Mężczyźni wokół niego rzucali się na ziemię. Każdy z nich już wiedział, że nie ma sensu uciekać. Pierwsze zniszczenia już się dokonały, teraz muszą czekać, aż wyczerpie się moc spopielacza skał. Promieniowanie, przed którym nie było osłony, przeniknęło ich ciała. Działał już specyficzny efekt radiacji spopielacza. Nieznany zasięg tej broni zależał od inwencji ludzi, którzy jej użyli. By jej użyć, pogwałcili Wielką Konwencję.

- Boże... spopielacz skał - ktoś chlpał. - Nie chcę... być ślepy...

- Kto chce? - rozległ się szorstki głos żołnierza z głębi ulicy.

- Tleilaxanie przysłał tu wiele oczu - warknął ktoś obok Paula. - Teraz zamknijcie się i czekajcie!

Czekali.

Paul milczał, rozważając implikacje użycia tej brom. Być może jej oddziaływanie sięgnie aż do jądra planety. Płynne wnętrze Diuny leżało głęboko, lecz potęgowało to tylko totalne zagrożenie. Niekontrolowane ciśnienie mogłoby rozsadzić planetę, rozrzucając jej szczątki w kosmicznej przestrzeni.

- Chyba trochę zamiera - powiedział ktoś.

- Tylko wkopuje się głębiej - ostrzegł Paul. - Leżcie dalej. Stilgar przysłał pomoc.

- Stilgar się wydostał?

- Stilgar się wydostał.

- Ziemia jest gorąca - doleciała skarga

- Ośmielili się użyć broni atomowej! - wybuchnął żołnierz obok Paula.

- Odgłos cichnie - powiedział ktoś w głębi ulicy.

Paul słuchał obojętnie, skoncentrowany na czubkach swych palców, dotykających nawierzchni. Czuł dudnienie, grzmot t e g o - głęboko... głęboko...

- Moje oczy! - ktoś krzyknął. - Nic nie widzę!

"On był bliżej niż ja" - pomyślał Paul. Gdy uniósł głowę, wciąż sięgał wzrokiem do końca zaułka, choć obraz widział zamglony. Żół - toczyła się jasność wypełniała obszar, na którym

przedtem stały domy Otheyma i jego sąsiadów. Fragmenty przyległych budynków zapadały się w gorejącą otchłań.

Paul wstał. Czuł, jak spopielacz skał zamiera, cichnie gdzieś pod nim. Pod gładką powierzchnią filtrfraka ciało było mokre od potu, ochronne ubranie nie nadążało go wchłaniać. Wraz z powietrzem Paul wciągnął do płuc żar i siarkowy odór spopielacza.

Kiedy patrzył na żołnierzy podnoszących się powoli wokół, mgła w jego oczach zgęstniała w ciemność. Wezwał więc na pomoc proroczą wizję tych chwil, odwrócił się i poszedł ścieżką wytyczoną dla niego przez Czas, podporządkowując się wizji tak ściśle, że nie mogła mu umknąć. Czuł, że to miejsce staje się dla niego zwielokrotnionym opętaniem, rzeczywistością zespoloną z prorocstwem.

Dokoła rozległy się jęki i lamenty jego ludzi, uświadamiających sobie ślepotę.

- Spokojnie! - zawołał Paul. - Pomoc już idzie! - Skargi nie ustawały. - MÓwi Muad'Dib!
Rozkazuję wam zachować spokój! Pomoc nadchodzi!

Cisza.

Potem, tak jak zapisane to było w wizji, strażnik obok niego zapytał:

- Czy to naprawdę Imperator? Kto z was widzi? Powiedźcie!

- Nikt z nas nie ma oczu - rzekł Paul. - Mnie także odebrali wzrok, lecz zachowałem moją wizję. Widzę cię, jak tam stoisz, w zasięgu lewej ręki masz brudną ścianę. Teraz czekaj bez trwogi. Nadchodzi Stilgar z przyjaciółmi.

Wokół narastał łopot omitopterów. Rozległ się tupot stóp. Paul p a - t r z y ł, jak zbliżają się jego przyjaciele. Odgłos kroków zgodny był z rytmem proroczej wizji.

- Stilgar! - krzyknął Paul, machając ręką. - Tutaj!

- Dzięki Szej-huludowi - wołał Stilgar, podbiegając do Paula. - Nie jesteś... - W nagłej ciszy wizja Paula ukazała mu Stilgara spoglądającego z przerażeniem w wypalone oczy swego przyjaciela i władcy. - Och, mój panie - jęknął. - Usul... Usul... Usul...

- Co ze spopielaczem skał? - krzyknął jeden z przybyłych.

- Już po wszystkim - odrzekł Paul. Wskazał ręką. - Ruszajcie tam i ratujcie tych, którzy byli najbliżej. Rozstawcie zapory. Żywo!

Odwrócił się Stilgara.

- Ty widzisz, panie? - w głosie Stilgara dzwięczało zdumienie. - Jak możesz widzieć?

W odpowiedzi Paul wyciągnął rękę, dotknął palcem policzka Stilgara ponad maską filtrfraka. Poczuł łzy.

- Nie musisz dawać mi wody, stary druhu - powiedział. - Nie jestem martwy.

- Ale twoje oczy!

- Oślepił cię, ale nie widzę - odparł Paul. - Och, Stil, żyję jak w apokaliptycznym śnie. Każdy krok zgadza się tak dokładnie, że najbardziej boję się nudy, przeżywając całą przyszłość raz jeszcze tak samo.

- Usul, ja nie... ja...

- Nie staraj się tego zrozumieć. Żyję w innym świecie niż ten dookoła. Choć oba światy są dla mnie takie same. Niepotrzebna mi dłoń przewodnika. Widzę każdy ruch wokół siebie. Widzę każde drgnienie twojej twarzy. Nie mam oczu, a jednak widzę.

Stilgar zdecydowanie potrząsnął głową.

- Sire, musimy ukryć twoje kalectwo przed...

- Nie ukryjemy go przed nikim - przerwał Paul.

- Lecz prawo...

- Rządzi nami teraz prawo Atrydów, Stil. Prawo Fremenów, mówiące, że ślepy ma być porzucony w pustyni, odnosi się tylko do nie - widzących. A ja widzę. Żyję w kręgu istnienia, które jest areną walki dobra i zła. Jesteśmy w punkcie zwrotnym i musimy odegrać swoje role.

W ciszy, która nagle zapadła, Paul usłyszał głos rannego, prowadzonego obok nich:

- To było straszne - jęczał ranny. - Wielka furia ognia!

- Nikt z tych ludzi nie zostanie skazany na pustynię - powiedział Paul. - Słyszysz, Stil?

- Słyszę cię, panie.

- Mają otrzymać nowe oczy na mój koszt.

- Tak będzie, panie.

Paul słyszał narastającą niepewność w głosie Stilgara.

- Będę w omitopterze dowództwa - rzucił. - Przejmij tu dowodzenie.

- Tak jest, panie.

Paul ominął Stilgara i ruszył w dół ulicy. Wizja mówiła mu o każdym poruszeniu, każdej nierówności gruntu pod stopami, każdej twarzy, jaką napotkał. Idąc - wydawał rozkazy, wskazując ludzi ze swej świty - wywoływał imiona, wzywał do siebie tych, którzy należeli do ścisłego aparatu władzy. Słyszał trwożne szepty, czuł, jak rośnie za nim fala strachu.

- Jego oczy!

- Ale patrzył wprost na ciebie, zawołał cię po imieniu!

W omitopterze dowództwa włączył tarczę, wyciągnął rękę, wyjął mikrofon z dłoni zaskoczonego oficera łączności, wydał kilka szybkich rozkazów i wepchnął mikrofon z powrotem w ręce oficera. Odwróciwszy się, wezwał specjalistę od broni, jednego z tych błyskotliwych młodzików, którzy życie na pustyni pamiętali jak przez mgłę.

- Użyli spopielaacza skał? - ni to stwierdził, ni zapytał Paul. Sekunda milczenia.

- Tak mi powiedziano, Sire - przytaknął oficer.

- Oczywiście wiesz, co to znaczy.

- Zasilanie mogło być tylko atomowe.

Paul skinął głową, myśląc, jak gorączkowo musi teraz pracować mózg tego człowieka. Atom. Wielka Konwencja zakazywała tego rodzaju broni. Wykrycie sprawcy może spowodować połączony atak odwetowy wysokich rodów. Stare więzy lenne pójdą w zapomnienie, odrzucone zostaną w obliczu tego zagrożenia, które przerastało wszystko, co znane było w przeszłości.

- Nie mogli tego skonstruować, nie zostawiając śladów - powiedział Paul. - Postarasz się o odpowiedni sprzęt i odszukasz miejsce, w którym to zrobili.

- Natychmiast, Sire. - Człowiek oddalił się pośpiesznie, rzucając za siebie przerażone spojrzenie.

- Panie - za jego plecami odezwał się nieśmiało oficer łączności - twoje oczy...

Paul obrócił się, sięgnął w głąb kabiny i przestroił sztabowy nadajnik na swoje prywatne pasmo.

- Połącz się z Chani - rozkazał. - Powiedz jej... powiedz, że żyję i wkrótce mnie zobaczy.

"Teraz gromadzą się siły" - pomyślał. I poczuł, jak silny był odór strachu w woni potu dokoła.

*Odszedł od Alii,
Łona Niebios!
Święty, święty, święty!
Legiony z ognia i piasku
Stają przed Panem,
Bezoki widzi,
Diabeł ma go w opiece!
Święty, święty, święty
By zrównać szale Wybrał Męczeństwo!*

"Księżyc Upada" z "Pieśni Muad'Diba"

Po siedmiu dniach gorączkowego ożywienia w Cytadeli zapanował nienaturalny spokój. Tego ranka blakający się tu ludzie stąpali ostrożnie albo odzywali się szeptem, nachylając ku sobie głowy. Niektórzy wręcz przemykali się chyłkiem. Widok oddziału straży wchodzącej z podwórca przyciągał pytające spojrzenia, a hałas, z jakim krzatali się, układając broń, denerwował wszystkich. Przybysze szybko jednak wpadali w panujący wewnątrz nastrój i także zaczęli poruszać się niezwykle cicho.

Wokół wciąż snuto opowieści o spopielaczu skał.

- Mówił, że ogień był niebiesko - zielony i niósł zapach piekieł.
- Elpa to głupiec! Powiedział, że prędzej się zabije, niż przyjmie tleilaxańskie oczy.
- Nie podoba mi się to gadanie o oczach.
- Muad'Dib, przechodząc, zawołał mnie po imieniu!
- Jak O n widzi bez oczu?
- Ludzie zwiewają, słyszałeś? Wszędzie postrach. Naibowie mówią, że udadzą się do siczy

Makab na Wielką Radę.

- Co zrobili z panegirysta?
- Widziałem, jak brali go do komnaty, gdzie zbierają się naibowie. Wyobraź sobie tylko, Korba więźniem!

Chani wstała wcześniej, obudzona przez ciszę w Cytadeli. Gdy otworzyła oczy, Paul siedział koło niej, wlepiając oczodoły w jakiś punkt znajdujący się jakby za ścianą sypialni. Lekarze usunęli resztki tkanki oczu zniszczonych przez spopielacz skał. Zastrzyki i maści pomogły ocalić resztki zdrowej tkanki wokół oczu, lecz Chani czuła, że promieniowanie dotarło głębiej.

Usiadła, opanował ją wilczy głód. Zaczęła jeść posiłek, zostawiony przy łożu - chleb przyprawowy, twardy ser.

- Kochanie, nie było sposobu, by ci tego oszczędzić - powiedział Paul, wskazując jedzenie.
- Wierz mi.

Powstrzymała drżenie, gdy skierował na nią puste oczodoły. Nie prosiła go już o wyjaśnienia. Mówił tak dziwnie: "Zostałem ochrzczony w piasku, kosztowało mnie to utratę wiary. Kto jeszcze kupczy dziś wiarą? Kto ją kupuje? Kto sprzedaje?"

Co miały znaczyć te słowa?

Nie chciał nawet słyszeć o tleilaxańskich oczach, choć hojną ręką kupił je dla tych, którzy podzielili jego kalectwo.

Nasyciwszy głód, Chani wyśliznęła się z łoża. Zerknęła przez ramię na Paula, zauważyła jego znużenie, surowe zmarszczki wokół ust. Ciemne włosy sterczały zmierzwione od snu, który nie koił. Muad'Dib był tak posępny i tak daleki. Miotanie się między snem a czuwaniem nie zdołało tego zmienić. Zmusiła się, by się odwrócić.

- Kochany... mój kochany... - szepnęła

Pochylił się, pociągnął ją z powrotem do łóżka i pocałował w policzek.

- Wkrótce wrócimy na naszą pustynię - szepnął. - Już niewiele rzeczy pozostało tu do zrobienia.

Zadrżała, słysząc coś jakby ostateczność w jego głosie.

- Nie bój się mnie, Sihajo - szeptał, otaczając ją ramieniem. - Zapomnij o tajemnicy i przyjmij miłość. W miłości nie ma tajemnic. Rodzi się z życia. Nie czujesz tego?

- Tak.

Dotknęła dłonią jego torsu, licząc uderzenia serca. Miłość Paula wnikała w jej fremeńską duszę - gwałtowna, porywająca, dzika. Otaczała ją magnetyczna siła

- Jedno ci przyrzekam, kochana - powiedział. - Nasze dziecko będzie władać takim imperium, że to moje zblednie przy nim. Wszelkie osiągnięcia cywilizacji, sztuki...

- Jesteśmy tutaj, teraz! - zaprotestowała, dławiąc suchy szloch. - 1... czuję, że mamy tak mało... czasu...

- Mamy całą wieczność, ukochana.

- Może ty masz wieczność. Ja mam tylko te chwile.

- Ależ to j e s t wieczność. - Poglądził jej czoło.

Przytuliła się do niego, muskając wargami szyję. Lekki ciężar zaniepokoił życie w jej łonie. Poczula pulsowanie. Paul też je poczuł.

- No, mały władco wszechświata, zaczekaj, aż przyjdzie twój czas - rzekł, kładąc dłoń na jej brzuchu. - Ta chwila należy do mnie.

Zastanawiała się, dlaczego o życiu w jej wnętrzu mówił zawsze w liczbie pojedynczej. Czyżby lekarze mu nie powiedzieli? Poszperała w pamięci. Ciekawe, że ich rozmowy nigdy nie dotyczyły tego tematu. Z pewnością wiedział, że nosi bliźnięta. Zawahała się nad koniecznością poruszania tej sprawy. Musiał wiedzieć. Wiedział wszystko. Znał przecież każdą jej tajemnicę. Jego ręce, usta, całe jego ciało ją znało.

- Tak, kochany - powiedziała w końcu. - To jest na zawsze... to jest prawdziwe.

I mocno zacisnęła oczy, by widok oczodołów nie stracił jej z raju do piekła. Bez względu na magię rihani, w którą wpisane były ich losy, jego ciało pozostało rzeczywiste, nie mogła odrzucić jego pieśczęt.

- Gdyby tylko ludzie znali twoją miłość... - powiedziała, gdy się już podnieśli i zaczęli ubierać.

Ale on był już w innym nastroju.

- Nie możesz budować polityki na miłości - powiedział. - Ludzi nie obchodzi miłość, jest zbyt chaotyczna. Wolą despotyzm. Zbyt wiele wolności rodzi chaos. Na to nie możemy sobie pozwolić, prawda? A jak sprawisz, by kochano despotyzm?

- Nie jesteś despotą! - sprzeciwiła się, wiążąc chustę. - Twoje prawa są sprawiedliwe.

- Ooch, prawa - powiedział. Podeszedł do okna, rozsunął zasłony, jak gdyby mógł wyjrzieć na zewnątrz. - Czym jest prawo? Nadzorem? Prawo przesiewa chaos i co pozostaje? Pokój - nasz najwyższy ideał i najbardziej przyziemna natura. Nie przyglądaj się prawu zbyt dokładnie. Jeśli to zrobisz, znajdziesz zracjonalizowane interpretacje, prawniczą kazuistykę, wygodne precedensy. Znajdziesz spokój, ale to tylko inna nazwa śmierci.

Chani zacisnęła usta w wąską kreskę. Nie mogła odmówić mu mądrości i dalekowzroczności, ale takie nastroje ją przerażały. Paul odwrócił się, a ona wyczuła w nim wewnętrzny konflikt. Tak jak gdyby przyjął fremieńską dewizę: "Nigdy nie wybaczyć - nigdy nie zapomnieć" i biczował nią własne ciało.

Podeszła do niego i spojrzała z ukosa. Rosnący upał dnia zaczynał ochładzać północny wiatr, tak charakterystyczny w tych szerokościach. Wiatr malował fałszywe niebo, pełne pióropuszy ochry i płatków kryształu, dziwacznych deseni ruchliwej czerwieni i złota. Silny, zimny powiew rozbijał się o Mur Zaporowy fontannami pyłu.

Paul czuł przy sobie ciepło Chani. Na chwilę przyćmił wizję zasłoną zapomnienia. Mógłby przecież stać tutaj, zamknąwszy oczy. Czas jednak nie chciał się dla niego zatrzymać. Wdychał mrok - bez gwiazd i bez łez. Jego kalectwo rozkładało materię, dźwięki skupiły w sobie

wszechświat. Wszystko, co go otaczało, napierało na jedyny zmysł, słuch, cofając się tylko, gdy czegoś dotykał: zasłon, ręki Chani... Spostrzegł nagle, że nasłuchuje jej oddechów.

"Gdzie podziła się niepewność rzeczy tylko prawdopodobnych?" - zapytywał siebie. Jego umysł dźwigał brzemień zwielokrotnionych wspomnień. Dla każdego momentu rzeczywistości istniały niezliczone przedłużenia, skazane na niebyt Niewidzialne "ja" w nim pamiętało te wszystkie fałszywe przeszłości, których brzemień czasem zagrażało zmiażdżeniem teraźniejszości.

Chani oparła się o jego ramię.

Dzięki jej dotknięciu poczuł własne ciało: martwe tkanki unoszone w wirach czasu. Lepił się od wspomnień, które ocierały się o wieczność. Ujrzyć wieczność znaczyło wystawić się na jej kaprysy, dać się ujarzmić nieskończonym wymiarom. Pozorna nieśmiertelność wyroczni żądała zadośćuczynienia: Przeszłość i Przyszłość stawały się równoczesne.

Wizja znów wypłynęła z czarnej otchłani, otaczając go szczelnie. Zastąpiła mu oczy. Poruszała mięśniami, wiodła w następną chwilę, następną godzinę, następny dzień, aż wreszcie czuł, że już na zawsze dał się jej uwieść.

- Czas, byśmy poszli - powiedziała Chani. - Rada...

- Będzie tam Alia. Może zająć moje miejsce.

- Wie, co ma robić? - Wie.

Dzień Alii zaczął się od zgiełku wywołanego przez szwadron gwardii, który wyroił się na placu defilad pod jej oknami. Patrzyła w dół na oszalałą bieżącą, hałaśliwą i zastraszającą jazgot. Wszystko stało się jasne dopiero wtedy, gdy rozpoznała więźnia, którego prowadzono: panegirista Korba

Kończąc poranną toaletę, podchodziła co pewien czas do okna, by nie tracić z oka narastającego poruszenia tam, w dole. Jej spojrzenie przyciągał Korba. Starła się przywołać wspomnienie szorstkiego, brodatego dowódcy trzeciego rzutu w bitwie pod Arrakin. Na próżno. Korba stał się wymuskany fircykiem. Teraz odziany był w świetnie skrojoną szatę z paratoriskiego jedwabiu, rozciętą aż do pasa, by widać było śnieżnobiałą kryzę i haftowaną tunikę wysadzaną zielonymi klejnotami. Purpurowy pas spinał szatę na biodrach. Wystające rękawy były uszyte ze specjalnie skręconego, ciemnozielonego i czarnego aksamitu.

Zeszło się kilku naibów, by śledzić sposób traktowania współplemieńca. Podnieśli wrzawę, zachęcając Korbę, by zapewniał o swojej niewinności. Alia powiodła wzrokiem po twarzach Fremenów, usiłując przypomnieć sobie ludzi, których kiedyś знаła. Ci, obecni tutaj, wymazali z jej pamięci tych dawnych. Stali się hedonistami, kosztowali rozkoszy trudnych czasami do wyobrażenia.

Widziała, jak ich niepewne spojrzenia wędrują w stronę drzwi komnaty, w której mieli się zgromadzić. Wciąż myśleli o bezokim Muad'Dibie - nowym objawieniu tajemnej mocy. Podług ich praw ślepiec miał być porzucony na pustyni, a jego woda złożona w ofierze Szej-huludowi. Ale ślepy Muad'Dib ich widział. Poza tym nie znosili budynków. Czuli się bezbronni w miejscu zbudowanym ponad ziemią. Dajcie im porządną jaskinię, wyżłobioną w skale, wtedy odpoczną - ale nie tu, nie z tym nowym Muad'Dibem, który czeka tam, w środku.

Alia odwróciła się. Chciała już wyjść na spotkanie. Właśnie wtedy zauważyła Ust, który zostawiła na stoliku przy drzwiach - ostatni list od matki. Mimo szczególnej czci, którą cieszył się Kaladan jako miejsce narodzin Paula, lady Jessika podkreślała, że nie życzy sobie, aby jej planeta stała się kolejnym przystankiem w hadżdż.

"Mój syn jest bez wątpienia epokową postacią w historii - pisała - lecz dla mnie nie jest to dostateczny powód, by poddać się najazdowi hołoty."

Dotknąwszy listu, Alia doznała dziwnego uczucia tajemnego kontaktu. Ten papier był w rękach jej matki. Taki staroświecki sposób - Ust, a bardziej osobisty od czegokolwiek innego. Napisany w języku walki Atrydów, czynił poufność przekazu niemal nienaruszalną.

Jak zawsze, myśl o matce wzniciła płomień we wnętrzu Alii.

Zmieszanie psychik matki i córki sprawiło, iż Alia czasem myślała o Paulu jak o swoim synu, którego urodziła. Ta zbitka osobowości mogła ukazać jej własnego ojca jako kochanka. W jej umyśle pojawiły się widmowe cienie, postacie stworzone przez przypadek.

Alia przeglądała Ust, schodząc rampą do przedsionka, gdzie oczekiwały jej przyboczne amazonki.

"Tworzycie niebezpieczny paradoks - pisała Jessika. - Rząd nie może być równocześnie religijny i stanowczy. Doznania religijne łakną spontaniczności, nieuchronnie tłumionej przez prawa. A bez praw nie możecie rządzić. Jest możliwe, że wasze prawa będą musiały zastąpić moralność, zastąpić świadomość, zastąpić nawet religię, przy pomocy której myślicie władać. Święty rytuał rodzić się winien z czci i podniosłych tęsknot, które wykuwają istotę moralności. Z drugiej strony rząd jest organem kulturowym, szczególnie podatnym na wątpliwości, pytania i spory. Widzę, jak nadchodzi dzień, w którym ceremoniał zajmie miejsce wiary, a symbolizm wyprze moralność."

W przedsionku przywitał Alię zapach przyprawowej kawy. Gdy kapłanka weszła, cztery amazonki w zielonych mundurach gwardii stanęły na baczność. Pomaszerowały za nią, krocząc pewnie w swej butnej młodości, czujnymi oczyma szukając wyzwania. Na ich fanatycznych twarzach nie zagościł lęk. Promieniowały tą szczególną, fremieńską gwałtownością: mogły zabić mimochodem, bez cienia winy.

"W tym jestem inna - pomyślała Alia. - Do imienia Atrydów i tak przyłgnęło już dosyć brudu."

Jej nadejście poprzedzała wieść. Gdy zjawiała się w dolnej sali, czekający paż zerwał się i pomknął, by wezwać cały oddział gwardii. Ponura sala oświetlona była tylko paroma przyciemnionymi kulami świętojańskimi. Nagle w drugim końcu otwały się drzwi na dziedziniec, wpuszczając jasny snop dziennego światła. Za drzwiami zamajaczyli otaczający Korbę strażnicy.

- Gdzie Stilgar? - zapytała Alia.

- Już w środku - odparła jedna z amazonek.

Alia ruszyła pierwsza. Sala zebrań była najbardziej pretensjonalnym pomieszczeniem w Cytadeli. Po jednej stronie ciągnął się wysoki balkon z rzędami miękkich foteli. Po drugiej - pomarańczowe draperie, które miały osłaniać wielkie okna. Przez otwarte drzwi z ogrodu z fontanną wpadał słoneczny blask. Bliżej, po prawej, znajdowało się podwyższenie, a na nim jedno masywne krzesło.

Idąc w tym kierunku, Alia spojrzała w górę. Galerię szczelnie wypełniali naibowie.

Gwardia zamkowa zajęła puste miejsca pod galerią. Wśród nich przechadzał się Stilgar. Rzucił tu i ówdzie słówko albo komendę. Najmniejszym gestem nie zdradził, że zauważył wejście Alii.

Wprowadzono Korbę i posadzono go na poduszkach za niskim stolikiem, tuż przed podwyższeniem. Mimo widocznej elegancji, panegirysta wyglądał teraz jak senny, zgryźliwy starzec, kulący się w płaszczu, jak gdyby doskwierał mu chłód. Dwóch strażników zajęło miejsca za nim.

Kiedy Alia zasiadła na podwyższeniu, zbliżył się Stilgar.

- Gdzie jest Muad'Dib? - zapytał.

- Mój brat upoważnił mnie, bym przewodniczyła jako Wielebna Matka - odpowiedziała.

Wśród naibów na galerii zaczęły podnosić się głośnie protesty.

- Spokój! - zawołała Alia. W ciszy, która zapadła nagle, ciągnęła: - Czy według prawa Fremenów Matka Wielebna nie przewodniczy sprawie o życie lub śmierć?

Wśród naibów zapanowała absolutna cisza, gdy dotarła do nich powaga jej oświadczenia. Wśród siedzących widziała jednak i tych, którzy rzucali gniewne spojrzenia. Nadawała im w duchu imiona, by wymienić je potem podczas Rady: Hobars, Radzifiri, Tasmin, Saadżid, Umbu, Legg... Imiona miały w sobie skrawki Diuny - sicz Umbu, Niecka Tasmína, Szczerba Hobarsa...

Odwróciła się w stronę Korby, który widząc jej spojrzenie, podniósł głowę.

- Oświadczam, że jestem niewinny - powiedział.

- Stilgar, odczytaj zarzuty - odezwała się Alia.

Stilgar wystąpił naprzód, wyjmując zwój brązowego papieru przyprawowego. Zaczął czytać z namaszczeniem, jak gdyby wybijał ukryty rytm. Jego słowa brzmiały ostro, czysto, niezachwianie uczciwie.

- ...że wraz ze zdrajcami uknułeś spisek, by zgładzić Pana naszego, władcę, że z przeróżnymi wrogami Imperium kumałeś się niecznie w sekrecie, że...

Cały czas Korba potrząsał głową z urażoną i gniewną miną.

Alia słuchała nieuważnie, oparłszy przekrzywioną głowę na lewej pięści, a drugie ramię zwiesiwszy wzdłuż poręczy krzesła. Fragmenty formalnej procedury zaczęły jej umykać, przesłonięte własnymi niepokojami.

- ...czcigodna tradycja... poparcie legionów i wszystkich Fremenów, gdziekolwiek się znajdują... przemocy odpowie przemoc, tak jak głosi Prawo... majestat Imperatorskiej Osoby... utraci wszystkie prawa do...

"Toż to nonsens - pomyślała. - Nonsens! Wszystko to nonsens... nonsens... nonsens..."

- Dlatego też sprawę oddaję pod sąd - zakończył Stilgar.

W zapadłej nagle ciszy Korba pochylił się do przodu, zaciskając dłonie na kolanach. Jego żyłasta szyja wyciągnęła się, jak gdyby gotował się do skoku. Język migotał między zębami, gdy Kwizar mówił:

- Nigdy słowem ni czynem nie sprzeniewierzyłem się ślubom Fremena! Żądam, by postawiono przede mną oskarżyciela

"Dość prymitywny sprzeciw" - pomyślała Alia

Widziała jednak, że na naibach wywarło to spore wrażenie. Znali Korbę. Był jednym z nich. By stać się naibem, dowiódł fremeńskiej odwagi i czujności. Nie był błyskotliwy, ale solidny. Nie jeden z tych, którzy dowodzą na wojnie, za to dobry kandydat na kwatermistrza. Nie krzyżowiec, lecz ten, kto pielęgnuje dawną fremeńską cnotę: "Najważniejsze jest Plemię".

Alii przemknęły przez myśl gorzkie słowa Otheyma, przytoczone przez Paula. Zlustrowała galerię. Każdy z tych ludzi mógł widzieć siebie na miejscu Korby - a paru nie bez powodu. Niewinny naib był tutaj równie groźny jak winny.

Korba też to wyczuł.

- Kto mnie oskarża? - zapytał podniesionym głosem. - Mam fre - meńskie prawo do konfrontacji z oskarżycielem!

- Być może sam siebie oskarżasz - rzuciła Alia.

Mistyczna trwoga błysnęła na twarzy Korby, nim zdołał ją ukryć. Każdy mógł to odczytać: wystarczyło, by oskarżyła go Alia, powołując się na dowody pochodzące ze strefy cieni, z Alam al - Mithal.

- Nasi wrogowie mają sojuszników wśród Fremenów - podkreśliła Alia - Oddzielacze wiatru są niszczone, kanaty wysadzane w powietrze, uprawy zatrute, a baseny składowe splądrowane...

- A teraz... teraz porwali czerwia pustyni i wywieźli na inną planetę!

Wszyscy znali ten głos, który nagle wtargnął na salę: głos Muad'Diba Paul wszedł przez drzwi z przedsionka, przecisnął się przez szeregi straży i stanął u boku Alii. Idąca za nim Chani przystanęła z boku.

- Mój panie - powiedział Stilgar, unikając spojrzenia w twarz Paula. Paul uniósł puste oczodoły w stronę galerii, potem wycelował je w Korbę.

- Co, Korba - zagadnął - ani słowa pozdrowienia?

Na galerii dało się słyszeć szemranie. Stawało się coraz głośniejsze, zewsząd dolatywały oderwane słowa i strzępy zdań: "...prawo o ślepcach... zwyczaj Fremenów... na pustynię... któż śmie łamać..."

- Kto twierdzi, że jestem ślepy? - spytał Paul. Odwrócił się do galerii. - Ty, Radzifiri? Widzę, że wystroiłeś się dziś w złotogłów, a niebieska koszula pod spodem nadal pokryta jest ulicznym kurzem. Zawsze byłeś niechlujny.

Radzifiri zasłonił się obronnym gestem trzech palców od złego uroku.

- Wskaż tymi paluchami na siebie! - krzyknął Paul.

- My wiemy, gdzie leży zło! - Odwrócił się do Korby. - Na twojej twarzy wypisana jest wina, Korba.

- Nie moja wina! Może związałem się z winnymi, lecz nie... - przerwał, rzucając trwożne spojrzenie na galerię.

Przejmując pałeczkę od Paula Alia wstała, zstąpiła na posadzkę komnaty i podeszła do stolika, przy którym siedział Korba. Z odległości mniejszej niż metr wpatrzyła się w niego onieśmielająco, bez słowa

Korba skulił się pod ciężarem tego spojrzenia Zdenerwował się, zerknął niespokojnie na galerię.

- Czyich oczu szukasz tam, na górze? - spytał Paul.

- Ty nic nie widzisz! - wypalił Korba.

Paul odsunął od siebie przelotne uczucie litości. Ten człowiek tkwił w sidłach wizji tak samo nieodwołalnie, jak każdy z obecnych. Grał swoją rolę, nic więcej.

- Niepotrzebne mi oczy, żeby cię widzieć - rzekł Paul.

Zaczął opisywać Korbę, każdy jego ruch, każdy grymas, każde przerażone i błagalne spojrzenie w kierunku galerii.

W Korbie narastała rozpacz.

Obserwując go, Alia widziała, że może załamać się lada chwila. "Ktoś na galerii musi zdawać sobie sprawę, jak bliski jest załamania" - pomyślała. Kto? Przyglądała się twarzom naibów, notując drobne skazy w tych maskach bez wyrazu - gniew, strach, niepewność, wina.

Paul zamilkł.

Twarz Korby przybrała wyraz żalosnej bufonady.

- Kto mnie oskarża? - zapytał złamanym głosem.

- Otheym cię oskarża - powiedziała Alia.

- Ale Otheym nie żyje! - zaprotestował Korba.

- Skąd wiesz? - spytał Paul. - Przez swą siatkę szpiegowską? O, tak. Wiem o twoich szpiegach i kurierach. Wiem, kto przywiózł tu spopie - lacz skał z Tarahellu.

- To dla ochrony Kwizaratu! - zawołał Korba.

- I dlatego dostał się w ręce zdrajców? - zapytał Paul.

- Został skradziony i my... - Korba umilkł i przełknął ślinę. Jego wzrok błędził na prawo i lewo. - Każdy wie, że byłem głosem miłości do Muad'Diba. - Spojrzał na galerię. - Jak może martwy człowiek oskarżać Fremena?

- Głos Otheyma nie umarł - zaczęła Alia. Przerwała, gdy Paul dotknął jej ramienia.

- Otheym przesłał nam swój głos - rzekł Paul. - Podaje imiona, zdradzieckie czyny, miejsca i pory spotkań. Czy nie brakuje ci pewnych twarzy w Radzie Naibów, Korba? Gdzie są Merkur i Fash? Nie ma dziś z nami Kulawego Keke. A Takim, gdzie on jest?

Korba pokręcił głową.

- Uciekli z Arrakis ze skradzionym czerwem - powiedział Paul. - Nawet, gdybym cię teraz uwolnił, Szej-hulud i tak dostałby twoją wodę za udział w tej sprawie. Dlaczego cię nie uwolnię, Korba? Pomyśl o wszystkich tych ludziach, którzy stracili oczy, o ludziach, którzy nie widzą, tak jak ja widzę. Mają rodziny i przyjaciół, Korba. Gdzie zdołałbyś się przed nimi ukryć?

- To był wypadek - wyjąkał błagalnie Korba. - Tak czy owak, dostaną tleilaxańskie... - znów umilkł.

- Kto wie, jakie więzy narzucają metalowe oczy? - zauważył Paul. Naibowie na galerii zaczęli szeptem wymieniać uwagi, zasłaniając dłońmi usta. Teraz już chłodno patrzyli na Korbę.

- Ochrona Kwizaratu... - mruknął Paul, powracając do linii obrony Korby. - Broń, która albo niszczy planetę, albo wytwarza promienie J, oślepiające tych, którzy są zbyt blisko. Któryż to efekt, Korba, jest według ciebie ochroną? Czy Kwizaratowi wystarcza oślepienie wszystkich obserwatorów?

- To była ciekawość, mój panie - mówił Korba. - Wiedzieliśmy, że zgodnie ze Starym Prawem tylko wysokim rodom wolno posiadać broń atomową, ale Kwizarat był posłuszny... był posłuszny...

- Był posłuszny tobie - dokończył Paul. - Ciekawość, zaiste.

- Nawet, jeśli jest to tylko głos mego oskarżyciela, musicie mnie z nim skonfrontować! - wykrzyknął Korba. - Fremen ma swoje prawa.

- On mówi prawdę, Sire - powiedział Stilgar. Alia spojrzała na niego ostro.

- Prawo jest prawem - rzekł Stilgar, mimo iż wyczuwał jej sprzeciw. Zaczął cytować Prawo Fremeńskie, przeplatając je własnym komentarzem na temat jego zastosowania.

Alia miała dziwne uczucie, jakby słyszała słowa Stilgara, zanim je jeszcze wymówił. Jak mógł być do tego stopnia naiwny? Stilgar nigdy dotąd nie wydawał się tak oficjalny i konsekwentny, tak zdecydowany, by przestrzegać Kodeksu Diuny. Jego podbródek był agresywnie wysunięty. Poruszał ustami. Czy doprawdy nie było w nim nic oprócz tej tradycyjnej bufonady?

- Korba jest Fremenem i musi być sądzony podług Prawa Fremenów - zakonkludował Stilgar.

Alia odwróciła się, spoglądając na cienie, jakie rzucało na ścianę światło dnia, przesączając się przez ogród. Czuła wyczerpujące zniechęcenie. Zdążyli to już przeciągnąć niemal do południa. I co teraz? Korba odprężył się. Jego mina mówiła wyraźnie, że jest ofiarą niezasłużonej napaści, że wszystko, co zrobił, robił z miłości do Muad'Diba. Spojrzała na niego, zaskoczona wyrazem przebiegłej buty, jaki prześliznął mu się po twarzy.

"Zupełnie, jakby właśnie otrzymał wiadomość" - pomyślała Grał rolę człowieka, który słyszy okrzyki przyjaciół: Trzymaj się! Pomoc już jest w drodze!

Przez chwilę mieli go w swoich rękach - informacje wydobyte z karła, ślady innych uczestników spisku, imiona donosicieli. Ale krytyczny moment minął. Stilgar? Na pewno nie Stilgar. Obróciła się, spojrzała na starego Fremena.

Stilgar wytrzymał jej spojrzenie bez mrugnięcia.

- Dziękujemy ci, Stil - powiedział Paul - że przypomniałeś nam Prawo.

Stilgar skłonił głowę. Przysunął się bliżej, układając usta w bezdźwięczne słowa, które, jak wiedział, Paul i Alia mogli odczytać: Wycisnę z niego wszystko i wtedy zajmę się sprawą.

Paul przytaknął, skinął na strażnika za plecami Korby.

- Odprowadźcie Korbę do najlepiej zabezpieczonej celi - powiedział. - Żadnych wizyt z wyjątkiem obrońcy. Na obrońcę wyznaczam Stilgara.

- Pozwólcie mi wybrać własnego obrońcę! - krzyknął Korba. Paul obrócił się na pięcie.

- Odmawiasz Stilgarowi uczciwości i trzeźwości osądu?

- O nie, mój panie, ale...

- Zabrać go! - warknął Paul.

Strażnicy podnieśli Korbę z poduszek i wyprowadzili.

Szemrając znowu, naibowie zaczęli opuszczać galerię. Spod balkonu wychynęli słudzy, podeszli do okien i zaciągnęli pomarańczowe zasłony. W sali zapanował ciepły półmrok.

- Paul... - zaczęła Alia.

- Kiedy sprowokujemy przemoc - powiedział Paul - wtedy będziemy mieli nad nią pełną kontrolę. Dzięki ci, Stil, dobrze zagrałeś swoją rolę. Jestem pewien, że Alia zidentyfikowała naibów, którzy z nim współdziałali. Nie mieli szans, by się nie zdradzić.

- Uknuliście to między sobą? - zapytała Alia.

- Gdybym od ręki kazał ściąć Korbę, naibowie zrozumieliby to - powiedział Paul. - Ale obserwując tę formalną procedurę, niezbyt ściśle przystającą do Prawa Fremenów, poczuł, że ich własne prawa są zagrożone. Którzy naibowie z nim byli, Alia?

- Na pewno Radżifiri - powiedziała cicho. - I Saadżid, ale...

- Daj Stilgarowi kompletną listę - rzekł Paul.

Alia przełknęła ślinę, czując w tej chwili - jak inni - strach przed Paulem. Wiedziała, dzięki czemu poruszał się bez oczu, ale precyzja jego ruchów przerażała ją. Żeby dostrzegać czyjś wygląd oczyma wyroczni! Czula, że jej postać rysuje się mu w kosmicznym czasie, którego zgodność z rzeczywistością zależy wyłącznie od jego słów i czynów. Trzymał ich wszystkich w mocy swojej wizji!

- Jesteś już spóźniony na poranną audiencję, Sire - odezwał się Stilgar. - Wielu ludzi czeka... ciekawych... przełkniętych...

- A ty się lękasz, Stil?

- Tak - doleciał w odpowiedzi najcichszy szept.

- Jesteś moim przyjacielem i niczego z mojej storny nie musisz się obawiać - powiedział Paul.

Stilgar przełknął ślinę.

- Tak, mój panie.

- Alio, poprowadź poranną audiencję - polecił Paul. - Stilgar, daj znak.

Stilgar wykonał polecenie.

W okolicy wielkich drzwi wybuchło zamieszanie. Wypychano tłum z zaciemnionego pokoju, robiąc przejście dla urzędników. Mnóstwo rzeczy zaczęło dziać się naraz. Gwardia zamkowa poszturchiwała i odpychała ciżbę suplikantów, jaskrawo odziani adwokaci starali się przedrzeć, rozległy się wrzaski i przekleństwa. Adwokaci machali aktami swych pozwów.

Urzędnik Zgromadzenia przepchnął się naprzód szpalerem utworzonym przez strażników. Niósł Listę Preferencji - nazwiska tych, którzy mieli zostać dopuszczeni przed Tron. Urzędnik, żylasty Fremen o imieniu Tekrub, roztaczał wokół siebie aurę znudzonego cynizmu, ostentacyjnie obnosząc wygoloną głowę i zbite w kołtun bokobrody.

Alia zagroziła mu drogę, dając Paulowi czas, by wymknął się wraz z Chani prywatnym przejściem za podwyższeniem. Poczula przelotny brak zaufania do urzędnika, widząc nachalne wścibstwo w spojrzeniu, jakie Tekrub posłał za Paulem.

- Będę dziś mówić w imieniu mego brata - powiedziała. - Każ suplikantom podchodzić pojedynczo.

- Tak, pani. - Odwrócił się, by ustawić oczekujących na posłuchanie.

- Pamiętam czasy, kiedy nie omyliłabyś się, jak dzisiaj, co do zamiarów swego brata - powiedział Stilgar.

- Byłam roztargniona - przyznała. - Zaszła w tobie dramatyczna zmiana, Stil. Co się stało?

Stilgar wyprostował się, zaskoczony. Człowiek się zmieniał, to jasne. Ale dramatycznie? Z takim poglądem na swoją osobę nigdy się dotąd nie spotkał. Dramat był wartością problematyczną. Dramatyczni bywali sprowadzani artyści o wątpliwej lojalności i jeszcze bardziej wątpliwej cnocie. Dramatem posługiwali się wrogowie Imperium, by wpływać na niestałe pospólstwo. Korba porzucił fremeńskie cnoty, by wprzać dramat w służbę Kwizaratu. I dlatego zginie.

- Jesteś przewrotna - powiedział. - Nie ufasz mi?

Strapienie w jego głosie złagodziło jej minę, ale ton pozostał bez zmiany.

- W i e s z , że ci ufam. Zawsze zgadzałam się z bratem, że skoro sprawy znalazły się w rękach Stilgara, mogliśmy o nich nie myśleć.

- Czemu więc mówisz, że się... zmieniłem?

- Dojrzewasz do wypowiedzenia posłuszeństwa memu bratu - odparła - Czytam to w tobie. Mogę tylko mieć nadzieję, że to nie zniszczy was obu.

Zbliżał się pierwszy suplikant z adwokatem. Alia odwróciła się, nim Stilgar zdołał odpowiedzieć. Na jego twarzy jednak pojawiło się coś, co wyczuła w liście od matki - moralność i sumienie wyparte przez prawo.

"Tworzycie niebezpieczny paradoks."

Tibana był apologetą sokratycznego chrześcijaństwa, pochodzącym przypuszczalnie z IV Anbus, który żył na przełomie ósmego i dziewiątego wieku przed Corrinami, najprawdopodobniej w drugim królestwie Dalamaku. Z jego dzieł przetrwała jedynie część, z której to wyjęto ten fragment: "Serca wszystkich ludzi mieszkają w tej samej dzicy".

z "Xięgi Diany Irulany"

- Jesteś Bidżaz - powiedział ghola, wchodząc do małej izby, w której trzymany był pod strażą karzeł. - Ja nazywam się Hayt.

Wraz z gholą przybył silny oddział gwardii pałacowej, by objąć wieczorną wartę. Piach niesiony przez wiatr o zachodzie ciał ich policzki, dlatego mrużyli oczy, śpiesząc przez odkryty dziedziniec. Teraz słyszeć ich było za drzwiami, zmianie warty towarzyszyły żarty i śmiechy.

- Nie jesteś Hayt - odparł karzeł. - Jesteś Duncan Idaho. Byłem przy tym, jak kładziono twoje martwe ciało do zbiornika i byłem też, gdy je wyjmowano, żywe i gotowe do kształcenia.

Ghola przełknął ślinę, czując nagłą suchość w gardle. Zielone draperie wchłaniały żółty blask oświetlających izbę kuł świętojańskich. W poświacie widać było krople potu na czole karta. Bidżaz wydawał się istotą przedziwnej prawości, jak gdyby moc wszczepiona mu przez Tleilaxan przenikała przez cielesną powłokę. Pod maską tchórzostwa i frywolności kryła się siła.

- Muad'Dib zlecił mi przesłuchanie cię, by dojść, jakie zadanie kazali ci tu wykonać Tleilaxanie - oświadczył Hayt.

- Tleilaxanie, Tleilaxanie - zanucił karzeł. - Ja jestem Tleilaxaninem, ty durniu! A tak w ogóle - ty też.

Hayt spojrział na karta Promieniował charyzmatyczną żywotnością, przywodząc na myśl starożytnych bogów.

- Słyszysz straż za drzwiami? - spytał. - Jeśli im rozkażę, uduszą cię.

- Aj! Aj! - wykrzyknął Bidżaz. - Jakimż gruboskórnym prostakiem się stałeś. A mówisz, że przyszedłeś w poszukiwaniu prawdy.

Hayt poczuł, że denerwuje go wewnętrzny spokój, bijący z twarzy karła.

- Może tylko szukam przyszłości - rzekł.

- Dobrze powiedziane - pochwalił Bidżaz. - Teraz już się znamy. Gdy spotykają się dwaj złodzieje, nie trzeba ich przedstawiać.

- Więc jesteśmy złodziejami? - zapytał Hayt - Co kradniemy?

- Nie złodziejami, lecz graczami w kości - odparł Bidżaz. - A ty przyszedłeś policzyć moje oczka. Ja z kolei liczę twoje. I proszę! Masz dwie twarze!

- Czy rzeczywiście widziałeś, jak wędruję do zbiorników Tleilaxan? - Hayt przemógł się, by zadać to pytanie.

- Czyż tego już nie powiedziałem? - spytał Bidżaz. Podskoczył nerwowo. - Strasznie się z tobą namęczyliśmy. Ciało nie chciało wrócić.

Hayt poczuł nagle, że istnieje tylko w czyjejś wyobraźni i że gdyby poddał się temu wrażeniu - przestałby funkcjonować.

Bidżaz szyderczo przekrzywił głowę, obszedł gholę dookoła, przyglądając mu się z uwagą.

- Podniecenie rozpała w tobie dawne cechy - stwierdził. - Jesteś psem gończym, który nie chce znaleźć tego, co tropi.

- A ty jesteś bronią wymierzoną w Muad'Diba - rzekł Hayt, obracając się, by nadażyć za karłem. - Co takiego masz zrobić?

- Nic! - Bidżaz zatrzymał się. - Oto masz prostą odpowiedź na proste pytanie.

- A więc zostałeś zaprogramowany przeciwko Alii. Ona jest twoim celem?

- Na innych planetach nazywają ją Hawt, Rybostworem - powiedział Bidżaz. - Dlaczego słyszę, jak krew ci wrze, kiedy mówisz o niej?

- Więc nazywają ją Hawt. - Ghola przyglądał się bacznie karłu, próbując wyczytać coś z jego twarzy. Ten karzeł udzielał dziwnych odpowiedzi.

- Jest dziewczyną nierządnicą - mówił Bidżaz. - Jest wulgarna, dowcipna, mądra do głębi, ale jej mądrość przeraża. Bezlitosna, gdy łaskawa, bezmyślna, gdy coś postanowi, a kiedy buduje, jest tak niszczycielska jak kurzawa Coriolisa.

- Jednak przybyłeś tu, by podburzać przeciwko Alii.

- Przeciw niej? - Bidżaz zapadł w poduszkę opartą o ścianę. - Przybyłem, by zostać usidlony przez jej fizyczną urodę. - Jaszczurczy uśmiech wykrzywił koszmarną twarz.

- Zaatakować Alię, to zaatakować jej brata - powiedział Hayt.

- To tak jasne, że aż niedostrzegalne - przyznał Bidżaz. - W rzeczywistości Imperator i jego siostra są jedną osobą, syjamskim pomiotem na poły męskiej, na poły żeńskiej płci.

- Słyszeliśmy, jak opowiadali to Fremeni z głębi pustyni. I to ci, którzy wskresili krwawe ofiary dla Szej-huluda. Jak to się dzieje, że powtarzasz ich brednie?

- Ośmielasz się mówić "brednie"? - zapytał Bidżaz. - Ty, który jesteś zarazem człowiekiem i maską? Ach, gracz nie może liczyć własnych oczek. Zapomniałem. A ty jesteś podwójnie zmieszany, bo służysz Atrydom podwójnym istnieniem. Twoje zmysły mówią co innego, aniżeli twój umysł.

- Głosisz ten fałszywy mit Muad'Diba twoim strażnikom? - spytał Hayt cicho. Czuł, że jego inteligencja nie nadaża za słowami karła.

- Oni głoszą go za mnie! - odparł Bidżaz. - I modlą się. Dlaczegoż by nie? Wszyscy powinniśmy się modlić. Czyż nie żyjemy w cieniu najgroźniejszego tworu, jaki widział ten wszechświat?

- Najgroźniejszego tworu...

- Ich własna matka nie chce żyć z nimi na jednej planecie!

- Dlaczego nie odpowiadasz wprost? - spytał gniewnie Hayt. - Wiesz, że mamy inne metody przesłuchań. Dostaniemy twoje zeznania... tak czy inaczej.

- Ależ ja ci odpowiedziałem! Czy nie mówiłem, że mit jest prawdą? Czyż jestem wiatrem, niosącym śmierć w trzewiach? Nie! Jestem słowem! Słowem jak błyskawica, co bije z piasku w ciemne niebo. Powiedziałem: "Zgaś lampę. Już dzień". A ty wciąż mówisz: "Daj mi lampę, bym mógł znaleźć dzień".

- Grasz w niebezpieczną grę - powiedział Hayt. - Czy myślałeś, że nie rozumiem tych zensunnickich idei? Zostawiasz ślady tak wyraźne, jak ptak w błocie.

Bidżaz zachichotał.

- Dlaczego się śmiejesz?

- Bo mam zęby, a chciałbym ich nie mieć - wykrztusił karzeł w przerwie między chichotami. - Nie mając zębów, nie mógłbym nimi zgrzytać.

- No, to teraz znam twój cel - oznajmił Hayt. - Zostałeś wymierzony we mnie.

- I właśnie w niego trafiłem! - rzekł Bidżaz. - Jesteś tak wielkim celem, że jak mógłbym chybić? - Pokiwał głową jakby sam do siebie. - Teraz ci zaśpiewam.

I zaczął nucić żałobny, jękliwy, monotonny temat powtarzający się w kółko.

Hayt zeszytniał, poczuł dziwny ból, wędrujący tam i z powrotem wzdłuż kręgosłupa. Spojrzał na karła i ujrzał młodzieńcze oczy osadzone w starczej twarzy. Oczy tkwiły w sieci guzowatych, białych linii, biegnących ku zmarszczkom skroni. Taka wielka głowa! Bruzdy zbiegały się wokół zaciśniętych ust, z których wydobywał się monotonny dźwięk. Ten dźwięk przywodził na myśl prastare obrządki, ludowe klechdy, dawne zwyczaje i słowa na wpół zapomniane. Działo się coś bardzo ważnego - odbywała się gonitwa idei poprzez Czas. Śpiew karła przywodził wspomnienia z przeszłości. Przypominał jaskrawe światło w oddali, zbliżające się coraz szybciej, rozświetlające mrok w przestrzeni wieków.

- Co ty mi robisz? - zachłysnął się Hayt.

- Jesteś instrumentem, na którym nauczono mnie grać - odparł Bidżaz. - Gram na tobie. Pozwól, że zdradzę ci imiona innych spiskowców wśród naibów. Są to Bikouros i Kahueit. Jest Dzedida, który był sekretarzem Korby. Jest Abumodżandis, pomocnik Bannerdziego. Nawet w tej chwili któryś z nich może zatapiać ostrze noża w twoim Muad'Dibie.

Hayt pokręcił głową. Zbyt trudno było mu mówić.

- Jesteśmy jak bracia - Bidżaz znów przerwał monotony śpiew. - Wyrośliśmy w tym samym zbiorniku: najpierw ja, potem ty.

Metalowe oczy Hayta zapłonęły nagłym bólem. Czerwona mgła osnuła wszystko wokół. Miał uczucie, że pozbawiono go wszelkich doznań - prócz bólu.

Widział świat przez cienką przesłonę jak przez kołyszącą się na wietrze gazę. Wszystko stało się przypadkową gmatwaniną nieożywionej materii. Jego własna wola była niczym więcej jak toczącym się przedmiotem. Istniała, bezsilna, jako wewnętrzna iluminacja.

Desperacko spróbował odzyskać jasność widzenia; wzrok przedarł się przez wyimaginowaną zasłonę z gazy. Całą uwagę skupił na Bidżazie, usiłując przeniknąć spojrzeniem cielesną powłokę karła. Dostrzegł w małym człowieczku wynajęty intelekt, spod którego wyzierały żądze i pragnienia, skryte, nieuchwytne, zdradzane jedynie w przelotnym błysku oczu. Warstwa za warstwą, odsłaniał karła, docierając do prymitywnego bytu sterowanego przez symbole.

- Znajdujemy się na polu bitwy - powiedział Bidżaz. - Możesz o tym mówić.

Słowa, jak rozkaz, spowodowały, że Hayt odzyskał głos.

- Nie możesz mnie zmusić, żebym zabił Muad'Diba!

- Słyszałem, że Bene Gesserit mawiają - odparł Bidżaz - iż nie ma nic stałego, nic zrównoważonego, nic trwałego w całym wszechświecie, że nic nie pozostaje w tym samym stanie, że każdy dzień, a czasem każda godzina przynosi zmiany.

Hayt pokręcił głową bez słowa.

- Wierzyłeś, że ten głupi Imperator jest nagrodą, na którą liczymy - ciągnął Bidżaz. - Jakże mało rozumiesz naszych Tleilaxańskich mistrzów. Gildia i Bene Gesserit sądzą, że wytwarzamy artefakty. W rzeczywistości dostarczamy tylko usług i narzędzi. Wszystko może być narzędziem: nędza, wojna Wojna jest szczególnie użyteczna, bo toczy się na wielu płaszczyznach. Stymuluje metabolizm. Wprowadza w błąd. Rozprasza napięcia genetyczne. Ma taką żywotność jak nic innego we wszechświecie. Tylko ci, którzy poznali skuteczność wojny i wykorzystują ją, w jakimś stopniu mogą mówić o samookreśleniu.

- Wypowiadasz myśli, które niemal skłaniają mnie, bym uwierzył w mściwą Opatrzność - nienaturalnie łagodnym głosem odezwał się Hayt. - Jaki rodzaj restytucji zastosowali, by cię stworzyć? Byłaby to fascynująca opowieść, a jej epilog z pewnością jeszcze bardziej niezwykły.

- Wspaniale! - zarechotał Bidżaz. - Atakujesz, masz więc siłę woli i próbujesz samookreślenia.

- Próbujesz obudzić we mnie mordercę! - wyrzucił z siebie ghola. Bidżaz zaprzeczył ruchem głowy.

- Obudzić - tak, mordercę - nie. Jesteś zwolennikiem otwierania świadomości przez trening, sam tak powiedziałeś. Jest w tobie świadomość do obudzenia, Duncanie Idaho.

- Hayt!

- Duncan Idaho. Niepospolity zabójca. Kochanek wielu kobiet. Wirtuoz miecza Prawa ręka Atrydów na polu bitwy. Duncan Idaho.

- Nie można obudzić przeszłości.

- Nie można?

- Nigdy nie zdołano!

- To prawda, lecz nasi mistrzowie odrzucają pogląd, że czegoś nie można zrobić. W każdym przypadku szukają właściwego narzędzia, umiejętnego zastosowania siły, odpowiednich usług...

- Ukrywasz swe rzeczywiste zamiary! Chowasz się za parawan słów, które nic nie znaczą!

- Jest w tobie Duncan Idaho - powiedział Bidżaz. - Odnajdzie się dzięki emocji albo beznamietnej analizie, ale odnajdzie się. Jego świadomość, poprzez zasłonę supresji i selekcji, wynurzy się z przeszłości, która podąży twoim śladem. Nawet teraz na zmianę popycha cię i powstrzymuje. Byt, wokół którego świadomość musi się skupić i któremu się podporządkujesz, istnieje wewnątrz ciebie.

- Tleilaxanie myślą, że wciąż jestem ich niewolnikiem, ale...

- Milcz, niewolniku! - krzyknął Bidżaz wysokim, piskliwym głosem.

Mimo woli Hayt umilkł, znieruchomiał.

- Teraz jesteśmy u źródeł - rzekł Bidżaz. - Wiem, że to czujesz. A oto czarodziejskie słowa, dające władzę nad tobą. Myślę, że będą stanowiły wystarczającą dźwignię.

Hayt, zamarły w oczekiwaniu, czuł jedynie przebiegające go drżenie i pot spływający po policzkach.

- Pewnego dnia - mówił karzeł - Imperator przyjdzie do ciebie. Powie: "Ona odeszła". Jego twarz przywdzieje maskę żałoby. Będzie składał daninę wody umarłej, jak tutaj nazywają łzy. A ty powiesz doń, używając mego tonu: "Panie! Ach, panie".

Hayt zacisnął szczęki, czując, jak napięte mięśnie pulsują bólem. Nie był w stanie poruszyć głową.

- Powiesz: "Mam wiadomość od Bidżaza". - Twarz karła wykrzywił grymas. - Biedny Bidżaz, co nie ma rozumu, biedny Bidżaz, bęben wypchany informacją, esencja dla użytku innych... Uderz w Bidżaza, a wyda dźwięk! - Skrzywiwszy się znowu, ciągnął: - Myślisz, że jestem hipokrytą, Duncanie Idaho. Nie jestem! Także odczuwam smutek. Ale nadszedł czas, by słowa przekuć w czyn.

Napięcie, w jakim znajdował się ghola, eksplodowało gwałtowną czkawką.

- Ach, dzięki ci, Duncanie, wielkie dzięki! - zachichotał Bidżaz. - Potrzeby ciała, dzięki wam! Skoro w żyłach Imperatora płynie krew Harkonnenów - mówił dalej - zrobi to, czego żądamy. Przeistoczy się w maszynę do zakłuwania, podda się słowom, tak słodko brzmiącym w uszach naszych mistrzów.

Hayt zamrugał oczyma, uświadamiając sobie, jak bardzo karzeł przypomina małe zwierzątko, złośliwe i niezwykle inteligentne. "Krew Harkonnenów w żyłach Atrydów?"

- Myślisz o Bestii Rabbanie, harkonneńskim bydlaku i wytrzeszczasz oczy - zauważył Bidżaz. - Całkiem jak Fremeni. A przecież kiedy zawodzą słowa, miecz jest zawsze pod ręką. Myślisz o męczarniach,

jakie twoja rodzina wycierpiała przez Harkonnenów. A po matce twój najdroższy Paul jest Harkonnenem! Nie sprawi ci trudności zarżnięcie Harkonnena, prawda?

Gorycz przepelniała serce gholi. Czy to gniew? Dlaczego miałby być rozgniewany?

- Ooch! - powiedział Bidżaz. - Aha. Rach - ciach. Wiadomość jest dłuższa. Jest to transakcja, którą Tleilaxanie proponują twemu drogiemu Paulowi Atrydzie. Nasi mistrzowie wskrzeszą jego ukochaną. Stanie się twoją siostrą - kolejnym gholą.

Hayt poczuł naraz, że wszechświat wypełnia się uderzeniami jego serca.

- Ghola - ciągnął Bidżaz - będzie ciałem jego ukochanej. Wyda na świat jego dzieci. Będzie kochać tylko jego. Możemy nawet ulepszyć oryginał, jeżeli będzie tego sobie życzył. Czy kiedykolwiek człowiek miał lepszą sposobność odzyskać to, co utracił? Rzuci się na tę okazję.

Bidżaz pokiwał głową. Jego oczy zasnuła mgła, jak gdyby opadał z sił.

- To będzie pokusa... - mówił - a w chwili rozterki zbliżysz się do niego. W takiej chwili uderzysz! Niejeden ghola - dwoje! Tego żądają nasi mistrzowie!

Odchrząknął. Znow pokiwał głową.

- Mów - rozkazał.

- Nie zrobię tego - odparł Hayt.

- A Duncan Idaho zrobiłby to - powiedział Bidżaz. - To będzie moment najgłębszej słabości tego potomka Harkonnenów. Nie zapominaj o tym. Zasugerujesz mu poprawki w jego ukochanej - może nieśmiertelne serce, subtelniejsze uczucia. Zbliżywszy się dort, zaoferujesz mu azyl - niech sam wybierze planetę poza granicami Imperium. Pomyśl o tym! Jego najdroższa przywrócona do życia. Nigdy więcej powodów do łez - i sielankowe miejsce, by w nim dożył swych dni.

- Kosztowny upominek - powiedział Hayt ostrożnie. - Zapyta o cenę.

- Powiedz mu, że musi zaprzeczyć się swej boskości i zdyskredytować Kwi/araL. A także siebie i swoją siostrę.

- Tylko tyle? - parsknął HayL

- Naturalnie, musi zrezygnować z udziałów w KHOAM.

- Naturalnie.

- A jeśli jeszcze nie będziesz dość pewny, by uderzyć, mów mu, jak bardzo Tleilaxanie podziwiają to, czego ich nauczył o możliwościach religii. Powiedz, że mają departament inżynierii religijnej, kształtujący religie zgodnie z indywidualnymi potrzebami.

- Bardzo sprytnie - zauważył Hayt.

- Myślisz, że wolno ci szydzić i lekceważyć moje polecenia? - Bi - dżaz ironicznie przechylił głowę na bok. - Nie zaprzeczaj.

- Dobrze cię wykonali, zwierzaczu.

- I ciebie nie gorzej - odparł karzeł. - Powiesz mu, żeby się spieszył. Ciało rozkłada się i musi być przechowane w zbiorniku krionicznym.

Hayt poczuł, że grzęźnie wśród matryc przedmiotów, których nie był w stanie rozpoznać. Karzeł wydawał się bardzo pewny siebie. A jednak musiała istnieć skaza w logice Tleilaxan. Tworząc gholę, nastroili go na głos Bidżaza, ale... Ale co? Logika - matryca - obiekt.. Jak łatwo było się pomylić: uznać błyskotliwe rozumowanie za rozumowanie prawidłowe! Czy logika Tleilaxan była fałszywa?

Bidżaz uśmiechnął się, zasłuchany w jakiś wewnętrzny głos.

- Teraz to zapomnisz - powiedział. - Gdy nadejdzie ten moment, będziesz pamiętał. Powie: "Ona odeszła". Wtedy obudzi się Duncan Idaho.

Klasnął w ręce.

Hayt odkasznął. Uświadomił sobie, że ktoś przerwał mu wpół myśli... a może wpół zdania... Co to było? Coś o... celach?

- Masz zamiar mnie zwieść i posłużyć się mną! - powiedział.

- Jak to? - spytał Bidżaz.

- Jestem twoim celem i nie możesz temu zaprzeczyć.

- Nie myślałbym nawet zaprzeczać.

- Co chcesz ze mną zrobić?

- Wyświadczyć ci przysługę - powiedział karzeł. - Zwykłą przysługę.

Tylko w najbardziej niezwykłych okolicznościach moc jasnowidzenia oświećla dokładnie przyszłe skutki bieżących wypadków. Wyrocznia łowi zdarzenia oderwane z łańcucha historii. Wieczność jest w ruchu. Narzuca się ona zarówno jasnowidzeniu, jak i osobie mu podlegającej. Niechaj poddani Muad'Diba zwątpią w jego majestat i proroczą wizję. Niechaj odmówią mu mocy.

Lecz niech nigdy nie wątpią w Wieczność.

"Ewangelie Diuny"

Hayt widział, jak Alia wylania się ze świątyni i idzie przez plac. Gwardziści otoczyli ją ciasno, ich twarze były groźne, jakby chcieli nimi zamaskować poczucie samozadowolenia i dobrobytu.

W jasnym, popołudniowym słońcu nad świątynią błysnął heliograf na skrzydle ornitoptera Gwardii Królewskiej. Kadłub zdobiła pięść - symbol Muad'Diba.

Hayt znów spojrzał na Alię. Tu, w mieście, wydawała się nie na swoim miejscu. Właściwym dla niej tłem była pustynia - otwarta, bezkresna przestrzeń. Patrząc, jak się zbliża, uświadomił sobie, co go tak w niej dziwiło: Alia wyglądała na zamyśloną tylko wtedy, gdy się uśmiechała. "To coś tkwi w oczach" - pomyślał, przywołując wspomnienie Alii, która pojawiła się na przyjęciu wydanym na cześć Ambasadora Gildii - wyniosłej na tle muzyki i błahych rozmów, wśród ekstrawaganckich toalet i mundurów. Ku powszechnemu zaskoczeniu ubrana była w biel, jasną szatę niewinności. Patrzył wtedy na nią z okna, jak szła przez wewnętrzny ogród z konwencjonalną sadzawką, grającymi wodotryskami, kępami traw z pampasów i białą kolumnadą,

Nie, nie tak... wszystko nie tak. Należała do pustyni.

Odetchnął głęboko. Wtedy, podobnie jak i teraz, Alia nagle zniknęła mu z oczu. Czekał, raz po raz zaciskając pięści. Rozmowa z Bidżazem wytrąciła go z równowagi.

Słyszał, jak świta przechodzi obok drzwi komnaty, w której się znajdował. Szła do komnat Rodziny.

Starł się skupić nad tym, co go niepokoiło, a miało związek z Alią. Czy był to sposób, w jaki przemierzyła plac? Tak. Poruszała się jak ścigane zwierzę, uciekające przed prześladowcą. Wyszedł na ciągnący się wzdłuż piętra balkon, zrobił kilka kroków w kierunku przeciwsłonecznego ekranu z plazmeldu i zatrzymał się w maskującym cieniu.

Alia stała przy balustradzie, patrząc ponad świątynię.

Spojrzał w tym samym kierunku - w dół na miasto. Widział barwny, kubistyczny obraz domów, a nisko przy ziemi ruch i gwar ulicy. Budynki połyskiwały, migotały. Upał zawładnął

ludźmi, domami, stojącym powietrzem. Za rogiem świątyni jakiś chłopiec odbijał piłkę w ślepym zaułku, zamkniętym zboczem góry. Piłka skakała tam i z powrotem.

Alia też patrzyła na piłkę. Tam i z powrotem... tam i z powrotem. Czuła, że sama - jak piłka - odbija się w korytarzach Czasu.

Dawka esencji przyprawowej, którą wypila tuż przed opuszczeniem świątyni, była największa, na jaką kiedykolwiek się odważyła. Przeraziła ją, zanim jeszcze zaczęła działać.

"Dlaczego to zrobiłam?" - zapytywała się w duchu.

Wybór między niebezpieczeństwami został dokonany. Czy o to chodziło? Był to jedyny sposób, by przedrzeć się przez mgłę, jaką została osnuta przyszłość przez ten przeklęty tarot. Bariera istniała. Ona musiała ją złamać. Musiała zobaczyć, dokąd bezwolnym krokiem zmierza jej brat w swym bezokim marszu.

Znajoma nuta melanzowej fugi zaczęła wsączać się w jej świadomość. Wciągnęła głęboko powietrze, doznając chwilowego ukojenia, bezosobowego i niepewnego.

"Dar jasnowidzenia skłania ku groźnemu fatalizmowi" - pomyślała. Dlatego nie istniały, na nieszczęście, żadne abstrakcyjne środki działania, żaden rachunek symulacyjny.

Wizje przyszłości nie dawały się przekształcać jak równania. Trzeba było próbować wnikać w ich wnętrza, ryzykując życie i zdrowe zmysły.

Czyjaś postać wynurzyła się z cienia przyległego balkonu. Ghoła! Pobudzona świadomość Alii ujrzała go z kryształową ostrością - ciemna, pełna życia twarz, zdominowana przez błyszczące, metalowe oczy. Stanowił jedność przerażających skrajności, elementów ułożonych w szokującym, linearnym szyku. Był cieniem i jaskrawym blaskiem; efektem procesu, który wskrzesił martwe ciało i czymś najbardziej czystym... niewinnym.

Był obłąconą niewinnością!

- Byłeś tam cały czas, Duncan? - spytała.

- A więc mam być Duncanem - powiedział. - Dlaczego?

- Nie pytaj mnie - ucieła.

Patrzac nań pomyślała, że Tleilaxanie stworzyli go idealnie, nawet w najdrobniejszych szczegółach.

- Tylko bogowie mogą ważyć się na doskonałość - powiedziała. - Dla człowieka to nie jest bezpieczne.

- Duncan zginął - rzekł, modląc się w duchu, by go tak nie nazywała. - Jestem HayL

Popatrzyła uważnie w jego sztuczne oczy, zastanawiając się, co nimi widział. Z bliska można było dostrzec małe, czarne znamiona jak wąziutkie studnie ciemności w połyskującym

metal. Soczewki! Wszechświat migotał i ślaniał się wokół niej. Utrzymała równowagę, opierając dłoń o nagrzaną słońcem powierzchnię balustrady. Ach, jak szybko krążył melanz.

- Źle się czujesz? - zapytał.

Podszedł bliżej, stalowe oczy otwały się szeroko, badawczo.

"Kto to powiedział? - zastanowiła się. - Czy Duncan Idaho? Gno - la - mentat czy zensunnicki filozof? A może marionetka Tleilaxan, bardziej niebezpieczna niż którykolwiek Nawigator Gildii?" Miała nadzieję, że jej brat to wiedział.

Znów spojrzała na gholę. Było w nim teraz coś czujnego, przyczajonego. Przesycony był czekaniem, biła zeń nieprawdopodobna siła.

- Przez swoją matkę jestem jak Bene Gesserit - powiedziała. - Wiesz o tym?

- Wiem.

- Posługuję się ich mocą, myślę tak jak one. Fragment mojej osobowości pojmuje uświęconą konieczność planu hodowlanego... i jego efekty.

Zamrugła oczyma, czując, jak ta część jej świadomości zaczyna swobodnie poruszać się w Czasie.

- Mówi się, że Bene Gesserit nigdy nie dają za wygraną - powiedział.

Obserwował ją bacznie i dostrzegł zbiegające palców, zaciśniętych na poręczy balkonu.

- Potknęłam się? - zapytała.

Zauważył, jak głęboko oddychała, dostrzegł napięcie w każdym ruchu, szklistość oczu.

- Kiedy się potkniesz - rzekł - możesz odzyskać równowagę, przeskakując to, co stanęło ci na przeszkodzie.

- Bene Gesserit potknęły się - powiedziała. - Teraz usiłują odzyskać równowagę, chcąc przeskoczyć ponad moim bratem. Chcą dziecka Chani... albo mojego.

- Jesteś w ciąży?

Walczyła, by utrzymać się w czasoprzestrzennym związku z tym pytaniem. Cięża? Kiedy? Gdzie?

- Widzę... moje dziecko... - szepnęła.

Odsunęła się od balustrady, odwróciła głowę, by spojrzeć na gholę. Miał twarz z soli, gorzkie oczy z błyszczącego ołowiu... i - gdy w ślad za nią odwrócił się od światła - pełne niebieskich cieni.

- Co... co widzisz takimi oczyma? - wyszeptała.

- To samo, co wszyscy odparł.

Jego słowa zadźwięczały jej w uszach, wyostrowiając świadomość. Czula, że sięga poprzez wszechświat. Takie napięcie... dalej... dalej... Była spleciona z całym obszarem Czasu.

- Zażyłaś melanz, dużą dawkę - stwierdził.

- Dlaczego nie mogę go zobaczyć? - wymamrotała. - Powiedz, Duncan. dlaczego nie mogę go zobaczyć?

- Kogo nie możesz zobaczyć?

- Nie widzę ojca moich dzieci. Zgubiłam się w tarotowej mgle. Pomóż mi.

Logika mentata podsunęła pierwszy wniosek:

- Bene Gesserit chcą połączyć cię z twoim bratem - rzekł. - To zamknęłoby genetyczną...

Z ust Alii wyrwał się krótki szloch.

- Jajo wewnątrz ciała - jęknęła

Poczuła chłód, a po chwili nieznosne gorąco. Niewidzialny kochanek z jej najmroczniejszych snów! Ciało jej ciała, którego nie chciała odsłonić wyrocznia - czy do tego miało dojść?

- Zaryzykowałaś niebezpieczną dawkę przyprawy? - spytał.

Coś w jego wnętrzu burzyło się, by wykrzyczeć nieopisaną trwogę na samą myśl, że Atrydka miałyby umrzeć, że Paul mógłby stanąć przed nim z wieścią, że kobieta z królewskiej rodziny... odeszła.

- Nie wiesz, jak to jest, polować na przyszłość - powiedziała. - Czasem przez moment widzę siebie... ale wtedy sama sobie zawadzam. Nie widzę poprzez siebie. - Potrząsnęła opuszczoną głową.

- Ile przyprawy wzięłaś? - zapytał.

- Natura nie znosi jasnowidzenia - powiedziała, podnosząc głowę. - Wiedziałeś o tym, Duncan?

Mówił łagodnie, perswadujące, jak do małego dziecka:

- Powiedz mi, ile przyprawy wzięłaś? - Lewą ręką podtrzymywał jej ramię.

- Słowa są wielką machiną, taką prymitywną i wieloznaczną. - Uwolniła się z jego dłoni.

- Musisz mi powiedzieć - powtórzył.

- Patrz na Mur Zaporowy - zażądała, wskazując przed siebie. Powiodła wzrokiem za wyciągniętą ręką. Zadrżała: krajobraz rozpadł się w przygniatającej wizji - zamek z piasku, zniszczony przez niewidzialne fale.

Odwróciła wzrok. Spojrzała na gholę i zamarła. Jego twarz rozpływała się, stawała się stara, potem młoda... stara... młoda... Był samym życiem, niepokornym, bez kresu. Zerwała się, by uciec, lecz pochwycił jej lewy przegub.

- Wezwę doktora - powiedział.

- Nie! Musisz pozwolić mi mieć wizję! Muszę wiedzieć!

- Zapadasz się już do wewnątrz - powiedział.

Spojrzała w dół, na jego dłoń. Tam, gdzie stykały się ich ciała, czuła elektryzującą bliskość, która nęciła ją i przerażała. Wyrwała się.

- Nie możesz zatrzymać cyklonu - wydyszała.

- Potrzebna ci pomoc lekarska! - warknął.

- Nie rozumiesz? - spytała. - Wizja jest niekompletna, same okruchy. Migocze i podskakuje. Muszę poznać przyszłość. Czy tego nie widzisz?

- Jaka będzie przyszłość, kiedy umrzesz? - zapytał, popychając ją lekko w kierunku komnat Rodziny.

- Słowa... słowa... - mruzczała. - Nie potrafię tego wyjaśnić. Każda rzecz jest pretekstem dla innej, ale nie ma przyczyn... nie ma skutków. Nie możemy pozostawić wszechświata takim, jakim był. Choćbyśmy się nie wiem jak starali, jest luka.

- Połóż się tutaj - nakazał.

"Jest taki niepojętny" - pomyślała.

Cień przyniósł jej chwilową ulgę. Czuła własne mięśnie, każdy z osobna. Czuła sztywność łóżka, o którym wiedziała, że jest niematerialne. Tylko kosmos był stały. Nic poza nim nie było uchwytnie. Łóżko wypełniało się wieloma ciałami, z których każde było jej własnym. Przeładowany czas zwielokrotniał odczucia. Nie powodował żadnej konkretnej reakcji, którą mogłaby wyodrębnić. Był Czasem. Poruszał się. Cały wszechświat kołysał się w przód, w tył, na boki.

- To nie ma żadnej przedmiotowości - tłumaczyła - nie można tego obejść czy przemknąć się pod spodem. Nie ma punktu zaczepienia.

Otoczył ją falujący tłum ludzi. Jakiś zwielokrotniony człowiek trzymał jej lewą rękę. Spojrzała na własne, poruszające się ciało, potem w ślad za rozdławającym się ramieniem na ruchomą twarz - maskę:

Duncan Idaho! Z oczyma było... coś nie tak, ale to był Duncan - dziecko - mężczyzna - chłopiec - dziecko - mężczyzna - chłopiec... Każdy rys jego oblicza zdradzał niepokój o nią.

- Duncan, nie bój się - szepnęła. Skinął potakująco, uściskawszy jej dłoń.

- Nic nie mów - powiedział.

"Nie wolno jej umrzeć! - myślał. - Nie wolno! Żadna Atrydka nie może umrzeć."

Szarpnął głową. Takie myśli przeczyły logice mentata. Śmierć jest konieczna, by życie mogło istnieć dalej.

"Ghola mnie kocha" - pomyślała Alia.

Ta myśl stała się podłożem, którego mogła się ucześcić. Hayt pochylał ku niej znaną jej twarz. W tle nieruchomo stał pokój. Rozpoznała jedną z sypialni w apartamentach Paula.

Jakaś stabilna, nieprzekształcająca się postać robiła coś z rurą w jej krtani. Alia powstrzymała odruch wymiotny. Poczula, jak rura wyslizguje się z gardła - wąż, błyszczący powróż.

- Będzie spała po zastrzyku - rozległ się głos, który rozpoznała: lekarz rodu. - Przyślę kogoś z jej świty...

- Zostanę z nią - rzekł ghola.

- To nie wypada! - sapnął lekarz.

- Zostań... Duncan - szepnęła Alia. Poglaskał jej dłoń, dał znak, że słyszy.

- Pani - odezwał się lekarz - będzie lepiej, jeżeli...

- Nie ty mi będziesz mówił, co jest lepiej - wychrypiała. Krtań piekła ją przy każdym słowie.

- Pani - powiedział lekarz oskarżycielskim tonem. - Ty znasz niebezpieczeństwa wynikające z przedawkowania melanzu. Mogę tylko zakładać, że ktoś podał ci go bez...

- Jesteś głupcem - wydusiła chrapliwie. - Chciałbyś mi zabronić wizji? Wiem, co biorę i po co. - Dotknęła gardła. - Zostaw nas. Natychmiast.

Medyk wycofał się poza pole widzenia.

- Dam znać twojemu bratu - usłyszała.

Poczula, że wyszedł, i spojrzała na ghole. Wizja usadowiła się, już przejrzysta, w jej świadomości. Powoli rozrastała się w teraźniejszość. Czula, że ghola porusza się w tym spektaklu Czasu, umiejscowiony w dającym się rozpoznać tle. "Jest tygłem - pomyślała. - Jest groźbą i ocaleniem." I zadrzała, wiedząc, że tę samą wizję zobaczył jej brat. Łzy zapiekły ją pod powiekami. Gwałtownie potrząsnęła głową. Żadnych łez! Marnotrawią wilgoć, a co gorsza, zakłócają ostrość wizji. Trzeba powstrzymać Paula! Raz, tylko raz, znalazła kładkę przez Czas, by zostawić swój głos tam, gdzie jej brat miał przechodzić. Ale teraz napięcie i zmienność nie pozwolą na to. Strumień Czasu przenika Paula jak promień światła soczewkę. Znajdował się w jej ognisku i wiedział o tym. Skupiał w sobie wszystkie promienie i nie dopuści, by wymknęły mu się lub zmieniły bieg.

- Dlaczego? - wyszeptała. - Czy to nienawiść? Czy dlatego uderza w Czas, bo sam Czas go skrzywdził? Czy nienawiść rodzi ten jego... hart?

- Tak, pani? - zapytał ghola, myśląc, że usłyszał swoje imię.

- Gdybym tylko mogła to z siebie wypalić! - krzyknęła. - Nie chcę być inna.

- Proszę cię, Alia - rzekł cicho - postaraj się zasnąć.

- Chciałabym móc się śmiać - szepnęła. Łzy ciekły po jej policzkach. - Ale jestem siostrą Imperatora, traktowanego jak bóg. Ludzie się mnie boją. Nigdy nie chciałam, żeby się mnie bali.

Otarł łzy z jej twarzy.

- Nie chcę należeć do historii - szeptała. - Chcę być kochana... i kochać...

- Jesteś kochana - powiedział.

- Ach, lojalny, lojalny Duncan.

- Nie nazywaj mnie tak - poprosił.

- Ale taki jesteś - odparła - a lojalność jest cenionym dobrem. Można je sprzedawać... kupić nie, ale sprzedawać.

- Nie podoba mi się twój cynizm.

- Do diabła z twoją logiką! To prawda!

- Śpij - powiedział.

- Kochasz mnie, Duncan? - zapytała. - Tak.

- Czy to jedno z tych kłamstw - spytała - jedno z tych kłamstw, w które łatwiej uwierzyć niż w prawdę? Dlaczego boję się uwierzyć?

- Boisz się mojej inności tak samo jak własnej.

- Bądź mężczyzną, nie mentatem! - burknęła.

- Jestem mentatem i mężczyzną.

- A więc uczynisz mnie swoją kobietą?

- Uczynię to, czego żąda miłość.

- I lojalność?

- I lojalność.

- Dlatego właśnie jesteś niebezpieczny - powiedziała

Jej słowa wzburzyły go. Nie dał tego poznać, żaden mięsień jego twarzy nie zadrżał, ale ona i tak wiedziała o tym. Jego poruszenie zdradziła prorocza wizja. Mimo to Alia czuła, że przeoczyła jakiś szczegół, że powinna była zapamiętać z przyszłości coś jeszcze. Coś z innej percepcji, ponadmysłowej, coś, co wpadało do głowy znikąd - tak jak wyrocznia. To coś znajdowało się w cieniu Czasu, nieskończenie bolesne.

Uczucie! To było to - uczucie! Pojawiło się w wizji, nie bezpośrednio, lecz jako sygnał, z którego mogła wnioskować, co kryło się za nim. Została opętana przez uczucie - potężny kłęb strachu, żalu i miłości. Tkwił w wizji, zebrany w jednym chorym ciele, przytłaczający i odwieczny.

- Duncan, nie pozwól mi odejść - wyszeptała.

- Śpij - powiedział - nie walczyć z tym.

- Muszę... Muszę. Jest przynętą w swojej własnej pułapce. Jest sługą mocy i przerażenia. Przemoc... deifikacja jest więzieniem, w którym został zamknięty. Straci... wszystko. To go rozerwie na strzępy.

- Mówisz o Paulu?

- Prowadzą go do samozniszczenia - rzuciła bez tchu, wyprężając całe ciało. - Za duży ciężar, za duży żal. Odwodzą go od miłości. - Zapadła z powrotem w łóżko. - Tworzą wszechświat, w którym on nie będzie mógł żyć.

- Kto to robi?

- On! Och, ty nic nie rozumiesz. Jest częścią wzoru. A jest już za późno... za późno... za późno...

Mówiąc to czuła, jak świadomość opada z niej, warstwa po warstwie. Zapadała w sen. Ciało i umysł dzieliły się i stapiały w lamusie zamierzchłych wizji - płynąc, płynąc... Słyszała bicie serca płodu - dziecięcia przyszłości. Melanż wciąż nie wypuszczał jej z objęć. Poczula życie jeszcze nie poczętego dziecka. Jedno było pewne: to dziecko doświadczyłoby takiego samego bolesnego przebudzenia, jakie było jej udziałem. Byłoby świadomą, myślącą istotą jeszcze przed narodzeniem.

Istnieje siła, którą nawet najpotężniejsi mogą się posłużyć, nie niszcząc siebie. Umiejętność oceny granicy tej siły - to prawdziwa sztuka rządzenia. Źle użyta siła jest grzechem śmiertelnym. Prawo nie może być narzędziem zemsty. Nie stworzyło nigdy gwarancji zabezpieczających przed zwycięstwem męczenników. Nie można zagrażać choćby jednostce i być pewnym bezkarności.

*Muad'Dib o prawie,
z "Komentarzy Stilgara"*

Chani patrzyła na pustynny poranek, odsłaniający górski uskoki poniżej sycy Tabr. Nie miała na sobie filtrfraka i tu na pustyni czuła się bezbronna. Wejście do groty ukryte było w urwisku piętrzącym się za jej plecami.

Pustynia... Pustynia... Chani czuła, że pustynia ją prześladowała, gdziekolwiek by się nie znalazła. Powrót na pustynię był nie tyle spotkaniem z domem, co uświadomieniem sobie nierozzerwalnego związku z miejscem urodzenia.

Bolesny skurcz przeszył jej brzuch. Zbliżał się czas porodu. Opanowała ból, tę chwilę chciała dzielić tylko z pustynią.

Cichość brzasku objęła ziemię. Wszędzie dookoła cienie uciekały spośród wydmy i załamań Muru Zaporowego. Dzień wylaniał się zza wysokiej skarpy, ukazując Chani spłowiały pejzaż, rozpostarty pod bladobłękitnym niebem. W tej scenerii ogarnęły ją znów złe, cyniczne myśli, pojawiające się od chwili, gdy dosięgła ją wieść o ślepotcie Paula.

"Dlaczego tu jesteśmy?" - nie przestawała się zastanawiać. To nie była hadzra, podróż w poszukiwaniu czegoś. Paul nie szukał tu niczego oprócz, być może, miejsca, w którym miała urodzić.

"Dziwnych towarzyszy dobrał na tę podróż" - pomyślała. Bidżaz, tleilaxański karzeł. Hayt, ghol, który miał być repliką Duncana Idaho. Edric, Ambasador i Nawigator Gildii. Gaius Helena Mohiam, Matka Wielebna Bene Gesserit, której w oczywisty sposób nienawidził. Lichna, córka Otheyma, wyraźnie śledzona przez czujne oczy strażników. Stilgar, jej wuj i fremieński naib, jego ulubiona żona, Hara... Irulana... i Alia...

Jej rozmyślaniom towarzyszyło wycie wiatru w skałach. Dzień kładł w pustyni żółć na żółci, brąz na brązie, szarość na szarości.

Dlaczego takie dziwaczne towarzystwo?

"Zapomnieliśmy już - odpowiedział Paul na jej pytanie - że słowo towarzystwo pierwotnie oznaczało towarzyszy podróży. Jesteśmy towarzystwem."

"Ależ jaką oni przedstawiają wartość?"

"Otóż to! - rzekł, zwracając ku niej przerażające oczodoły. - Ogłuchliśmy na czyste brzmienie życia. Jeśli nie możemy go posegregować, uzasadnić, utemperować i uznać za celowe, nie przydajemy mu żadnej wartości."

"Nie to miałam na myśli" - powiedziała, urażona.

"Och, najdroższa - rzucił pojednawczo - jesteście tak bogaci w dobra i tak ubodzy w życie. Jestem zły, uparty, głupi..."

"Nie jesteś!"

"To także prawda. Ale moje dłonie posiniały od Czasu. Wydaje mi się... wydaje mi się, że próbowałem wynaleźć życie, nie zdając sobie sprawy, że już zostało wynalezione."

I dotknął jej łona, by poczuć w nim nowe życie.

Na to wspomnienie Chani położyła dłonie na brzuchu i zadrżała, żałując, że prosiła Paula, by ją tutaj przywiózł.

Pustynny wiatr niósł złe wonie ramowych upraw, mających umocnić wydmy u stóp urwiska. Owładnęło nią niedobre przeczucie. Fre - meński przesąd mówił: "złe wonie, złe czasy".

Wystawiając twarz na wiatr, ujrzała, jak czerw wyłania się poza linią upraw. Pojawił się, rozcinając wydmy jak dziób piekielnej arki, rozrzucił piach, zwęszył wodę - zabójczą dla jego gatunku - i zawrócił, okryty długą, wgłębiającą się w grunt skibą.

Strach czerwia obudził i w niej nienawiść do wody. Woda, niegdyś spiritus movens Arrakis, stała się trucizną. Woda niosła zarazę. Tylko pustynia była czysta.

Poniżej ukazała się fremeńska ekipa robocza. Wspinali się w kierunku głównego wejścia do siczy. Dostrzegła, że mają ubłocone stopy. Fremeni z mułem na stopach!

Ponad nią dzieci w siczy zaczęły poranną piosenkę. Ich głosiki popiskiwały od strony głównego wejścia. Śpiew sprawił, iż poczuła, że życie z niej ucieka w obawie przed burzą. Zadrżała.

Jakie burze Paul widział w swoich bezokich wizjach? Widziała, że zachowuje się jak złośliwy szaleniec, znużony pieśniami i polemikami.

Niebo stawało się kryształowo szare, pełne alabastrowych żyłek, trawionych unoszącym się w powietrzu piaskiem. Uwagę Chani przykuło pasmo płonącej bieli na południu. Zaniepokojona, rozpoznała znak: białe niebo na południu - paszcza Szej-huluda. Nadchodziła burza, wielka kurzawa. Czuła już ostrzegawczy powiew, ukłucia drobnego piasku na policzkach. Z wiatrem nadleciały opary śmierci: odór wody płynącej w kanatach, spotniałego piasku, krzemienia. Woda: to dlatego Szej-hulud zesłał samum.

Do skalnej szczeliny, przy której stała, wtargnęły jastrzębie, szukając schronienia przed wiatrem. Były brązowe jak skała, znaczone szkarłatem na skrzydłach. Czowała, jak jej dusza wyrывa się do nich. Miały gdzie się ukryć, ona - nie.

- Pani, wiatr nadchodzi!

Odwróciła się. Zobaczyła gholę, który wołał do niej z górnego wejścia. Znow ogarnął ją fremieński lęk. Rozumiała czystą śmierć, uznawała prawo nakazujące oddać wodę plemieniu. Ale... coś wskrzeszonego z martwych?...

Piach naniesiony z wiatrem smagał jej policzki. Spojrzała przez ramię na przerażające smugi pyłu, bijące w niebo. Niespokojna przed burzą pustynia zbrązowiła, fale wydm szarpane były wichurą jak ocean, o którym Paul opowiadał jej kiedyś. Piaszczysty przybój z hukiem uderzał o urwisko.

Burza na równinie miała w sobie coś z symbolu. Uciekały przed nią ptaki i zwierzęta... na pustyni nie zostało nic żywego, ogarnęła ją harmonia własnych dźwięków - pędzący piasek drapał o skałę, nasilał się gwizd wiatru, słyszeć było rumor głązów staczających się ze wzgórza, a nagle, gdzieś poza zasięgiem wzroku, zadudnił wywrócony do góry podbrzuszem ogłupiały czerw, drążący sobie drogę w bezwodne głębie.

Przez chwilę życie Chani poddawało się Czasowi, lecz nagle poczuła, jak wiatr porywa tę planetę - stawała się kosmicznym pyłem, cząstką dalekich fal.

- Musimy się spieszyć - odezwał się ghola tuż za nią. Wyczuła w jego głosie strach, obawę o jej bezpieczeństwo. - Obedrze ci ciało do kości - dodał, jak gdyby jej trzeba było to tłumaczyć.

Rozbrojona jego troską, Chani pozwoliła się podtrzymywać na skalnych schodach, wiodących do siczy. Minęli odsuwaną grodz, chroniącą wejście. Wartownicy otwarli służę i po chwili zamknęli ją za nimi.

Intensywne wonie zaatakowały nozdrza brzemiennej. To miejsce było kotłem, w którym mieszały się wspomnienia dawnych zapachów, stłoczonych ciał ludzkich, estrów cuchnących z destylami, znanych aromatów pożywienia... i unoszących się nad wszystkim oparów narkotyku: wszechobecnego melanzu.

Odetchnęła głęboko.

- Dom...

Ghola cofnął dłoń z jej ramienia i usunął się na bok, jak gdyby wyłączono go z sieci. Ale wciąż patrzył.

Chani stanęła w przedsionku, zmieszana czymś, czego nie potrafiła określić. To naprawdę był jej dom. Będąc dzieckiem, polowała tu na skorpiony w świetle kuł świętojańskich. A jednak coś się zmieniło...

- Czy nie powinnaś pójść do swej kwatery, pani? - odezwał się ghola

Niemal równocześnie poczuła pulsujący ból przeszywający łono. Z trudem opanowała się, aby nie dać tego po sobie poznać. - Pani?

- Dlaczego Paul tak boi się o mój poród? - zapytała

- To naturalne, że obawia się o twoje bezpieczeństwo. Przyłożyła dłoń do otartego piachem policzka

- A nie obawia się o dzieci?

- Moja pani, kiedy myśli o dziecku, nie może nie pamiętać, że wasz pierworodny został zabity przez sardaukarów.

Przyjrzała się jego płaskiej twarzy i nieodgadnionym, mechanicznym oczom. Czy to stworzenie rzeczywiście było Duncanem Idaho? Czy był czyimkolwiek przyjacielem? Czy teraz mówił szczerze?

- Powinni być przy tobie lekarze - powiedział. Znow usłyszała niepokój w jego głosie. Poczuła, że jej umysł staje się bezbronny, podamy na atakujące zewsząd doznania.

- Hayt, boję się - wyszeptała - Gdzie jest mój Usul?

- Sprawy państwa go zatrzymują - odparł ghola

Pokiwała głową, myśląc o rządowym aparacie, który towarzyszył im w wielkiej flotyli ornitopterów. Nagle zdała sobie sprawę, co ją tak zaniepokoiło, gdy weszła do siczy: obce zapachy. Urzędnicy i słudzy wnieśli do środka swój własny zapach - nie istniejące kiedyś wonie jadła i odzieży, egzotycznych pachnideł. To ten strumień zapachów podminował tutaj wszystko.

Otrząsnęła się, powstrzymując cyniczny śmiech. Nawet zapach zmieniał się w obecności Muad'Diba!

- Zatrzymały go pewne naglące kwestie, których nie mógł odłożyć. - Ghola mylnie odczytał jej wahanie.

- Tak, tak... Rozumiem. Przecież przybyłam tu razem z tą zgrają. Przypomniał jej się lot z Arrakin. Nie spodziewała się go przeżyć.

Paul uparł się, że będzie pilotował ornitopter. Pozbawiony oczu, sam przyprowadził tutaj maszynę. Po tej podróży wiedziała, że cokolwiek by zrobił, nic jej już nie zaskoczy.

Nowy spazm bólu rozlał się w jej brzuchu.

- Nadszedł twój czas? - zapytał ghola, zauważając sztywniejące mięśnie policzków i słysząc urywany oddech.

- Ja... Tak, to już.

- Pospiesz się. - Złapał jej rękę i pociągnął za sobą w dół korytarza. Wyczuwała w nim panikę.

- Jeszcze jest czas - oponowała. Zdawał się nie słyszeć.

- Dla Zensunnitów - mówił, ponaglaając ją - poród to beczynne czekanie w stanie najwyższego napięcia. Nie walcz z tym, co się dzieje. Walka dopuszcza możliwość porażki. Nie daj się skusić potrzebie osiągnięcia czegokolwiek, a wtedy osiągniesz wszystko.

Podczas, gdy to mówił, dotarli do jej komnat. Wepchnął ją za kotary.

- Haro! Haro! - zawołał. - Nadszedł czas Chani! Wezwij lekarzy! Jego zdenerwowany głos poderwał służbę. W ogólnej bieganinie

Chani czuła się samotną wysepką spokoju... dopóki nie przyszedł następny ból.

Hayt, wyproszony na korytarz, analizował swoje własne działania. Czuł, że jest przytwierdzony do pewnego punktu w czasie, gdzie wszystkie prawdy są tylko prowizoryczne.

Uzmysłowił sobie, że źródłem tego, co robił, była panika. Panika - powodowana nie tyle możliwością śmierci Chani, co reakcją Paula, który przyjdzie do niego, pogrążony w żałobie... bo jego ukochana odeszła... odeszła...

"Coś nie może wyłonić się z niczego - powiedział sobie. - Skąd bierze się ta panika?"

Czuł, jak jego zdolności mentata słabną. Z obawą wypuścił z płuc powietrze. Unosił się nad nim psychiczny cień. W emocjonalnej próżni czekał na jakiś realny dźwięk, choćby trzask gałązki w dżungli.

Westchnął. Niebezpieczeństwo minęło, nie uderzając.

Siły powoli powracały. Hayt odrzucił zahamowania, zagłębił się w mentackiej świadomości. Zmusił się do tego. Nie było to metodą najlepszą, lecz w tej chwili konieczną. Snuły się w nim widmowe cienie. Był stacją przekaźnikową dla wszystkich danych, do jakich kiedykolwiek miał dostęp. Istniał i działał, bo tak zostały zaprogramowane jego możliwości. Informacje przyływały jedna za drugą, by mógł je porównać, ocenić.

Pot zrosił mu czoło.

Strzępy myśli ulatywały w nieodgadnioną ciemność. Nieskończone systemy! Mentat nie mógłby funkcjonować, nie zdając sobie sprawy, że pracuje w nieskończonych systemach. Niezmienna wiedza nie mogła ogarnąć nieskończoności.

"Wszędzie" nie mieściło się w skończonej perspektywie. On sam musiał stać się nieskończonością - choćby na jedną chwilę.

W tym krótkim spazmie wizja nabrała wyraźnego kształtu. Ujrzał rozpartego przed sobą karła, płonącego jakimś wewnętrznym ogniem.

Bidżaz!

"To on mi to zrobił!"

Hayt miał wrażenie, że chwieje się na krawędzi śmiertelnej otchłani. Skupił się na wybiegającej w przyszłość operacji mentackiego rozumowania, by dowiedzieć się, czym zaowocują jego własne uczynki.

- Przemoc - zachłysnął się - mam być narzędziem przemocy! Mijający go goniec w niebieskim płaszczu zatrzymał się.

- Powiedziałeś coś, panie?

Nie patrząc na niego, ghola skinął głową.

- Powiedziałem wszystko.

*Był człowiek raz proroczy
Co wskoczył w piaskownicę
I spalił solne oczy!
Gdy poznał już, że stracił je
Nie skarżył się, o nie,
Przywołał wielką wizję
I świętym nazwał się.*

*Wierszyk dziecięcy
Z "Historii Muad'Diba"*

Paul stał w ciemności pod otwartym niebem. Prorocza wizja mówiła mu, że jest noc, że księżyc rysuje srebrne kontury kaplicy na szczycie Szczęki, wysoko po lewej stronie.

To miejsce przesiąknięte było wspomnieniami - jego pierwsza sicz, gdzie on i Chani...

"Nie wolno mi myśleć o Chani" - powiedział sobie.

Wyczerpujący się już kielich wizji mówił mu o zmianach, jakie zaszły wkoło. Gaj palmowy, ciągnący się daleko w prawo, czarno - srebrna linia kanatu, niosąca wodę na przekór wydmom, usypanym przez wichurę dzisiejszego ranka.

Woda na pustyni! Przywołał na myśl inne wody, płynące rzekami na jego rodzinnej planecie, Kaladanie. Wtedy nie wiedział jeszcze, jakim skarbem jest taki potok, nawet ten zwykły chlupot w kanacie rozcinającym pustkowie. Skarb.

Zbliżający się adiutant zakasłał dyskretnie.

Paul wyciągnął rękę po magnetyczną raportówkę z pojedynczą kartką metalicznego papieru. Poruszał się równie ospale jak woda w kanacie. Pasma wizji przesuwało się, ale czuł w sobie narastający opór, kiedy miał dać się jej unieść.

- Przepraszam, Sire - powiedział adiutant. - Traktat Semboulański... pański podpis...

- Mogę to sam przeczytać! - zachnął się Paul.

Naskrobał "Imper. Atryda" we właściwym miejscu i zwrócił teczkę, wciskając ją prosto w wyciągniętą dłoń tamtego, świadomy grozy, jaką wzbudził.

Adiutant oddalił się pośpiesznie.

Paul odwrócił się. Koszmarna, jałowa ziemia! Wyobraził ją sobie w pełnym słońcu i potwornym upale - kraina ruchomych piasków i ciemnych czeluści pyłowych, szatańskich podmuchów, rozwieszających na skałach łańcuchy wąskich wydm o brzuchach pełnych kryształów

ochry. Ale była to też bogata ziemia - ogromna, pełna ciasnych wąwozów, zaskakująca panoramą strąconej przez burze pustki, fortami urwisk i osypujących się grani.

Wszystkim, czego potrzebowała, była woda... i miłość.

"Życie zmieniało te gniewne pustkowia we wdzięczne, pełne ruchu kształty" - pomyślał. Takie było przesłanie pustyni. Kontrast tych obrazów oszołomił go. Imperator chciał odwrócić się ku swym ludziom, stłoczonym w wejściu do siczki i krzyknąć: Jeśli już musicie coś czcić, czcijcie życie - wszystko, co żyje, każdą jego raczkującą cząstkę. W jego pięknie wszyscy się jednoczmy!

Nie zrozumieliby. Na jałowej ziemi sami byli nieskończenie jałowi. Rozwijające się rośliny nie dla nich tańczyły zielony balet.

Zacisnął obie pięści, starając się powstrzymać wizję. Chciał uwolnić się od własnego umysłu - bestii, która powstała, by go pożreć! Świadomość tkwiła w nim, obciążona całym tym życiem, które wchłonęła, przesiąknięta zbyt wieloma doznaniem.

Desperacko pozbył się tych myśli.

Gwiazdy!

Świadomość zawirowała na myśl o nieskończonej liczbie tych wszystkich gwiazd ponad nim. Człowiek musi być szalony, jeśli wyobraża sobie, że mógłby rządzić chociaż kroplą z tej masy. On sam nie mógł sobie nawet wyobrazić liczby poddanych, z których składało się jego Imperium.

Poddanych? Raczej czcicieli i wrogów. Czy którykolwiek z nich sięgał wzrokiem poza sztywne dogmaty? Gdzie był choć jeden, który umknął z wąskiej ścieżki swoich uprzedzeń? Nawet Imperator tego nie dokonał. Zachłannie przeżył życie, starając się ukształtować wszechświat na swój własny obraz. A teraz ten wszechświat przedzierał się przezeń cichymi falami.

"Pluję na Diunę - pomyślał. - Daję jej swoją wilgoć!" Ten mit, który tworzył się z zawiłych posunięć i wyobraźni, z miłości i światła księżyca, z modlitw starszych od Adama, z szarych urwisk i purpurowych cieni, płaczu i rzeki ofiar - czym stał się w końcu? Gdy fale opadną, brzegi Czasu będą rozpościerać się wymyte, puste, połyskując niezliczonymi drobinami wspomnień i niczym poza tym. Czy tak miała wyglądać złota Geniza człowieka?

Chrzęst piasku pod nogami uprzedził go o nadejściu gholi.

- Unikaleś mnie dziś, Duncan.

- Nie jest bezpiecznie dla ciebie, tak mnie nazywać - powiedział ghola.

- Wiem.

- Przyszedłem... ostrzec cię, panie. - Wiem.

Ghola wyrzucił z siebie historię nacisku, jaki wywarł nań Bidżaz.

- Czy wiesz, co jest istotą tego nacisku? - spytał Paul. - Przemoc.

Paul poczuł, że oto dotarł do miejsca, które wołało go od początku. Stał w niepewności. Dżihad zagarnęła go, wepchnęła na równię pochyłą, z której potworne ciążenie Przyszłości nigdy nie pozwoli mu się wyrwać.

- Ze strony Duncana nie będzie przemocy - szepnął.

- Ależ, panie...

- Opowiedz mi, co widzisz dokoła - zażądał Paul.

- Panie mój?

- Pustynia. Jak teraz wygląda?

- Czyjej nie widzisz?

- Nie mam oczu, Duncan. - Ale...

- Mam tylko swoją wizję - rzekł Paul. - I dałbym wiele, by jej nie mieć. Umieram od jasnowidzenia. Nie wiedziałeś o tym, Duncan?

- Może... to, czego się obawiasz, nie nastąpi.

- Co? Mam zaprzeczyć swej własnej wyroczni? Jak mógłbym, skoro widziałem, że spełnia się tysiące razy? Ludzie zwą to mocą, darem. To ułomność! Nie pozwoli, bym przeżył życie tam, gdzie je odnalazłem!

- Mój panie - wyszeptał ghola - ja., to nie jest., młody paniczu, nie... ja... - zamilkł.

Paul wyczuł jego zmieszanie i zapytał:

- Jak mnie nazwałeś, Duncan?

- Jak? Jak ja... chwileczkę...

- Powiedziałeś do mnie: "młody paniczu".

- Tak, rzeczywiście.

- Tak właśnie Duncan zawsze do mnie mówił. - Paul wyciągnął rękę i dotknął twarzy gholi.

- Czy to część twego tleilaxańskiego wykształcenia?

- Nie.

Paul opuścił rękę.

- To wypłynęło z... ze mnie.

- Służysz dwóm panom? - Może.

- Uwolnij się od gholi, Duncan.

- Jak?

- Jesteś człowiekiem. Zrób coś ludzkiego.

- Jestem ghola!

- Ale twoje ciało jest ludzkie. Tam, wewnątrz, jest Duncan.

- Wewnątrz jest coś.

- Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz - powiedział Paul - ale zrobisz to.

- Masz przeczucie?

- Do diabła z przeczuciami!

Paul odwrócił się. Jego wizja wartko toczyła się teraz naprzód, były w niej luki, ale nic nie było w stanie jej powstrzymać. - Panie, jeśli ty...

- Cicho! - Paul uniósł rękę. - Słyszałeś?

- Co miałem słyszeć, mój panie?

Paul potrząsnął głową. Duncan nie słyszał. Czyżby sam wymyślił ten głos? Z głębi pustyni - z bardzo daleka, bardzo cicho - doleciało do niego wołanie. Jego plemienne imię: Usul... Uuussuulll!...

- O co chodzi, panie?

Paul znów potrząsnął głową. Czuł, że jest obserwowany. Coś, tam na zewnątrz, pośród nocnych cieni, wiedziało, że jest tutaj. Coś? Nie. Ktoś.

- Było cudownie... - wyszeptał. - A najcudowniejsza byłaś ty.

- Co powiedziałaś, panie?

- To przyszłość - odrzekł Paul.

Otoczający go amorficzny, ludzki wszechświat wykonał nagle kosmiczny skok, zatańczył w takt wizji. Potem uderzył potężny dźwięk. Pozostały po nim błakające się, widmowe echa.

- Nie rozumiem, panie - rzekł ghola.

- Fremen umiera, kiedy zbyt długo przebywa z dala od pustyni - powiedział Paul. - Nazywają to wodną chorobą. Czy to nie dziwne?

- To bardzo dziwne.

Paul niecierpliwie przetrząsał wspomnienia, starając się odnaleźć w nich oddech Chani, przy nim, w środku nocy. "Gdzież pocieszenie?" - myślał. Jedyne, co pamiętał, to śniadanie z Chani tego dnia, w którym wyruszali na pustynię. Była niespokojna, rozdrażniona.

"Dlaczego włożyłeś tę starą marynarkę? - spytała, mierząc wzrokiem czarną kurtkę mundurową z godłem czerwonego jastrzębia, wystającą spod fremeńskiego płaszcza. - Jesteś Imperatorem".

"Nawet Imperator ma swoje ulubione ubrania" - odparł.

Z jakiegoś powodu, którego nie umiał wyjaśnić, w oczach Chani pojawiły się prawdziwe łzy, łamiąc fremeńskie zahamowania po raz drugi w całym jej życiu.

Teraz w ciemności Paul przeciągnął dłonią po własnych policzkach, czując pod palcami wilgoć. "Któż daje wodę umarłym?" - pomyślał. Jego własna twarz, a jakby nie jego. Wiatr chłodził mokrą skórę. Kruche marzenie nabrało kształtu i przysło. Cóż to pęczyło teraz w jego

piersi? Jakże gorzkie i żałosne było to drugie "ja", dające wilgoć umarłej. Wiatr najeżył się ziarenkami piasku. Skóra, teraz już sucha, była jego własną skórą. Ale czym było to drżenie, które pozostało?

Usłyszeli lament, głęboko w czeluściach jaskini. Przybierał na sile, rósł...

Ghola okręcił się w nagłym błysku światła, padającego z rozwartych szeroko grodzi wejściowych. W blasku ujrzał człowieka o twarzy wykrzywionej uśmiechem - nie, nie uśmiechem, grymasem żalu. Był to porucznik fedajkinów, Tandis. Za nim tłoczyło się wielu ludzi, którzy ucichli nagle na widok Muad'Diba.

- Chani... - zaczął Tandis.

- Nie żyje - szepnął Paul. - Słyszałem jej wołanie.

Odwrócił się twarzą w kierunku skalnej siczy. Znał to miejsce. Tu nie mógłby się ukryć. Wizja ruszyła znów w oszałamiającym tempie, pokazując mu całe zbiorowisko Fremenów. Widział Tandisa, czuł żal, strach i gniew fedajkina.

- Ona odeszła - powiedział Paul.

Ghola usłyszał, jak słowa dobiegają doń przez płomienie bólu. Paliły jego pierś, kręgosłup, orbity metalowych oczu. Czuł, jak prawa dłoń przesuwając się do noża za pasem. Myśli w dziwny sposób rozwarstwiły się. Był marionetką, trzymaną na uwięzi przez sznurki, wybiegające z tej okropnej aureoli. Poruszał się zgodnie z cudzymi rozkazami, cudzymi pragnieniami. Sznurki szarpały jego ramiona, nogi, szczęki. Z zaciśniętych ust dobyło się straszliwe, powtarzane charczenie:

- Hraak! Hraak! Hraak! Nóż wzniósł się, by uderzyć.

- Biegnij! Młody paniczu, uciekaj! - wykrztusił chrapliwie, odzyskawszy na moment własny głos.

- Nie będziemy uciekać - odparł Paul. - Będziemy poruszać się z godnością. Stanie się to, co musi zostać zrobione.

Mięśnie gholi znieruchomiały. Zadygotał, zachwiał się. "...co musi zostać zrobione!" Słowa przetoczyły się przez mózg jak wielka ryba, wynurzająca się na powierzchnię, "...co musi zostać zrobione!" Ach, całkiem jak Stary Książę, dziadek Paula Młody panicz miał w sobie coś z niego, "...co musi zostać zrobione!"

Na wspomnienie tych słów zasłony, okrywające jego świadomość, zaczęły opadać. Poczuł, że równocześnie przeżywa dwa życia: Hayt - Idaho, Hayt - Idaho... Stał się nieruchomym łańcuchem relatywnych istnień, pojedynczych, samotnych. Zalały go stare wspomnienia. Dostrzegł je, nadał im nowy sens. Zaczaj scalać tę tworzącą się świadomość. Nowa osoba zapanowała nad

jego wnętrzem. Syntezę mącił pewien nieład, lecz wypadki zmuszały go do prowizorycznych rozwiązań. Młody panicz potrzebował go.

A więc "...zostało zrobione". W pamięci pozostało wszystko, co było Haytem, lecz ghola poznał w sobie Duncana Idaho, który dotychczas głęboko w nim ukryty, został teraz wyzwolony przez płonący zapalnik. Obezwładniający krąg rozwiązał się. Idaho zrzucił z siebie kajdany Tleilaxan.

- Zostań blisko mnie, Duncan - powiedział Paul. - W wielu sprawach będę musiał polegać na tobie.

Idaho dalej stał jak w transie. - Duncan!

- Tak, jestem Duncan.

- Oczywiście, że jesteś! Chwilę temu wróciłeś. Wejźmy teraz do środka.

Idaho szedł u boku Paula. Było jak dawniej, a jednak nie tak samo. Teraz, gdy już uwolnił się od Tleilaxan, mógł w pełni docenić, czym go obdarowano. Zensunnickie przygotowanie pomogło mu przezwyciężyć szok, spowodowany biegiem zdarzeń. Trening mentacki stworzył przeciwwagę. Duncan odsunął od siebie strach, zapanował nad jego źródłem. Cała jego świadomość rozglądała się z nieskończonym zdziwieniem: był martwy. A teraz żyje.

- Sire - odezwał się fedajkin Tandis, kiedy zbliżyli się do niego. - Ta kobieta, Lichna, mówi, że musi się z tobą zobaczyć. Kazałem jej czekać.

- Dziękuję - powiedział Paul. - Poród..?

- Rozmawiałem z medykami - rzekł Tandis, idąc obok nich. - Mówią, że masz dwoje dzieci, żywych i zdrowych.

- Dwoje? - Paul potknął się i oparł na ramieniu Idaho.

- Chłopca i dziewczynkę - rzekł Tandis. - Widziałem je. To dobre, fremieńskie dzieci.

- Jak... jak umarła? - wyszeptał.

- Tak, panie? - Tandis nachylił się bliżej.

- Chani - dokończył Paul.

- To poród, panie - wykrztusił Tandis. - Powiedzieli, że jej ciało odwodniło się przez to tempo. Nie rozumiem tego, ale tak właśnie powiedzieli.

- Zabierz mnie do niej - szepnął Paul. - Panie?

- Zabierz mnie do niej!

- Tam właśnie idziemy, panie. - Tandis znów nachylił się do ucha Paula. - Dlaczego twój ghola niesie obnażony nóż?

- Duncan, schowaj nóż - rozkazał Paul. - Czas przemocy minął.

Dwoje dzieci! Wizja ukazała tylko jedno. A jednak wszystko biegło dokładnie tak, jak pokazała wizja. Był tu ktoś, kto czuł ból i gniew. Kim on był? Jego świadomość dreptała w ograniczonym kręgu, odtwarzając życie ze wspomnień.

Dwoje dzieci?

Znów się potknął. "Chani, Chani - pomyślał. - Nie było innego wyjścia. Chani, ukochana wierz mi, że ta śmierć była dla ciebie szybsza... i łaskawsza. Wzięliby nasze dzieci jako zakładników, ciebie trzymaliby w klatce w niewolniczych sztolniach, lżyli, obarczając winą za moją śmierć. A w ten sposób... W ten sposób zniszczymy ich i ocalimy nasze dzieci."

Dzieci?

Jeszcze raz się potknął.

"Dopuszczałem do tego - myślał - powinienem czuć się winny."

Hałaśliwy tumult wypełniał jaskinię, ku której zmierzali. Stawał się coraz głośniejszy, dokładnie tak jak pamiętał. Tak, to był ten sam wzór wizji, nienaruszony, mimo iż dzieci było dwoje.

"Chani nie żyje" - powiedział do siebie.

W odległej przeszłości, którą dzielił z innymi, zaprogramowana przyszłość wskazała na niego, oddzieliła od innych i zepchnęła w otchłań, której ściany zbliżały się do siebie. Czuł, jak one zacieśniają się wokół niego. Tą drogą biegła wizja.

"Chani nie żyje. Powinienem oddać się rozpacz."

Ale to nie była droga, którą biegła wizja.

- Czy wezwano Alię? - zapytał.

- Jest razem z przyjaciółmi Chani - odpowiedział Tandis.

Paul wyczuł, jak ludzie cofają się, by zrobić mu przejście. Milkli, gdy się zbliżał. Hałas zaczął zamierać. Chciał usunąć tych ludzi ze swej wizji, lecz okazało się to niemożliwe. Każda twarz obracająca się za nim była bezlitosna w swym zaciekawieniu. O tak, demonstrowali smutek, ale wewnątrz przepełniało ich okrucieństwo satysfakcji. Oto oglądali, jak milknie gadatliwy, jak mędrzec staje się głupcem. Wszak błazen wyzwalał okrutne instynkty. To było gorsze niż czuwanie przy zwłokach, choć mniej bolesne niż wywoływanie duchów.

Paul czuł, jak jego dusza błagała o wytchnienie, ale wizja pchała go naprzód. "Jeszcze tylko trochę dalej" - mówił sobie.

Czarny, pozbawiony obrazów mrok ogarnął go tuż za progiem. To było miejsce wydarte z wizji przez boleść i winę, miejsce, gdzie upadł książę.

Paul potknął się przy wejściu i byłby upadł, gdyby nie Idaho, który w żelaznym uścisku trzymał jego ramię. Krzepiąca ostoja, wiedząca, jak dzielić ból w milczeniu.

- To tutaj - powiedział Tandis.

- Ostrożnie, Sire - ostrzegł Idaho, pomagając mu sforsować wysoki próg.

Kotary musnęły twarz Paula. Idaho zatrzymał go lekkim pociągnięciem.

Paul znał ten pokój. To była grota, której skalne ściany okryte były przez tkane zasłony.

- Gdzie jest Chani? - wyszeptał Paul.

- Jest tutaj, Usul - odpowiedział mu głos Hary.

Wyrwało mu się stłumione westchnienie. Bał się, że zabrano już jej ciało do destylarni, w których Fremeni odyskiwali wodę plemienia. Czy tak właśnie miała rozwijać się wizja? Czuł się opuszczony w swojej ślepotcie.

- A dzieci? - spytał.

- Też są tutaj, mój panie - odparł Idaho.

- Masz śliczne bliźnięta, Usul - powiedziała Hara. - Chłopca i dziewczynkę. Widzisz? Mamy je tu, w kolebce.

"Dwoje dzieci - myślał Paul z niedowierzaniem. - Wizja mówiła tylko o córce." Puścił ramię Idaho, kierując się tam, skąd słyszał Harę. Wpadł na twardą powierzchnię. Dotknął jej: metaszkłany zarys kołyski. Ktoś ujął jego lewą rękę.

- Usul? - to była Hara. Prowadziła jego dłonie w kołysce. Czuł delikatne ciało. Było takie ciepłe! Dotykał fałdek skóry, wrażliwe palce owionął dziecięcy oddech.

- To jest twój syn - szepnęła Hara. Przesunęła jego rękę. - A to twoja córka. - Jej dłoń zacisnęła się na jego przegubie. - Usul, czy naprawdę jesteś teraz ślepy?

Wiedział, o czym myślała. Ślepych należy porzucić w pustyni. Fre - meńskie plemiona nie obarczały się martwymi duszami.

- Zabierz mnie do Chani - kazał, ignorując jej pytanie. Obróciła go i poprowadziła w lewo.

Czuł teraz, że może już pogodzić się ze śmiercią Chani. Zajął we wszechświecie miejsce, jakiego nie pragnął, nosił ciało, które go uwierało. Każdy oddech ranił jego duszę.

Dwoje dzieci! Czyżby wpadł w zaulek, z którego jego widzenie miało nigdy nie wrócić? Wydało mu się to nieistotne.

- Gdzie jest mój brat?

To głos Alii, tuż za nim. Słyszał w nim pośpiech, czuł jej zdecydowanie, gdy wzięła jego rękę od Hary.

- Muszę z tobą pomówić! - syknęła.

- Za chwilę - odparł.

- Teraz! Chodzi o Lichnę.

- Wiem. Za chwilę.

- Nie masz ani chwili!

- Mam wiele chwil.

- Ale Chani nie!

- Uspokój się! - rozkazał. - Chani nie żyje. - Położył dłoń na jej ustach, gdy usiłowała protestować. - Masz być" cicho! - Czuł, jak się poddaje. Cofnął rękę. - Opowiedz, co widzisz - zażądał.

- Paul! - w jej głosie przez łzy przebijało uczucie zawodu.

- Mniejsza z tym - rzucił.

Zmusił się do spokoju i na moment wróciła wizja, otwierając widok na żalobną komnatę. Tak - tu było cicho. Ciało Chani leżało na marach w kręgu światła. Ktoś nałożył jej białą szatę, starając się ukryć plamy krwi od porodu. To nie miało znaczenia; Paul nie mógł odwrócić uwagi od wizji jej twarzy: wieczność zastygła w nieruchomych rysach!

Odwrócił się, obraz przemieścił się wraz z nim. Odeszła, by nigdy nie wrócić. Wszystko, cały wszechświat zionął pustką. Wszędzie próżnia. Chciał zapłakać, lecz łzy nie płynęły. Czyżby za długo żył jako Fremen? Jej śmierć wołała o daninę wody!

Gdzieś blisko rozkrzyczało się dziecko, ktoś je utulił. Krzyk jakby zaciągnął zasłonę na jego widzenie. Z ulgą powitał ciemność. 'To jest inny świat - pomyślał. - Dwoje dzieci'.

Ta myśl powracała jak echo jakiegoś zagubionego proroczego transu. Jeszcze raz spróbował przywołać wizję przyszłości, lecz jego umysł poddawał się. Żaden szczegół z przyszłości nie docierał do tej nowej świadomości. Czuł, że odrzuca przyszłość - każdą przyszłość.

- Żegnaj, Sihajo - szepnął.

Gdzieś z dala dobiegł głos Alii, szorstki i stanowczy:

- Przyprowadziłam Lichnę.

- To nie jest Lichna - Paul odwrócił się. - To jest Tancerz Oblicza. Lichna nie żyje.

- Ale posłuchaj, co mówi - nalegała Alia.

Paul powoli przesunął się w stronę, skąd dolatywał jej głos.

- Nie jestem zaskoczony, że widzę cię żywego, Atrydo - głos przypominał Lichnę, choć były pewne subtelne różnice, jak gdyby mówiący używał strun głosowych Lichny, lecz nie troszczył się już o pełną kontrolę.

Uderzyła Paula dziwna nuta uczciwości w tym głosie.

- Nie jesteś zaskoczony? - zapytał.

- Jestem Scytalus, tleilaxariski Tancerz Oblicza i chciałbym dowiedzieć się czegoś, zanim zaczniemy pertraktacje. Czy ten, który stoi za tobą, to ghola czy Duncan Idaho?

- To Duncan Idaho - odparł Paul - i nie będę z tobą pertraktować.

- Myślę, że będziesz - stwierdził Scytalus.

- Duncan - rzucił Paul przez ramię - czy zabijesz tego Tleilaxanina, jeśli tego zażądam?

- Tak, panie - w głosie Idaho brzmiała tłumiona furia

- Zaczekaj! - zawołała Alia. - Nie wiesz, co odrzucasz.

- Ależ wiem - powiedział Paul.

- A więc to naprawdę Duncan Idaho, rycerz Atrydów - mówił Scytalus. - Znaleźliśmy dźwignię! Ghola może odzyskać przeszłość.

Paul słyszał kroki, ktoś minął go z lewej strony. Głos Tleilaxanina dochodził teraz z tyłu.

- Co pamiętasz ze swojej przeszłości, Duncanie? ,

- Wszystko. Począwszy od dzieciństwa. Pamiętam nawet, że stałeś przy zbiorniku, gdy wyciągaliście mnie stamtąd.

- Wspaniale - sapnął Scytalus. - Świetnie.

Paul słyszał, jak głos wędruje. "Potrzebne mi widzenie" - powtarzał w duchu. Ciemność deprymowała go. Wiedza zdobyta dzięki Bene Gesserit ostrzegała go, że Scytalus stanowi śmiertelne zagrożenie, ale nie widział go, był tylko głosem, cieniem ruchu - tuż obok niego.

- To są atrydzkie dzieciaki? - zapytał Scytalus.

- Haro! - krzyknął Paul. - Zabierz je stąd!

- Zostańcie na miejscach! - wrzasnął Scytalus. - Wszyscy! Ostrzegani was, Tancerz Oblicza potrafi poruszać się szybciej, niż podejrzewacie. Mój nóż może przeciąć oba te żywoty, zanim zdolacie mnie tknąć.

Paul poczuł, jak ktoś opiera się o jego ramię i przesuwają dalej w prawo.

- Wystarczy, Alia - rzucił Scytalus.

- To moja wina - jęknęła Alia. - Moja wina!

- Atrydo - ciągnął Tancerz Oblicza - czy teraz będziemy pertraktować?

Za plecami Paula rozległo się plugawe przekleństwo. Powstrzymana wściekłość w głosie Idaho przyprawiła go o skurcz w krtani. Duncan musi się powstrzymać! Scytalus zabiłby dzieci.

- Żeby ubić interes, trzeba mieć coś do sprzedania - mówił Scytalus. - Nieprawdaż, Atrydo? Chciałbyś mieć z powrotem swoją Chani? Możemy ją dla ciebie odtworzyć. Ghola, Atrydo. Ghola o pełnym zapisie wspomnień. Ale musimy się spieszyć. Każ swoim przyjaciółom przynieść krioniczny zbiornik, w którym przechowa się ciało.

"Znów słyszeć głos Chani! - myślał Paul. - Czuć przy sobie jej obecność. Ach, więc po to podarowali mi gholę Idaho, żebym odkrył, jak bardzo rekonstrukcja przypomina oryginał. A teraz całkowite odtworzenie... za ich cenę. Na zawsze zostanę tleilaxańską marionetką. A Chani...

spętana tym samym przeznaczeniem z obawy o nasze dzieci, raz jeszcze narażona na intrygi Kwizaratu..."

- Jakiej presji użyjecie, by przywrócić Chani pamięć? - zapytał, z trudem opanowując głos.

- Każecie jej zabić własne dzieci?

- Zastosujemy presję, jakie będą niezbędne - stwierdził Scytalus. - Co odpowiesz, Atrydo?

- Alio - powiedział Paul - pertraktuj z tym czymś. Nie mogę targować się z czymś, czego nie widzę.

- Mądra decyzja - pochwalił Scytalus. - No, co mi zaoferujesz jako pełnomocnik twojego brata?

Paul opuścił głowę, starając się uspokoić. Coś mu błysnęło - coś na kształt wizji, ale to nie była wizja. To był wiszący nad nim nóż. Tam!

- Pozwól mi chwilę pomyśleć - opierała się Alia.

- Mój nóż jest ciepły - rzekł Scytalus - ale ciało Chani nie. Niech to będzie rozsądna chwila

Paul poczuł, że mruga. To nie mogło się zdarzyć.... ale było! Czuł oczy. Sposób, w jaki patrzyły, był dziwny, a wykonywane ruchy nie - zborne. Tam! Nóż znowu pojawił się w polu widzenia.

W zapierającym dech oszołomieniu Paul zrozumiał, skąd patrzą jego oczy. To były oczy jednego z jego dzieci! Patrzył na uzbrojoną rękę Tancerza Oblicza z kołyski! Nóż połyskiwał tylko o kilka cali od niego. Tak - widział też siebie w drugim kącie pokoju, z opuszczoną głową, stojącego cicho, niegroźną postać, zapomnianą przez obecnych.

- Na początek moglibyście scedować na nas wszystkie wasze udziały w KHOAM - podsunął Scytalus.

- Wszystkie? - zaprotestowała Alia.

- Wszystkie.

Obserwując siebie oczyma z kołyski, Paul wysunął krysnóż z pochwy przy pasie. Ruch ograniczony był przedziwnym poczuciem rozdwojenia. Mimo to obliczył odległość, kąt. Nie będzie drugiej szansy. Przygotował swoje ciało Metodą Bene Gesserit. Jak nakręcona sprężyna przygotował się na ten jedyny skoncentrowany ruch, akt prana, w którym wszystkie jego mięśnie miały zagrać w wysublimowanej jedności.

Krysnóż wyprysnął z jego dłoni. Mlecznobiała krecha strzeliła w oko Scytalusa, odrzucając jego głowę w tył. Tancerz Oblicza wyrzucił obie ręce w górę i zatoczył się na ścianę. Nóż odbił się od sufitu i spadł na ziemię. Scytalus osunął się po ścianie i runął twarzą w dół, martwy, nim jeszcze dotknął podłogi.

Wciąż posługując się oczyma z kolebki, Paul obserwował, jak twarze w pokoju odwracają się w stronę jego bezokiej postaci; dostrzegał symptomy wspólnego szoku. Potem Alia podbiegła do łóżeczka, nachyliła się nad nim i przesłoniła mu widok.

- Och, są bezpieczne... - powtarzała. - Są bezpieczne.

- Panie - wyszeptał Idaho - czy to była część twojej wizji?

- Nie. - Paul machnął ręką. - Zostawmy to.

- Wybacz mi, Paul - powiedziała Alia - ale kiedy to stworzenie powiedziało, że mogą... ożywić...

- Są takie ceny, których Atrydom nie wolno zapłacić - przerwał Paul. - Wiesz o tym.

- Wiem - westchnęła. - Ale uległam pokusie...

- Któż jej nie uległ? - spytał Paul.

Odwrócił się od nich, po omacku dotarł do ściany, oparł się o nią i starał się pojąć to, co uczynił. Jak? Jak? Oczy w kołysce. Czuł, że znajduje się na skraju niesamowitego odkrycia.

- Moimi oczyma, ojcze.

Dochodzące go słowa przebiły się przez ponowną ciemność.

- Mój syn! - szepnął Paul, zbyt cicho, by ktokolwiek usłyszał. - Jesteś... świadomy.

- Tak, ojcze. Patrz!

Paul bezwładnie przylgnął do ściany, czując nagły zawrót głowy. Był zmaltretowany i wyczerpany. W jednej chwili ujrzał całe swe życie. Widział swojego ojca. Był swoim ojcem. I dziadem, i pradziadami. Jego świadomość tłukła się w niesamowitym szpalerze męskich przodków.

- Jak? - zapytał cicho.

Pierwsze słowa zamajaczyły nieśmiało, zbladły i znikły, jak gdyby wysiłek był zbyt wielki. Paul wytarł ślinę z kącika ust Przypomniął sobie przebudzenie Alii w łonie lady Jessiki. Lecz tym razem nie było Wody Życia, żadnego przedawkowania melanzu... A może było? Czy tak objawiał się ciągły głód Chani? A może to końcowy produkt jego linii genetycznej, przewidziany przez Wielebną Matkę Gaius Helenę Mohiam?

Czuł więc, że jest w kołysce, a Alia mówi do niego, głaszcząc go delikatnie. Jej ogromna twarz pojawiła się tuż nad nim. Obróciła go na bok i zobaczył swoją towarzyszkę - dziewczynkę o wystających żebrach, której silny wygląd wskazywał na dziedzictwo pustyni. Na główce miała szopę brązowo - rudych włosów. Gdy się jej przyglądał, otworzyła oczy. Jej oczy! Patrzyła z nich Chani.... i lady Jessika. Oczy małej pełne były jego wspomnień.

- Popatrzcie - powiedziała Alia - przyglądają się sobie.

- Takie małe dzieci nie widzą wyraźnie - orzekła Hara.

- Ja widziałam.

Paul powoli uwalniał się z tej zaskakującej świadomości. Znalazł się z powrotem pod swą ścianą płaczu i oparł o nią czoło. Idaho lekko trącił go w ramię.

- Panie?

- Niech mój syn nosi imię Leto po moim ojcu - powiedział Paul, prostując się.

- Gdy przyjdzie czas nadać imiona - odezwała się Hara - stanę przy twym boku jako przyjaciółka ich matki i dam mu to imię.

- A córka - ciągnął Paul - będzie nosić imię Ghanima.

- Usul! - zaprotestowała Hara. - Ghanima to złowróźbne imię.

- Tobie ocaliło życie - rzekł Paul. - Cóż z tego, że Alia dokuczała ci tym imieniem. Moja córka to Ghanima, łup wojenny.

Usłyszał, jak za jego plecami skrzypnęły koła. Wytaczano mary, na których leżało ciało Chani. Rozległ się śpiew, otwierający Rytuał Wody.

- Hal jawm! - powiedziała Hara. - Muszę teraz odejść, jeśli mam być świadkiem uświęconej prawdy i po raz ostatni stanąć u boku mej przyjaciółki. Jej woda należy do plemienia.

- Jej woda należy do plemienia - powtórzył cicho Paul.

Słyszał oddalające się kroki. Wyciągnął przed siebie rękę i natrafił na rękaw Idaho.

- Zabierz mnie do mojej kwatery, Duncan.

Gdy znaleźli się na miejscu, odsunął delikatnie Duncana. Przyszedł czas, by został sam. Lecz zanim Idaho zdołał opuścić komnatę, pod drzwiami zrobiło się zamieszanie.

- Mistrzu! - wołał od progu Bidżaz.

- Duncan - uprzedził Paul - pozwól mu zrobić tylko dwa kroki. Jeśli podejdzie bliżej, zabij go.

- Tak jest - odparł Idaho.

- Czyżby to Duncan? - spytał Bidżaz. - Czy to naprawdę Duncan Idaho?

- Jestem nim - powiedział Idaho. - Wszystko pamiętam.

- A więc plan Scytalusa się powiódł!

- Scytalus zginął - rzekł Paul.

- Aleja nie i plan także nie! - gorączkował się Bidżaz. - Na zbiornik, w którym wyrosłem! Można to urzeczywistnić! Będę miał przeszłość - wszystkie przeszłości. Potrzebny jest tylko jeden odpowiedni spust.

- Spust? - powtórzył Paul.

- Impuls, by cię zabić - głos Idaho nabrzmiały był gniewem. - Kalkulacja mentata: odkryli, że traktowałem cię jak syna, którego nigdy nie miałem. Prędzej, niżbym cię zabił, prawdziwy

Duncan Idaho przejąłby w posiadanie ciało gholi, ale... mogłem zawieść. Powiedz mi, karle, gdyby wasz plan zawiódł, gdybym go zabił, co wtedy?

- Och... wtedy układalibyśmy się z siostrą o ocalenie brata. Ale obecnie pozycja przetargowa jest lepsza.

Paul wciągnął głęboki haust powietrza. Słyszał żałobników, schodzących teraz ostatnim korytarzem ku głębokim piwnicom i destylatorniom.

- Nie jest za późno, panie - powiedział Bidżaz. - Czy chcesz odzyskać swoją ukochaną? Możemy ci ją przywrócić. Gholę, owszem. Ale teraz zapewniamy pełną rekonstrukcję. Czy rozkażesz przywołać służbę z krionicznym zbiornikiem, by przechować ciało twojej najdroższej?

Paul zdał sobie sprawę, że tym razem będzie mu trudniej. Wyczerpał siły, opierając się pierwszej pokusie. A teraz wszystko zaczęło się od początku. Raz jeszcze poczuć obecność Chani...

- Uciszyć go - powiedział do Idaho w języku walki Atrydów. Posłyszał, jak ten zmierza w stronę drzwi.

- Mistrzu! - zaskrzeczał Bidżaz.

- Jeśli mnie miłujesz - ciągnął Paul w języku walki - wyświadczyć mi tę łaskę: zabij go, zanim się poddam!

- Neeee! - krzyknął karzeł.

Krzyk urwał się nagle w zdławionym charkocie.

- Wyświadczyłem mu tę przysługę - rzekł Idaho.

Paul pochylił głowę nasłuchując. Nie słyszał już płaczek. Myślał o pradawnym fremieńskim misterium, odbywającym się teraz głęboko na dnie pieczary, w komorze zgonsusznii, gdzie plemię odzyskiwało swą wodę.

- Nie istniał wybór - powiedział. - Rozumiesz to, Duncan?

- Rozumiem.

- Są rzeczy, których nikt nie może znieść. Wycisnąłem swe piętno na wszelkich przyszłych ścieżkach, jakie mogłem stworzyć, aż w końcu to one stworzyły mnie.

- Panie, nie powinienes...

- Są problemy we wszechświecie, które nie mają rozwiązań - ciągnął Paul. - Nic. Nic nie da się zrobić.

Mówiąc to czuł, jak jego więź z wizją pęka. Umysł skulił się, przytłoczony nieskończonymi możliwościami. Utracona wizja ucichła jak wiatr wiejący w pustyni.

*Mówimy o Muad'Dibie, że wyruszył w podróż do kraju,
W którym Judzie stąpają, nie zostawiając śladów.*

Preambula do Kreda Kwizaratu.

Najpierw był rów z wodą, chroniący przed piaskiem i wyznaczający granicę siczowych upraw. Potem skalny most i w końcu otwarta pustynia pod stopami Idaho. Masyw siczy Tabr przysłaniał nocne niebo za jego plecami.

Grań srebrzyło światło obydwu księżyców. Sad schodził w dół, aż do wody.

Idaho przystanął na skraju pustyni i obejrzał się. Kwitnące gałęzie ponad cichą wodą. Odbicia i rzeczywistość: cztery księżyce. Przylegający do skóry filtrfrak robił wrażenie wysmarowanego tłuszczem. Przez filtr do Duncana doleciał wilgotny, krzemieny odór. Ciągający przez sad powiew złowieszczo szeleścił liśćmi.

Nasłuchiwał odgłosów nocy. Zauważył skoczka pustynnego - mysz, która mościła się w trawach nad brzegiem wody. Drapieżna sowa słała w cień urwiska monotonne wezwanie. Głuszony wiatrem szelest osypującego się piasku dobiegł z otwartego ergu. Idaho rzucił się w stronę dźwięku. Na oblanych księżycową poświatą wydmach nie poruszało się nic.

To Tandis zaprowadził Paula aż tam. Potem wrócił, by złożyć raport. A Paul odszedł w pustynię - jak Fremen. "Był ślepy. Naprawdę ślepy - powiedział Tandis, jak gdyby to było wyjaśnienie. - Przedtem miał wizję, które nam opowiadał, ale..." Wzruszył ramionami. Ślepych Fremenów porzucano na pustyni. Muad'Dib mógł być Imperatorem, ale był też Fremenem. Czyż nie nakazał, by Fremeni strzegli i wychowywali jego dzieci? Był Fremenem.

Idaho widział szkielet pustyni. Osrebrzone księżycem żebra skał wystawały spod piasku. Dalej zaczynały się wydmy. "Nie powinienem był zostawić go samego nawet na chwilę - myślał Idaho. - Wiedziałem, co chodzi mu po głowie."

"Powiedział mi, że przyszłość nie wymaga już jego fizycznej obecności • relacjonował Tandis. - Kiedy się ze mną rozstał, odwrócił się jeszcze. Teraz jestem wolny - zawołał."

"Niech ich piekło pochłonie!" - myślał Idaho.

Fremen odmówili wysłania omitopterów czy jakichkolwiek innych poszukiwaczy. Pradawne zwyczaje zabraniały ratować wygnańca.

"Nadejdzie czerw dla MuadDiba" - powiedzieli. I zaczęli pieśń dla poświęconych pustyni, tych, których woda odchodziła do Szej-huluda: "Matko piasku, ojcie Czasu, początku życia, daj mu łaskę przejścia..."

Idaho usiadł na płaskiej skale i patrzył na pustynię. Noc pełna była maskujących deseni. Nie sposób było zgadnąć, dokąd odszedł Paul.

- "Teraz jestem wolny".

Idaho powiedział to głośno, zaskoczony dźwiękiem własnego głosu. Przez chwilę pozwolił płynąć myślom, wspominał dzień, w którym zabrał małego Paula na targ rybny na Kaladanie: oślepiający blask słońca, martwe owoce morza wystawione na sprzedaż. Przypomniawszy sobie, jak Gurney Halleck grał dla nich na balisecie... uciecha, śmiech. Muzyka rozbrzmiewała w pamięci Idaho, przywołując chwilę zapamiętanej radości. Gurney Halleck. Gurney będzie go winić za tę tragedię. Muzyka wspomnień ucichła.

Przypomniawszy sobie słowa Paula: "Są problemy we wszechświecie, które nie mają rozwiązań".

Idaho zaczął wyobrażać sobie, jaka śmierć dosięgnie Paula na pustyni. Szybka, w paszczy czerwia? Powolna, w słonecznym żarze? Niektórzy Fremeni utrzymywali, że Muad'Dib nigdy nie umrze, że przeniesie się w ich - świat, gdzie istnieją różne rodzaje przyszłości i dlatego obecny będzie w Alam al - Mithal, wędrując w niej bez końca, po tym, jak jego ciało obróci się w proch.

"On zginie, a ja nie mogę temu zapobiec."

Zaczął uświadamiać sobie, że jest jakaś kapryśna elegancja w tym zniknięciu bez śladu - żadnych szczątków, nic, i cała planeta jako grobowiec.

"Mentacie, znajdź rozwiązanie dla siebie" - pomyślał.

W pamięć wtargnęły słowa - rytualne słowa porucznika fedajki - nów, sprawującego straż nad dziećmi Muad'Diba: "Będzie świętym obowiązkiem oficera na służbie..." Rozzłościł go toporny, zadufany rządowy język. Ten język zwodził Fremeni. Zwodził każdego. Człowiek, wielki człowiek ginął tam, na pustyni, ale język trwał dalej... i dalej... i dalej...

"Gdzie się podziały - myślał - te wszystkie czyste pojęcia, które chroniły ich przed nonsensem?" Gdzieś, w jakimś zapadłym gdzieś, stworzonym przez Imperium, zamurowano je, opieczętowano z obawy, by przez przypadek ktoś znów ich nie odkrył. Jego umysł, umysł mentata, szukał rozwiązań. Wytarte ścieżki wiedzy połyskiwały kusząco. Tak mogły lśnić włosy Lorelei, przywołując... zapraszając oczarowanego żeglarza do szmaragdowych jaskiń.

Zadygotał, budząc się nagle z katatonicznego zapomnienia.

"Więc tak! - pomyślał. - Zamiast stawić czoła porażce, mam zatracić się wewnątrz siebie!"

Chwila tego niemal pogrążenia zapadła w jego pamięć. Analizował ją, czuł, jak jego życie wydłuża się, staje się równe istnieniu wszechświata. Prawdziwe, skończone ciało leżało w szmaragdowej grocie świadomości, a nieskończone życie dzieliło z nim byt.

Wstał, czując, że pustynia go oczyściła. Piasek zaczął grzechotać na wietrze, uderzając o liście w sadzie. Nocne powietrze niesło suchy, szorstki zapach pyłu. Burnus załopotał, szarpnięty nagłym podmuchem. Idaho ujrzał, jak gdzieś daleko w ergu budził się gniew matki burz; unosił wirujące kolumny kurzu, syczące ze złości. Ruszał wielki piaskowy czerw, wystarczająco potężny, by wytrawić ciało od kości.

"On i ta ziemia staną się jednym - pomyślał. - Pustynia go wypełni."

Ta myśl, która spłynęła w jego umysł jak źródłana woda, była refleksją Zensunnity. Paul nie zatrzyma się, wiedział o tym, pójdzie dalej. Atryda nie podda się ulegle przeznaczeniu, nawet w pełni świadom tego, co nieuchronne.

I wtedy Idaho doznał przeblysku jasnowidzenia: zobaczył ludzi przyszłych czasów, jak będą mówić o Paulu, używając morskich porównań. Mimo iż żył okryty kurzem, przywiedzie na myśl wodę. Ludzie powiedzą: "Jego ciało utonęło, lecz on płynął dalej".

Ktoś chrząknął za jego plecami. Idaho odwrócił się i w mroku rozpoznał Stilgara, który stał na mostku nad kanatem.

- Nie znajdziemy go - rzekł Stilgar - ale ludzkość go kiedyś odnajdzie.

- Pustynia go przyjmie... i uświęci - odparł Idaho. - Chociaż był tu intruzem. Wprowadził na tę planetę obcą substancję - wodę.

- Pustynia narzuca własny rytm - powiedział Stilgar. - Przyjęliśmy go, nazwaliśmy naszym Mahdim, naszym Muad'Dibem i daliśmy mu jego sekretne imię: Usul - Podstawa Filaru.

- A jednak nie urodził się Fremenem.

- To nie zmienia faktu, że rościliśmy sobie do niego prawo... i w końcu dostaliśmy go. - Stilgar położył rękę na ramieniu Idaho. - Wszyscy jesteśmy intruzami, przyjacielu.

- Jesteś przenikliwy, prawda, Stil?

- Wystarczająco. Widzę, jaki chaos robimy we wszechświecie naszymi migracjami. Muad'Dib dał nam coś niewzruszonego. A przynajmniej tak ludzie zapamiętają jego Dżihad.

- On nie podda się pustyni - powiedział Idaho. - Jest ślepy, lecz się nie podda. Jest człowiekiem honoru i zasad. Wychowali go Atrydzi.

- A jego woda wsiąknie w piach - zakończył Stilgar. - Chodź. - Lekko pociągnął go za ramię. - Alia wróciła i pyta o ciebie.

- Była z tobą w siczy Makab?

- Tak, pomagała mi przywrócić dyscyplinę wśród tamtejszych znie - wieściąłych naibów. Teraz słuchają jej rozkazów... jak ja.

- Jakich rozkazów?

- Zarządziła egzekucję zdrajców.

- Och! - Idaho musiał opanować zawrót głowy, gdy spojrzał w górę, na skalny cypel. - Jakich zdrajców?

- Gildianina, Wielebnej Matki Mohiam, Korby... i kilku innych.

- Zabiłeś Wielebną Matkę?

- Tak. Muad'Dib, odchodząc, zakazał tego. - Wzruszył ramionami. - Ale złamałem jego zakaz i Alia wiedziała, że go złamię.

Idaho znów spojrzał w głąb pustyni, czując, jak staje się świadomą jednostką, zdolną dostrzec wielkość tego, co stworzył Paul. "Strategia osądu" - tak nazywali to Atrydzi. "Ludzie są posłuszni rządowi, ale rządzeni wpływają na rządzących." Czy rządzeni mieli choć mgliste pojęcie o tym, co pomogli tu stworzyć?

- Alia... - zaczął Stilgar, odchrząknawszy. Był zmieszany. - Potrzebuje otuchy twojej obecności.

- Zatem ona jest władczynią.

- Tylko regentką.

- Fortuna wszędzie się toczy, jak mawiał jej ojciec - mruknął Idaho.

- Staramy się przechytrzyć przyszłość - powiedział Stilgar. - Przyjdiesz zaraz? Jesteś nam potrzebny. - Znów wydał się zażenowany. - Ona... straciła zmysły. Przeklina brata, a po chwili szlocha za nim.

- Za chwilę - obiecał Idaho.

Słyszał, jak Stilgar się oddala. Stał zwrócony ku budzącemu się wiatrowi, słysząc, jak ziarenka piasku uderzają o filtrfrak.

Mentacka świadomość poniosła rozwijające się wątki w przyszłość. Otrzymane możliwości oślepiły go. Paul uruchomił toczący się wir, którego drogi nic nie mogło zagrozić.

Bene Gesserit i Gildia grały za wysoko i przegrały, skompromitowały się. Kwizarat został wstrząśnięty w posadach zdradą Korby i innych wysokich urzędników. A końcowy akt woli Paula, całkowite uznanie tradycji, zapewnił jemu i jego rodowi lojalność Fremenów. Teraz już na zawsze był jednym z nich.

- Paul odszedł! - Alia zbliżyła się cicho, stając przy nim. Słowa więzły jej w gardle. - Duncan, on był głupcem!

- Nie mów tak! - warknął.

- Cały wszechświat to powie, nim skończę.

- Dlaczego, na miłość boską?!

- Na miłość mojego brata, nie boską.

Zensunnicka przenikliwość wyostrzyła jego świadomość. Wyczuwał, że Alia nie ma wizji - od śmierci Chani nie miała żadnej.

- Dziwny rodzaj miłości uprawiasz - stwierdził.

- Miłość? Duncan, wystarczyłoby tylko, żeby trochę zboczył z drogi. Cóż z tego, że reszta świata runęłaby w gruzy tuż za nim? Byłby bezpieczny... a z nim i Chani.

- Więc dlaczego tego nie zrobił?

- Na miłość boską - szepnęła. - Całe swoje życie - podjęła głośniejszym głosem - walczył, by nie dać się ogarnąć swojej Dżihad, nie dopuścić do jej uświęcenia. I w końcu jest wolny. Tak wybrał.

- Ach tak, jasnowidzenie. - Idaho potrząsnął głową w zadumie. - Nawet śmierć Chani. Jego księżyc spadł.

- Był głupcem, prawda, że był nim, Duncan? Tłumiony żal ścisnął gardło Idaho.

- Taki głupiec! - wybuchnęła Alia, tracąc opanowanie. - Będzie żył wiecznie, podczas gdy my musimy umrzeć!

- Alia, przestań...

- To tylko żal - powiedziała cicho. - Tylko żal. Wiesz, co muszę zrobić dla niego? Pozostawić przy życiu księżną Irulanę! Ją! Szkoda, że nie słyszałeś jej żalu. Lamentuje, daje mu swoją wilgoć. Przysięga, że go kochała, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Lży swój zakon żeński i zaklina się, że poświęci resztę życia, by uczyć jego dzieci.

- Wierzysz jej?

- Cuchnie prawdomównością!

- Aha - mruknął Idaho.

Ostateczny wzór rozwinął się przed nim jak deseń na tkaninie. Odstępstwo księżnej Irulany to już ostatni krok. Bene Gesserit nie miały oręża przeciw dziedzicom Atrydów.

Alia łkając wtuliła twarz w jego pierś.

- Och, Duncan, Duncan! On odszedł! Dotknął ustami jej włosów.

- Proszę cię - wyszeptał. Czuł, jak jej boleść miesza się z jego boleścią niczym wody dwóch strumieni, wpadających do jednego stawu.

- Potrzebujecie, Duncan - szlochała. - Kochaj mnie!

- Tak - szepnął.

Uniosła głowę, patrząc na obrzeżony światłem księżycy zarys jego twarzy.

- Wiem, Duncan. Miłość rozpoznaje miłość.

Jej słowa przeszły go dreszczem, poczuł, jak wyrывa się z dawnej świadomości. Przyszedł tu, szukając jednego, a znalazł co innego. Czuł się, jak gdyby resztką sił dotarł do domu pełnego znajomych, po to tylko, by pojąć, że nie zna żadnego z nich.

Oderwała się od niego. Ujęła go za rękę.

- Pójdiesz ze mną, Duncan?

- Dokądkolwiek poprowadzisz - odparł.

Poprowadziła go z powrotem przez most nad kanatem w ciemności u stóp masywu, w Miejsce Schronienia.

EPILOG

Bez gorzkich dymów, pogrzebnych stosów dla Muad'Diba,
Bez bicia czołem, wielkich misteriów, co uwolnią myśl
Z zawistnych cieni.

Niebiański błazen,

Złoty przechodzień, co żyje wiecznie

Na skraju jawy.

Spuść tylko gardę, a cię dopadnie!

Szkarłatny pokój i biel monarsza

Pną się w nasz wszechświat pajęczą nicią wyroczeni

Aż na brzeg zapałnienia - tam!

Z gąszczu gwiazd:!

Bezoki prorok, tajemny zwiastun żałobnych wieści,

Ofiara wizji, głos, który nigdy nie milknie.

Szej-huludzie, on czeka na ciebie na plaży,

Gdzie snują się pary i łączą, pierś w pierś,

W rozkosznym znużeniu miłosnym.

On dalej kroczy otchłanną jamą Czasu,

Druzgocząc w sobie głupca z własnych snów.

"Hymn gholi"

TERMINOLOGIA IMPERIUM

A

ABA: luźna szata (zwykle czarna).

ADAB: władcza pamięć, która ogarnia człowieka sama z siebie.

AKSOLOTLOWY ZBIORNIK: urządzenie zawierające końcowe produkty technologii aksolotlowej, najbardziej istotnego osiągnięcia Tleilaxan. Technologia aksolotlowa nie ograniczała się wyłącznie do samego zbiornika, który był wynikiem znacznie wcześniejszych, długotrwałych badań genetycznych i przekształceń i nieco tylko przewyższał sztuczną macicę. Wytworami techniki aksolotlowej Tleilaxan były m. in. ghole, "wypaczeni mentaci" oraz lepsza, "poprawiona" rasa Nawigatorów Gildii Planetarnej (patrz: GHOLE oraz NAWIGATORZY).

ALAM AL - MTTHAL: mistyczna kraina podobieństwa, gdzie nie ma żadnych fizycznych ograniczeń (patrz: RUH - DUCH).

ARRAKIN: pierwsza osada na Arrakis, do czasu objęcia Diuny w pseudo - lenno przez ród Harkonnenów siedziba rządu planetarnego. Po przejściu planety przez ród Atrydów miasto Arrakin ponownie zostało obrane planetarną stolicą.

ARRAKIS: trzecia planeta Canopusa, bardziej znana jako Diuna; jedyne źródło życiodajnej przyprawy - melanżu.

AWA - DRZWI: potoczna nazwa awaryjnych drzwi (lub awaryjnego szlabanu) - dowolnej pentarczy (pięciowarstwowego pola generatora tarczy dla niewielkich powierzchni) ustawionej w korytarzach lub specjalnych chodnikach ucieczkowych w celu przepuszczenia określonej osoby, aby umożliwić jej ucieczkę przed ewentualnym pościgiem. Pentarcza jest praktycznie nie do przejścia dla kogoś, kto nie posiada symulatora kodu tarczy. Ze względu na wysokie koszty i trudności w utrzymaniu (duże, wzmocnione tarcze były coraz mniej stabilne z każdą następną warstwą) ich użycie ograniczało się tylko do bardzo zamożnych.

B

BALISETA: pochodzący w prostej linii od cytry dziewięciostrunowy, szarpany instrument muzyczny. Ulubiony instrument imperialnych trubadurów.

BASZAR (często PUŁKOWNIK BASZAR): pierwotnie: termin z militarnego leksykonu rodu Corrinów oznaczający oficera sardaukarów o jeden stopień wyższego rangą od pułkownika w zunifikowanej hierarchii Imperium. Stopień stworzony dla wojskowego komendanta podregionu

planetarnego. Termin przejęty przez standardowy Galach (oficjalny język Imperium) oraz Fremenów.

BENE GESSERIT (1): adeptka starożytnej szkoły kształcenia ducha i ciała (szkoły macierzystej na Waliach IX lub jednej ze szkół regionalnych, rozsianych na planetach; patrz poniżej).

BENE GESSERIT (2): zakon żeński w ciągu stuleci działający za parawanem półmistycznej szkoły kształcenia ducha i ciała (założonej przede wszystkim dla dziewcząt po tym, jak Dżihad Butlerjańska zniszczyła tak zwane "myślące maszyny" i roboty).

BENE TLEILAX: patrz: TLEILAXANIE.

B.G.: żargonowe określenie Bene Gesserit

BIBLIA PROTESTANCKO - KATOLICKA: "Księga Ksiąg", pismo święte opracowane przez Kongres Ekumeniczny Federacji (K. E. F.), który odbył się na neutralnej wyspie Starej Ziemi; zrewidowane połączenie starożytnych pism świętych, zawierające elementy najstarszych religii, łącznie z Maometh Saari, chrześcijańską Mahayanną, katolicyzmem zensunnickim i przekazami budislamskimi. Za najwyższe przykazanie Biblii P. K. uważa się: "Nie będziesz kaleczył ducha".

BINDU: termin odnoszący się do układu nerwowego człowieka, szczególnie do szkolenia nerwów. Często określane jako bindu - nerwatura (patrz: PRANA oraz SZKOLENIE).

BLECH: otwarta, płaska pustynia.

BRZEMIĘ WODY: u Fremenów: dług na śmierć i życie.

BUTLERJANIE: patrz: DŻIHAD BUTLERJAŃSKA.

C

CHAKOBS A: tak zwany "język magnetyczny", który wywodzi się częściowo z pradawnego Bhotani (Bhotani-dżib, gdzie "dżib" oznacza dialekt). Mieszanina starożytnych narzeczy zmodyfikowanych przez rozmaite grupy w celu dochowania tajemnicy; jej podstawę stanowi język łowiecki Bhotani: żargon najemnych morderców z okresu pierwszych Wojen Assassinów.

CHWYTOWÓD: zewnętrzny przewód filtrfraka, odprowadzający wydychaną przez nos wilgoć do systemu odzyskowego filtrfraka (patrz: FITRFRAK).

CORIOLIS A, KURZAWA: każda większa burza piaskowa na Diunie, której wiejące na otwartych równinach wiatry wzmagane są przez ruch obrotowy planety, aż osiągają prędkość do 700 km/h. Kurzawa Coriolisa powoduje "deszcz piasku" (el - sajal) - opad pyłu wzniesionego na średnią wysokość (ok. 2000 m).

CORRINÓW, RÓD: ród pochodzący z Salusa Secundus (trzeciej planety Gammy Waiping), biorący swą nazwę od niby - mgławicy Corrin, w pobliżu której rozegrała się słynna bitwa kosmiczna (w roku 88 P.G.), ustalająca jego panowanie nad Imperium. Padyszach Imperator Szaddam IV, ojciec Irulany Corrino - Atrydy, był ostatnim, osiemdziesiątym pierwszym władcą z dynastii Corrinów.

CYTADELA: pałac w Arrakin, największa budowla w całej historii ludzkości, zbudowana podczas dwunastoletniej Dżihad Fremenów i panowania Paula Muad'Diba Atrydy. Budowa Cytadeli została sfinansowana przez handel przyprawą. W jej skład wchodzi wiele całych budowli z ujarzmionych przez Dżihad planet, które zostały przewiezione galeonami Gildii.

CZERW PUSTYNI: patrz: SZEJ-HULUD

D

DAO: trans odrętwienia, rodzaj letargu bindu, w którym adeptka Bene Gesserit może spowolnić swoje fizjologiczne czynności do poziomu krawędzi utrzymania życia; trans pomocny w celu przetrwania w zagrażających życiu warunkach, a także potrzebny do odmłodzenia komórek.

DIUNA: potoczna nazwa Arrakis (trzeciej planety Canopusa).

DRUGI KSIĘŻYC: mniejszy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na sylwetkę skoczka pustynnego w rzeźbie powierzchni (patrz: PIERWSZY KSIĘŻYC).

DRYF: wtórna kolektorowa faza generatora polowego Holtzmana. Znosi ciężenie w pewnych granicach, określonych proporcjami masy i zużycia energii.

DRYFOWA LAMPA: patrz: KULA ŚWIĘTOJAŃSKA.

DYSTRANS: urządzenie składające się z dwóch części(translatora falowego - malutkiego kryształu ważącego niecałe pięć miligramów, wszczepionego stworzeniu przenoszącemu wiadomość, i z koder - de - koder - rurki długości ok. dziewięciu centymetrów i siedmiu milimetrów średnicy), służące do wykonywania odbitek neuronowych w układzie nerwowym przedstawicieli gatunków rzędu Cfuroptera lub ptaków w celu specyficznej komunikacji (rozwiniętej w znacznym stopniu przez Fremenów). Naturalny głos zwierzęcia zawiera wtedy zapis wiadomości, którą z tej fali nośnej można wyodrębnić za pomocą drugiego dystransu. Dystrans wynaleziono na Ix (dziewiątej planecie Eridani A) około roku 10000 E.G., a w 10179 dokonano pierwszej pomyślnej implantacji kryształu dystransowego w ciało człowieka.

DŻIHAD: "święta wojna", krucjata religijna, krucjata fanatyczna

DŻIHAD BUTLERJAŃSKA: krucjata przeciwko maszynom myślącym, komputerom i świadomym robotom, zwana potocznie Wielką Rewoltą. Napięcie między programistami a tymi, którzy uznawali wyższość zdolności człowieka (znaczne raz po raz mniejszymi i większymi

pogromami antykomputerowymi), wzrastało przez przeszło pięćset lat, by - w roku 201 P.G. - przemienić się z rebelii w siejącą śmierć i zniszczenie prawie stuletnią Dżihad (zakończoną w 108 P.G.). Główne przykazanie Dżihad Butlerjariskiej zachowało się w Biblii P.K. jako: "Me będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo rozumu ludzkiego".

DŻIHAD FREMENÓW: (zwana też **DŻIHAD MUAD'DIBA**): kruczata religijna (rozpoczęta w roku abdykacji Szaddama IV Corrino - 101% E. G.), którą Fremeni ponieśli w kosmos w celu podporządkowania całego znanego wszechświata nowemu władcy. Dżihad pochłonęła przeszło sześćdziesiąt miliardów ofiar, spustoszone dziewięćdziesiąt planet, kompletnie zdemoralizowano pięćset innych. Jej największy impet trwał zaledwie dwanaście standardowych lat Kwizarzy Tafwidzi traktowali Dżihad Muad'Diba jako narzędzie szerzenia swej religii. Większość z 40 wykorzenionych przez nich wyznań zniszczono po kampanii w układzie Molitor (patrz: MOLITOR).

E

E.G.: "era Gildi", skrót w kalendarzu Imperium opartym na dacie powstania monopolu Gildi Planetarnej (patrz: P.G.).

EKOLOGICZNA TRANSFORMACJA DIUNY: plan, którego realizację rozpoczął Pardot Kynes (10121 - 10175), ojciec Lieta - Kynesa (10156 - 10191), mający na celu zmianę ekologii i klimatu Arrakis.

EL - KUDS: w języku fremeńskim: "święte miejsce" - Świątynia Czaszki Leto I ponad przełęczą Harga.

ENFEIL: jedna z wielu planet Imperium ujarzmionych przez Dżihad Fremenów.

ERG: rozległy obszar pustyni pokryty wydmami; morze piasku.

F

FEDAJKINI: fremeńscy komandosi śmierci, najbardziej przerażający wojownicy swoich czasów. Fedajkini służyli Muad'Dibowi podczas jego pierwszej bitwy przeciw rodowi Harkonnenów i siłom Corrino w, a później jako elitarne formacje w Drugiej Dżihad. (Historycznie: grupa ludzi, którzy się zebrali i przysięgli poświęcić życie w imię sprawiedliwości).

FILTRFRAK: osłaniający ciało ubiór wynaleziony na Arrakis przez Fremenów, pozwalający na przetrwanie w pustyni poprzez zapobieganie utracie wydalanego wody i wilgoci. Jego podstawę stanowi mikrowarstwowa tkanina, będąca wysokiej wydajności systemem filtracyjnym wydzielin ciała i pochłaniaczem ciepła. Warstwa stykająca się ze skórą jest lekko porowata i po wchłonięciu przez filtrfrak ciepła, przenika przez nią pot Następne dwie warstwy zawierają włókna wymiany ciepła i osadniki soli, która jest odzyskiwana Mocz i fekalia przetwarzane są w

specjalnych podkładkach udowych. Siły pompującej dostarczają fitrfrakowi głównie ruchy ciała (oddychanie i kroki - dzięki zamontowanym pompom piętowym w pustynnych butach te - mag), a także części działanie osmotyczne. W otwartej pustyni na twarzy nosi się specjalną maskę, przez której filtr naustny wdycha się powietrze. Wydech następuje przez nos, w który wkłada się specjalny chwytowód zakończony filtrwtykiem. Odzyskiwana woda przepływa do kieszeni łownych, z których można ją pić za pomocą wodowodu (rurki w chomątku na szyi).

FILTRNAMIOT: małe, szczelne pomieszczenie przenośne wykonane z tkaniny mikrowarstwowej, odzyskujące w postaci wody pitnej wilgoć wydalaną z oddechem przebywających w nim ludzi oraz osiadającą na zewnętrznych ściankach filtarnamiotu. W przypadku przysypania przez burzę piaskową instalowano piachochrapy - specjalne odpowietrzniki, tłoczące powietrze do wnętrza przysypanego filtarnamiotu.

FREMENI: wolne plemiona Arrakis, mieszkańcy pustyni, potomkowie Zensunnitów, którzy przybyli na Diunę trzy tysiące lat wcześniej.

G

GALEON: największy kosmiczny statek transportowy w systemie przewozowym Gildii Planetarnej.

GANGISHREE: peryferyjna planeta Imperium, jedna z wielu ujarzmionych przez Dżihad Fremenów.

GHANIMA: "łup wojenny"; coś zdobytego w bitwie lub pojedynku. Najczęściej bezużyteczna pamiątka z walki, budząca jedynie wspomnienia

GHOLE: duplikaty ludzi produkowane przez Bene Tleilax w zbiornikach aksolotlowych (patrz: AKSOLOTLOWY, ZBIORNIK), zachowujące wzór genów oryginałów, ale pozbawione świadomych wspomnień z ich przeszłości.

GILDIA PLANETARNA: jedno z trzech ramion politycznego trójnoga, wspierającego Wielką Konwencję. Gildia jest drugą (patrz: BENE GESSERIT 2) szkołą kształcenia ducha i ciała, jakie zaczęły powstawać w następstwie Wielkiej Rewolty. Podwaliny pod to, co stało się później Gildią Planetarną położyli uciekinierzy przed Dżihad Butlerjańską, którzy odkryli Tupile (patrz: TUPILE). Powstanie monopolu Gildii w dziedzinie podróży, transportu i bankowości międzynarodowej przyjęto za datę początkową kalendarza Imperium.

GINAZÓW, RÓD: jeden z wysokich rodów, byli sojusznicy Leto I Atrydy. Zostali pobici w Wojnie Assassinów z rodem Moritaniów z Grumman (drugiej planety Niushe) w roku 10177 E.G.

GŁOS: termin używany w odniesieniu do manipulacji mową w celu zdobycia całkowitej kontroli nad słuchaczem; jedno z najbardziej imponujących uzdolnień Bene Gesserit: umiejętność

wytwarzania (przez odpowiednio dobrane odcienie barwy głosu) bodźca słuchowego w celu zaszczepienia polecenia w podświadomości osobnika, a zatem stworzenia przymusu posłuszeństwa.

GRABEN: długi rów tektoniczny, który powstał w wyniku osiadania gruntu, wywołanego ruchami głębiej położonych warstw krystalnych.

GRODŹ: przenośne lub instalowane na stałe plastikowe zamknięcie hermetyczne, stosowane w celu niedopuszczenia do wyparowywania wilgoci we fremeńskich jaskiniowych obozowiskach dziennych i wszelkich budynkach na Arrakis.

H

HADŹDŹ: święta podróż, pielgrzymka.

HADŹRA: podróż w poszukiwaniu czegoś.

HAGAL: zwana "Planeta Klejnotem" (U Theta Shaowei), eksploatowana za panowania Szaddama I, źródło m. in. opalitu (jednego z rzadkich rodzajów opala).

HAL JAWM!: fremeński okrzyk: "No! Wreszcie!"

HIEREG: tymczasowy obóz Fremenów w otwartej pustyni.

I

IBAD; SPOJRZENIE IBADA; OCZY IBADA: "błękitne w błękicie" oczy; charakterystyczny efekt diety bogatej w przyprawę, od której białka i źrenice oczu nabierają barwy ciemnego błękitu.

IX: dziewiąta planeta układu Eridani A, tajne źródło wyrafinowanych technologii; zaliczana obok Richese (czwartej planety Eridani A) do niedościgłych cywilizacji technicznych.

J

JĘZYK WALKI: każdy specyficzny język, służący do nieskrępowanego porozumiewania się głosem podczas bitwy, niezrozumiały dla strony przeciwnej.

K

KALADAN: trzecia planeta Deltę Pawia, w latach 8711 - 10191 E.G. siridar - księstwo rodu Atrydów. Rodzinna planeta Paula Muad' Diba.

KALADAŃSKI, ZAMEK: imponująco kunsztowny dwór, który był domem rodu Atrydów przez cały czas ich praw własności jako siridarów - książąt Kaladanu i dla sześciu generacji wcześniej. Po przejęciu przez ród Atrydów Arrakis, zamek zamieszkiwał siridar - in - ab - sentia Kaladanu, hrabia HasimirFenring, a od roku 101% lady Jessika i Gurney Halleck.

KANAT otwarty kanał nawadniający na pustyni, w którym można regulować przepływ wody.

KHOAM: akronim utworzony z nazwy Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles - wszechświatowej korporacji eksploatacyjnej, kierowanej przez Imperatora i wysokie rody (z Gildią i Bene Gesserit jako cichymi wspólnikami). Stworzenie KHOAM (podczas Wielkiego Synodu Finansowego w latach 10 - 5 P.G.) wyznaczyło prawdziwy początek Imperium i stało się jednym z jego głównych elementów. Po zakończeniu Dżihad Fremenów KHOAM zostało zdominowane przez nowego Imperatora w takim stopniu, jakiego ród Corrinów nigdy nawet nie śmiał brać pod uwagę.

KONSORCJUM HONNETE...: patrz: KHOAM.

KRYSNÓŻ: święty nóż Fremenów z Arrakis. Żadnemu z przybyszów, którzy go widzieli, nie wolno było opuścić Diuny bez zgody Fremenów. Ostrze krysnoża było wyrabiane z pojedynczego zęba gigantycznego czerwia. Tą największą fremeńską świętość wytwarzano w dwóch wersjach: "stałej" i "niestałej" (nóż "niestały" wymagał kontaktu z polem elektrycznym ciała ludzkiego, aby nie ulec rozpadowi). I jedno, i drugie miały mlecznobiałe ostrze długości około 20 cm, które w przyćmionym świetle dawało złudzenie rozżarzonego zęba czerwia pustyni. Zęby przynoszono do sicz nieczęsto; były możliwe do nabycia tylko wtedy, gdy Fremenowie znaleźli resztki nieżywego czerwia.

KULA ŚWIĘTOJAŃSKA: samozasilające (zazwyczaj z baterii organicznych) urządzenie oświetleniowe, zawieszone w dryfie dzięki umieszczonemu wewnątrz zminiaturyzowanemu generatorowi Holtzmana o bardzo małej mocy. Kulę świętojańską wynalazł w roku 4266 jeden z najwcześniejszych badaczy planety Ekaz.

KWISATZ HADERACH: "Skrócenie drogi". Taką nazwę nadały Bene Gesserit niewiadomej, dla której poszukiwały rozwiązania genetycznego: Bene Gesserit płci męskiej, którego witalne siły psychiczne łączyłyby przestrzeń i czas. Według Ceduły Doboru (rejestr głównego programu ludzkiej hodowli) miał być nim syn zrodzony z córki Jessiki (która zlekceważyła polecenia swoich przełożonych wśród Bene Gesserit i urodziła syna, Paula) i Feyda - Rauthy Harkonnena. Jednakże wskutek wielu czynników Kwisatz Haderach pojawił się wcześniej: był nim właśnie Paul Atryda.

KWIZARAT: fremeńskie duchowieństwo (patrz: KWIZARZY TAFWTOZI).

KWIZARZY: używany potocznie skrót od Kwizarzy Tafwidzi (patrz poniżej).

KWIZARZY TAFWIDZI: fremeńscy kapłani (po nadejściu Muad'Diba).

L

LAMPA DRYFOWA: patrz: KULA ŚWIĘTOJAŃSKA.

LANCA (LASEROWA): wersja rusznicy laserowej bliskiego zasięgu, stosowana przeważnie jako narzędzie tnące lub skalpel chirurgiczny (patrz: RUSZNICE LASEROWE).

LANDSRAAD: najstarsza z instytucji, które uformowały Imperium (obok KHOAM, rodu imperialnego i Gildii Planetarnej). Na przestrzeni wielu wieków Landsraad zmieniał się i ewoluował. Przed Dżihad Butlerjańską był organizacją składającą się z posłów, która przyznawała ograniczone uprawnienia ich planetarnym rządów. Landsraad służył jako ciało opiniodawcze w debatach i wyrokujące w sporach między dwoma lub więcej członkami rządów albo w sprawach rzekomego pogwałcenia jakichś umów pomiędzy partiami. W wyjątkowych przypadkach mógł wtrącić się w spór, jeżeli jedna z partii była zdecydowana naruszyć jakiekolwiek z fundamentalnych postanowień prawa międzynarodowego. Jednakże najważniejszym znaczeniem Landasraadu podczas długich lat panowania Corrinów było to, że był on jedyną organizacją, która zabezpieczała wspólne interesy tysięcy planet przed sardaukarami. Upadek imperialnego rodu Corrinów po dziesięciu tysiącach lat panowania i tryumf rodu Atrydów po zniszczeniach dokonanych przez Dżihad Fremenów nie oddziaływały na struktury czy tradycyjne funkcje Landsraadu jako ogniska siły będącej w opozycji do rodu imperialnego. Jednakże jego potęga bardzo zmalała i nigdy nie zdołał on już odzyskać pozycji siły prawie równej imperialnej.

LEGION IMPERIALNY: jednostka bojowa składająca się z dziesięciu brygad (ok. 30 000 ludzi).

LICHTUGA: rodzaj fregaty (największego statku kosmicznego mogącego lądować na powierzchni planety i startować z niej w całości).

LISAN AL - GAIB: "Głos Spoza Świata". We fremeńskiej legendzie - prorok z innej planety. Czasami tłumaczone na "Dawca Wody" (patrz: MAHDI).

M

MAHDI: w legendzie mesjanistycznej Fremenów "Ten, który powiedzie nas do rajy" (patrz: LISAN AL - GAIB).

MALEŃKI STWORZYCIEL: piaskopływak; pół roślina, pół zwierzę, zarodek czerwia pustyni żyjący w głębi piasku. Ekskrementy maleńkich stworzycieli (które giną milionami w każdym wybuchu przyprawowym) zmieszane z wodą tworzą masę preprzyprawową (patrz: MELANŻ). Poza wybuchami, dla piaskopływaków śmiertelne niebezpieczeństwo stanowią też nieznaczne wahania temperatury. Nieliczne pozostałe przy życiu osobniki zapadają w półsen cystohibemacji, by po sześciu latach wyłonić się w postaci niewielkiego (ok. 3 metry długości) czerwia pustyni(patrz: SZEJ-HULUD).

MAULA, PISTOLET pistolet sprężynowy na zatrute bolce; zasięg ok. czterdziestu metrów.

MELANŻ: "przyprawa nad przyprawami", której jedynym źródłem jest Arrakis. Znana głównie ze swych życiodajnych właściwości, przyjmowana w ilościach powyżej dwóch gramów dziennie na siedemdziesiąt kilogramów wagi ciała jest łagodnie warunkująca (patrz: IBAD). Melanż powstaje z masy preprzyprawowej - stadium grzybowatego, burzliwego wzrostu, spowodowanego dostaniem się ekskrementów maleńkich stworzycieli do wody (patrz: MALEŃKI STWORZYCIEL). Arrakańska przyprawa w tym stadium "wybucha" w charakterystyczny sposób, mieszając wtedy substancje z głębi ziemi z substancją z jej powierzchni. Ta masa, poddana działaniu słońca i wiatru, staje się melanżem.

MENTACI "WYPACZENI": mentaci "wypaczeni" byli produktami tleilaxańskich zbiorników aksolotlowych i różnili się od normalnych mentatów cechami nieistotnymi dla czystych zdolności obliczeniowych, powodowanymi życzeniami klientów: uczuciowym charakterem, odpowiednią strukturą ciała czy psychologiczną charakterystyką.

MENTAT: "ludzki komputer", wcielenie logiki i rozumu; specjalna klasa obywateli Imperium, szkolonych w umiejętnościach myślenia logicznego na nadludzkim poziomie. Mentat był zdolny do dokonywania błyskawicznych obliczeń skomplikowanych danych i znakomitych wnioskowych skojarzeń, ale zazwyczaj tylko wtedy, gdy pogrążył się w mentackim transie (objawiającym się szklistością oczu i monotonną intonacją głosu). Jak wykazały pewne badania, świadomość podczas mentackiego transu "obraca się wewnątrz" (patrz: MENTACI "WYPACZENI").

METASZKŁO: szkło otrzymywane w wyniku nasycenia arkuszy kwarcu jasnonowego gazem o bardzo wysokiej temperaturze. Meta - szkło znane jest z niesłychanej wytrzymałości na rozciąganie (ok. 450 tysięcy kg na centymetr kwadratowy przy grubości 2 cm); działa też jako filtr selektywny promieniowania

METODA B.G.: stosowanie drobiazgowej obserwacji (termin używany potocznie na określenie całego kształcenia Bene Gesserit - patrz: SZKOLENIE).

MIRABHASA: język charakteryzujący się ostro punktowanymi spółgłoskami i grupami sąsiadujących samogłosek. Znany jako doskonałe narzędzie do przekazywania najbardziej wyrafinowanych, emocjonalnych subtelności.

MOLITOR: układ planetarny, miejsce największej kampanii Dżihad Fremenów (10196 - 10208), w wyniku której fedajkini pobili niepokonane do tego czasu wysokie rody Landsraadu oraz stojące po ich stronie oddziały sardaukarów.

MUAD'DIB: skoczek pustynny aklimatyzowany na Arrakis; we fremeńskiej mitologii ziemi i ducha - zwierzę związane z rysunkiem widocznym na drugim księżycu planety. Mysz otoczona

uwielbieniem przez Fremenów za swe niezwykle zdolności w przystosowaniu do życia w otwartej pustyni.

MUAD'DIB, PAUL: fremeńskie imię wieku męskiego Paula Atrydy.

MUR ZAPOROWY: górzyste wypiętrzenie terenu w północnych regionach Arrakis, które osłania niewielki obszar tej planety przed kurzawami Coriolisa.

MUZYKA SEMUTY: patrz: SEMUTA.

N

NAIB: ten, kto ślubował nigdy nie dać się wziąć żywcem: tradycyjna przysięga przywódcy Fremenów.

NARADŹ: układ planetarny wchodzący w skład Imperium, jeden z wielu ujarzmionych przez Dżihad Fremenów.

NAWIGATORZY: Gildianie potrafiący z pomocą melanżu odszukiwać taką linię przyszłości, która pozwala trans - świetlnym galeonom Gildii Planetarnej omijać wszelkie niebezpieczeństwa.

NEZHONI, CHUSTA: chusta noszona na czole jako podkładka pod kaptur filtrfraka przez zamężne lub "skojarzone" Fremenki po urodzeniu syna.

NIECKA: zamieszkany, nizinny obszar na Arrakis, okolony wzniesieniem terenu, osłaniającym nieckę przed burzami piaskowymi.

O

ODDZIELACZ WIATRU: urządzenie instalowane głównie na szlaku dominujących wiatrów; skrapla wilgoć z powietrza, które jest zasysane do komory (najczęściej na zasadzie gwałtownego i znacznego spadku temperatury w oddzielaczu).

ORNITOFTERY: (skrzydłowce); podstawowy sposób transportu powietrznego w Imperium. Pierwsze ornitoptery - to znaczy wszelkie statki powietrzne zdolne do długotrwałego lotu za pomocą uderzeń skrzydłami na wzór ptaków - zostały zbudowane przez grupę naukowców będących więźniami politycznymi. Więźniowie ci, zmuszeni do pracy naukowej, przeszukiwali Imperialne Archiwa Naukowe w celu odszukania porzuconych w skomputeryzowanej społeczności wynalazków, które mogłyby być ekonomicznie wykorzystane. Naukowcy - więźniowie znaleźli wiele zastosowań dla istniejących już od wieków artefaktów, a jednym z nich były właśnie ornitoptery. Pojazdy te były początkowo przyjęte z niechęcią i nieufnością, lecz z czasem stały się najbardziej popularnym środkiem powietrznego transportu. Dżihad Butlerjańska ze swą proskrypcją na skomplikowane urządzenia oddała planetarne nieba w niemal niepodzielne władanie prostym i tanim ornitopterom.

OTOMANA: niska kanapa z bocznymi wałkami zamiast poręczy i miękkim oparciem.

P

PANEW: nisko położony teren lub depresja na Arrakis powstała w wyniku osiadania warstw podłoża.

PASKUDZTWO: termin używany przez Bene Gesserit na określenie osób przed - urodzonych, czyli obdarzonych świadomością już w łonie matki.

P.G.: "przed Gildią"; skrót w kalendarzu Imperium, opartym na dacie powstania monopolu Gildii Planetarnej (patrz: E.G.).

PIERŚCIENIE WODY: patrz: TALIONY WODY.

PIERWSZY KSIĘŻYC: większy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na charakterystyczny wizerunek ludzkiej pięści w rzeźbie powierzchni (patrz: DRUGI KSIĘŻYC).

PRAJNA: medytacyjny trans używany w celu głębszej zdolności pojmowania i dla szczególnego stanu "postrzegania".

PRANA: termin odnoszący się do mięśni ciała, z których każdy jest traktowany osobno i jako osobna jednostka szkolony do maksimum. Często określane jako prana - muskulatura (patrz: B INDU oraz SZKOLENIE).

PRAWDOMÓWCZYNI: Matka Wielebna, która posiadała sztukę zapadania w trans prawdy (wywołany jednym z narkotyków "widma świadomości")! rozpoznawania kłamstwa, oszustwa lub nieszczerości. Pewne fakty sugerują, że niektóre doświadczone Prawdomówczynie mogły samowzbudzać trans prawdy bez pomocy żadnych środków, jedynie siłą autosugestii (patrz: PRAWDOPOZNANIE).

PRAWDOPOZNANIE: umiejętność Prawdomówczyni dostrzegania najdrobniejszych przejawów świadomego kłamstwa (patrz: PRAWDOMÓWCZYNI).

PRZYPRAWA: patrz: MELANŻ.

R

RIHANI, DESZYFRACJA: poprzez użycie deszyfracji rihani Bene Gesserit może rozpoznać rejestrowane indywidualnie (obojętnie jak jawne) zmiany w zachowaniu lub powierzchowności przybranych przez ludzi. Rihani pozwala również na niezawodną identyfikację gnoi i Tancerzy Oblicza, nawet jeśli przybrali wygląd i indywidualność nieznaną adeptce B.G. Schemat deszyfracji umożliwia dostrzeżenie nie - człowieczych cech charakterystycznych.

RODY, WYSOKIE: feudałowie posiadający lenna planetarne, przedsiębiorcy międzyplanetarni (patrz: RÓD).

RÓD: idiomatyczne określenie klanu panującego na planecie lub w systemie planetarnym.

RUH - DUCH: we wierzeniach Fremenów: ta część osobowości, która jest zawsze zakorzeniona i zdolna do wyczuwania w metafizycznym świecie (patrz: ALAM AL - MTTHAL).

RUSZNICE LASEROWE: miotacze laserowe wytwarzające falę ciągłą. Do czasu wynalezienia tarczy obronnej przez Holtzmana, rusznice laserowe były główną bronią we wszystkich konfliktach wojskowych. W cywilizacji używającej powszechnie pól generatorowych tarcz mają ograniczone zastosowanie jako broń, gdyż zetknięcie się wiązki laserowej z tarczą powoduje straszliwy wybuch (technicznie: fuzję subatomową). W późniejszych czasach używane prawie wyłącznie jako broń przeciw dzikim zwierzętom i w sporcie strzeleckim (patrz: TARCZA OBRONNA).

S

SAJJADINA: akolitka w hierarchii religijnej Fremenów.

SALUSA SECUNDUS: trzecia planeta Gammy Waiping; ojczysta planeta rodu Corrinów; po przeprowadzce dworu królewskiego na Kaitain przez ród Corrinów ogłoszona imperialną planetą więzienną (388 E.G.). W dwa lata później zaczęto używać jej jako poligonu dla sardaukarów. Salusa Secundus była drugim przystankiem w przymusowych migracjach Zensunnitów; fremeńska tradycja głosi, że byli oni niewolnikami na tej planecie przez dziewięć pokoleń.

SARDAUKARZY: żołnierze - fanatycy z Salusa Secundus (trzeciej planety Gammy Waiping), wojownicy imperialnego rodu Corrinów. Szkolenie wojskowe sardaukarów wyrabiało w nich bezwzględność i prawie samobójczą pogardę dla własnego bezpieczeństwa. W szczytowym okresie ich wpływu na sprawy wszechświata o biegłości sardaukarów w fechtunku powiadano, że równa się dziesiątemu stopniowi Ginazów, zaś ich przebiegłość i zręczność w starciu wręcz uchodziła za zbliżoną do kunsztu adepty Bene Gesserit. Już przed Szaddamem IV ich siłę podkopało zadufanie, a dająca hart ducha mistyka ich religii została głęboko przeżarta cynizmem. Dotychczas niezwykłych, sardaukarzy zostali pokonani przez Fremenów w bitwie pod Arrakin w roku 10193 E.G.

SEMUTA: drugi (po narkotyku elakka) związek pochodny otrzymywany w wyniku ekstrakcji krystalicznej popiołów pozostałych po spalaniu lasu krwisto - słojujących drzew elakka na Ekaz (czwartej planecie Alfa Centauri B). Proces ekstrakcji wytwarzający semutę odkrył pewien kaladański lekarz - farmaceuta w roku 10092 E.G. (choć sam narkotyk elakka znajdował się we względnie powszechnym użyciu już od prawie trzystu pięćdziesięciu lat). Kryształki semuty - zażywane doustnie w postaci kapsułek lub rozpuszczane w winie - wywołują efekt opisywany jako "nieustająca, bezkresna ekstaza, odcięcie się od wszelkiego bólu i trosk". Efekt ten powodują

pewne rytmiczne, atonalne wibracje określane mianem muzyki semuty. Se - muta jest silnie uzależniająca: często nawet pojedyncza dawka wystarcza do wywołania ciężkiej fizjologicznej narkomanii.

SICZ: dla Fremenów: "miejsce zbiórki w przypadku zagrożenia". Wskutek ciągłego użycia (jako że Fremenowie nieustannie żyli w niebezpieczeństwie) termin ten przyjął się na oznaczenie wszelkiej jaskiniowej siedziby ich plemiennych społeczności.

SIHAJ A: wiosna pustynna u Fremenów; termin z religijnymi podtekstami, ukrywającymi pojęcie czasu obfitości i "nadchodzącego raju".

SŁUP OGNIĄ: zwykła pirorakieta do sygnalizowania na otwartej pustyni.

SPOPIELACZ SKAL: jeden z wielu rodzajów broni atomowej; jedyny "przeoczony" przez drobiazgowo opracowane klauzule Wielkiej Konwencji, dotyczące broni jądrowej (patrz: WIELKA KONWENCJA).

STARY KSIAŻĘ: taki przydomek nadano w późniejszych latach życia siridarowi - księciu Kaladanu (10059 - 10163), dziadkowi Paula Muad'Diba.

SYNCHRONIZATOR TĘTNA: przystawka do projektora sziga - strunowego, działająca na zasadzie mnemonicznego systemu pulsacyjnego. Przystawka powoduje u użytkownika zalew strumieniem danych, które umysł musi później odpowiednio posortować (patrz: SZI - G ASTRUNA oraz SZIG ASTRUNOWY, PROJEKTOR).

SZEJ-HULUD: gigantyczny arrakariski czerw pustyni, zwierzę jedyne w swoim rodzaju, "Praszczur Pustyni", "Praojciec Wieczności", "Pradziad Pustyni". (Nazwa Szej-hulud wymieniana pewnym określonym tonem lub napisana wielką literą odnosi się do bogini ziemi z panteonu wierzeń Fremenów). Czerwie pustyni osiągają olbrzymie rozmiary (w głębokiej pustyni widywano osobniki przekraczające 400 metrów) i dożywają sędziwego wieku, jeśli się nawzajem nie pozabijają lub nie potopią w wodzie, która jest dla nich śmiertelną trucizną. Działaniom czerw pustyni przypisuje się większość piasku na Arrakis (patrz: MALEŃSKI STWORZYTEL).

SZEJTAN: szatan.

SZIGASTRUNA: metalowe wąsy płożącej się liany zwanej szigą (Narvi narvium), rosnącej tylko na Salusa Secundus i in Delty Kaising. Słyną z niewiarygodnej wytrzymałości na rozciąganie. Sziga - struna była często używana przy sabotażu, zabójstwach i okaleczeniach. Jej krystaliczna struktura oraz fakt, że utrzymywała ładunki elektryczne, uczynił z niej niezwykle trwałą nośnik zapisu informacji, co spowodowało, że księgofilmy (czyli wszelkie odbitki na szpulach szigastruny stosowane w nauczaniu) cieszyły się wielką popularnością. Najcieńsze szigastruny (o średnicy jednego mikrona) zwane filmami minimikowymi były często stosowane do

przekazywania informacji wywiadu i kontrwywiadu (patrz: SYNCHRONIZATOR TĘTNA oraz SZIGASTRUNOWY, PROJEKTOR).

SZIGASTRUNOWY, PROJEKTOR: urządzenie odczytujące - wyświetlające zapis na szpuli szigastruny, zwane także przeglądarką księgofilmów. Projektory szigastrunowe wyświetlają również ego - obrazy (podobizny oddające subtelne poruszenia, które jakoby oddają istotę ego) oraz solida (trójwymiarowe obrazy z projektora stereo wykorzystującego 360 - stopniowe sygnały odniesienia zarejestrowane na szpuli szigastruny); (patrz: SYNCHRONIZATOR TĘTNA oraz SZIGASTRUNA).

SZKOLENIE: w odniesieniu do Bene Gesserit ten skądinąd pospolity termin nabiera specjalnego znaczenia związanego m. in. ze szczególnym uwarunkowaniem nerwów i mięśni, na jakie tylko pozwala granica ich naturalnej wytrzymałości. Szkolenie trwa około dziesięciu lat i opiera się na serii bardzo postępowych ćwiczeń, które dają adeptce B.G. moc kontrolowania siebie mentalnie, fizycznie i psychologicznie, a także możliwość kontrolowania innych (patrz: BINDU; DAO; GŁOS; METODA B. G; PRAJNA; RIHANI; DESZYFRACJA).

T

TALIONY WODY (także: PIERŚCIENIE WODY): metalowe pierścienie różnej wielkości o określonym ściśle nominale wody, na którą można je wymienić we fremenskich kantorach.

TANCERZE OBLICZA: jadachańscy hermafrodyty; wyspecjalizowani artyści - szpiedzy z planety Tleilax, posiadający zdolność cielesnej adaptacji. Tancerze Oblicza stosowali intensywny trening, pozwalający im kopiować powierzchowność, głosy, formy fizyczne i ruchy innych; mogli dowolnie zmieniać swój wzrost, budowę ciała, rysy twarzy, kolor i długość włosów, a także płć. Mistrzowie Tancerzy Oblicza musieli obserwować osobę tylko przez minutę, aby stworzyć przybliżone podobieństwo, które mogło zwieść przypadkowych znajomych skopiowanej osoby. Mając możliwość kilkudniowego studiowania, uzyskiwali taki stopień podobieństwa, że różnice były niezauważalne (choć tylko na krótki okres czasu) nawet dla najbliższych. Pierwsi Tancerze Oblicza pojawili się jako artyści - imitatorzy w roku 5122 E. G.

TARAHELL: jedna z wielu planet ujarzmionych przez Dżihad Fremaków.

TARCZ A OBRONNA: pole ochronne wytwarzane przez generator Holtzmana. Pole powstaje w fazie pierwszej zjawiska dryfowo - anulacyjnego (zjawiska negatonowego odpychania przez generator tarczy). Tarcza przepuszcza jedynie obiekty poruszające się z niewielką prędkością (w zależności od nastawienia tarczy prędkość ich waha się od 6 do 9 centymetrów na sekundę) i uziemić je może jedynie pole elektryczne wielkości hrabstwa. Teorię konstrukcji tarczy obronnej przedstawił Holtzman w roku 3832 P. G. (patrz: RUSZNICE LASEROWE).

TAROT DIUNY: talia licząca 78 kart (21 kart w Arkanach Większych symbolizujących najbardziej doniosłe siły w ludzkości, społeczeństwie i wszechświecie i 56 kart podzielonych na 4 kolory w Arka - nych Mniejszych; jedna karta, Joker - lub Głupiec - jest pozbawiona numeru).

TAU: we fremeńskiej terminologii: "komunia" społeczności siczy oparta na diecie przyprawowej, a przede wszystkim na orgii jedności (spowodowanej piciem Wody Życia), dająca Fremenom poczucie wspólnoty na poziomie bardzo rzadko spotykanym u innych społeczeństwach (patrz: WODA ŻYCIA).

TEMAG: fremeńskie buty pustynne wchodzące w skład filtrfraka. zawierające specjalne pompy piętowe, które dostarczają siły pompującej, niezbędnej dla działania fraka (patrz: FILTRFRAK).

TLEILAX: samotna planeta gwiazdy Thalima, siedziba Zakonu Mentolów i ośrodek ich szkolenia, a także źródło m. in. ghol i mentatów "wypaczonych".

TLEILAXANIE: (Bene Tleilax); mieszkańcy Tleilaxu, samotnej planety gwiazdy Thalima, źródła niemoralnych (choć tolerowanych) technologicznie produktów. Technokratyczne społeczeństwo Bene Tleilax produkowało projektowanych genetycznie ludzi ze specjalnymi przeznaczeniami (seksualne zabawki, "wypaczonych" mentatów, Tancerzy Oblicza, ghole i in.), natomiast wojnę, ubóstwo i religię traktowało jako zwykłe produkty lub dogodne rynki zbytu. Tleilaxanie stanowili potencjalną groźbę dla delikatnej technologicznej prohibicji feudalnego Imperium, jako że w pościgu za naukowymi korzyściami nie uznawali granic ani barier.

TUPILE: tak zwana "planeta azylu" (prawdopodobnie kilka planet lub cały układ) odkryta (odkryte) przez uciekinierów przed Dżihad Butlerjańską. Położenie jej (ich) znane jest jedynie Gildii i trzymane w tajemnicy na mocy Pokoju Gildyjskiego. Miejsce schronienia dla pokonanych wysokich i niskich rodów Imperium, także tajna baza Gildii Planetarnej.

U

UMMA: jeden z bractwa proroków lub "osobiste objawienie".(W Imperium - pogardliwy termin oznaczający każdego szaleńca ze skłonnościami do fanatycznych przepowiedni).

USUL: w języku fremeńskim "podstawa filaru"; tajemne imię Paula Atrydy, którego mogli używać tylko Fremen z siczy Tabr.

W

WAŁACH IX: dziewiąta planeta Laoudżin, siedziba szkoły macierzystej Bene Gesserit.

WIELEBNA MATKA: pierwotnie: Cenzorka Bene Gesserit, która przekształciła "truciznę objawienia" (patrz: WÓD A ŻYCIA) w swoim ciele, wznosząc się na wyższy szczebel

świadomości. Tytuł przejęty przez Fremenów, którzy nadawali go swoim kapłankom - przywódcom osiągnięciem podobne "objawienie".

WIELKA KONWENCJA: powszechny kodeks prawny ustalony podczas Wielkiego Synodu, ratyfikowany w roku 337 E. G. Jego główne postanowienie zabrania użycia broni atomowej przeciwko ludziom. Potocznie: powszechny pokój wymuszony równowagą sił, utrzymywaną na przestrzeni wielu stuleci przez Gildę, wysokie rody oraz Imperium; pokój, który skończył się z chwilą zwycięstwa Fremenów nad sardaukarami w bitwie pod Arrakin - 10193 E. G. Wszystkie punkty Wielkiej Konwencji rozpoczynają się od słów: "Należy przestrzegać konwencji..."

WIELKA REWOLTA: termin potoczny, oznaczający Dżihad Butlerjańską (patrz: DŻIHAD BUTLERJAŃSKĄ).

WODA ŻYCIA: "trucizna objawienia" (patrz: WIELEBNA MATKA), narkotyk "widma świadomości", płynna wydzielina arrakańskiego czerwia pustyni (patrz: SZEJ-HULUD), która wypływa w momencie jego śmierci przez utonięcie, a następnie przemieniona w ciele Matki Wielebnej staje się narkotykiem zażywany podczas orgii tau w siczach.

WODOWÓD: każdy przewód wewnątrz filtrfraka lub filtrnamiotu, doprowadzający odzyskaną wodę do kieszeni łownej lub też z kieszeni łownej do użytkownika (patrz: FŁTRFRAK oraz FILTRNA - MIOT); wodowody były także stosowane w zgonsuszniach, literjonach i przenośnych oddzielaczach wiatru.

WYKRYWACZ TRUCIZNY: urządzenie służące do wykrywania substancji trujących w produktach spożywczych (działające na zasadzie analizy widma promieniowania).

Z

ZABUION: planeta Imperium, jedna z podbitych w końcowej fazie Dżihad Fremenów w.

ZAKON ŻEŃSKI: patrz: Bene Gesserit (2).

ZENSUNNICI: pierwotnie: wyznawcy sekty Maometha (zwanego "trzecim Mahometem"), którzy porzucili jego nauki około 1381 P. G. Większość badaczy wymienia Alego Bena Ohashi jako przywódcę pierwotnej schizmy, ale istnieją pewne dowody na to, że Ohashi mógł być jedynie rzecznikiem swej drugiej żony - Nisai. Przez kilka tysięcy Zensunnici zmuszani byli tułać się z planety na planetę, by w roku 7193 E. G. zostać przewiezionymi na Arrakis przez Gildię Planetarną, która to ich ostatnie przemieszczenie zorganizowała w ścisłej tajemnicy (jako że służyło ono obu stronom - Zensunnici mieli nareszcie swój dom, a Gildia stały wstęp na Arrakis). Zensunnici uznali wtedy, że nie są już tylko religijną sektą, ale i ludźmi. Od tego czasu nazwali się *F r e m e n a m i* (patrz: FREMENI oraz ZENSUNNIZM).

ZENSUNNIZM: sekta religijna, która jest znana przede wszystkim ze swego nacisku na mistycyzm i nawrotu do "zwyczajów ojców". Podczas gdy mistyczne doktryny Zensunnitów mogą zdawać się beznadziejnie skomplikowane dla niewtajemniczonych, ich fundamentalny cel był prosty do wytłumaczenia: pragnęli odpowiedzieć na Sunnę - dziesięć tysięcy pytań religijnych postawionych przez Szari - a, wraz z mistycznym ich zrozumieniem, a nie racjonalnym podejściem (patrz: ZENSUNNICI).

ZGONSUSZNIA: po fremeńsku: Huanui - urządzenie wynalezione przez Fremenów (i tylko przez nich używane) służące do wydestylowywania wody ze zwłok.

Oprac. Anna I. Mikołajczak i Sławomir Folkman.

Książka pobrana ze strony

<http://www.ksiazki4u.prv.pl>

lub

www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl